

JAMES ROLLINS

Autor AMAZONII i OETARZA EDENU



EKSPEDYCJA

O książce

Słynny archeolog, profesor Conklin, podczas wykopalisk prowadzonych w peruwiańskich Andach odkrywa zabalsamowane zwłoki. W nadziei, że dzięki nim potwierdzi swoją teorię o prawdziwym pochodzeniu inkaskich budowli, udaje się do Baltimore, by poddać mumię badaniom laboratoryjnym.

Ich wyniki rozzaczarowują profesora. Zwłoki nie należą, tak jak się spodziewał, do członka plemienia podbitego przez Inków, lecz do szesnastowiecznego hiszpańskiego mnicha. To jednak nie koniec niespodzianek. W trakcie badania tomografem czaszka mumii eksploduje i okazuje się, że wypełniająca ją substancja ma nieznane dotąd właściwości.

Tajemniczą materią interesują się różni ludzie – nie tylko naukowcy – a profesor Conklin i jego przyjaciółka doktor Engel wkrótce przekonają się, że ci ludzie mogą być bardzo niebezpieczni. Nie tylko dla nich dwojga, ale dla grupy studentów, która w Peru dokonuje kolejnego przełomowego odkrycia.

JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pływacz i grotolarz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, Subterrean. Kolejne Mapa Trzech Mędrców, Czarny zakon, Wirus Judasza, Klucz zagłady, Ołtarz Edenu, Kolonia Diabła – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy.

www.jamesrollins.com

Tego autora

LODOWA PUŁAPKA

BURZA PIASKOWA

AMAZONIA

OŁTARZ EDENU

EKSPEDYCJA

LINIA KRWI

PODZIEMNY LABIRYNT

OKO BOGA

Sigma

MAPA TRZECH MĘDRCÓW

CZARNY ZAKON

WIRUS JUDASZA

KLUCZ ZAGŁADY

OSTATNIA WYROCNIA

KOLONIA DIABŁA

James Rollins, Rebecca Cantrell

EWANGELIA KRWI

Tytuł oryginału:

EXCAVATION

Copyright © Jim Czajkowski 2000

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Paweł Wieczorek 2014

Redakcja: Marta Bogacka

Zdjęcie na okładce: niall dunne/Shutterstock (pejzaż w tle)

Projekt graficzny okładki: © Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-096-9

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Spis treści

Podziękowania

PROLOG

DZIEŃ PIERWSZY. RUINY

DZIEŃ DRUGI. JANAN PACHA

DZIEŃ TRZECI. SUBSTANCJA Z

DZIEŃ CZWARTY. NEKROPOLIA

DZIEŃ PIĄTY. INKARRI

DZIEŃ SZÓSTY. WĄŻ EDENU

DZIEŃ SIÓDMY. CUZCO

EPILOG

*Dla absolwentów
University of Missouri Veterinary School z 1985 roku,
szczególnie moich kolegów z pokoju:
Dave' a Schmitta, Scotta Wellsa,
Steve' a Brunnerta i Brada Gengenbacha*

Podziękowania

Powieść ta nie powstałaby bez nieocenionej pomocy przyjaciół i kolegów. Przede wszystkim chciałbym wyrazić wdzięczność wobec mojej redaktorki Lyssy Keusch oraz mojej agentki Peshy Rubinstein. Ich determinacja, umiejętności i ciężka praca pomogły doprowadzić powieść do obecnej postaci. Nie mógłbym również pominąć przyjaciół, którzy pomogli rozłożyć na czynniki pierwsze i wypolerować pierwszy rękopis. Dziękuję Ingerowi Aasenowi, Chrisowi Crowe'owi, Michaelowi Gallowglassowi, Lee Garrettowi, Dennisowi Graysonowi, Debrze Nelson, Dave'owi Meekowi, Chrisowi Smithowi, Jane O'Rivie, Judy i Steve'owi Preyom oraz Caroline Williams. Najserdeczniejsze podziękowania dla Carolyn McCray i Johna Clemensa za trwanie u mego boku w trakcie wszystkich wzlotów i upadków ostatnich dwunastu miesięcy.

Za wsparcie techniczne muszę podziękować Frankowi Malaretowi — znawcy historii Peru — oraz Andie Arthur, która pomogła mi przy tłumaczeniach z łaciny. Chciałbym także podziękować doktorowi Ericowi Drexlerowi, którego książka *Engines of Creation* (Motory stworzenia) była inspiracją dla stanowiącej tło opowieści warstwy naukowej.

Wtedy to Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą. A zasadziwszy ogród w Eden na wschodzie, Pan Bóg umieścił tam człowieka, którego ulepił.

Księga Rodzaju, 1, 7-8, Biblia Tysiąclecia

PROLOG

Wschód słońca Andy Peruwiańskie Rok 1538

Nie było ucieczki.

Francisco de Almagro, przedzierający się przez zasnutą mgłą dżungłę, już dawno przestał modlić się o ratunek przed myśliwymi, którzy deptali mu po piętach. Zdyszany, walcząc o każdy oddech, ledwie szedł słabo widoczną ścieżką. Rękawem starł pot z czoła. Miał na sobie dominikański habit z barwionej na czarno wełny i jedwabiu, poplamiony i podarty. Inkowie, którzy go pojмали, zabrali mu wszystko poza habitem i krzyżem. W obawie przed obrażeniem bogów z nieznanej krainy plemienny szaman ostrzegł swoich, by nie dotykali obcych talizmanów.

Choć gruby i ciężki habit nie nadawał się do ucieczki przez zasnutą niskimi chmurami gęstą dżungłę północnych Andów, młody zakonnik nie chciał się go pozbywać. Strój poświęcił osobiście papież Klemens VII, kiedy Francisca wyświęcano na księdza, i nie zamierzał się z nim rozstawać. Mimo wszystko należało zmodyfikować go stosownie do sytuacji.

Zakonnik złapał skraj szaty i oderwał ją na wysokości ud.

Kiedy uwolnił nogi, wsłuchał się w dźwięki pogoni. Okrzyki inkaskich myśliwych były głośniejsze i odbijały się echem od ścian górskiej przełęczy, którą pokonał. Nawet skrzekliwe wrzaski przestraszonych małp w koronach drzew nie zagłuszały narastającej wrzawy ścigających. Wkrótce go dogonią.

Młodemu księdzu pozostała jedna nadzieja: zbawienie. Nie siebie jednak, lecz świata.

Ucałował postrzępiony skraj habitu i wypuścił go z rąk. Musiał się spieszyć.

Wyprostował się nieco zbyt szybko i na chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami. Aby nie upaść, złapał pień młodego drzewa i ciężko westchnął, z trudem łapiąc rozrzedzone powietrze. Przed oczami tańczyły mu jaskrawe punkciki. Na tej wysokości płuca nie wypełniały się powietrzem jak należy. Musiał często odpoczywać, jednak nie mógł pozwolić, by zatrzymał go brak tchu.

Odepchnął się od drzewa i znów ruszył ścieżką; potykał się i zataczał. Szedł chwiejnie nie tylko z powodu wysokości. Przed egzekucją, która miała się odbyć o świcie, został poddany rytualnemu upustowi krwi, zmuszono go też do wypicia gorzkiego napoju — *chicha*, sfermentowanego płynu, od którego ziemia natychmiast rozbujała się pod nogami. Nagły wysiłek związany z ucieczką nasilał efekt narkotyku.

Dżungla wydawała się pełna kończyn, które sięgały ku niemu, próbując go schwycić w pułapkę. Ścieżka zdawała się pochylać to na jedną, to na drugą stronę. Serce tłukło mu w gardle, uszy wypełniał coraz potężniejszy huk, zagłuszający nawet okrzyki jego prześladowców. Francisco wytoczył się z dżungli i mało brakowało, a spadłby z krawędzi skały. Daleko w dole widać było źródło huku: wśród czarnych kamieni kipiała spieniona biała woda.

Coś w zakamarku umysłu mówiło mu, że to jeden z dopływów potężnej rzeki Urabamba, jednak nie mógł sobie pozwolić na rozważania topograficzne. Rozpacz wypełniała mu pierś i uciskała serce. Od celu oddzielała go przepaść. Ciężko dysząc, Francisco oparł dłonie na podrapanych kolanach. Dopiero wtedy zauważył wążutki, spleciony z traw most. Znajdował się z prawej strony i prowadził na drugi brzeg przepaści.

— *Obrigado, meu Deus!* — podziękował Panu po portugalsku. Od chwili przyjęcia święceń w Hiszpanii nie rozmawiał w ojczystym języku. Dopiero teraz, ze spływającymi po twarzy łzami rozpacz i strachu, powrócił do mowy dzieciństwa.

Wyprostował się, podszedł do mostu i przesunął dłońmi po splecionych wiązках trawy *ichu*. Nad dudniącą w dole rzeką przerzucono grubą linę, zaopatrzoną po bokach w dwa cieńsze sznury, służące jako poręcze. Kiedy indziej Francisco na pewno doceniłby inżynierski kunszt konstruktorów

mostu, teraz jednak myślał wyłącznie o ucieczce — stawianiu stopy przed stopą i utrzymywaniu równowagi.

Całą nadzieję pokładał w dotarciu do ołtarza na szczycie najbliższej góry. Inkowie szanowali i czcili ten otoczony dżunglą wierzchołek, podobnie jak wiele innych w okolicy. Aby tam jednak dotrzeć, Francisco musiał pokonać przepaść, a potem wydostać się z zamglonej puszczy i wspiąć na skaliste zbocze.

Czy wystarczy mu czasu?

Kiedy ponownie się odwrócił, by posłuchać odgłosów pogoni, słyszał jedynie dudnienie rzeki w dole. Nie miał pojęcia, jak daleko są myśliwi, podejrzewał jednak, że skracają dystans. Nie wolno mu było się ociągać.

Przesunął spoconą dłońią po ogolonej głowie i złapał poręcz mostu. Na chwilę zacisnął powieki i chwycił drugą linę. Modląc się, wszedł na most. Nie pozwalał sobie spojrzeć w dół, skupiał tylko wzrok na przeciwległym brzegu.

Trwało to nieskończoność, w końcu jednak pod lewą stopą poczuł kamień. Z ulgi nogi się pod nim ugięły, ale wszedł na pewny grunt. Niemal opadł na kolana, gotów ucałować i błogosławić skalistą ziemię, kiedy za jego plecami rozległ się przypominający warknięcie okrzyk. W glinę tuż za piętą wbiło się ostrze dzidy. Drzewce dygotało od impetu.

Francisco zamarł niczym przestraszony królik; po chwili rozległ się kolejny krzyk. Po drugiej stronie przepaści — skąd właśnie uciekł — stał inkaski myśliwy. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały.

Myśliwy i ofiara.

Inka, którego głowę zdobił pióropusz z lazurów i czerwonych piór, wyszczerzył zęby jak gdyby w uśmiechu. Na jego szyi błyszcząły grube złote łańcuchy — w każdym razie Francisco miał nadzieję, że to złoto. Wzdrygnął się.

Bez chwili wahania wyjął zza pazuchy srebrny sztylet. Broń, którą ukradł czarownikowi Inków, posłużyła mu do ucieczki i teraz będzie musiała posłużyć mu ponownie. Złapał boczną linę mostu. Nie miał dość czasu na przecięcie głównej liny, ale zniszczenie poręczy utrudni prześladowcom przeprawę. Raczej ich nie powstrzyma przed kontynuacją pogoni, ale na pewno pozwoli Franciscowi zyskać nieco czasu.

Kiedy zaczął ciąć warkocz z wyschniętych traw, poczuł ból w barkach. Liny zrobiono chyba z żelaza. Inka coś zawołał, mówił spokojnie w swoim

barbarzyńskim języku. Ksiądz nie rozumiał ani słowa, ale groźba i obietnica cierpienia były jasne.

Kolejna fala strachu dodała Franciscowi sił. Dźgał i ciął, nie zwracając uwagi na gorące łyzy spływające mu po ubłoconej twarzy. Nagle lina pękła i oderwała się z trzaskiem. Jedna z końcówek smagnęła go po policzku. Odruchowo dotknął rany dłonią — palce zabarwiła krew, ale on nie czuł bólu.

Przełknął z trudem ślinę i zabrał się do drugiej liny. Kolejna dzida uderzyła w skałę na krawędzi skały i poleciała w dół. Zaraz potem nadleciała trzecia. Trafiła znacznie bliżej.

Francisco podniósł wzrok. Po drugiej stronie przepaści stało czterech myśliwych. Czwarty trzymał dzidę, pierwszy napinał łuk. Francisco popatrzył na nietknięte mocowanie drugiej poręczy. Skończył mu się czas — pozostanie na miejscu oznaczało śmierć. Musiał zaufać, że zniszczenie jednej liny wystarczy do spowolnienia pościgu.

Rzucił się biegiem ku dżungli i wpadł między drzewa. Ścieżka wspinała się stromo, wysysając siłę z nóg i powietrze z płuc. Drzewa rosły rzadziej niż po drugiej stronie przepaści, zielony dach nad głową był bardziej ażurowy i z każdym z trudem przebytym odcinkiem drogi dżungla się przerzedzała. Ułatwiało to bieg, ale czyniło z uciekiniera łatwiejszy cel. Przy każdym kroku Francisco spodziewał się strzały w plecach.

Tak blisko... Panie, nie opuszczaj mnie teraz.

Starał się nie patrzeć przed siebie, skupiać wzrok tylko na gruncie pod nogami. Z trudem stawiał stopę za stopą. Nagle świat dookoła pojaśniał, jakby sam Pan odsunął drzewa na bok, aby oświecić go łaską. Francisco głośno westchnął i uniósł głowę. Nawet tak prosty ruch przychodził mu z trudem. Wystarczył kolejny krok, i dżungla była za nim. Promienie zachodzącego słońca rozpałały czerwone i czarne skały nagiego szczytu.

Był za słaby nawet na krótką modlitwę. Niemal na czworakach przebił się przez ostatnie krzewy ku szczytowi. To musiało się odbyć tutaj. Na ich świętym ołtarzu.

Płacząc — choć nie słyszał własnego łkania — podpełzł do granitowej płyty. Opadł przy niej ciężko na ziemię i uniósł wzrok do nieba. Krzyknął głośno, nie modlił się jednak, ale dawał znak, że jeszcze żyje — aby usłyszeli.

Natychmiast mu odpowiedzieli. Ostre krzyki myśliwych odbiły się echem w przełęczy. Pokonali przepaść i kontynuowali pogoń.

Francisco opuścił głowę. Wszędzie, aż po horyzont, widać było liczne szczyty Andów. Niektóre pokrywał śnieg, ale większość była naga jak ten, na którym klęczał. Przez chwilę niemal rozumiał inkaski kult tych gór. Tutaj — między chmurami a niebem — człowiek był blisko Boga. W ciężkiej ciszy zdawały się rozbrzmiewać ponadczasowość i obietnica wieczności. Nawet myśliwi przycichli — albo z szacunku wobec gór, albo po to, by zaskoczyć ofiarę.

Francisco był zbyt zmęczony, by się nad tym zastanawiać.

Skierował wzrok na dwa nietypowe dla tych gór wierzchołki: na zachodzie, nieco w dole, dymiły dwa wulkany, bliźniacze kratery wpatrywały się w poranne niebo. Z miejsca, gdzie stał, wyglądały jak kaprawe, przeklęte oczy.

Splunął w ich kierunku i uniósł pięść z kciukiem między palcem wskazującym a środkowym — w geście mającym odstraszyć diabła.

Francisco doskonale wiedział, co znajduje się w tamtej dolinie. Stojąc obok kamiennego ołtarza, nazwał bliźniacze wulkany.

— *Ojos el de Diablo* — szepnął. — Oczy diabła.

Wzdrygnął się i odwrócił plecami do wulkanów. Gdyby na nie patrzył, nie mógłby zrobić tego, co musiało zostać zrobione. Patrzył teraz ku wschodowi, na wznoszące się słońce.

Ukląkł przed blaskiem chwały, sięgnął za pazuchę i wyjął krzyż, który wisiał mu na szyi. Dotknął rozgrzanym metalem czoła. Złoto. Powód, dla którego Hiszpanie przedzierali się przez obcą i wrogą dżunglę — marzenie o bogactwie i dobrobycie. A teraz chciwość i pożądanie stanie się ich przekleństwem...

Francisco odwrócił krucyfiks i pocałował złotą postać. Po to tu przybył — by nieść poganom słowo Pana, a teraz krzyż pozostał jedyną nadzieją dla świata. Przesunął palcem z tyłu krzyża, by poczuć grawerunek, który starannie wykonał w miękkim metalu.

Oby ocalił nas wszystkich, pomodlił się w milczeniu i wsunął krzyż z powrotem za habit, tuż przy sercu.

Uniósł wzrok w kierunku świtu. Musiał mieć pewność, że Inkowie nie zabiorą mu krzyża. Choć dotarł do jednego z ich świętych miejsc — tego

górskiego ołtarza — dla zapewnienia bezpieczeństwa krzyżowi konieczny był jeszcze jeden akt.

Ponownie wyjął spod habitu sztylet szamana.

Skruszony, z modlitwą na ustach, błagał o wybaczenie za grzech, który zamierzał popełnić. Nie miał wyboru — niezależnie od tego, czy skazywał swą duszę na potępienie, czy nie. Ze łzami w oczach uniósł sztylet i przeciągnął sobie ostrzem po gardle. Przeszywający ból sprawił, że wypuścił sztylet z dłoni. Jego ciało opadło i podparł się dłońmi. Krew z rozciętego gardła zalewała czarne kamienie.

W słońcu poranka czerwona krew błyszczała jaskrawo na czarnej skale. Ostatnim obrazem, jaki de Almagro widział w chwili śmierci, była jego krew płynąca po inkaskim ołtarzu, lśniąca jak złoto.

DZIEŃ PIERWSZY
RUINY

Poniedziałek, 20 sierpnia, godzina 11.52

Uniwersytet imienia Johnsa Hopkinsa

Baltimore w stanie Maryland

Palce profesora Henry'ego Conklina, który zdejmował ostatnią warstwę materiału, w jaki owinięto zamrożony skarb, lekko drżały. Profesor wstrzymał oddech. W jakim stanie była mumia po niemal pięciu tysiącach kilometrów podróży z Andów? W Peru najstaranniej, jak umiał, otulił zamrożone szczątki suchym lodem i zapakował je do skrzyni, w której miały dotrzeć do Baltimore, ale w trakcie tak długiego transportu różnie bywa.

Henry przeczeszał palcami ciemne włosy — od sześćdziesiątych urodzin, które obchodził w minionym roku, coraz gęściej przetykane siwizną. Modlił się, by trzydzieści lat badań i pracy w terenie wreszcie się opłaciło. Nie dostanie drugiej szansy. Przewiezienie mumii z Ameryki Południowej kosztowało niemal wszystkie pieniądze z grantów, a w obecnych czasach nowe stypendia i subwencje przyznawano wyłącznie naukowcom młodszym od niego. Stawał się w Texas A&M dinozaurem i choć w środowisku nadal go szanowano, chociaż był na uczelni hołubiony, nie wiązano z nim wielkich nadziei.

Najnowsze odkrycie, jakiego dokonał w ruinach położonej wysoko w Andach małej inkaskiej wioski, mogło jednak wszystko zmienić — zwłaszcza gdyby dowiodło prawdziwości jego kontrowersyjnej teorii.

Ostrożnie odwinął ostatnią warstwę płótna i mgła wytwarzana przez topniejący lód natychmiast zasnęła mu widok. Rozwiał ją kilkoma ruchami dłoni i popatrzył na skuloną postać z ramionami obejmującymi przyciśnięte do piersi kolana, zamarłą w niemal płodowej pozycji, tak samo jak wtedy, gdy ją odkrył w niewielkiej jaskini niedaleko zamarzniętego wierzchołka góry Arapa.

Henry wpatrywał się w znalezisko. Spod pasm cienkich włosów, które się zachowały, patrzyły na niego starożytne oczodoły — otwarte i puste. Wargi — wyschnięte i obkurczone — ukazywały żółte zęby. Skórę, która wyglądała jak wygarbowana, oblepiały resztki pogrzebowego całunu. Ciało było tak dobrze zachowane, że w świetle laboratoryjnych reflektorów jaskrawo połyskiwała nawet czerń postrzępionej szaty.

— Boże! — rozległo się tuż przy jego ramieniu. — Idealne!

Henry drgnął — był tak zamyślony, że zapomniał o obecności innych ludzi. Odwrócił się i natychmiast oślepił go błysk flesza. Reporterka z „Baltimore Herald” wysunęła się zza jego pleców, by zrobić zdjęcie pod innym kątem, nawet na chwilę nie odsuwając nikonu od oka. Blond włosy miała związane w ciasny koński ogon. Robiła zdjęcia i równocześnie mówiła:

— Ile dałby mu pan lat, profesorze?

Henry zamrugał, aby odzyskać widzenie, i cofnął się o krok, by odsłonić widok pozostałym obecnym. Dwoje naukowców z instrumentami w rękach podeszło bliżej.

— Powiedziałbym, że mumifikacja... moim zdaniem to szesnasty wiek. A więc dałbym mu jakieś czterysta, pięćset lat.

Reporterka opuściła aparat, ale nie odwróciła wzroku od skulonej postaci na stole tomografu komputerowego. Z lekkim obrzydzeniem skrzywiła górną wargę.

— Nie, nie, chodzi mi o to, ile lat miał zmarły...

— Och... — profesor poprawił okulary na nosie. — Około dwudziestu... Trudno o dokładną diagnozę na podstawie ogólnych oględzin.

Spojrzała na nich kobieta należąca do pary patologów, którzy badali głowę mumii. Była drobna, brakowało jej kilku lat do sześćdziesiątki, ciemne długie włosy opadały jedwabistymi pasmami na plecy.

— W chwili śmierci miał trzydzieści dwa lata — stwierdziła obojętnym tonem. Doktor Joan Engel była kierowniczką wydziału patologii sądowej na Uniwersytecie imienia Johnsa Hopkinsa i od wielu lat przyjaźniła się z Henrym Conklinem. Jej stanowisko było jednym z powodów, dla których postanowił sprowadzić mumię do Hopkinsa. — Jego trzecie zęby trzonowe dopiero zaczynały się wyrzynać — ciągnęła — i na tej podstawie, a także biorąc pod uwagę stopień zużycia drugich trzonowych, zakładam, że mój

szacunek jest trafny z dokładnością do trzech lat. Oczywiście tomografia określi wiek bardziej precyzyjnie.

Jadeitowe oczy doktor Engel błyszcząły, kontrastując z jej spokojnym wyglądem, a w ich kącikach pojawiały się zmarszczki. Podczas oględzin mumii ani razu nie okazała śladu niesmaku, nawet gdy obmacywała zasuszone szczątki. Henry dostrzegał jej ekscytację, dokładnie odpowiadającą temu, co sam odczuwał. Świadomość, że entuzjazm Joan dla tajemnic nauki nie osłabł od czasu, kiedy poznali się na studiach, była bardzo przyjemna. Zanim Joan wróciła do dalszego badania mumii, rzuciła mu przepaszające spojrzenie — że zanegowała jego opinię.

Henry poczuł, że czerwienią mu się policzki — bardziej z zażenowania niż z irytacji. Była jak zawsze gorliwa i bystra.

Przełknął ślinę i spróbował się uspokoić. Odwrócił się do reporterki.

— Mam nadzieję udowodnić, że choć stanowisko, na którym znaleźliśmy mumię, jest inkaskie, ten człowiek należał do innego peruwiańskiego ludu.

— Co ma pan na myśli?

— Od dawna wiadomo, że do Inków należały wojownicze plemiona, które często atakowały sąsiednie społeczności i dosłownie je zjadały. Budowali swoje miasta w miejscach siedzib poprzedników w taki sposób, by nie pozostawić po nich śladu. Na podstawie badań Machu Picchu i innych ruin na wyżynach Andów wysnułem teorię, że tych podniebnych miast nie zbudowały nizinne plemiona Inków, lecz przejęły je one od ludów, które istniały przed nimi, i w ten sposób skradły tym wybitnym architektom miast na szczytach gór należne im miejsce w historii. — Henry skinął głową w kierunku mumii. — Mam nadzieję, że ten osobnik pomoże skorygować historyczny błąd.

Reporterka zrobiła kolejne zdjęcie i musiała się cofnąć, gdy para patologów zaczęła badać dolną część ciała mumii.

— Na jakiej podstawie sądzi pan, że mumia potwierdzi tę teorię?

— Grobowiec, w którym ją odkryliśmy, jest przynajmniej sto lat starszy od inkaskich ruin, co sugeruje, że być może znaleźliśmy jednego z prawdziwych budowniczych górskich cytadel. Poza tym ten zmumifikowany człowiek był przynajmniej o głowę wyższy od przeciętnego Inki z regionu... ma nawet inne rysy twarzy. Sprowadziłem tu mumię, aby udowodnić, że nie jest to Inka, ale jeden z prawdziwych

twórców tych wyjątkowych miast. Dzięki genetycznemu mapowaniu, jakim dysponujemy, mogę uzasadnić każdą...

— Profesorze Conklin — przerwała mu Joan. — Na pewno zechce pan to zobaczyć.

Reporterka odsunęła się na bok, aby przepuścić profesora, nikon ponownie się uniósł i zasłonił jej pół twarzy. Henry przecisnął się między dwójką naukowców. Obmacywali brzuch i klatkę piersiową mumii. Asystent doktor Engel, młody człowiek o wielkich oczach i płowych włosach, pochylał się nad znaleziskiem. Ostrożnie wydobywał sznurek ukryty w fałdzie skóry na szyi mumii.

Joan Engel wyciągnęła palec.

— Ma rozplątane gardło — powiedziała i rozsunęła wyschniętą skórę, ukazując kości. — Żeby mieć pewność, potrzebne będzie badanie mikroskopowe, ale moim zdaniem rana została zadana *ante mortem*. — Popatrzyła na Henry'ego i reporterkę. — Przed śmiercią. Najprawdopodobniej to ona spowodowała śmierć.

Henry skinął głową.

— Inkowie lubili krwawe rytuały — stwierdził. — Wiele z nich obejmowało obcinanie głów i składanie ludzi w ofierze.

Asystent doktor Joan Engel po chwili wyciągnął z rany sznurek. Zamarł w pół ruchu i popatrzył na szefową.

— Moim zdaniem to jakiś naszyjnik... — mruknął i pociągnął. Coś się poruszyło pod strzępami szaty.

Joan podniosła wzrok na Henry'ego, milcząco pytając o zgodę na dalsze działanie.

Profesor skinął głową.

Asystent zaczął ostrożnie ciągnąć i przedmiot powoli wysuwał się z ukrycia. To, co zamocowano na końcu sznurka, przesunęło się pod zniszczonym materiałem. Nagle prastara tkanina pękła i przedmiot ukazał się w pełnej krasie.

Ze wszystkich czterech gardeł wydobyło się głośnie westchnienie. W jaskrawym halogenowym świetle laboratorium zaśniło złoto. Kiedy reporterka zaczęła migać fleszem, robiąc serię szybkich zdjęć, oczy obecnych oślepiły błyski.

— To krzyż — powiedziała Joan Engel, stwierdzając oczywisty fakt. Henry jęknął i się pochylił.

— I to nie pierwszy lepszy. To dominikański krucyfiks.

— Co to oznacza? — spytała reporterka, nie odsuwając aparatu od twarzy.

Henry wyprostował się i pomachał dłonią nad łacińskim napisem.

— Dominikańscy misjonarze towarzyszyli hiszpańskim konkwistadorom w trakcie najazdu na Indian z Ameryki Środkowej i Południowej.

Reporterka opuściła aparat.

— A więc to mumia hiszpańskiego księdza?

— Tak jest.

— Nieźle!

Joan Engel dotknęła krzyża trzymaną w ręku szpatułką.

— Ale przypadki mumifikowania przez Inków hiszpańskich zdobywców nie są znane.

— Do dziś — gorzko powiedział Henry. — Podejrzewam, że odkrycie zasłuży przynajmniej na wzmiankę w jakimś czasopiśmie. — Jego marzenie o udowodnieniu swojej teorii gasło w blasku złotego krucyfiks.

Joan dotknęła palcem jego dłoni.

— Jeszcze nie rozpaczaj. Może krzyż został ukradziony jakiemuś Hiszpanowi? Zróbmy najpierw tomografię i sprawdzimy, czego się dowiemy o naszym przyjacielu.

Henry skinął głową, w jego sercu nie było jednak wielkiej nadziei. Popatrzył na Joan Engel — w jej oczach dostrzegł szczerą troskę. Lekko się uśmiechnął i, ku jego zaskoczeniu, odwzajemniła uśmiech. Pamiętał go sprzed wielu lat — byli na kilku randkach, jednak oboje zbyt poświecali się studiom, aby ich znajomość przerodziła się w coś więcej. Kiedy zrobili magisteria, ich drogi się rozeszły, stracili kontakt i tylko posyłali sobie świąteczne kartki. Ale Henry nigdy nie zapomniał jej uśmiechu.

Poklepała go po dłoni, po czym zwróciła się do asystenta:

— Brent, zawiadomisz doktora Reynoldsa, że jesteśmy gotowi do skanu? — Odwróciła się do Henry'ego i reporterki. — Muszę was poprosić o przejście do pokoju obok. Obejrzymy procedurę z za szyby w pomieszczeniu kontrolnym.

Przed opuszczeniem pokoju Henry sprawdził, czy mumia jest prawidłowo zamocowana do stołu tomografu, po czym zdjął z jej szyi złoty

krucyfiks. Ściskając go w dłoni, poszedł za pozostałymi do sąsiedniego pomieszczenia.

Pod ścianami boksu stały szeregi komputerów i monitorów. Zespół badawczy zamierzał wykorzystać popularną metodę tomografii komputerowej, w skrócie TK, pozwalającą uzyskać zdjęcia radiograficzne, z których komputer tworzy trójwymiarowy obraz ukazujący wnętrze obiektu. Metoda pozwala dokonać wirtualnej sekcji bez naruszania znaleziska. Poza zawodowym kontaktem z Joan był to drugi ważny powód, dla którego Henry włókł mumię przez pół świata: Uniwersytet Hopkinsa prowadził już analizy peruwiańskich mumii lodowych i nadal miał wsparcie organizacji National Geographic. Uniwersytet dysponował także znakomitym laboratorium genetycznym, pozwalającym mapować geny przodków i tworzyć genealogię. Laboratorium mogło dostarczyć konkretnych danych na poparcie jego kontrowersyjnej teorii. Dominikański krzyż, który trzymał w dłoni, był jednak wyraźnym świadectwem, że nie powinien robić sobie nadziei.

Kiedy weszli do środka, ciężkie od ołowiu drzwi gładko się zamknęły.

Joan Engel przedstawiła wszystkim doktorowi Robertowi Reynoldsowi, który wskazał przybyszom krzesła, tymczasem technik zaczął kalibrować urządzenie.

— Siadajcie, proszę.

Troje gości przysunęło sobie krzesła do szyby, za którą widać było tomograf, ale Henry stał, by równocześnie obserwować okno widokowe i monitory. Wielki biały tomograf zajmował połowę pomieszczenia, stół z mumią był u wlotu wąskiego tunelu prowadzącego do wnętrza urządzenia.

— No to zaczynamy — powiedział doktor Reynolds i zaczął wciskać klawisze na panelu obsługi.

Kiedy z głośników przekazujących dźwięk z sąsiedniego pomieszczenia doleciał ostry metaliczny klekot, Henry aż podskoczył i o mało nie wypuścił z dłoni krucyfiks. Jednak nie było czym się denerwować: stół, na którym leżała mumia, zaczął powoli wsuwać się w tomograf. Kiedy głowa mumii wjechała do środka, do klekotu maszyny dołączył chór głośnych trzasków — urządzenie zaczęło rejestrować obrazy.

— Bob, daj najpierw powierzchniowy widok kości twarzy — powiedziała Joan Engel. — Zobaczmy, czy uda się ustalić, skąd facet

pochodzi.

— Może to pani określić po wyglądzie czaszki? — spytała reporterka.

Joan skinęła głową, nie odwróciła jednak wzroku od monitorów.

— Kształty łuku jarzmowego, czoła i kości nosowej są dobrymi markerami pochodzenia i rasy.

— Zaraz będziemy je mieli... — oznajmił doktor Reynolds.

Henry odwrócił się od szyby i spojrzał Joan przez ramię. Na monitorze pojawił się czarno-biały obraz — przekrój czaszki mumii.

Joan założyła okulary do czytania i przysunęła krzesło do monitora. Pochyliła się, by przestudiować obraz.

— Bob, możesz obrócić o trzydzieści stopni?

Żując ołówek radiolog skinął głową. Nacisnął kilka klawiszy i czaszka na ekranie obróciła się przodem. Joan wzięła małą linijkę i zaczęła mierzyć. Zmarszczyła czoło i postukała w ekran paznokciem.

— Ten cień nad prawym oczodołem... możemy bliżej mu się przyjrzeć?

Znowu wciśnięto kilka klawiszy i obraz się powiększył. Radiolog wyjął ołówek spomiędzy zębów. Gwizdnął z uznaniem.

— Co to jest? — spytał Henry.

Joan odwróciła się i opuściła nieco okulary, by popatrzeć znad szkieł.

— Dziura. — Postukała w ekran, wskazując trójkątny cień na płaszczyźnie kości. — Nienaturalna. Ktoś mu ją wywiercił w czaszce. A ponieważ wokół rany nie ma zgrubienia, sądzę, że stało się to po śmierci.

— Trepanacja... wiercenie otworu w czaszce — stwierdził Henry. — Widywałem to w wielu starych czaszkach z różnych stron świata, najbardziej skomplikowane zabiegi robili jednak Inkowie. Uważano ich za największych ekspertów od trepanacji. — Henry pozwolił sobie na cień nadziei. Jeśli czaszka została przewiercona, może jednak był to peruwiański Indianin.

Joan musiała czytać mu w myślach.

— Niechętnie gaszę twoje nadzieje, ale trepanacja czy nie, zmarły z pewnością nie pochodzi z Ameryki Południowej. To Europejczyk.

Henry przez kilkanaście sekund nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Jesteś... jesteś pewna?

Joan zdjęła okulary, schowała je do kieszeni i cicho westchnęła, zdecydowana postawić niekorzystną diagnozę.

— Owszem. Moim zdaniem pochodzi z Europy Zachodniej. Prawdopodobnie z Portugalii. Jeśli dostanę czas na bliższe badania, prawdopodobnie uda mi się nawet określić, z jakiego regionu. — Pokręciła głową. — Przykro mi, Henry.

Widział w jej oczach współczucie. Choć serce przepełniała mu rozpacz, starał się zachować spokój. Popatrzył na dominikański krzyż w rękę.

— Musiał zostać pojmany przez Inków — stwierdził. — I złożony ich bogom w ofierze na górze Arapa. Ponieważ jego krew rozlano w świętym miejscu, mieli obowiązek go zmumifikować niezależnie od tego, kim był. Prawdopodobnie dlatego zostawili mu krzyż. Kto umarł w świętym miejscu, temu należał się szacunek, a okradanie ciała z wartościowych przedmiotów było tabu.

Reporterka robiła pospieszne notatki, chociaż nagrywała ich rozmowę.

— Będzie z tego świetny artykuł.

— Artykuł może tak... albo i dwa. — Henry wzruszył ramionami, próbując się uśmiechnąć.

— Ale miałeś nadzieję na coś więcej — powiedziała Joan Engel.

— To tylko intrygująca ciekawostka. Nie rzuca nowego światła na Inków.

— Może twoje wykopaliska w Peru przyniosą coś bardziej znaczącego — próbowała go pocieszyć.

— Nadzieja jest zawsze. Mój bratanek i kilku studentów próbują właśnie wejść do ruin świątyni. Może będą mieli dobre wieści.

— Zawiadomisz mnie w razie czego? — spytała Joan z uśmiechem. — Wiesz chyba, że śledzę twoje odkrycia w „National Geographic” i w „Archaeology”.

— Naprawdę? — Henry nieco się wyprostował.

— Oczywiście, każde było bardzo ciekawe.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

— Na pewno będę dawał ci znać. — Nie była to czcza obietnica. Mimo wieku Joan emanowała urokiem, który go rozbrajał. Nie dało się też nie zauważyć jej kobiecych kształtów, których nie zdołał ukryć nawet laboratoryjny kitel. Henry znowu poczuł, że czerwienieją mu policzki.

— Joan, lepiej tu podejdź i popatrz — powiedział radiolog ściszym głosem. — Coś jest nie tak z tomografią.

Joan odwróciła się do monitora.

— Co się dzieje?

— Bawiłem się obrazem szwu strzałkowego, żeby ocenić gęstość kości, ale wszystkie zdjęcia wnętrza ciała okazały się puste. — Kiedy i Henry skierował wzrok na ekran, doktor Reynolds pokazał serię obrazów mających ukazywać coraz głębsze warstwy w czaszce, tyle tylko, że każdy był identyczny: biała plama.

Joan Engel dotknęła ekranu, jakby jej palce mogły zrozumieć naturę zjawiska.

— Skalibrujemy urządzenie od nowa i spróbujmy jeszcze raz — powiedziała.

Radiolog wcisnął klawisz i dochodzący od strony tomografu klekot ucichł. Zastąpił go ostrzejszy odgłos, przebijający się przez stuk rotujących magnesów. Z głośników popłynął wysokotonowy pisk, przypominający odgłos powietrza wylatującego z balonu.

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku źródłu dźwięku.

— A to co? — spytał Reynolds. Wcisnął kolejne klawisze. — Skaner się zablokował.

Reporterka z „Heralda”, która siedziała najbliżej okna z widokiem na tomograf, skoczyła na nogi, przewracając krzesło.

— Boże drogi!

— Co się stało? — Joan Engel podeszła do niej.

Henry zrobił to samo, zaniepokojony o kruchą mumię.

— O co...? — Nie dokończył pytania, ponieważ zobaczył, co się dzieje. Mumia leżała na stole, ale głowa podskakiwała, uderzając rytmicznie o metalową powierzchnię. Szczęki szeroko się otworzyły i wydobywał się z nich pisk. Henry poczuł, jak miękną mu kolana.

— To żyje! — z przerażeniem zawołała reporterka.

— Niemożliwe... — wyjąkał Henry Conklin.

Konwulsyjne ruchy mumii robiły się coraz gwałtowniejsze. Czarne włosy latały wokół szarpiącej się na boki głowy niczym kłębowisko węży. Wydawało się, że głowa zaraz oderwie się od szyi. Jednak to, co się stało, było gorsze. Znacznie gorsze.

Niczym zgniły arbuz, góra czaszki mumii eksplodowała i wystrzelił z niej żółty płyn, opryskując ścianę, tomograf i szybę.

Reporterka odeszła od szyby, zataczając się jak pijana, nogi się pod nią ugięły. Z ust wydobywał jej się niekontrolowany bełkot.

— O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże...

Joan pozostała profesjonalna i chłodna.

— Bob, potrzebujemy natychmiast kwarantanny, poziom drugi! Szybko!

Radiolog jak sparaliżowany gapił się na mumię, której drgawki zamierały.

— Niech mnie cholera... — szepnął w końcu. — Co to było?

Joan, nadal opanowana, pokręciła głową.

— Może eksplozja nagromadzonego gazu. Ciało zamarzło na dużej wysokości, nagłe rozmrożenie mogło spowodować szybki rozkład z wytworzeniem się metanu. — Wzruszyła ramionami.

Reporterka w końcu się pozbierała i próbowała zrobić zdjęcie, ale Joan zasłoniła obiektyw jej nikona dłonią i pokręciła głową. Koniec ze zdjęciami.

Od chwili eksplozji Henry Conklin nawet nie drgnął. Stał przy szybie, przyciskając do niej dłoń. Wpatrywał się w pozostałości mumii i jaskrawe rozbryzgi na ścianach oraz tomografie. Błyszczały soczystą żółcią.

Reporterka pomachała dłonią w kierunku opryskanej szyby.

— Co to jest?

Henry mocniej zacisnął w dłoni dominikański krucyfiks i odpowiedział zszokowany, głuchym głosem.

— Złoto.

Godzina 17.14

Andy Peruwiańskie

— Jak się uważnie posłucha, niemal słyszać głosy umarłych.

Na te słowa Sam Conklin podniósł wzrok. Popatrzył na młodego freelancera z „National Geographic”. Norman Fields siedział obok z otwartym laptopem na kolanach i wpatrywał się w porośnięte dżunglą ruiny. Od policzka po szyję biegła po jego twarzy smuga błota. Choć miał na sobie australijski płaszcz, jaki nosi się w buszu, i skórzany kapelusz, nie robił wrażenia zaprawionego w bojach, awanturczego fotoreportera. Na nosie miał okulary z grubymi szklami, które lekko powiększały mu oczy i sprawiały, że wyglądał na nieustannie zaskoczonego, i choć miał prawie

metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był chudy jak tyczka i przypominał obciągnięte skórą kości.

Leżący na trzciniowej macie Sam uniósł się na łokciu.

— Co takiego, Norm?

— Jest tak cicho — szepnął jego towarzysz, którego bostoński akcent dodawał słowom szczególnej melodii. Zamknął oczy i wziął głęboki wdech.

— Niemal słyhać prastare głosy odbijające się echem od gór.

Sam starannie położył mały pędzelek obok niewielkiego kamiennego przedmiotu, który właśnie oczyszczał, i usiadł. Zsunął zabłocony kowbojski kapelusz jeszcze bardziej na tył głowy i wytarł dłonie w dzinsy. Ponownie — jak tyle razy przedtem, gdy przez wiele godzin zajmował się jednym kamieniem z ruin — uroda starożytnego inkaskiego miasta zadziałała na niego niczym pierwszy łyk zimnego piwa w upalne teksańskie popołudnie. Łatwo było się zagubić w drobnych ruchach pędzelka na kamieniu, stracić z oczu całość, jej ogrom i rozległość. Aby lepiej docenić pełen powagi majestat, Sam usiadł wyprostowany.

Zatęsknił nagle za swoim koniem, appaloosą z „lamparcim” umaszczeniem, który został na zakurzonej farmie wuja pod Muleshoe w Teksasie. Korciło go, aby pojechać krętymi ścieżkami wśród ruin i podążyć splątanym szlakiem ku tajemnicom kryjącym się w gęstej dżungli za miastem. Siedział z cieniem uśmiechu na ustach i chłonał widok.

— W tym miejscu jest coś mistycznego — powiedział Norman. — Wysokie szczyty. Snująca się mgła. Soczyście zielona dżungla. Nawet powietrze pachnie życiem, jakby wiatr niósł substancję, która dodaje duchowi witalności.

Sam poklepał dziennikarza po ramieniu w geście przyjaznej akceptacji. Widok naprawdę był zdumiewający.

Odkryte niedawno w andyjskiej dżungli miasto zostało zbudowane na wysoko położonym siodle między dwoma szczytami. Tarasy rozpościerały się na powierzchni około stu dwudziestu hektarów, połączone schodami o stu stopniach. Sam, siedzący na Placu Słońca, widział całe prekolumbijskie ruiny: od domów dolnego miasta, zaznaczonych liniami kruszącego się kamienia, po Schody Chmur, prowadzące do Placu Słońca, na którym się znajdowali. Podobnie jak w siostrzanym mieście Machu Picchu, Inkowie zaprezentowali tu pełnię mistrzostwa architektonicznego, łącząc formę z funkcją, wykuwając w skałach wśród chmur miasto fortecę.

W odróżnieniu od intensywnie badanych ruin Machu Picchu te ruiny były dziewicze. Odkrył je wuj Hank ledwie kilka miesięcy temu i większa część kryła się jeszcze wśród drzew i winorośli. Na myśl o odkryciu Sam poczuł łaskotanie dumy.

Wuj Hank wskazał lokalizację miasta na podstawie analizy starych podań, przekazywanych z ust do ust przez miejscowych Indian Kiczua. Wykorzystując ręcznie szkicowane mapy i fragmenty legend, wyruszył z zespołem badawczym z Machu Picchu, poprowadził go wzdłuż rzeki Urubamba i po dziesięciu dniach dotarł do znajdujących się pod górą Arapa ruin. Odkrycie opisano we wszystkich fachowych i popularnych czasopismach, nadając miastu przydomek Ruin w Chmurach, a wuj pojawił się na wielu okładkach. Zasłużył sobie — to, czego dokonał, było zadziwiającą demonstracją umiejętności łączenia faktów oraz wiedzy archeologicznej.

Oczywiście — ta duma mogła wynikać z uczuć, jakimi Sam darzył wuja, to on bowiem go wychowywał po śmierci rodziców, którzy zginęli w wypadku samochodowym, kiedy Sam skończył dziewięć lat. Żona Henry'ego zmarła w tym samym roku — mniej więcej cztery miesiące wcześniej. Ponieważ obaj byli pogrążeni w żałobie, wytworzyła się między nimi głęboka więź, stali się wręcz nierozłączni. Nikogo nie zdziwiło, że Sam zaczął studia archeologiczne na Texas A&M.

— Słowo daję, że jak dobrze się wsłuchasz — powiedział Norman — usłyszysz wycie wojowników wysoko na szczytach, szepty domokrażców i klientów z dolnego miasta i pieśni robotników z pól na tarasach za murami.

Sam próbował słuchać, ale docierały do niego tylko strzępy rozmów prowadzonych podniesionymi głosami oraz drapanie szpadla i kilofa, dolatujące głuchym echem z pobliskiej dziury w ziemi. Nie były to głosy martwych Inków, lecz robotników i studentów pracujących głęboko w sercu ruin. Wielka dziura prowadziła do szybu, który opadał prostu w dół i sięgał dziesięciu metrów. Kończył się w przypominającym plaster miodu kilkupoziomym kompleksie odkopanych pomieszczeń i korytarzy. Sam jeszcze bardziej wyprostował plecy.

— Powinieneś być poetą, Norman, nie dziennikarzem.

Norman westchnął.

— Spróbuj tylko posłuchać sercem, Sam.

Sam odpowiedział z silnym akcentem jak wieśniak z Teksasu, bo doskonale wiedział, jak bardzo irytuje to Normana, który pochodził z Bostonu.

— Tera mogę słuchać tylko brzuchem. A on gada, że go wkurza czekanie na obiad.

Norman popatrzył na niego spode łba.

— Wy, Teksańczycy, nie macie w duszy poezji. Tylko żelazo i kurz.

— I piwo. Nie zapominaj o piwie.

Laptop nagle zapiszczał, informując, że minęła szósta, i przerwał ich przekomarzanki.

— Lepiej opuśćmy stanowisko, zanim zajdzie słońce — powiedział przez ściśnięte gardło Sam. — Po zmroku zrobi się gęsto od szabrowników.

Norman skinął głową i odwrócił się po torbę z aparatami.

— Tak à propos hien cmentarnych, to wczoraj w nocy słyszałem strzelaninę.

Szybko chowając pędzle i inne przybory, Sam zmarszczył czoło.

— Guillermo musiał wystraszyć bandę *huaqueros*. Próbowali przebić tunel do naszych ruin. Gdyby Gil ich nie znalazł, przedostaliby się przez ściany wykopu i zmarnowali nam kilka miesięcy pracy.

— Dobrze, że twój wuj pomyślał o zatrudnieniu ochrony.

Sam skinął głową, słysząc w głosie Normana wyraźną niechęć do Guillerma Sali, byłego policjanta z Cuzco, którego zatrudniono jako szefa ochrony wykopalisk. Sam wcale mu się nie dziwił — czarnowłosa i czarnooki Guillermo miał blizny, które raczej nie zostały mu po służbie policyjnej. Sam nieraz widział spojrzenia, jakimi ten mężczyzna wymieniał się z *compadres*, kiedy obok przechodziła Maggie. Hiszpańskie słowa, które wypowiadali, rechocząc gardłowo, doprowadzały krew Sama do wrzenia.

— Ktoś został ranny? — spytał Norman.

— Nie, oddali tylko kilka ostrzegawczych strzałów, żeby wystraszyć złodziei.

— Naprawdę wierzysz w to, że znajdziemy grobowiec pełen skarbów?

— Norman nie przestawał pakować sprzętu.

Sam odpowiedział uśmiechem.

— I odkryjemy Tutenchamona Nowego Świata? Nie sądzę. Marzenie o złocie przyciąga złodziei, ale nie mojego wuja. Zwabiła go tu możliwość

zdobycia wiedzy. I poznania prawdy.

— Czego właściwie tak wytrwale szuka? Obiło mi się o uszy, że dowodu na to, że przed Inkami żyło inne plemię, ale po co ta tajemniczość? Przed zamknięciem numeru będę musiał przedstawić „Geographic” fakty.

Sam zmarszczył brwi. Nie miał dla Normana odpowiedzi — te same pytania i jemu krążyły po głowie. Wuj Hank trzymał karty przy orderach i niechętnie zdradzał informacje. We wszystkich innych sferach był otwartym człowiekiem, ale w sprawach zawodowych nie puszczał pary z ust.

— Nie mam pojęcia — rzucił Sam. — Ale mu ufam. Jeśli coś wywęszył, będziemy musieli poczekać.

Z dziury wykopanej w sąsiednim tarasie nagle dobiegł głośny krzyk.

— Sam! Chodź, zobacz!

Z szybu wychynęła osłonięta kaskiem głowa Ralpa Isaacsona, oczy błyszczały mu z podniecenia. Wielki Afroamerykanin dostał się na Uniwersytet Stanu Alabama dzięki stypendium futbolowemu. Na pierwszym roku okazał się prymusem i udało mu się uzyskać stypendium naukowe, dzięki któremu zrobił magisterium z archeologii. Bystrość jego umysłu nie ustępowała sile mięśni.

— Musisz to zobaczyć! — Karbidowa lampa na kasku Ralpa zaświeciła w ich kierunku. — Dotarliśmy do hermetycznie zamkniętych drzwi z napisem!

— Są całe?! — odkrzyknął Sam i szybko wstał.

— Całe! Maggie twierdzi, że nikt przy nich nie manipulował, nie ma na nich śladu!

To mógł być przełom, którego oczekiwali od miesięcy — nienaruszony grobowiec lub komora królewska w obrębie ruin. Sam pomógł obciążonemu aparatami Normanowi wejść stromymi schodami prowadzącymi na najwyższy taras Placu Słońca.

— Sądzisz, że...? — wydyszał Norman.

Sam uniósł dłoń.

— To może być tylko piwnica którejś ze świątyń, ale nie traćmy nadziei.

Kiedy dotarli do tarasu, w którym wykopano dziurę, Norman głośno dyszał. Widząc to, Ralph z lekceważeniem zmarszczył czoło.

— Coś nie tak, Norman? Może poproszę Maggie, żeby cię trochę poniosła?

Fotograf przewrócił oczami i nic nie powiedział, zbyt zmęczony, aby marnować energię na czcze gadanie.

Na szczycie dołączył do nich Sam, który także ciężko oddychał — każdy wysiłek na tej wysokości obciążał serce i płuca.

— Daj mu spokój, Ralph. Pokaż lepiej, co znaleźliście.

Ralph pokręcił głową i poszedł przodem, świecąc sobie lampą na kasku. Kiedy schodził po drabinie, jego szerokie bary niemal całkowicie wypełniały wąski szyb. W odróżnieniu od Sama, Ralph nie był na przyjacielskiej stopie z Normanem. Napięcie między nimi powstało w chwili, gdy fotograf ujawnił swoją orientację seksualną. Wychowany na konserwatywnym południu Stanów Ralph miał trudności z odrzuceniem pewnych uprzedzeń niezwiązanych z kolorem skóry. Henry jednak zdecydował, że mają pracować razem i tworzyć zespół, współpracowali więc ze sobą, ale obaj byli naburmuszeni.

. . .

— Dupek... — mruknął Norman pod nosem i poprawił niesiony sprzęt.

Sam klepnął fotografa w ramię i zajrzał do wykopu. Drabina niknęła dziesięć metrów niżej w gąszczu korytarzy.

— Nie daj się sprowokować — poradził mu i machnął ręką w kierunku drabiny. — Idź pierwszy. Ja za tobą.

Kiedy schodzili, Ralph zaczął z podnieceniem opowiadać:

— Rano dostaliśmy wynik datowania węglowego najgłębszej warstwy. Słyszałeś, Sam? Dwunasty wiek! Cholerne dwa wieki przed epoką Inków!

— Słyszałem, ale niedokładność tej metody pozostawia pewne wątpliwości.

— Może... ale poczekaj, aż zobaczysz grawerunki!

— Inkaskie?

— Jest za wcześnie, żeby to ocenić. Kiedy odkryliśmy drzwi, od razu po was pobiegłem. Maggie jest na dole i próbuje je oczyścić. Pomyślałem sobie, że powinniśmy być przy tym wszyscy.

Schodzili dalej. Płynące z dołu światło sprawiało, że na ścianach szybu tańczyły ogromne cienie. Sam wyobrażał sobie Maggie z nosem dwa centymetry od drzwi, za pomocą szczotki oraz pęsety starannie uwalniającą historię z okowów prastarej gliny i mułu. Niemal widział jej kasztanowe

włosy, podczas pracy związane w długi koński ogon, i charakterystyczny sposób, w jaki marszczyła nos, kiedy się skupiała, a także słyszał ciche westchnienia, gdy odkryła coś nowego. Gdyby potrafił wzbudzić w niej choć niewielką część uwagi, jaką darzyła ruiny...

Noga zsunęła mu się ze szczebla i musiał się przytrzymać uchwytu.

Po kilku następnych szczeblach poczuł, że dotyka stopą skały. Zszedł z drabiny do ciasnej jamy na pierwszym poziomie. Światło sodowych lamp kłuło w oczy, nozdrza wypełniał ostry zapach świeżo rozkopanej ziemi i wilgotnej gliny. Nie był to zapyłony, suchy egipski grobowiec. Nieustanne mgły i częste burze w wysokich Andach nasączały grunt wodą. Aby odkryć sekrety podziemnej budowli, archeologowie musieli walczyć z pokrytymi pleśnią korzeniami i mokrą gliną. W świetle jaśniały wytwory rąk starożytnych inżynierów — cegły i kamienie zostały tak kunsztownie ze sobą połączone, że nie dałoby się wsunąć między nie ostrza noża, jednak nawet tak znakomita konstrukcja nie oparła się czasowi. W wielu miejscach podziemną budowlę osłabiły wijące się korzenie i nanoszona przez wieki gliniasta ziemia.

Z ruin dokoła raz za razem dobiegał odgłos kamieni osadzających się po usunięciu ziemi i gliny. Kiczuańscy robotnicy ustawili misterną konstrukcję z drewnianych stempli podpierających prastare mury i sklepienia naruszone przez korzenie. Ciężar ziemi był jednak tak duży, że podziemna budowla cała pojękiwała.

— Tędy — powiedział Ralph i poszli za nim do kolejnej drabiny, prowadzącej na niższy poziom. Jeszcze nie byli u celu — musieli pokonać dwie kolejne drabiny, by dotrzeć na najniższy poziom, mniej więcej piętnaście metrów pod powierzchnią. Strefa ta nie została całkowicie oczyszczona i skatalogowana. W kłębowisku wąziutkich tuneli, podpieranych przez drewniane stemple, krążyli mężczyźni nadzy od pasa w górę, dźwigając worki ziemi i odpadków. Zwykle tunele wypełniał śpiew robotników, lecz teraz panowała całkowita cisza. Nawet tubylcy domyślali się wagi odkrycia.

Cisza spowijała ruiny jak całun. Rozgadany Ralph wreszcie przestał mówić o tajemniczym odkryciu i cała trójka pokonała ostatni tunel w milczeniu. Kończył się on szerszą komorą, mogli więc rozejść się na boki. W końcu Sam zobaczył coś więcej niż pochylone plecy Normana Fieldsa.

Komora była nie większa niż garaż na jeden samochód, ale od razu dało się wyczuć, że w tym głęboko ukrytym miejscu zaraz wydarzy się coś ważkiego. Jedna ze ścian komory była zrobiona z ciosanego kamienia, tak kunsztownie ułożonego, że granitowe bloki pasowały do siebie jak elementy puzzli. Choć w wielu miejscach mur wciąż pokrywały muł i glina, wyglądało na to, że wspaniałe dzieło ludzkich rąk oparło się działaniu czasu i żywiołów. Mur był zachwycający, ale uwagę przyciągało to, co znajdowało się pośrodku: masywny kamienny łukowaty portal, w który wstawiono idealnie dopasowaną kamienną płytę. W poprzek biegły trzy poziome metalowe sztaby, każda szerokości ludzkiej dłoni, przynitowane do drzwi i framugi.

Od chwili, gdy starożytni zamknęli wrota, nikt na pewno nie przeszedł przez próg.

Sam przypomniał sobie, by wziąć oddech. Cokolwiek znajdowało się za drzwiami, na pewno nie było jedynie przejściem do kolejnego podpiwniczenia. Ktokolwiek zamknął drzwi, zamierzał chronić i zachować coś o ogromnym znaczeniu dla swojego ludu. Za portalem musiały być tajemnice ukrywane przez stulecia.

Ciszę przerwał Ralph:

— Cholerstwo jest zamknięte lepiej niż Fort Knox!

Prysnął czar, pod którego wpływem znajdował się Sam. Dopiero teraz dostrzegł on Maggie, siedzącą przed portalem ze skrzyżowanymi nogami. Oparła łokieć o kolano, podbródek o dłoń. Wpatrywała się w drzwi i badała je. Nawet gestem nie dała do zrozumienia, że zauważyła przybycie kolegów.

Kiedy weszli, skinieniem głowy powitał ich jedynie Denal, trzynastoletni Indianin Kiczua, który w obozie pełnił rolę tłumacza. Wuj Sama znalazł go na ulicy w Cuzco. Wychowany w katolickim sierocińcu chłopak niemal płynnie mówił po angielsku, na dodatek odnosił się do archeologów z szacunkiem. Stał teraz oparty o stempel, z niezapalonym papierosem w ustach. Na dole nie wolno było palić, aby nie skazić powietrza i nie narazić znalezisk na uszkodzenia.

Sam rozejrzał się i stwierdził, że nie wszyscy są na miejscu.

— Gdzie Philip? — spytał. Kiedy profesor wyjechał do Stanów, na stanowisko kierownika wykopalisk mianowano Philipa Sykesa, doktoranta. On też powinien być na dole.

— Sykes? — Maggie zmarszczyła czoło. W jej mowie słyhać było lekki irlandzki akcent. — Zrobił sobie przerwę. Wszedł godzinę temu i jeszcze nie wrócił.

— Jego strata — mruknął Sam. Nikt nawet przez chwilę nie zamierzał szukać absolwenta Harvardu. Po mianowaniu na stanowisko kierownika zdążył wyniosłą postawą zrazić do siebie każdego; udało mu się zdenerwować nawet stoickich Indian. — Maggie, Ralph wspomniał, że na drzwiach są jakieś napisy. Da się je odczytać?

— Jeszcze nie. Zdjęłam wierzchnią warstwę gliny, ale bałam się szorować powierzchnię, żeby nie uszkodzić grawerunku. Denal posłał robotnika po zestaw do mycia z alkoholem.

Sam pochylił się ku drzwiom i uważnie się im przyjrzał.

— Moim zdaniem to polerowany hematyt — orzekł, kiedy potarł dłonią krawędź jednej z metalicznych sztab. Cofnął się, aby Norman mógł zrobić kilka zdjęć drzwi przed czyszczeniem.

— Hematyt? — spytał fotograf, mierząc światło.

— Inkowie nigdy nie opanowali sztuki wytapiania żelaza, ale okoliczne góry są pełne hematytu, metalicznej rudy, pochodzącej z dawnych meteorytów — wyjaśnił Ralph. — Wszystkie narzędzia Inków, które do tej pory znaleziono, były zrobione z kamienia albo z hematytu. Tym trudniej uwierzyć, że zbudowali tak niesamowicie skomplikowane miasta.

Kiedy Norman zrobił zdjęcia, Maggie wyciągnęła palec w kierunku górnej sztaby i zatrzymała go dwa centymetry przed nią, jakby bała się jej dotknąć. Po chwili przesunęła palcem po jej powierzchni, tam gdzie była zamocowana do kamiennej framugi. Każdy nit miał grubość męskiego kciuka.

— Budowniczcy byli zdecydowani nie dopuścić, aby ktokolwiek zobaczył, co kryje się wewnątrz.

Nikt nie zdążył odpowiedzieć, bo do komory wszedł ciemnowłosy robotnik. Niósł zestaw składający się z kilku szczotek oraz buteleczek z alkoholem i wodą destylowaną.

— Może grawerunki podpowiedzą, co jest w środku — powiedział Sam.

On, Maggie i Ralph wzięli po szczotce i zaczęli przecierać metaliczne sztaby alkoholem rozcieńczonym odpowiednią ilością wody. Norman przyglądał się pracującym studentom. Sama, który zajmował się środkową

sztabą, od oparów piekły oczy i nos, ale nie zwracał na to uwagi, bo płyn powoli wypłukiwał brud z grawerunku. Na koniec spłukali alkohol wodą destylowaną i cała trójka wzięła świeże szmaty, aby zetrzeć resztki zanieczyszczeń.

Sam delikatnie tarł swoją sztabę małymi kolistymi ruchami.

Maggie pracowała nad górną sztabą, Ralph nad dolną. Po chwili z ust Ralpha wydobył się cichy jęk. Zaraz potem zawtórowała mu zaskoczona Maggie.

— Boże drogi... to po łacinie... — powiedziała. — Ale... to niemożliwe!

Tylko Sam zachował milczenie. Nie dlatego, że na jego sztabie niczego nie wygrawerowano, ale z powodu szoku. Odsunął się o krok od drzwi i tylko w milczeniu wskazywał palcem środek oczyszczonego wzmocnienia.

Norman przysunął się bliżej stanowiska Sama. Też nie powiedział słowa, jedynie się wyprostował i szeroko otworzył usta.

Sam nie mógł odwrócić wzroku od znaleziska: pośrodku metalowej sztaby znajdował się głęboko wyryty krzyż, na którym zamocowano małą postać Ukrzyżowanego.

— Jezus Maria... — jęknął Sam.

. . .

Guillermo Sala stał na skraju dzungli, stopę oparł na pniu ściętego drzewa, a na kolanie postawił kolbę karabinu. Słońce obniżało się ku horyzontowi, a młode drzewka wokół ruin rzucały coraz dłuższe cienie, wyciągające się w stronę wykopu piętnaście metrów dalej. Płynące z dołu światło połykało je i Gil pomyślał, że nawet wygłodniałe cienie wiedzą, co kryje się pod ziemią. Złoto.

— Moglibyśmy im wszystkim poderżnąć teraz gardła — powiedział stojący obok Juan. Skinął głową w kierunku kręgu namiotów, do których pochowali się studenci, aby analizować grawerunki na odkrytych pod ziemią drzwiach. — I zwalić wszystko na hieny cmentarne.

— Nie. Zabójstwo *gringos* zawsze ściąga wielką uwagę. Trzymamy się planu. Czekamy na nadejście nocy. Kiedy zasną. — Gil stał spokojnie, nie zwracając uwagi na podrygującego obok Juana. Cztery lata w chilijskim więzieniu nauczyło go sporo o cenie pośpiechu.

Juan zaklął pod nosem, Gil słuchał budzącego się deszczowego lasu. W nocy dżunglę budzi światło księżyca. Co wieczór wśród czarnych cieni odbywa się ta sama gra między stadami drapieżników i potencjalnych ofiar. Uwielbiał tę porę, kiedy las ożywał, zrzucił zielony płaszczyk niewinności i ukazywał mroczne serce.

O tak... podobnie jak dżungla, bez niepokoju czekał na noc i księżyc. W końcu odczekał już niemal rok. Najpierw zatrudnił się jako szef ochrony obozu, potem dobrał odpowiednich ludzi. Chronił grobowce i wypełniał obowiązki bardzo sumiennie nie dlatego, by zabezpieczyć jankesom świadectwo przeszłości, ale żeby zapewnić skarby sobie.

Ci amerykańscy *maricones* doprowadzali go do szału głupotą i ślepotą na otaczającą ich biedę. Wybebeszanie grobowców w imię badania historii, podczas gdy najmniejsza grudka złota mogła przez lata wyżywić rodzinę, było kompletną głupotą. Gil pamiętał skarby znalezione w 1988 roku w Pampa Grande, w nienaruszonym grobowcu plemienia Mochica. Strumień złota i kosztowności. Wieśniacy próbujący wyrwać okruch z obfitego żniwa ginęli z rąk strażników, a skarby trafiały do zagranicznych muzeów.

Taka tragedia tu się nie zdarzy, pomyślał Gil. To dziedzictwo naszego narodu! To my powinniśmy korzystać z własnej przeszłości!

Jego dłoń powędrowała do wypukłości pod kamizelką: prezentu od działających w górach lewicowych partyzantów, którzy mu pomagali. Granat tkwił spokojnie w kieszeni.

Po zaatakowaniu grobowca miał służyć do usunięcia śladów, jeśli ci *pelotudo* amerykańscy naukowcy jednak spróbują się wtrącić... no cóż, jest wiele szybszych sposobów, by umrzeć, niż nóż...

. . .

Maggie O'Donnel nienawidziła łaciny. Nie była to zwykła niechęć do martwego języka, ale wstręt pochodzący z głębi serca. Jako uczennica katolickich szkół w Belfaście była przez lata zmuszana do nauki łaciny i mimo wielokrotnych kar wymierzanych przez sadystyczne zakonnice, które tłukły linijką po kostkach dłoni, nic nie zapamiętała. Wpatrywała się w skopiowane za pomocą węgla drzewnego napisy z podziemnych drzwi, rozłożone na stole w głównym namiocie.

Sam zamocował nad filigranowymi grawerunkami z górnej hematytovej sztaby szkło powiększające, a nad nim zawiesił latarnię. Był

najlepszym w grupie epigrafikiem, biegle odszyfrowywał starożytne języki.

— Moim zdaniem to jest *Nos Christi defenete*, ale głowy bym nie dał.

Norman Fields stał tuż za nim, z gotowym do zdjęć aparatem.

— A co to, do cholery, znaczy? — spytała kwaśno Maggie, czując się jak piąte koło u wozu.

Ralph Isaacson, który był z łaciny tak samo słaby jak ona, przynajmniej umiał gotować. Był na zewnątrz i próbował rozpalić piec, by zabrać się do robienia kolacji.

Od wyjazdu profesora zespół starał się oczyścić stanowisko i skatalogować najwięcej jak się da. Każdy miał swój zakres obowiązków: Ralph co wieczór gotował, Norman i Sam sprząтали po jedzeniu, a Maggie i Philip wpisywali do komputera codzienne raporty.

Sam po chwili odpowiedział, marszcząc nos.

— Moim zdaniem: „Chrystusie, obroń ich” albo: „Chrystusie, chroń ich”. Coś w tym stylu.

Doktorant Philip Sykes leżał na łóżku polowym z zimnym ręcznikiem na oczach. Jeszcze nie przeszła mu uraza, że został wykluczony podczas odkrycia.

— Błąd — rzucił zgryźliwie, nie ruszając się z miejsca. — „Boże, chroń nas”. Nie „ich”. — Prychnął lekceważąco.

Maggie westchnęła. Nic dziwnego, że Philip tak dobrze znał łacinę. Kolejny powód, aby nienawidzić tego martwego języka. Zawsze był kopalnią trywialnych informacji i przy każdej okazji poprawiał błędy kolegów. Choć był przygotowany teoretycznie, miał poważne niedostatki, jeśli chodzi o pracę w terenie — dlatego cały zespół uważał go za zawalidrogę. Do uzyskania doktoratu musiał jednak zaliczyć pracę na stanowisku wykopaliskowym i Maggie podejrzewała, że kiedy to nastąpi, palant nigdy nie wytknie nosa poza szacowne mury Harvardu, gdzie na wydziale archeologii z pewnością już czekała na niego katedra po zmarłym ojcu. Ivy League w dalszym ciągu była klubem dla dużych chłopców, a Philip — syn szanowanego kolegi — miał do niego klucz.

Przeciągnęła się i przysunęła do Sama. Mimowolnie ziewnęła — dzień był długi, a zakończył się gorączkową aktywnością: obfotografowywaniem drzwi, robieniem odlewów hematytowych belek, kopiowaniem grawerunków, dokumentowaniem wszystkiego. Sam lekko się do niej uśmiechnął i odsunął na bok kalkę środkowej belki. Znajdował się na niej

jedynie wyryty w hematycie krucyfiks, żadnych napisów. Sam przesunął lupę na trzecią kalkę.

— Mnóstwo tu napisów, ale litery są mniejsze i grawerunek nie najlepiej się zachował. Mogę odczytać tylko część.

— Czyli co? — spytała Maggie, opadając na składane krzesło. Za prawą skronią poczuła narastający ból.

— Daj mi kilka minut. — Przechylił głowę na bok i wpatrywał się w lupę. Kapelusz, zwykle tkwiący na jego głowie, leżał na stole. Profesor Conklin nalegał, aby także w dżungli zachowywać maniery i w namiotach zdejmować nakrycia głowy, i choć wuj wyjechał, Sam respektował tę zasadę. Z uśmiechem pod nosem Maggie pomyślała, że Sam jest naprawdę dobrze wychowany. Patrzyła na bratanka profesora. Lekko pociemniałe blond włosy przylegały do głowy w miejscach, gdzie wcześniej przyciskał je kapelusz.

Musiła się powstrzymać, żeby nie podejść do niego i nie zmierzwić mu ich, by znowu przypominały splątanego mopa.

— I co sądzisz? — spytała. — Naprawdę myślisz, że te belki wygrawerowali hiszpańscy konkwistadorzy?

— A któż inny? Musieli przeszukać piramidę i zostawili swój znak. — Uniósł głowę. Miał zmarszczone czoło. — A jeśli byli tu Hiszpanie, możemy zapomnieć, że znajdziemy nienaruszony grobowiec. Miejmy tylko nadzieję, że konkwistadorzy zostawili po sobie resztki, które pozwolą potwierdzić teorię mojego wuja.

— Ale z literatury wynika, że Hiszpanie nie odkryli w tej okolicy żadnego miasta. Nie ma nawet wzmianki o tym, aby wyciągnęli złodziejskie łapy aż tak daleko od Cuzco.

Sam wskazał na stół pełen skopiowanych łacińskich napisów.

— Tu leży dowód. Przynajmniej tyle mamy. Konkwistadorzy, którzy tu dotarli, mogli nie wrócić do garnizonu w Cuzco. Mogli zostać wybici przez tubylców, zanim zeszli z gór, i nikt nie dowiedział się o odkryciu miasta.

— Może więc nie mieli też okazji splądrować grobowca.

— Może.

Maggie zdawała sobie sprawę z tego, że jej słowa nikogo nie przekonują. Dobrze wiedziała, że jeśli konkwistadorzy znaleźli czas na wygrawerowanie napisów, to mieli go aż nadto na splądrowanie świątyni. Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć, i opadła ciężko na krzesło.

— No dobrze — rzekł Sam. — Mogę przeczytać tyle: *Domine sospitate* coś tam coś tam *hoc sepulcrum caelo relinquemus*. Potem kilka linijek, które nic mi nie mówią, kończące się *ne peturbetur*. To wszystko.

— I co to znaczy? — spytała Maggie.

Sam wzruszył ramionami i obdarował ją uśmiechem mądralińskiego.

— Wyglądam jak Rzymianin?

— O Boże! — wrzasnął Philip, skupiając na sobie uwagę. Wyprostował się jak dźgnięty, ręcznik spadł mu z twarzy.

— Co jest? — spytał Sam, opuszczając łupę.

— Ostatni fragment znaczy: „Zostawiamy ten grobowiec Niebiosom. Niech nikt go nigdy nie niepokoi”.

Do namiotu nagle wszedł Ralph z czterema kubkami w dłoniach.

— Kto chce kawy? — Zobaczył, że wszyscy zamarli i wytrzeszczyli oczy. — Co się stało?

Sam jako pierwszy odzyskał mowę.

— Może lepiej otworzymy szampana? Wypijemy za starych dobrych konkwistadorów, którzy zabezpieczyli naszą inwestycję?

— Słucham? — Ralph ze zdumienia uniósł brwi.

— Panie Isaacson, nasz grobowiec może być nietknięty — powiedział Philip tonem, w którym słychać było i rezerwę, i podniecenie.

— Skąd...?

Maggie podniosła kalkę i wyciągnęła ją w jego stronę.

— Na Boga, powinienesz pokochać łacinę.

. . .

Czekając na połączenie ze stroną internetową uniwersytetu za pośrednictwem satelity, Sam z trudem ukrywał podniecenie. Siedział w namiocie komunikacyjnym, otoczony ciasnym wianuszkiem studentów. Namiot był wodoszczelny i odporny na wpływ żywiołów, dobrze chronił delikatny sprzęt przed wiecznymi mgłami wyżynnej dżungli.

Sam po raz setny sprawdził zegarek. Zostały dwie minuty do dziesiątej. O tej porze on lub Philip zwyczajowo przekazywali profesorowi najnowsze wieści z wykopalisk. Kiedy nawiązali połączenie, Sam pospiesznie zaczął wciskać klawisze. Włączył przekaz wideo. Na zamocowanej na komputerze kamerze zaczęła migać czerwona dioda. Satelitarne łącze wideo było prezentem od National Geographic Society.

— Wszyscy się uśmiechnijcie — mruknął Sam, kiedy wybrał adres internetowy wuja.

Komputer chwilę popracował i w prawym górnym rogu ekranu pojawiła się mała migocząca twarz Henry’ego Conklina. Sam wcisnął kilka klawiszy i twarz wypełniła cały ekran. Połączenie było słabe, obraz drżał i migotał. Kiedy wuj machnął dłonią na powitanie, smugi palców zostały przez chwilę na jego twarzy.

Sam przyciągnął bliżej mikrofon.

— Cześć, Doktorze.

Henry uśmiechnął się.

— Widzę, że wszyscy są z tobą. Pewnie coś dla mnie masz.

Sam uśmiechnął się szeroko, nie zamierzał jednak tak łatwo puszczać farby.

— Najpierw ty powiedz, co z mumią. Wczoraj mówiłeś, że dziś rano przeprowadzą tomografię. Jak poszło?

Na widok miny wuja Sam od razu pożałował swojego pytania. Mimo złego obrazu od razu zauważył, że starszy pan nie ma dobrych wieści. Samowi zrzęda mina.

— Co się stało?

Henry pokręcił głową i obraz znów się rozmazał, słowa popłynęły jednak wyraźnie.

— Mieliśmy rację, oceniając, że to nie Inka. Niestety, to był Europejczyk.

— Co takiego?! — Wiadomość wstrząsnęła Samem i jego towarzyszami.

Henry uniósł dłoń.

— Prawdopodobnie był to dominikański duchowny, ksiądz albo zakonnik.

Maggie przysunęła usta do mikrofonu.

— Inkowie z mumifikowali jednego z największych wrogów? Duchownego służącego obcemu Bogu?

— Wiem, to dziwne, ale zamierzam przeprowadzić badania i przed powrotem chciałbym prześledzić losy księdza. Nie to chciałem udowodnić, ale sprawa jest intrygująca.

— Zwłaszcza biorąc pod uwagę, co myśmy odkryli — powiedział Sam.

— Co masz na myśli?

Opowiedział o odkryciu drzwi i łacińskich napisów.

Pod koniec relacji Henry energicznie kiwał głową.

— A więc konkwistadorzy znaleźli miasto. Cholera! — Powoli zdjął okulary i pomasaował nos. Kiedy ponownie się odezwał, wydawało się, że tylko głośno myśli. — Co się tam stało pięćset lat temu? Odpowiedź musi być za tymi drzwiami.

Sam niemal słyszał obracające się w głowie wuja trybiki.

Philip chwycił mikrofon.

— Mamy je jutro otworzyć?

Sam odpowiedział przed wujem.

— Oczywiście, że nie. Moim zdaniem powinniśmy poczekać do powrotu Doktora. Jeśli to ważne znalezisko, będziemy potrzebować jego doświadczenia i wiedzy.

Philip poczerwieniał.

— Poradzę sobie ze wszystkim, co odkrywamy.

— Nie poradziłbyś sobie nawet z...

Henry przerwał im spór poważnym tonem:

— Sam, pan Sykes ma rację. Otwórzcie jutro drzwi. Cokolwiek za nimi się kryje, może wspomóc moje badania tutaj, w Stanach. — Jego wzrok przebiegł po obecnych. — Ufam nie tylko Philipowi. Liczę, że wszyscy będziecie postępowali tak, jak was uczyłem, starannie i metodycznie.

Nawet te słowa nie zgasiły płomienia na twarzy Philipa. Wyglądało na to, że absolwent Harvardu robi się naprawdę niemiły. Sam ze złością ścisnął palcami skraj stołu, nie śmiał jednak kwestionować decyzji wuja. Nie chciał sprawić wrażenia małostkowego.

— Sam, chciałbym zamienić z tobą kilka słów na osobności — powiedział Henry. Jego słowa zabrzmiały poważnie i karcąco. — Reszta niech idzie spać. Macie przed sobą długi dzień.

Rozległy się mamrotania, zaczęto się żegnać i opuszczać namiot.

— Życzę owocnej pracy, kochani! — dobiegł wychodzących głos Henry'ego.

Sam czekał, aż zostanie sam. Philip wyszedł ostatni, żegnając się triumfalnym uśmiechem. Dłoń Sama mimowolnie zacisnęła się w pięść.

— Sam... wszyscy poszli? — spytał w końcu Henry.

Sam rozluźnił pięść i skierował wzrok na wuja.

— Tak, wujku — powiedział, przechodząc na bardziej poufalej ton.

— Zdaję sobie sprawę, że Philip może świętego doprowadzić do pasji, ale to bystry dzieciak. Jeśli stanie się choć w połowie tak dobrym archeologiem jak jego ojciec, będzie świetnym naukowcem. Trochę mu odpuść.

— Jeśli tak uważasz...

— Tak uważam. — Henry przysunął krzesło bliżej komputera i rozdygotany obraz jego twarzy powiększył się. — A teraz dlaczego chciałem rozmawiać z tobą w cztery oczy. Chociaż apróbuję Philipa, chcę, abyś ty jutro był moimi oczami i uszami. Masz znacznie więcej doświadczenia praktycznego, więc liczę na to, że poprowadzisz Philipa.

Sam nie mógł powstrzymać głośnego westchnienia.

— On nigdy mnie nie posłucha. Uważa się za wielką szychę.

— Znajdź jakiś sposób. — Henry poprawił okulary na nosie, co oznaczało koniec tematu. Przez chwilę patrzył w milczeniu na Sama, jakby go oceniał. — Jeśli masz być moimi oczami i uszami, musisz wiedzieć o wszystkim, Sam. Jest kilka spraw, o których nikomu nie mówiłem. Aby odpowiednio ocenić to, co jutro zobaczysz, musisz mieć pełne informacje.

Sam wyprostował się na krześle. Jego złość na Philipa zniknęła w okamgnieniu.

— O co chodzi?

— O dwie sprawy. Po pierwsze, z mumią stało się coś dziwnego. — Henry opowiedział o eksplozji czaszki i złotej substancji, która z niej trysnęła.

Z każdym zdaniem wuja brwi Sama wędrowały coraz wyżej.

— Boże, co się stało? — spytał w końcu.

— Szefowa patologii uważa, że mogło dojść do wybuchu metanu, który nagromadził się w wyniku szybkiego odmrażania, ale ja przez czterdzieści lat pracy jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. A materiał, który się wydobył... Doktor Engel go bada. Za kilka dni będziemy wiedzieć więcej, chciałbym jednak, abyś miał oczy otwarte. Tajemnica o tym, co stało się w tym mieście pięćset lat temu, może się wyjaśnić, kiedy otworzycie drzwi.

— Będę zwracał uwagę na wszystko i postępował ostrożnie, nawet gdybym musiał założyć Philipowi lejce i uzdę.

Henry się roześmiał.

— Ale pamiętaj, że doświadczony jeździec kontroluje konia jedynie lekkimi ruchami cugli. Niech Philip uważa, że rządzi, to wszystko będzie

dobrze.

Sam zmarszczył czoło.

— Ale... po co robić z tego tajemnicę, wujku?

Henry westchnął i pokręcił głową. Jakby się postarzał, w jego oczach pojawiło się zmęczenie.

— W świecie badań naukowych tajemnice są niezbędne. Pamiętaj o szabrownikach. Nawet w najdalszej dziczy Andów nieopatrznie wypowiedziane słowa ściągają hieny jak padlina. Tak samo bywa wśród naukowców. Niepotrzebne słowa powodują utratę grantów, stypendiów i etatów. To niemiła lekcja, której udzielam z niechęcią.

— Możesz mi ufać.

— Wiem, Sam — odparł Henry z uśmiechem. — Ufam ci całkowicie. Chętnie podzieliłbym się z tobą wszystkim, co wiem, ale nie chcę obciążać cię tajemnicami. Jeszcze nie teraz. Szybko się dowiesz, jaki to ciężar na sercu, nie móc otwarcie rozmawiać z kolegami. Sytuacja zmusza mnie jednak, żebym przerzucił część ciężaru na twoje barki. Musisz poznać ostatni element układanki. Ten, dzięki któremu wiem, że to miasto zbudowało znacznie starsze plemię. — Henry przysunął się jeszcze bliżej ekranu. — Uważam, że wiem nawet kto.

— O czym ty mówisz? Kto? To miasto wszędzie nosi na sobie inkaskie piętno!

Henry uniósł dłoń.

— Wiem. Nigdy nie kwestionowałem, że Inkowie w którymś momencie je przejęli. Ale kto był tu przed nimi? Czytałem różne opowieści, zapisy historii ustnych, przekazywanych z ojca na syna, o tym, jak pierwszy król Inków udał się w święte góry i znalazł w cudownym mieście narzeczoną. Wrócił z nią i założył imperium, które przetrwało wieki. Nawet w prastarych legendach Inkowie przyznają, że ich korzenie wyrastają z obcego plemienia. Tylko kto to był? Badam tę tajemnicę od dziesięcioleci i odkryłem to miasto dzięki zdobytej przez lata wiedzy. Odpowiedź na pytanie, kto zbudował miasto, poznałem jednak dopiero w zeszłym miesiącu.

Sam siedział niemy, oszołomiony tym, jak wiele wuj ukrywał.

— I... i naprawdę wiesz, kto zbudował to miasto?

— Pozwól, że coś ci pokażę. — Henry sięgnął po myszkę i zaczął ją przesuwac. — Chciałbym móc powiedzieć, że to moje własne błyskotliwe

odkrycie, ale tak naprawdę to szczęśliwy traf, który co rusz popycha archeologię do przodu.

Obraz wuja zmalował do prostokątka w rogu ekranu, pojawił się za to trójwymiarowy schemat stanowiska w Andach. Barwne linie oddzielały od siebie poszczególne poziomy. Szczegółowość komputerowego modelu zaskoczyła Sama. Henry przesunął myszą strzałkę i powiększył ruiny na Placu Słońca, widziane jakby z lotu ptaka. Czarny prostokąt wskazywał wejście do niższych poziomów.

— Oto nasze stanowisko. Tunel do podziemnej budowli.

— Wiem, ale co to ma wspólnego z...?

— Cierpliwości, chłopcze. — Henry uśmiechnął się krzywo. — W zeszłym miesiącu doszło do szczęśliwego zdarzenia. Od kolegi z Uniwersytetu Waszyngtona w Saint Louis dostałem płytę CD z komputerowymi mapami piramid Mochica na Pampa Grande, rozmieszczonymi wzdłuż wybrzeża. Trwają tam teraz prace wykopaliskowe. Tysiąc kilometrów od was.

— Stanowiska Mochica? — Sam pamiętał wiedzę, jaką wyniósł z tamtego regionu. Wiele stuleci przed pojawieniem się cywilizacji Inków plemię Mochica zamieszkiwało trzystukilometrowy pas u wybrzeży dzisiejszego Peru. Ci budowniczy piramid i mistrzowie skomplikowanych wyrobów metalowych prosperowali mniej więcej od setnego do siedemsetnego roku po narodzinach Chrystusa. Potem — z nieznanых powodów — ich cywilizacja zniknęła.

Henry wcisnął klawisze i ekran komputera Sama podzielił się na pół, ukazując dwa równoległe obrazy. Z lewej strony był ujęty z lotu ptaka widok ruin, w których pracowali, z prawej obraz piramidy z płaskim szczytem. Henry wskazał na nią palcem.

— Oto jedna z piramid w Pampa Grande. — Nałożył zdjęcia na siebie.

— Boże! — westchnął Sam.

— Teraz znasz moją małą tajemnicę. — Wizerunki zlały się w całość, pasowały do siebie w każdym szczególe. — Plac Słońca to płaski szczyt zagłębionej w ziemi budowli Mochica. Te ruiny to w rzeczywistości podziemna piramida. Jedno z ich świętych miejsc.

— Boże, wujku! Dlaczego trzymasz to w tajemnicy? Powinieneś to ogłosić!

— Nie. Dopiero gdy zdobędę więcej materialnych dowodów. Miałem nadzieję, że badacze z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa skorelują markery genetyczne z mumii z linią Mochica, co potwierdziłoby moje tezy, ale... — Henry wzruszył ramionami. — Wygląda na to, że wraz z każdym nowym elementem układanki tajemnice tych ruin tylko się zagęszczają.

— Mochica... — Sam znów westchnął, przytłoczony nadmiarem informacji. Zmumifikowani księża, eksplodujące złotem czaszki, zakopane w ziemi piramidy, dziwne ostrzeżenia po łacinie... Jak to wszystko połączyć?

— Sam, odpowiedzi na te pytania znajdują się za tymi drzwiami — powiedział Henry Conklin, jakby czytał mu w myślach. — Czuję to. Bądź ostrożny.

...

Guillermo przyglądał się ciemnemu obozowi. Zbliżała się północ i wszyscy studenci oraz kiczuańscy robotnicy zdążyli udać się do namiotów na spoczynek. Świeciły się tylko latarnie wyznaczające granice obozu.

Uniósł karabin, dając znak Juanowi i Miguelowi.

Juan, którego chuda jak szkielet postać była ledwie widoczna pod osłoną nisko zwisających gałęzi, pchnął towarzysza łokciem. Szeroki w ramionach, ale niski Miguel wyszedł poza skraj dżungli, uginając się pod ciężarem wielkiej płóciennej torby. Były w niej narzędzia potrzebne do otwarcia podziemnych drzwi. Juan — z kilofem zarzuconym na ramię — poszedł za nim.

Gil dał znak, by weszli na najwyższy taras. Wiedzieli, że będą musieli działać szybko, ale nikt się nie skarżył. Do świtu było dość czasu, a wieść, że grobowiec jest być może nietknięty, zwiększyła nadzieję na obfity łup.

Dołączył do Juana i Miguela przy wylocie szybu.

— Zachowujcie się cicho, *hijos de putas* — syknął do nich. Nacisnął łącznik między generatorem a lampami w dole. Skinął głową Juanowi, aby ruszył przodem, Miguel poszedł drugi.

Kiedy schodzili na dół, Guillermo obserwował obóz. W dżungli, której skraj oświetlały cztery punktowce, umieszczone wokół ruin zgodnie z różą wiatrów, niosło się echo wrzasków zwierząt. Odgłosy dżungli oraz kaszlący terkot generatora prądu powinny przytłumić hałas, który spowodują.

Zadowolony Gil zarzucił karabin na ramię i zszedł po drabinie na dół, gdzie czekała pozostała dwójka.

— Aj, *Dios mio*, co za pieprzony labirynt... — jęknął Juan.

Miguel tylko stęknął i wypluł porcję *hoja de coca*. Przeżute liście plasnęły o granit.

Żaden z nich nie był jeszcze na dole, jedynie Gil znał rozkład tuneli i pomieszczeń podziemnej budowli. Pochylił się i poprowadził towarzyszy w kierunku ostatniego korytarza, kończącego się tajemniczymi drzwiami.

Juan przez całą drogę mamrotał — do chwili, aż zajrzeli do komory.

— *Jesu Christo!*

Gil lekko się uśmiechnął. Łukowato zwieńczone wrota, osadzone w surowo ciętym kamieniu, wiele mówiły o prastarych czasach i ukrytych skarbach. Zamocowane w poprzek metaliczne sztaby błyszcząły w świetle lampy sodowej. Napisy i krucyfiks wyglądały jak ciemne skazy na srebrzystym tle.

— Nie mamy całej nocy — przypomniał im Gil.

Wiedzieli, co robić. Miguel rzucił torbę na podłogę i zaczął w niej grzebać. Juan zabrał się do roboty kilofem — równymi, precyzyjnymi ruchami luzował skałę wokół nitów. Następnie Miguel wybił nity za pomocą łomu i młota. Po kilku minutach górna hematytowa sztaba spadła w błoto.

Juan z szerokim uśmiechem starł pot z czoła. Koszula kleiła się do ciała Miguela, jakby właśnie wyszedł z rzeki. Nawet Guillermo, który tylko nadzorował pracę, musiał obetrzeć twarz chusteczką. Wieczna wilgoć zdawała się do nich lgnąć, jakby zamierzała ich zawłaszczyć.

Wkrótce w błocie wylądowały pozostałe dwie sztaby. W powietrzu unosił się skalny pył, kłując w oczy i drażniąc nozdrza. Juan pociągnął nosem i wyrzucił z siebie strumień wulgaryzmów.

Gil poklepał go po ramieniu.

— Trochę szacunku dla przodków, *ese*. Dzięki nim wkrótce staniemy się bogaci. — Starł kciukiem smugę błota z policzka Juana. — Cholernie bogaci.

Ruchem ręki dał towarzyszom znak, aby odsunęli się na bok. Wziął łom i podszedł do drzwi.

— Zobaczmy, *mamita*, co tak długo ukrywasz.

Wsunął koniec łomu między kamienną płytę a framugę i oparł się o niego, napinając mięśnie. Drzwi mocno trzymały. Wbił palce stóp

w podłoże i spróbował jeszcze raz. Rozległ się głośny zgrzyt i płyta lekko się przesunęła.

Gil cofnął się, wysiłek sprawił, że poczerwieniał. Skinął głową na Juana i Miguela.

— Pomóżcie mi. Pchajcie.

Obaj pomocnicy przyłożyli barki do poluzowanej płyty i zaczęli pchać. Chwilę potem kamienna zapora runęła. Z komory grobowej buchnął kłęb pyłu, a kiedy płyta uderzyła o podłogę, głośnym echem odbił się stłumiony grzmot.

Gil pomachał dłonią przed twarzą, by rozproszyc pył, i podszedł do otworu.

— Daj lampę — powiedział, pochylając się, by zajrzeć do środka.

Miguel rzucił mu wyjętą z torby latarkę. Gil złapał ją w locie.

— Śmierdzi tu — stwierdził Juan, kiedy stanął za szefem i zajrzał mu przez ramię.

— To grobowiec. — Gil zapalił latarkę. — Czego oczekujesz po...

Kiedy światło rozjaśniło wnętrze, słowa zamarły mu na ustach. Za niewielkim korytarzykiem była wielka komora o przynajmniej trzydziestometrowych bokach. Gil spodziewał się ujrzeć sterty kości i porozbijane gliniane naczynia. Tymczasem widok, jaki ukazało światło latarki, przekraczał jego najśmielsze marzenia, które snuł po sporej ilości alkoholu.

— *Dios mio!* — wydyszał schrypniętym głosem.

Towarzysze stanęli po jego bokach.

Boczne ściany komory wyłożono płytami złota, a światło odbijało się od lustrzanych powierzchni i skrzyło tak jaskrawo, że na chwilę oślepli. Gil nie zmrużył jednak oczu, promieniem latarki oświetlał przedmiot pod przeciwległą ścianą, dokładnie naprzeciwko.

— Wszyscy będziemy obrzydliwie bogaci, *mi amigos*.

Owym przedmiotem był mierzący mniej więcej metr osiemdziesiąt bożek ze złota — postać inkaskiego króla odzianego w rytualny płaszcz i koronę, z długą laską w dłoni, zwieńczoną stylizowanym słońcem. Figura wyglądała tak realistycznie, jakby lada chwila miała otworzyć usta i wypowiedzieć głośne ostrzeżenie. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Król Inków stał bez ruchu i milcząco patrzył, jak Guillermo wprowadza pozostałą dwójkę do środka.

Gil musiał się pochylić, by przejść przez otwór po wyważonych drzwiach. Nie czekając na towarzyszy, magnetycznie przyciągany przez złoto pokonał krótki korytarz. W środku mógł się ponownie wyprostować. Widok wnętrza sprawił, że wstrzymał oddech: także sufit i podłoga były pokryte cennymi kruszcami, skomplikowaną mozaiką ze srebrnych i złotych kwadratowych płyt o boku długim na metr. Wzór na suficie był lustrzanym odbiciem tego na podłodze. U stóp bożka leżała sterta narzędzi i broni, ale nie prawdziwych, lecz kopii ze szlachetnych metali, wysadzanych rubinami, szafirami, ametystami i szmaragdami. Gil pokręcił głową. Znajdujący się tu majątek trudno było objąć rozumem.

Juan w końcu odzyskał zdolność poruszania się i stanął obok szefa. Nerwowo przestępował z nogi na nogę, wyraźnie onieśmielony znaleździem. Kiedy się odezwał, próbował zachować obojętny ton, ale głos mu się łamał.

— N-no... to, zabierajmy się do roboty.

Także Miguel podszedł i na widok złotego króla się przeżegnał.

— To nie twój martwy kuzyn, Miguel — zaszydził z towarzysza Juan. — Rozchmurz się.

— To miejsce jest przeklęte — mruknął Miguel, rozglądając się szeroko otwartymi oczami. — Powinniśmy się pospieszyć.

— Miguel ma rację — odparł Gil. — Musimy się spieszyć. Zabrać wszystko, co się da, i schować w dżungli. Wrócimy przed świtem i zajmiemy się *americanos* i ich mizernymi robotnikami. Kiedy się ich pozbędziemy, wezwiemy ludzi, takich, którym można zaufać, żeby pomogli wynieść resztę.

Kiedy Juan ruszył w kierunku figury, obcasy jego butów wywołały w pustej komorze przedziwnie brzmiące echo. Skinął głową, wskazując przedmioty leżące u stóp króla.

— Moim zdaniem powinniśmy zabrać najpierw drobne rzeczy i zostawić dźwiganie ciężarów komu innemu. Niech zarobią na swoją działkę.

Guillermo poszedł za nim, po piętach deptał mu Miguel.

— Jak skończymy, będzie dość dla każdego. Stu ludzi nie wyda takiego majątku przez całe życie.

Juan szeroko się uśmiechnął.

— Naprawdę? Jeszcze nie wiesz, co potrafię.

Doszedł do połowy komory, a wtedy uruchomiła się pułapka. Gdy stanął na jednej ze srebrnych płyt, otworzyła się złota płyta na suficie i na Juana spadła kaskada srebra — tysiące cienkich łańcuszków. Juan skulił się, jęknął i po chwili był zasypany srebrem. Łańcuszki zastygły w bezruchu jak zamarznięty wodospad. Głośno pobrzękiwały przy każdym ruchu Juana, któremu najwyraźniej nic się nie stało, ale coraz bardziej się zaplątywał.

— Co to ma...? — zaczął, wyciągając rękę, aby odsunąć łańcuszki, natychmiast ją jednak cofnął. — Cholera, wszędzie mają haczyki!

Także Gil dostrzegł setki migoczących, centymetrowych kolców wystających z ogniw łańcuszków. Wszystkie były ruchome i wygięte w górę, dlatego kiedy spadały, nie powodowały szkód.

Gil zamarł w pół ruchu. Kurwa, zaklął w myślach, nagle zdając sobie sprawę z zagrożenia. Nie zdążył jednak ostrzec towarzyszy.

Kaskada łańcuszków nagle owinęła się wokół Juana i jakaś siła szarpnęła płataninę srebra ku górze. Juan zawył, jego zwierzęcy wrzask pełen był przerażenia i bólu. Kolczasta masa srebra uniosła go dwa metry w górę; setki kolców wbiły się w ciało, po czym pod wpływem jego ciężaru całość spadła na podłogę.

Juan spróbował wstać na czworaka. Niemal całe ubranie — wraz z płataniną skóry — miał zerwane. Podniósł głowę w kierunku Gila. Nie miał lewego ucha, skóra na głowie była poszarpana, oczy zamieniły się w krwawe jamy. Oślepiiony, mógł jedynie zawyc. W miejscach, gdzie wbiły się haczyki, skóra czerniała.

Trucizna.

Juan wył i pełzał powoli po podłodze, nie dotarł jednak daleko. Trucizna szybko trafiła do serca i znieruchomiał na cennych płytach. Wycie urwało się w pół tonu.

Miguel ruszył do przyjaciela, by sprawdzić jego stan.

Zanim zrobił krok, Gil złapał go za koszulę i powstrzymał. Stali obaj na tej samej płycie ze złota i kiedy echo wrzasku Juana umilkło, doleciały do nich stukania i zgrzyty ukrytych za ścianami trybów. Z własnej woli weszli w gigantyczną pułapkę.

Gil się rozejrzył. Stali na centralnej płycie podłogi.

— Musieli skonstruować pułapkę tak, żeby się uruchamiała, jak ktoś znajdzie się na środku. — Popatrzył na płyty prowadzące do złotej figury.

Tykanie trybów dochodziło zewsząd. Prawdopodobnie nie było już żadnej bezpiecznej drogi.

Miguel jęknął.

Gil wyszczerzył zęby do otaczającego ich bogactwa. Świadomość, że za jego pięknem czai się śmierć, sprawiała, że blask przygasał.

— Tkwimy w pułapce.

. . .

Zakopany w śpiworze Sam obudził się na odgłos zwierzęcia węszącego przy wejściu do namiotu. W nocy oposy i inne ciekawskie stworzenia bez przerwy wychodziły z dżungli, by zbadać obóz, to zwierzę musiało być jednak duże. Cień rzucany przez obozowe reflektory zajmował sporą część wejściowej płachty. Sam próbował sobie przypomnieć, czy po zamknięciu suwaka zaciągnął mocowania. Jego pierwszą myślą był jaguar. Nad rzeką Urubamba, która płynęła u podnóża ruin, widziano ich już kilka.

Najciszej jak umiał, sięgnął po winchestera, którego odziedziczył po dziadku. Broń pochodziła z 1884 roku i w rodzinie przekazywano ją z pokolenia na pokolenie. Sam nigdzie się bez niej nie ruszał, z karabinu od lat jednak nie strzelano — był raczej pamiątką i amuletem na szczęście. Teraz, nienaładowany, mógł posłużyć jako świetna pałka.

Palce Sama przesunęły się po drewnianej kolbie.

Stworzenie na zewnątrz szarpało płachtą wejściową tuż przy ziemi. Cholera, a więc zapomniał zablokować zapięcia! Uniósł tułów do pionu i złapał karabin jak kij baseballowy.

Kiedy się zamachnął, płachta się odchyliła i do środka wsunęła się głowa Maggie.

— Nie śpisz?

Sam opuścił karabin na kolana. Waliło mu serce, przełknął ślinę i zmusił się, by jego ton zabrzmiał nonszalancko.

— Nie, nie. O co chodzi?

— Nie mogłam spać i rozmyślałam o grawerunkach. Chciałabym, żebyś coś sprawdził.

Sam miewał różne fantazje, w których Maggie wkradała się nocą do jego namiotu, ale żadna nie dotyczyła dyskusji nad starożytnymi łacińskimi napisami. Mimo wszystko wizyta Maggie była mile widziana.

— Jasne, daj mi tylko sekundę.

Wyślizgnął się ze śpiwora i szybko wciągnął dzinsy. W tak ciepłą noc nie zawracałyby sobie głowy koszulą, ale ze względu na obecność Maggie manieri liczyły się bardziej niż wygodą. Wybrał skórzaną kamizelkę.

Złapał kapelusz, ściągnął w dół suwak namiotu i wyszedł na zewnątrz. Srebrny blask księżyca w pełni otulał obóz, sprawiając, że cztery reflektory na rogach wydawały się blade. Odsunął potargane włosy z czoła i schował je pod kapeluszem.

Maggie się cofnęła. Miała na sobie ten sam strój co za dnia: bojówki khaki i kamizelkę w tym samym kolorze, a pod nią krwistoczerwoną koszulę. Jedyнным dowodem na to, że próbowała na koniec dnia nieco się zrelaksować, były rozpuszczone włosy. Na ramiona spływały jej kasztanowe loki, srebrzyście zabarwione światłem nocy.

Zahipnotyzowany grą księżycowego blasku na policzkach i ustach Maggie, Sam miał trudności ze znalezieniem słów.

— A więc... o co chodzi?

Jej oczy jak zwykle zdawały się go nie widzieć.

— Chodzi o napis na ostatniej belce. Dolnej. Brakujące słowa i linijki. Łacina to dziwny język, pojedyncze słowo może zmienić sens całego przekazu.

— I?

— A jeśli nie odczytaliśmy tekstu prawidłowo? Jeśli któreś z brakujących słów odmienia treść przekazu?

— Może, ale jutro i tak poznamy prawdę. Rano otworzymy grobowiec i dowiemy się, czy jest nienaruszony, czy splądrowany.

— Sam, chciałabym wiedzieć, zanim go otworzymy. — W głosie Maggie pojawiła się nuta zniecierpliwienia. — Nie chcesz wiedzieć, co konkwistadorzy chcieli przekazać na tych sztabach hematytu?

— Chcę, ale słowa są nieczytelne..

— Wiem, ale czyściliśmy je tylko alkoholem. — Popatrzyła na niego znacząco.

Sam nagle się domyślił, dlaczego przyszła go obudzić. Zacisnął usta. Dwa lata wcześniej napisał artykuł o zastosowaniu fosforyzującego barwnika przy badaniu mało widocznych rysunków na kamieniu i metalu, startych przez czynniki naturalne. Został gremialnie skrytykowany za swój pomysł.

— Chyba spakowałeś sprzęt? — spytała Maggie.

— Nie wiem, o czym mówisz. — Sam nikomu, nawet wujowi, nie powiedział, że nie zapomniał o swojej teorii i od lat eksperymentuje z barwnikami różnej lepkości i z różnymi zakresami fal UV. Musiał prowadzić badania potajemnie, aby się nie ośmieszyć, do chwili, gdy będzie mógł przetestować metodę w warunkach terenowych, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu. Oj, dużo mu brakowało do umiejętności wuja w kwestii zachowania tajemnicy.

Oczy Maggie świeciły w ciemności.

— Czytałam twój artykuł. Opracowałeś skuteczny sposób, prawda?

Stał nieruchomo, nawet nie mrugnął. Skąd wiedziała? Po chwili szok minął i Sam odzyskał mowę.

— Tak mi się wydaje, ale nie miałem okazji spróbować w terenie.

Maggie wskazała na ruiny.

— Więc najwyższy czas. Reszta czeka przy wejściu. — Odwróciła się, by odejść.

— Reszta?

Maggie spojrzała przez ramię i zmarszczyła czoło.

— Jasne... Norman i Ralph. Powinni chyba przy tym być.

— Chyba tak... — Sam przewrócił oczami, przygotowując się na upokorzenie, gdyby miało mu się nie udać. Przynajmniej nie zaprosili Philipa. Nie zniósłby porażki na oczach Pana Harvarda. — Tylko wezmę butelki i lampę UV.

Kiedy wyciągnął rękę w kierunku wejścia do namiotu, ni stąd, ni zowąd dżungla eksplodowała kakofonią skrzeków i głosów. Z drzew wokół obozu wyleciały tysiące ptaków i pomknęły w niebo.

Maggie przysunęła się krok bliżej.

— Co to, do cholery...?

Sam się rozejrzał, ale dżungla szybko się uspokoiła.

— Coś musiało je wystraszyć. — Wytężył słuch, ale powietrze wypełniał tylko szum generatora. Dżungla zamilkła niczym wpatrujący się w nich mroczny obcy. Sam jeszcze przez chwilę patrzył i odwrócił się w kierunku namiotu. — Wezmę sprzęt.

W namiocie chwycił sakwę z barwnikami i specjalną lampą UV. Kiedy wychodził, jego spojrzenie zatrzymało się na winchesterze. Złapał odruchowo broń i zanim zarzucił ją sobie na ramię, szybko załadował magazynek i wsunął do kieszeni pudełko zapasowych naboju. Po latach

spędzonych w obozowiskach w dziczy Teksasu nauczył się, że warto być przygotowanym na różne okoliczności.

Kiedy wypełził z namiotu, okazało się, że Maggie nieustannie obserwuje dżunglę.

— Nadal jest tak cholernie spokojnie... — zauważyła. — Jakby las wstrzymywał oddech.

— Jeśli chcesz sprawdzić napisy, musimy się pospieszyć — odparł Sam, który najchętniej już by ruszył. — Do świtu zostało tylko kilka godzin.

Maggie skinęła głową i powoli odwróciła wzrok od dżungli.

Sam ruszył w kierunku ruin. Las był tak cichy, że ich kroki na granitowych schodach wydawały się niezwykle głośne. Sam stwierdził, że idzie ostrożniej niż zwykle, by nie zakłócić ciszy — jakby szli o północy przez cmentarz. Na szczycie Placu Słońca odetchnął z ulgą. Z szybu płynęło światło.

Padają na dwie mroczne postacie — chudą i barczystą. To Norman i Ralph. Stali kilka metrów od siebie.

Były futbolista uniósł w pozdrowieniu dłoń, po czym wskazał na wylot szybu.

— Kto zostawił zapalone lampy?

Maggie pokręciła głową.

— Na pewno je zgasiłam. — Popatrzyła wokół. — Pewnie ten cholerny Guillermo zapalił je podczas obchodu i zapomniał zgasić. A gdzie on jest? Podobno ma pilnować placu.

— Na pewno jest w lesie i pilnuje, czy nie nadchodzą wczorajsi szabrownicy. Może to on wystraszył ptaki.

Dżungla nadal była śmiertelnie cicha. Norman uważnie przyglądał się czarnej ścianie.

— Nigdy nie lubiłem ciemności. Nawet w domowej ciemni mam cykora.

Ralph zadrwił sobie z niego, nucąc melodię ze *Strefy mroku*. Fotograf udał, że nie słyszy.

Sam zaczął schodzić pierwszy, reszta podążyła tuż za nim. Na dole drabiny pomógł Maggie zejść z ostatniego stopnia.

Popatrzyła na niego z lekko przekrzywioną głową, podczas gdy on wciąż trzymał jej dłoń.

— Teraz też nic nie słyszałeś?

Pokręcił głową. Słyszał jedynie bicie własnego serca. Przyłapał się na tym, że ściska dłoń dziewczyny.

Dołączyli do nich Ralph i Norman.

Maggie zabrała dłoń, jeszcze przez chwilę nasłuchiwała, po czym wzruszyła ramionami i poszła przodem.

— To na pewno inkaskie duchy — mruknęła.

— Dzięki, Maggie — kwaśno rzucił Sam. — Dokładnie to chciałem usłyszeć, pełznąc o północy przez ruiny. Już i tak mam złe przeczucia.

Ralph znowu zanucił motyw ze *Strefy mroku*.

— Pocałuj mnie w dupę, Isaacson — odezwał się Norman.

— Te rzeczy mnie nie kręcą, Normie.

— Na pewno? Byłeś futbolistą, nie? Skąd u was to klepanie się po tyłkach i rzucanie jeden na drugiego na boisku?

— Zamknij się.

— Boże! — krzyknęła Maggie. — Mam was obu dość! Nie wytrzymam ani słowa więcej!

Idący za nią Sam ignorował tę wymianę zdań — jego uwagę skupiał sposób, w jaki Maggie się poruszała. Pod cienkim materiałem spodni rysowały się umięśnione i jędrne nogi. Śledząc każdy jej ruch, ciężko przełknął ślinę i wytarł chustką czoło. To koleżanka, upomniał się. Jego wuj krzywił się na romansowanie w terenie, podobnie jak w wojsku. Zbyt bliskie znajomości mogły wprowadzić zbędne napięcie.

Choć w końcu popatrzeć nie zaszkodzi...

Kiedy zeszli na drugi poziom, Sam zadumał się nad tym, co usłyszał od wuja. Piramida Mochica! Trudno uwierzyć. Przesunął dłonią po granitowej ścianie.

Idąca przodem Maggie ponownie się zatrzymała, zamarła z dłonią na szczeblu drabiny prowadzącej na trzeci poziom.

— Teraz na pewno coś było słychać — szepnęła. — Jakieś słowa i... stukanie.

Sam wyteżył słuch, ale niczego nie wychwycił. Popatrzył na Normana i Ralpha. Obaj pokręcili głowami. Oczy fotografa za szklami okularów wydawały się wielkie. Sam odwrócił się ku Maggie, gotów rozwiązać jej niepokój, kiedy z dołu wydobył się głośny wrzask i smagnął ich niczym skrzydła przerażonego ptaka.

Maggie popatrzyła na Sama szeroko otwartymi oczami.
Zdjął z ramienia broń.

. . .

Gil przyglądał się otaczającym go płytom podłogowym. Tryby ukrytego mechanizmu tykały i pojękiwały za ścianami.

Miguel stał na tej samej płycie co Gil, lekko napierając na niego z prawej strony. Oczy krępego mężczyzny były szeroko otwarte ze strachu, mamrotał jakąś modlitwę.

Gil ignorował go. Żadni bogowie ich tutaj nie ochronią. Sami musieli zadbać o przetrwanie. Interesowało go jednak nie tylko przetrwanie — jego wzrok ciągle wędrował w kierunku drogocенności u stóp złotego bożka. Policzył, że dzieli go od rzeźby inkaskiego króla piętnaście rzędów płyt — tyle samo od wyjścia. Piętnaście metrów w każdą stronę. Za daleko, aby skoczyć.

Zagryzł zęby, przekonany, że musi istnieć sposób, żeby przejść po podłodze. Obrócił się powoli wokół własnej osi. Płyty nie tworzyły zwykłej szachownicy, ale znacznie bardziej skomplikowany, krzyżujący się system złotych i srebrnych elementów. Nieco przypominał geometryczne wzory, jakimi zdobiono inkaskie gobeliny i ubrania. Płyty ułożono według ściśle określonego porządku, który być może wskazywał, jak bezpiecznie przejść. Którędy jednak wiodła droga?

Ciało Juana leżało na sąsiedniej złotej płycie, do której w agonii udało mu się dotrzeć. Pod nieruchomym ciałem rozlewała się kałuża krwi. Kiedy Juan zwlókł się ze srebrnej płyty, która wyzwoliła pułapkę, nic więcej się nie wydarzyło. Czyżby to było wyjaśnienie? Czyżby złote płyty były bezpieczne, a srebrne groźne?

Był tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć.

Gil wyciągnął obrzyna i dźgnął nim Miguela w zębra.

— Ruszaj się!

Ten popatrzył na lufę, potem na szefa.

— *Que?*

— Przeskocz na złotą płytę. — Gil skinął głową w kierunku znajdującej się bliżej figury bożka złotej płyty tuż obok srebrnej, na której stali. Jeśli mieli ryzykować życie, chciał coś z tego mieć.

Miguel stał jak sparaliżowany, minę miał przerażoną, niedowierzającą.

— Idź albo zginiesz tutaj. — Gil mocniej dźgnął go lufą.

Miguel zatoczył się krok do tyłu, nie przekroczył jednak granicy płyty.

— Proszę, *ese*, nie każ mi tego robić...

— Rób, co mówię, albo sprawdzę płyty twoimi zwłokami.

Miguel drżał, wodził wzrokiem od strzelby do ciała Juana. W końcu opuścił ramiona. Odwrócił się ku złotemu postumentowi, przeżegnał się i skoczył. Nogi tak mu drżały ze strachu, że ledwie dosięgnął nimi sąsiedniej płyty. Wylądował ciężko i padł na podłogę, podpierając się rękami.

Zamarł w bezruchu, czekając na najgorsze, z mocno zaciśniętymi powiekami, jednak nic się nie stało. Miguel powoli otworzył oczy i drżąc na całym ciele, wstał. Odwrócił się do szefa i niepewnie uśmiechnął.

— Złote płyty są bezpieczne! — zawołał Gil z ulgą. — Trzymaj się ich, to wyjdziemy stąd i będziemy mogli wrócić! — Wolał jednak nie ryzykować, zamachał więc obrzynem. — Wejdz na następną, pójdę za tobą!

Miguel skinął głową. Następną złotą płytą sąsiadowała z tą, na której stał. Wystarczyło zrobić krok, co uczynił bardzo powoli. Znowu nic się nie wydarzyło, choć prastary mechanizm cały czas terkotał za ścianami i sufitem. Miguel przeszedł na kolejną złotą płytę, przeskakując srebrną. Znowu nic.

Kiedy Gil ruszył, Miguel nieco się rozluźnił, ale jego usta nadal poruszały się w modlitwie. Szli powoli. Płyta po płycie zbliżali się do złotego bożka. W końcu dzielił ich od niego już tylko jeden rząd płyt. Wszystkie były srebrne. Na złotej płycie stał bożek i skarb.

Miguel odwrócił się do szefa z taką miną, jakby chciał spytać: co teraz?

Gil przyjrzał się inkaskiemu królowi. Na tle czarnego granitu złote oczy postaci zdawały się wpatrywać w niego, drwić. Gil się napiął — nie pozwoli, aby banda wyznawców jakichś bożków pokrzyżowała mu plany. Nie teraz, kiedy jest tak blisko.

Przysunął się do Miguela i stanął na tej samej płycie. Żaden z nich nie miał odwagi przeskoczyć srebrnego rzędu płyt, by dotrzeć do skarbu, nie znaczyło to jednak, że niczego nie da się zabrać. Trzymając obrzyna za kolbę, Gil wyciągnął się w kierunku złotej postaci.

Czubek broni sięgał skarbu. Gil na próbę dźgnął kilka przedmiotów. Wstrzymał oddech. A jeśli zainstalowano tu kolejną pułapkę? Zdawało mu się, że słyszy zmianę w kadencji pracy trybów. Przykucnął i zaczekał chwilę, nic się jednak nie wydarzyło.

Zaklął pod nosem. Strzelba drżała w jego wyciągniętej ręce. Nie mógł dać się ponieść emocjom. Wziął głęboki, uspokajający wdech i ponownie skupił się na zadaniu. Zgrzytnął zębami, ignorując narastający ból w barku. Kolejna próba przyniosła efekt — znalazł dwa kielichy, srebrny i złoty, oba wysadzone rubinami i szmaragdami, rozmieszczonymi spiralnie dookoła. Najważniejsze jednak było to, że oba miały uchwyty!

Miał o co zahaczyć!

Wsunął lufę strzelby w uchwyt pierwszego kielicha i uniósł go. Przechylił broń, a przedmiot zsunął się ku niemu i oparł na kolbie. Gil cofnął broń i się wyprostował. Zdjął skarb z obrzyna i podał go Miguelowi.

— Za twoją odwagę, *mi amigo*.

Miguel ujął kielich drżącymi dłońmi. Ten jeden przedmiot był wart tyle, że mógł całej jego rodzinie zapewnić utrzymanie do końca życia. Miguel wyszeptał modlitwę dziękczynną.

Gil zmarszczył czoło i się odwrócił. Jego kompan nie powinien dziękować Bogu, lecz jemu. Znowu ukląkł, wyciągnął broń po złoty kielich i wkrótce miał go w rękach. Zasłużył sobie na tę nagrodę. Znał handlarza kradzionych antyków, który za każde inkaskie znalezisko — jeśli nie było zniszczone — płacił potrójną wartość złota. Gil wsunął kielich za pazuchę i ponownie odwrócił się do złotej postaci.

Kombinował, co dalej. Pomacał granat w kieszeni kamizelki. Musiał zabezpieczyć resztę bogactwa do chwili, aż sprowadzi ekipę, która zneutralizuje pułapkę. Kiedy to przekłete urządzenie zostanie unieruchomione, będzie mógł ze swoimi ludźmi przejąć cały skarb. Była tylko jedna przeszkoda: grupa *americanos* śpiących smacznie w namiotach. Mocniej ścisnął obrzyna. Nie mogli doczekać świtu.

Podjąwszy decyzję, Guillermo machnął na Miguela, by ruszał w kierunku wyjścia. Jego towarzysz nie potrzebował namowy — uszczęśliwiony, że może uciec ze skarbem. Przeskoczył na następną złotą płytę.

Wystrzeliła spod niego z wizgiem trybów i krążków. Razem z nim uniosła się w kierunku sufitu, pchana grubym pniem drzewa. Równocześnie schowała się odpowiednia srebrna płyta w suficie i z otworu wystrzeliły srebrne strzały.

Miguel zauważył nadchodzącą śmierć i spróbował przeturlać się w bok, nie był jednak wystarczająco szybki. Nogi od kolan w dół zostały

przyszpilone strzałami, które przebiły ciało na wylot. Zawył i kiedy zaczął się szarpać, rozległ się przypominający pęknięcie chrustu trzask łamanych kości.

Złota płyta opadła i wróciła gładko na swoje miejsce. Była pomazana krwią, ale pusta. Gil spojrział w górę — Miguel zwisał z sufitu, srebrne szpice trzymały go za nogi.

Z ran spływała krew. Szarpał się i odpychał rękami. W końcu odzyskał wolność i spadł dwa piętra w dół. Znowu rozległ się trzask łamanych kości.

Kiedy Miguel spadał, Gil odwrócił głowę, a teraz znowu popatrzył. Jego zmasakrowany kompan leżał na podłodze. Miał tylko jedną całą kończynę. Spróbował podeprzeć się ocalałym ramieniem, ale nie zdołał z powodu bólu i znowu runął na podłogę. Był zbyt słaby i zszokowany, aby krzyczeć, mógł jedynie cicho jęczeć. Patrzył na Gila błagalnym spojrzeniem.

Ten nie mógł go uratować.

Uniósł strzelbę.

— Przykro mi, *ese* — szepnął i strzelił Miguelowi w środek czoła. Huk w zamkniętym pomieszczeniu był ogłuszający. Miguel przestał jęczeć, z małej dziurki w czole kapłała krew.

Gil znowu przyjrzał się płytom. Miguela zabiła złota! Dlaczego przestały być bezpieczne? Teoria od początku była błędna, czy też zmieniły się reguły? Kiedy grzebał wśród kosztowności, wyraźnie zmieniła się kadencja pracy trybów. Intensywnie obserwował otoczenie. Miguel leżał na srebrnej płycie... czyżby teraz były bezpieczne? Złote, kiedy wchodzisz, a srebrne, kiedy wychodzisz? Czy to mogło być takie proste?

Nie miał nikogo więcej, z kogo mógłby zrobić królika doświadczalnego, i musiał sprawdzić teorię sam. Ostrożnie wyciągnął strzelbę i postukał kolbą w następną płytę — srebrną. Nic się nie wydarzyło, ale czy mógł to być dowód? Może do wyzwolenia pułapki potrzebne było większe obciążenie? Powoli wysunął stopę i postawił ją na płycie. Wstrzymując oddech, przenosił na nią ciężar ciała, gotów w każdej chwili, przy najdrobniejszym drgnięciu płyty albo zmianie w pracy trybów, skoczyć z powrotem. Po chwili stał jedną nogą na srebrnej płycie, drugą na złotej. Wciąż nie było żadnej zmiany.

Kuląc się mimowolnie, przeniósł drugą stopę na srebrną płytę. Zamarł w bezruchu. Nic. Był bezpieczny.

Wypuścił z płuc wstrzymywane długo powietrze i starł pot z oczu. Po policzkach ciekły mu łzy. Nie zauważył, kiedy popłynęły.

Przejście na następną srebrną płytę wymagało przeskoczenia złotej. Skoczył, zanim zaczęły go zjadać nerwy, i nieporadnie wylądował. Zamarł, ale i tu był bezpieczny.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i odwrócił się do króla.

— Pokonałem cię, draniu!

Popatrzył znów w kierunku wyjścia i ostrożnie, ale znacznie szybciej, ruszył naprzód. Właśnie prędkość uratowała mu życie. W chwili gdy przeskakiwał z jednej srebrnej płyty na następną, płyta otworzyła się pod nim. Pod wpływem jej ruchu stracił równowagę i zwałił się na kolejną płytę jak wór. Z drobnych luk, jakie pojawiły się na suficie, trysnął płyn i poleciał prosto do otworu po odsuniętej płycie podłogowej. Gil odtoczył się na bok. Kilka kropel płynu dosięgnęło jego policzka i poczuł, jakby przypieczono go ogniem. Kwas!

Dotknął twarzy. Od razu pojawiły się bąble i wysięk.

Zadygotał na myśl, co by się stało, gdyby zapadł się w powstałą jamę i został oblany kwasem. Śmierć byłaby długa i bolesna.

Zabójczy prysznic skończył się i srebrna płyta zasunęła się nad otworem. Uniknął śmierci o włos! Drżąc na całym ciele, wstał.

Wbił wzrok w zdradziecką płytę. Srebrna! A więc cały czas się mylił. Dotarł tak blisko wyjścia jedynie dzięki szczęśliwemu przypadkowi!

Uświadamiając sobie przerażającą prawdę, odwrócił się w stronę wyjścia. Wolność była za trzema rzędami płyt. Trzy metry. Nie mógł ufać żadnej płycie. Będzie musiał zaryzykować skok. Jeśli rzuci się szczupakiem do przodu, może mu się udać.

Popatrzył na strzelbę. Musiał pozbyć się zbędnego obciążenia, więc rzucił ją na podłogę wraz z pasem z amunicją. Wyjął zza pazuchy ciężki złoty kielich, przyjrzał mu się i schował z powrotem. Wolałby umrzeć, niż stracić skarb. Zrzucił więc buty. Na bosaka lepiej się wybije.

Cofnął się na skraj płyty, aby nabrać rozpędu, ale były to zaledwie dwa krótkie kroki. Zamknął oczy i po raz pierwszy od dziesięcioleci pomodlił się o siłę i szczęście. Otworzył oczy i zacisnął pięści.

— Teraz albo nigdy — mruknął.

Pochylił się do przodu, wziął minimalny rozbieg, po czym używając całej siły nóg, skoczył głową do przodu. Przeleciał nad ostatnimi płytami

i huknął o kamienną podłogę. Zwinął się tak, aby przyjąć impet uderzenia lewym bokiem. Kiedy toczył się krótkim korytarzykiem, coś chrupnęło mu w barku, zatrzymał się na ścianie.

Krzywiąc się, wstał. Starał się ignorować ból. Udało się! Prawdopodobnie złamał sobie obojczyk, ale niewiele to znaczyło. Kiedyś dostał trzy kule w pierś, więc teraz to jakby draśnięcie.

Wyjął cenny kielich. Brzeg lekko się wgiał od upadku, ale podobnie jak on sam, kielich przeżył przygodę właściwie bez uszczerbku.

Gil podszedł do skraju płyt, uniósł kielich i splunął w kierunku odcinającego się jaskrawo od czarnego granitu inkaskiego króla.

— Wrócę i jeszcze cię zgwałcę!

Rzuciwszy groźbę, odwrócił się na pięcie i uciekł.

. . .

Maggie klęczała u szczytu drabiny prowadzącej w dół, na trzeci poziom.

— Ktoś idzie! — szepnęła, odpychając Sama w bok.

Instynkt mówił jej, że powinni się schować. Wychowana na ulicach Belfastu, wiedziała, że warto słuchać wewnętrznego głosu. Życie pod nieustannym ostrzałem, wśród wybuchów bomb, w czasie wojny prowadzonej przez zwalczające się irlandzkie frakcje i brytyjskie wojsko, nauczyło Maggie O'Donnell, jak cenna jest dobra kryjówka.

— Chodź! — rzuciła do Sama, ciągnąc go za sobą. Norman i Ralph podążyli za nimi.

Sam się opierał. Uniósł karabin.

— Może to szabrownicy. Powinniśmy ich powstrzymać.

— I dać się pozabijać, głupolu? Nie wiesz, ilu ich tam jest i jaką mają broń. Idziemy!

— Ma rację — zgodził się Norman. — Tutejsi partyzanci ze Świetlistego Szlaku są niezłe wyposażeni. Mają kałasznikowy i tak dalej. Powinniśmy zostawić to ochronie.

Sam wbił wzrok w drabinę, po czym pokręcił głową i poszedł za Maggie. Zaprowadziła ich do bocznej komory. Nie było tu lamp i natychmiast pochłonęła ich ciemność.

— Nie ściągajcie na siebie uwagi i bądźcie gotowi uciekać na mój sygnał — powiedziała.

— Maggie O'Donnell, archeolog bojowy... — mruknął Sam.

Choć w mroku widziała tylko jego sylwetkę, wyobrażała sobie jego sarkastyczny uśmiezek.

— To pewnie tylko Gil albo któryś z jego ludzi — szepnął Ralph.

— A ten wrzask? — odpowiedziała pytaniem Maggie.

— Jestem pewien, że...

Wyciągnęła rękę w kierunku Ralpha, aby go uciszyć. Skrzypienie drabiny świadczyło o tym, że ktoś wspina się na górę. Wyraźnie się spieszył. Słysząc było ciężki oddech i dało się wyczuć nerwowe ruchy. Maggie opuściła głowę jeszcze niżej i czekała, kto wychynie z szybu.

Od razu rozpoznała gładkie czarne włosy i podobną do pająka, bladą bliznę na smągłym policzku. Guillermo Sala. Były policjant gorączkowo wszedł na ich poziom, mało brakowało, a by się poślizgnął. Maggie westchnęła z ulgą — Ralph miał rację, to tylko obozowy ochroniarz.

Zaczęła wstawać, kiedy ujrzała na jego twarzy wielkie oparzenie. Było spękane i krwawiło. Gil przesunął dłonią po ranie i rozsmarował krew na koszuli. Oczy miał rozszerzone, białka niemal się jarzyły w świetle lampy. Wargi zaciskał z nienawiścią — czuć było emanujące z niego strach i szok.

Maggie знаła tę minę. Jej przyjaciel z dzieciństwa, Patrick Dugan, miał taką samą, kiedy w trakcie ulicznej strzelaniny w Belfaście został trafiony zbłąkaną kulą. Zbyt wcześnie podniósł głowę z przydrożnego rowu melioracyjnego, w którym się razem schowali. Ona była mądrzejsza. Nie poruszyła się nawet po tym, jak runęło na nią ciało Patricka. Pośpiech oznacza zagrożenie. Doskonale o tym pamiętała, więc i tym razem nie wychylała się z ukrycia, a pozostałych powstrzymała dłonią.

Co się stało na dole? Co mogło wystraszyć kogoś tak twardego i zaprawionego w bojach jak Gil?

Tak samo jak tamtego dnia w Belfaście, była bezpieczna, kryjąc się w cieniu. Kiedy Gil sięgnął do kamizelki i pomacał wypychający kieszeń przedmiot, Maggie ostrożnie wyjrzała zza węgła. Przedmiot zdawał się uspokajać Gila — jak krucyfik może uspokoić starą kobietę.

Z drugiej kieszeni wyjął coś, co przypominało zielone jabłko z rączką. Choć przedmiot wydawał się w inkaskich ruinach całkowicie nie na miejscu, ułamek sekundy wystarczył, aby Maggie go rozpoznała.

Cholera! Granat!

Gil rzucił ostatnie spojrzenie na szyb, wyprostował się i popędził korytarzem.

Maggie nie była w stanie się poruszyć. Wciąż miała przed oczami granat — broń, którą pamiętała z rodzinnego miasta. Znana z dzieciństwa panika chwyciła ją za gardło. Zadygotały jej ręce. Spróbowała zacisnąć dłonie w pięści, aby nie poddać się nadchodzącemu atakowi. Jej oddech przyspieszył, a wzrok się zamglił.

Sam musiał wyczuć jej stan.

— Maggie...? — Sięgnął dłonią ku jej ramieniu.

Jego dotyk zadziałał jak zapłon. Skoczyła na nogi.

— Musimy się stąd wydostać! — rzuciła. — Natychmiast!

Sam poprawił kapelusz na głowie.

— Dlaczego? To tylko Guillermo.

Wbiła w niego rozogniony wzrok. A więc nie widział granatu! Jej spojrzenie sprawiło, że cofnął się o krok. Nie było czasu na wyjaśnienia.

— Ruszaj, kretynie! — wrzasnęła. Przerażenie nasiliło jej irlandzki akcent. Pchnęła Sama w kierunku tunelu i machnęła ręką na pozostałych.

Długie nogi Sama szybko pokonywały dystans. Maggie szła za nim, zerkając w tył. Ralph szybko dogonił Sama, ale obciążony aparatami Norman zostawał z tyłu.

— Pospiesz się! — popędziła go Maggie.

Norman spojrzął za siebie. W świetle lamp miał trupio bladą twarz, ale walczył ze sobą i dotarł do kolejnej drabiny tuż za prowadzącą dwójką.

Sam zaczął wspinać się jak małpa, Ralph deptał mu po piętach. Norman poszedł następny, Maggie stała u dołu drabiny, uważnie nasłuchując. Miała wrażenie, że w oddali, w dole, słychać basowe tykanie wielkiego zegara.

— Maggie, chodź! — zawołał Sam z góry.

Odwróciła się i stwierdziła, że drabina jest pusta. Na chwilę straciła poczucie czasu — była to jedna z oznak nadchodzącego ataku. Nie teraz! Pomknęła w górę, Sam pomógł jej pokonać ostatni szczebel, podciągając ją za ręce. Drabina prowadząca na powierzchnię znajdowała się jedynie kilka metrów dalej. Maggie szybko wstała i poprowadziła grupę.

Szła wzdłuż zygzakowatej linii lamp, każde mijane światło zdawało się migotać. Kiedy dotarła do podstawy ostatniej drabiny, z góry dobiegło głośne stęknienie. Gil! Wydawało się, że jest na samym szczycie.

Czując cel i zachęcona świeżym powiewem wiatru, Maggie przyspieszyła.

— Łyknij to, *hijo de puta!* — dobiegło nagle z góry.

Kiedy na dół szybu spadł zielony cylinder i zatrzymał się u stóp drabiny, Maggie zamarła. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Zatrzymał się w błocie przy belce, służącej jako główna podpora szybu. Granat!

Maggie zatoczyła się do tyłu, ku Samowi. Kiedy się z nim zderzyła, stęknął.

— Do tyłu... do tyłu... do tyłu... — powtarzała.

Tłoczyli się, wpadając na siebie.

— Co...? — wydyszał jej Sam do ucha.

Napędzana adrenaliną, wepchnęła wszystkich do bocznej komory.

Impet eksplozji trafił ich w wejściu i zostali wrzuceni do środka jak przewracające się kręgle. Uderzyli o przeciwną ścianę i osunęli się bezwładnie na kamienną podłogę.

Światła migotały jak szalone. Maggie spróbowała dźwignąć się na kolana. Mimo dzwonienia w uszach usłyszała jęk Ralpa. Szybko sprawdziła, czy jest cała — nic poważnego się jej nie stało — ale kiedy przebiła wzrokiem opadający pył, również jęknęła.

Zostali uwięzieni!

Prowadzące do ostatniej drabiny przejście zasypały kamienie i ziemia. Granat zniszczył tunel, zarwał spory kawał sufitu, a osuwisko odcięło im drogę.

Z powodu nacisku ruiny wokół stękały i pojękiwały. Dziesięciometrowa warstwa ziemi napierała, grożąc dalszymi zniszczeniami.

Co robić?

Światła zamigotały po raz ostatni i zgasły. Pochłonęła ich ciemność.

— Wszyscy cali? — spytał Sam zbyt głośno, bo nieco ogłuchł.

— Ja tak — odparł Norman. — Tkwię zakopany dziesięć metrów pod ziemią, ale poza tym... wszystko gra.

— Ja też jestem cały — odezwał się Ralph, choć nie tak zawiadaczająco jak zwykle.

Sam zakaszłał.

— Maggie?

Nie mogła odpowiedzieć. Czowała, że sztywnieją jej kończyny i zaczyna się typowe drżenie. Gdy zaczął się atak i odebrał jej przytomność, opadła na kamienną podłogę.

Zdążyła jeszcze tylko usłyszeć okrzyk Normana.

— Sam, coś złego dzieje się z Maggie!

. . .

Gil uciekał od eksplozji, której echo wtoczyło się w milczącą dżunglę. Dym i odłamki, które wystrzeliły wysoko w niebo, docierały za nim aż do granicy obozu. Kamienie raniły jego bosc stopy i zbiegał po schodach, klnąc się za pomysł, by porzucić buty. Dlaczego się ich pozbył i wyrzucił broń? Znał odpowiedź: spanikował.

Nad jego głową stadko przestraszonych papug usiadło na belce podtrzymującej reflektor. Jaskrawe plamy błękitu i czerwieni na tle czarnej nocy tworzyły zaskakujący kontrast. Kiedy przebrzmiało echo eksplozji, dżungla odpowiedziała wrzaskami ptaków i nawoływaniem małp.

Obudziła się — tak samo obóz w dole.

W kilku namiotach robotników zapaliły się światła i poruszyły się w nich cienie. Nawet w jednym z namiotów studentów pojawił się ciepły blask.

Pozbawiony broni i pomocników, Guillermo nie miał odwagi atakować obozu. Żeby wyeliminować *americanos* i ich robotników, będzie musiał zebrać ludzi i wrócić później. Granat przynajmniej zniszczył wejście do wnętrza podziemnych ruin! Łup został zabezpieczony do chwili, gdy wróci z ludźmi i sprzętem, by go odkopać. Nie troszcząc się o „zniszczenie cennego stanowiska”, jego grupa raz-dwa poradzi sobie ze skarbem. Nie powinno im to zająć więcej niż kilka dni.

Przed poszukiwaniami nowych ludzi Gil musiał załatwić jeszcze jedną sprawę w obozie. Schował się w głębokim cieniu między dwoma namiotami robotników. Nie przejmował się zbyt ludźmi wystawiającymi na zewnątrz głowy — na pewno wszyscy skupiali wzrok na kłębie pyłu, nadal wydobywającym się z szybu.

Tak jak się spodziewał, nikt go nie zobaczył.

Kiedy przeszedł za namioty, z jednego doleciał gardłowy szept w języku kiczua. Z droższych namiotów studentów dobiegł ostry okrzyk.

— Guillermo! Sam! Co się stało?!

Bez trudu rozpoznał głos nadętego szefa studentów, tych *maricones*.

Gil nie zwracał uwagi na mnożące się głosy. Ze sterty narzędzi wziął kilof i maczetę. Zaszedł jeden z namiotów od tyłu i wyciął w nim wejście. Wsunął się do środka i uniósł kilof.

Przyjrzał się systemowi komunikacji satelitarnej. Na szczęście nie musiał niszczyć wszystkiego, a tylko słabe ogniwo: mały komputer centralny. Do innych sprzętów były części zapasowe, ale nie mieli drugiego procesora. Bez niego obóz nie podniesie alarmu ani nie wezwie pomocy.

Uniósł kilof nad głowę i czekał. Złamany obojczyk zabolął od ciężaru, na szczęście nie będzie to trwało długo. Znow z namiotu kierownika dobiegł wściekły głos Philipa Sykesa — najwyraźniej niezbyt chętnego do opuszczenia bezpiecznego sanktuarium.

— Sala, do cholery, gdzie jesteś?!

Kiedy doktorant wrzeszczał, Gil wbił ostrze kilofa w środek komputera. Kobaltowe iskry wystrzeliły w ciemne powietrze i szybko zgasły. Gil nie wyciągnął kilofa ani nie sprawdzał, czy sabotaż został zauważony — po prostu wymknął się przez dziurę w namiocie i zwiął.

Gdy wszyscy patrzyli w kierunku dymiącego szybu, niezauważony wślizgnął się do dżungli. W dłoni ścisnął maczetę, a w sercu miał zemstę.

Nikt nie pokona Guillerma Sali — zwłaszcza starożytny bożek!

. . .

— Sam, pospiesz się! — Norman był bardzo zdenerwowany.

Sam grzebał w torbie z narzędziami, jakby nie otaczały go styksowe ciemności. Nikt nie pomyślał o tym, żeby zabrać latarkę, więc musiał improwizować. Palce natrafiały na szczękające buteleczki. W końcu znalazł lampę Wooda — urządzenie do emisji nadfioletu, którego używał przy swojej metodzie z barwnikami. Wyjął ją i zapalił.

W nadfiolecie wszystko wyglądało upiornie. Unoszący się w powietrzu pył świecił jak śnieg, zęby, białka oczu i niektóre elementy ubrań jarzyły się nienaturalną bielą.

Norman klęczał przy Maggie. Niewidzące oczy miała skierowane w sufit, plecy wygięte w łuk i uniesione nad podłogę, pięty uderzały rytmicznie w podłogę. Norman trzymał ją za barki, Ralph wisiał nad obojgiem niczym mroczny fantom. Norman popatrzył na Sama.

— Ma jakiś napad drgawek.

Sam przykucnął obok.

— Musiała uderzyć się w głowę. Może doznała wstrząsu. — Uniósł wyżej lampę, aby przyrzeć się oczom Maggie, ale nadfiolet nie oświetlał źrenic. Mięśnie twarzy kurczyły się konwulsyjnie, powieki łopotały. Sam popatrzył na towarzyszy. — Trudno powiedzieć.

Nikt nie wiedział, co robić.

Z gardła Maggie wydobywały się dźwięki, jakby się dusiła.

— Nie trzeba czegoś zrobić, żeby nie połknęła języka, czy coś w tym stylu? — spytał Ralph.

Sam skinął głową. Twarz Maggie nabrała już purpurowego odcienia.

— Potrzebuję knebla.

Norman sięgnął do kieszeni i wyjął chustkę.

— Wystarczy?

Sam nie umiał odpowiedzieć, więc wziął chustkę i ją skręcił. Wyciągnął ręce ku Maggie, zawahał się jednak, niepewny, co robić. Z kącika jej ust leciała ślina. Choć bez trudu umiał wsunąć koniowi wędzidło w zęby, w tym przypadku musiał się przemóc.

Spróbował delikatnie opuścić żuchwę Maggie, ale zaciskała zęby i drżała. Zadanie wymagało więcej siły, niż się spodziewał. Kiedy wreszcie mu się udało, wyciągnął palcem czubek jej języka. Usta miała mokre i gorące; pokonując własne opory, wcisnął jej chustkę między zęby, przyciskając język, żeby go nie przygryzła.

— Dobra robota — pogratulował Norman.

Oddech dziewczyny jakby się wyrównywał.

— Chyba jej przechodzi — stwierdził Ralph. — Patrzcie.

Pięty już nie kopały w podłogę, plecy się rozluźniły.

— Dzięki Bogu — mruknął Sam.

Po kilku kolejnych sekundach drzenie przeszło. Maggie uniosła ramię i bezwładnie uderzyła nim w powietrze. Zamrugła kilka razy, oczy miała szkliste, jakby niewidzące. Po chwili jej spojrzenie spoczęło na nim i Sam wiedział, że wróciła. Wbijała w niego wzrok, najwyraźniej wściekła.

Jej palce znalazły dłoń Sama — tę, która przytrzymywała knebel. Odepchnęła ją i wypluła chustkę.

— Co... co ty wyprawiasz? — Usiadła i zaczęła trzeć wargi.

— Miałaś atak — wyjaśnił Norman.

Maggie wskazała na przesiąkniętą śliną chustkę.

— I dlatego próbowaliście mnie udusić? Następnym razem po prostu obróćcie mnie na bok. — Machnięciem ręki zbyła próby wyjaśnień. — Na długo odjechałam?

— Mniej więcej na dwie minuty — odpowiedział Sam, który odzyskał mowę.

Maggie zmarszczyła czoło.

— Cholera. — Podeszła do miejsca, gdzie zwalone kamienie i ziemia blokowały drogę.

Sposób, w jaki potraktowała atak, uświadomił Samowi, że powodem nie był uraz głowy.

— Masz epilepsję.

Odrzuciła włosy do tyłu i odwróciła się do niego.

— Epilepsję idiopatyczną. Mam ataki od czasu dojrzewania.

— Powinnaś była komuś powiedzieć. Mój wuj wie?

Maggie odwróciła wzrok.

— Nie. Tak rzadko mam napady, że nawet nie biorę leków. Ostatni był trzy lata temu.

— Mimo to powinnaś była mu powiedzieć.

— Żeby wywalił mnie z wykopalisk? Gdyby profesor Conklin wiedział o chorobie, nigdy by mnie tu nie zabrał.

— I może nie powinnaś przyjeżdżać — odparował Sam. — Dla ciebie to niebezpieczne, a dla niego ryzykowne. Odpowiada za ten projekt. Twoja rodzina może go pozwać.

Maggie otworzyła usta, by zaprotestować, ale przerwał jej Norman:

— Jeśli skończyliście dysputę na temat historii choroby i niuansów prawa, zauważcie, że jesteśmy przysypani dziesięciometrową warstwą niestabilnej skały.

Jakby na potwierdzenie jego słów, skała nad ich głowami wydała pomruk i spomiędzy dwóch głązów posypała się strużka ziemi.

— Wyjątkowo zgadzam się z Normanem... — Ralph postanowił włączyć się do akcji. — Zabierajmy stąd tyłki.

— Właśnie zamierzałem zaproponować to samo — rzekł fotograf.

Sam znów spojrzął na Maggie. Buzowały w nim emocje. Nie żałował swoich słów — powinna powiedzieć komuś o swojej chorobie — ale chciał cofnąć czas i pozbyć się złości. Bał się o nią, serce ścisnęło mu się w małą kulkę, lecz nie umiał tego wyrazić, więc z bezradności na nią nakrzyczał.

Odwrócił się. Musiał przyznać, że w pewnym sensie rozumie, dlaczego utrzymywała chorobę w tajemnicy. On też zrobiłby wszystko, aby pozostać na wykopaliskach — z kłamstwem włącznie.

Odchrząknął.

— Philip i pozostali musieli usłyszeć wybuch. Kiedy zauważą, że nasze namioty są puste, domyślą się, że jesteśmy na dole. Wykopią nas.

— Miejmy tylko nadzieję, że zdążą, zanim skończy się nam powietrze — stwierdził Norman.

Ralph podszedł do pozostałej trójki, kucającej przed zasypanym wyjściem.

— Myśl, że mam powierzyć życie Philipowi, nieszczególnie mnie podnieca.

W śmiertelnej ciszy grobowca słychać było pękające i pojękujące kamienie. Sam podniósł lampę i popatrzył w górę. Gdzieś tam sypały się strużki pyłu. Wybuch najwyraźniej zdestabilizował ruiny. Usuwanie ziemi, by mieli jak wyjść, mogło sprawić, że cała konstrukcja runie. Oby Philip Sykes to zrozumiał.

Sam pokręcił głową i opuścił lampę. Trudno było wyobrazić sobie gorszą sytuację.

— Słyszeliście? — spytał Norman. Wpatrywał się w zasypane wejście, jakby chciał przeniknąć wzrokiem kamienie.

Sam wyteżył słuch. Też usłyszał dźwięk. Cichy odgłos ślizgania, który dolatywał z głębin labiryntu korytarzy — jakby coś ciągnięto po kamiennej podłodze. Odgłos zdawał się zbliżać zza pola światła, z ciemności.

— Co to? — Maggie dotknęła jego ramienia.

Wraz z jej słowami odgłos natychmiast ucichł.

— Pojęcia nie mam. — Sam pokręcił głową. — Ale cokolwiek to jest, wie, że tu tkwimy.

...

Philip Sykes ochrypł od krzyku. Stał boso w wejściu do namiotu, ciasno owinięty szlafrokiem. Dlaczego nikt mu nie odpowiadał? Po eksplozji obóz zwariował — ludzie biegali wśród ruin, jedni machali latarkami, inni wymachiwali narzędziami. Wydawało się, że nikt nie ma pojęcia, co się stało. Z Placu Słońca, gdzie chmura pyłu wreszcie się rozproszyła, dolatywały strzępy kiczuańskiego, ale rozumiał tylko pojedyncze słowa. Za mało, aby ocenić, czego dotyczą gorączkowe wołania.

Popatrzył na fluoryzującą tarczę zegarka. Na Boga — dawno minęła północ! Po głowie krążyły mu różne scenariusze. Szabrownicy z poprzedniego dnia powrócili i zaatakowali obóz. Zbuntowali się

kiczuańscy robotnicy — podejrzana banda śniadych. Ekspłodował jeden z trzech generatorów.

Owinął się ciasniej kołnierzem szlafroka. Gdzie byli pozostali studenci? W końcu złość i irytacja wypędziła go — boso — na zewnątrz. Rozejrzał się szybko. Sąsiednie trzy namioty były ciemne. Dlaczego tamci się nie obudzili? Dlaczego chowali się po ciemku?

Philip wrócił do siebie i pomyślał, że może powinien zrobić tak samo. Jego oświetlony namiot był doskonałym celem dla każdego napastnika. Podbiegł do lampy i szybko ją zgasił. Kiedy odwrócił się w kierunku wejścia, wypełnił je wielki czarny cień. Philip westchnął.

Oślepiło go światło latarki.

— Czego chcesz? — jęknął, a kolana się pod nim ugięły.

Światło się przesunęło, ukazując twarz jednego z indiańskich robotników, choć Philip nie wiedział, który to był. Dla niego wszyscy wyglądali tak samo. Mężczyzna powiedział coś po kiczuańsku, ale Philip nie rozumiał ani słowa. Jasny był za to gest mężczyzny, który energicznym ruchem kazał mu iść za sobą.

Philip się wahał. Robotnik chciał mu pomóc czy zrobić krzywdę? Gdyby tylko był tu Denal, brudny ulicznik z Cuzco, który służył im za tłumacza! Nie mogąc się porozumieć, Philip czuł się wśród tych dziwnych, obcych ludzi bezbronny, odizolowany, uwięziony.

Nieznajomy powtórzył gest, po czym odwrócił się, by odejść. Philip ruszył za nim w ciemność. Nie chciał być więcej sam. Choć był boso, starał się dogonić przewodnika.

Poza namiotem okazało się, że wiatr przybrał na sile — bez trudu przenikał przez cienki materiał szlafroka. Robotnik szedł w kierunku namiotów innych studentów. Gdy doszli na miejsce, odrzucił płachtę namiotu Sama i poświecił do środka latarką. Nikogo nie było!

Philip cofnął się i zaczął przyglądać ruinom. Jeśli ten drań Conklin był w obozie, dlaczego nie reagował na wołanie? Kiczuański przewodnik pokazał mu wnętrza pozostałych namiotów — także puste. Sam, Maggie, Ralph, nawet fotograf Norman — wszyscy zniknęli. Panika — bardziej niż zimny wiatr schodzący ze szczytów gór — sprawiła, że cały zaczął drżeć. Gdzie oni się podziiali?

Robotnik odwrócił się do niego. Zamiast oczu miał ciemne cienie. Mamrotał coś w swoim języku. Z tonu wynikało, że jest bardzo

zaniepokojony.

Philip odsunął się i machnął za siebie ręką.

— Musimy... musimy wezwać pomoc — wydukał, szczękając zębami.
— Musimy kogoś zawiadomić, co się dzieje.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem do namiotu komunikacyjnego. Musi zawiadomić władze! Cokolwiek się działo, nie mogli od niego oczekiwać, że sobie poradzi. Robotnik podążył za nim.

Przy namiocie Philip zaczął drżącymi dłońmi szarpać suwaki i zatrzaski. W końcu otworzył wejście i wpełzł do środka. Robotnik został w progu, poświecił mu tylko latarką. Philip z przerażeniem patrzył na sprzęt komunikacyjny — w centralnym komputerze tkwiło ostrze kilofa.

Philip Sykes osunął się na ziemię z jękiem.

— Boże... nie...

. . .

Sam celował z winchestera w stronę ciemnego korytarza prowadzącego do centralnej części ruin. Podejrzane szuranie i skrobanie zbliżało się.

Stojący obok Ralph trzymał lampę ultravioletową, kierując światło w ciemność, niewiele to jednak dawało. Pozostawało tajemnicą, co znajduje się za zasłoną mroku.

Maggie i Norman stali krok z tyłu. Maggie pochylała się do ucha Sama, tak że czuł na karku jej gorący oddech.

— Gil przed czymś uciekał. Czymś, co go śmiertelnie przeraziło.

Sam zadrżał na jej słowa, mało brakowało, a wypuściłby karabin z rąk.

— Nie musisz mi akurat teraz tego mówić — syknął i poprawił chwyt broni.

Ralph też usłyszał jej słowa. Głośno przełknął ślinę i podniósł wyżej lampę, jakby mogło to poszerzyć krąg światła. Nic z tego.

Sam miał dość. Odchrząknął.

— Kto tam jest?! — krzyknął w ciemność.

Odpowiedź była natychmiastowa. W korytarzu rozbłysło światło, jaskrawe, oślepiające. Cała czwórka zatoczyła się do tyłu. Palec Sama zgiął się na spuście, na szczęście wpojone w trakcie wypraw myśliwskich odruchy powstrzymały go przed strzałem: nigdy nie strzelaj do tego, czego nie widzisz.

Sam nie poruszył bronią, ale zdjął palec ze spustu.

Zza źródła oślepiającego światła dobiegł piskliwy głos, nieśmiały i jakby odrętwiały ze strachu.

— To ja!

Światło nagle skierowało się ku sufitowi. Do przodu wystąpiła drobna postać.

Sam opuścił karabin, dziękując w myśli wujowi za trening opanowania.

— Denal? — Zobaczyli chłopaka, który dla nich tłumaczył. Miał twarz barwy popiołu, oczy wypełniał mu strach. Sam zarzucił karabin na ramię.
— Co, do diabła, robisz tu, na dole?

Chłopak szybko podbiegł, kierując światło trzymanej w dłoni latarki w dół. Z jego ust popłynęły nieco zniekształcone angielskie słowa.

— Widziałem... jak Gil zakrada się na dół z Miguel i Juan. Mieli torby i poszłem za nimi.

Maggie zbliżyła się do dygoczącego chłopaka i objęła go ramieniem.

— Co się stało?

Wolną dłonią Denal wsunął sobie w usta papierosa. Nie zapalał go, ale najwyraźniej sam gest go uspokajał.

— Nie wiem... nie jestem pewny. Jak wyłamali drzwi...

— Co takiego?! — krzyknął Sam. Nawet w tej sytuacji wiadomość go zaszokowała.

Denal tylko skinął głową.

— Dużo nie widziałem. Czekałem daleko. Weszli do środka i... i... — Denal popatrzył na Sama przerażonymi oczami. — Wrzeszczeli. Uciekłem. Schowałem się.

— Niech to cholera! — powiedziała Maggie. — Pieprzony drań zamierzał rozszabrować ruiny tuż pod naszym nosem!

— Ale najwyraźniej coś poszło nie tak — stwierdził Norman, patrząc na zwałowisko gruzu w wejściu. — Co z pozostałą dwójką? Miguelem i Juanem?

— Nie wiem. — Denal chyba dopiero teraz dostrzegł zasypane wejście. Podszedł do ściany z kamieni i gliny. — Guillermo uciekł... ja czekałem. Bałem się, że mnie złapią. Ale nikt nie wyszedł. Potem wielki huk. Spadały kamienie. Uciekłem. — Denal wskazał dłonią w kierunku zawałonej części świątyni. — Lepiej tu nie przychodzić sam. Trzeba było wam powiedzieć. Taki głupi.

Sam wziął od Ralpa lampę Wooda i ją zgasił.

— Głupi? Przynajmniej przyniosłeś latarkę.

— Co robimy? — spytała Maggie, przysuwając się do Sama.

— Musimy zaczekać, aż Philip się domyśli, że jesteśmy na dole.

— No to sobie długo poczekamy... — Norman westchnął.

— Nie zawiadomić go przez walkie-talkie? — spytał Denal.

Sam zmarszczył czoło.

— To kolejna rzecz poza latarką, której zapomnieliśmy przynieść.

Denal sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął małe urządzenie.

— Proszę.

Sam wbił wzrok w walkie-talkie. Na usta wypłynął mu uśmiech.

— Denal, nigdy więcej nie mów o sobie, że jesteś głupi. — Wziął od chłopaka radio. — Jeśli ty jesteś głupi, to co powiedzieć o nas?

Denal ponuro popatrzył na zamknięte przejście.

— Uwięzione.

. . .

Philip klęczał w namiocie komunikacyjnym, gdy z odrętwienia wyrwał go trzask radia. Głośno westchnął, słysząc ostry dźwięk. Słowa mieszały się z szumem radia.

— ...wały się kamienie... ktoś odbierze...

Angielski! Ktoś, z kim mógł porozmawiać! Philip złapał mikrofon, wcisnął przycisk nadawania i zaczął mówić:

— Tu obóz baza. Jest tam kto? Mamy sytuację awaryjną! Odbiór!

Zaczekał na odpowiedź. Oby okazało się, że rozmówca może przysłać pomoc! Przez kilka nerwowych chwil słychać było jedynie szum, potem pojawiły się kolejne słowa.

— Philip?... Tu Sam.

Sam? Nadzieja Philipa się rozplynęła.

— Gdzie jesteś? Odbiór.

— Zostaliśmy uwięzieni w ruinach świątyni. Gil wysadził wyjście. — Sam szybko wyjaśnił zdradzieckie działanie szefa ochrony. — Cała konstrukcja zrobiła się niestabilna.

Philip podziękował swojemu Aniołowi Stróżowi, że miał go na oku i uchronił przed utknięciem pod ziemią razem z resztą.

— Musisz nadać SOS do Machu Picchu — powiedział Sam. — Będziemy potrzebowali ciężkiego sprzętu.

Philip popatrzył w kierunku tkwiącego w komputerze kilofa i głośno westchnął.

— Nie mogę skontaktować się z nikim — oznajmił. — Ktoś zniszczył system satelitarny. Jesteśmy odcięci.

Zapadła długa cisza i Philip już uznał, że łączność została przerwana. Wyobrażał sobie pasmo przekleństw płynących z ust Teksańczyka.

— W porządku, Philipie — odezwał się w końcu Sam dość rozzłoszczonym tonem. — W takim razie zaraz, jak zacnie świtać, wyślij kogoś pieszo. Kogoś szybkiego! Kiedy wzejdzie słońce, będziesz musiał oszacować uszkodzenia na powierzchni. Jeśli razem z robotnikami zaczniesz ostrożnie usuwać ziemię, będzie łatwiej, kiedy zjawi się pomoc. Nie wiem, na ile wystarczy nam tu powietrza.

Choć Sam nie mógł tego dostrzec, Philip skinął głową, myślał jednak o czymś całkiem innym — na przykład o własnym bezpieczeństwie.

— A co z Gilem? — spytał.

— Co ma z nim być? — głos Sama wciąż zdradzał lekką irytację. — Na pewno dawno zwiął.

— A jak wróci?

Znowu zapadła długa cisza.

— No tak... masz rację. Jeśli wysadził stanowisko i zniszczył sprzęt komunikacyjny, pewnie planuje powrót. Najlepiej będzie, jeśli wystawisz strażę.

Na myśl o gromadzących się wokół niego zagrożeniach Philip z trudem przełknął ślinę. A jeśli Gil wróci z bandytami? W obozie mieli tylko kilka karabinów myśliwskich i garść maczet. Dla gotowych na wszystko rabusiów będą jak kaczkki do odstrzału. Popatrzył na stojącego w wejściu do namiotu Indianina. Komu spośród tych smagłych tubylców mógł ufać?

Kolejne trzaski znów ściągnęły jego uwagę na radio.

— Philipie, rozłączam się, bo muszę oszczędzać baterię. Zgłoszę się po wschodzie słońca, to opowiesz, co słyhać na górze. Zgoda?

— Zgoda. — Trzymająca mikrofon dłoń Philipa lekko drżała. — Spróbuję się z tobą skontaktować o szóstej.

— Nigdzie się nie wybieramy. Bez odbioru.

Philip odwiesił mikrofon na miejsce i wstał. Po odgłosach z zewnątrz wnioskował, że zamieszanie nieco się uspokoiło. Podeszedł do wejścia i stanął obok niskiego Indianina.

Bosy, ubrany tylko w szlafrok, wbił wzrok w czarną dżunglę i dymiące ruiny. Chłód nocy przeniknął go do szpiku kości. Owinął się ciasniej szlafrokiem. W głębi serca żałował, że nie został uwięziony pod ziemią wraz z pozostałymi członkami ekipy.

Przynajmniej nie byłby sam.

DZIEŃ DRUGI
JANAN PACHA

Wtorek, 21 sierpnia, godzina 7.12

Hotel Regency

Baltimore, stan Maryland

Kiedy poranne słońce wbiło się w szpary między grubymi zasłonami, Henry Conklin siedział przy niewielkim biurku i wpatrywał się w artefakty, które znalazł przy mumii: srebrny pierścień, strzęp wyblakłego i nieczytelnego pergaminu, dwie hiszpańskie monety, ceremonialny sztylet ze srebra i masywny dominikański krzyż. Czuł, że w przedmiotach tych, niczym w trudnych do ułożenia puzzlach, kryje się wyjaśnienie losu księdza. Gdyby udało mu się wszystko odpowiednio poskładać...

Pokręcił głową, przeciągnął się, aby pozbyć się napięcia w plecach, i wsunął palce pod okulary, potarł oczy. Musiał wyglądać okropnie. Nadal miał na sobie pognieciony szary garnitur, tylko marynarkę rzucił na rozbabrane łóżko. Przez całą noc studiował artefakty, pozwalając sobie jedynie na krótką drzemkę około północy. Przedmioty przyciągały go do biurka w hotelowym pokoju i sterty książek oraz czasopism, które wypożyczył z biblioteki Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa. Nie mógł odpuścić rozwiązywania tej łamigłówki — zwłaszcza po pierwszym odkryciu.

Po raz tysięczny wziął do ręki pierścień księdza. Najpierw delikatnie starł z niego patynę, odsłaniając zatarte litery otaczające znak heraldyczny umieszczony w centrum. Przez lupę odczytał: *de Almagro*. Nazwisko dominikańskiego księdza. Dzięki niemu przestał być jedynie „mumią”, a stał się człowiekiem z krwi i kości. Kimś z własną historią, przeszłością i pochodzeniem. Tyle mocy kryło się w nazwisku.

Henry odłożył lupę, wziął pióro i dorysowywał ostatnie szczegóły do szkicu symbolu. Jego częścią był z pewnością herb rodziny de Almagro, dookoła umieszczono jednak drugi rysunek: krucyfiks za skrzyżowanymi nad nim szablami. Symbol wydawał się znajomy, ale Henry nie umiał sobie przypomnieć, skąd go zna.

— Kim byłeś, ojciec de Almagro? Co robiłeś w tym zaginionym mieście? Dlaczego Inkowie cię zmumifikowali? — Zagryzając dolną wargę, Henry dokończył rysunek, po czym uniósł kartę na wysokość oczu. — Będzie musiało wystarczyć.

Popatrzył na zegarek. Zbliżała się ósma. Nie lubił dzwonić o tej porze, ale nie mógł dłużej czekać. Obrócił się na krześle i sięgnął po słuchawkę, sprawdzając przy okazji, czy faks jest prawidłowo podłączony. Wykręcił numer.

Głos osoby, która odebrała, był oficjalny i oschły.

— Biuro arcybiskupa Kearneya. Czym mogę służyć?

— Mówi profesor Henry Conklin. Dzwoniłem wczoraj z prośbą o udzielenie dostępu do archiwów waszego zakonu.

— Tak jest, profesorze. Arcybiskup czeka na pański telefon. Chwileczkę.

Henry był zdziwiony zachowaniem sekretarza. Nie spodziewał się osobistego kontaktu z arcybiskupem, najwyżej z pomniejszym urzędnikiem z archiwum.

— Profesorze Conklin... — rozległ się w słuchawce poważny, ale sympatyczny głos. — Pańska informacja o mumii spowodowała u nas pewne zamieszanie. Jesteśmy bardzo zainteresowani wszystkim, czego się pan dowiedział, i chętnie pomożemy.

— Dziękuję, ale nie sądzę, aby sprawa wymagała zakłócania spokoju Eminencji.

— Prawdę mówiąc, jestem mocno zaintrygowany. Przed wstąpieniem do seminarium zrobiłem magisterium z historii europejskiej i uczestnictwo w tego rodzaju badaniach byłoby dla mnie raczej zaszczytem niż kłopotem. Proszę więc otwarcie mówić, jak możemy pomóc.

Henry ucieszył się, że znalazł wśród ludzi Kościoła miłośnika historii. Odchrząknął.

— Miałem nadzieję, że z pomocą Eminencji i dzięki dostępowi do archiwów kościelnych uda mi się odtworzyć życiorys księdza, którego znaleźliśmy, i być może rzucić nieco światła na to, co mu się przytrafiło.

— Z pewnością się to uda. Moje biuro jest do pańskiej dyspozycji. Gdyby się okazało, że to naprawdę ksiądz z zakonu dominikanów, zasługuje na oddanie mu należnej czci. Jeśli żyją potomkowie jego rodziny,

należy przenieść szczątki do właściwej parafii i urządzić odpowiedni pochówek.

— Całkowicie się zgadzam. Próbowałem zebrać wszelkie możliwe informacje, ale potrzebny mi dostęp do kościelnych archiwów. Na razie ustaliłem nazwisko: de Almagro. Najprawdopodobniej działał wśród hiszpańskich dominikanów, niedługo po roku tysiąc pięćsetnym. Mam kopię jego rodzinnego herbu, którą chętnie Waszej Eminencji przefaksuję.

— Hm... szesnasty wiek... aby zdobyć tak stare akta, pewnie będziemy musieli przejrzeć archiwa konkretnych zakonów. To może zająć nieco czasu.

— Tak podejrzewałem, ale miałem nadzieję, że dowiem się czegoś przed powrotem do Peru.

— Rozumiem, to podsunęło mi wskazówkę, gdzie zacząć. Przekażę oczywiście pańską sprawę do Watykanu, ale w peruwiańskim Cuzco istnieje do dziś bardzo stara dominikańska enklawa prowadzona przez, jeśli się nie mylę, opata Ruiza. Jeśli ksiądz, o którym mowa, został wysłany w misję do Peru, tamtejsze opactwo może mieć jakieś dokumenty.

Henry wyprostował się na krześle, podniecenie dodało energii zmęczonemu ciału. Oczywiście! Sam powinien był o tym pomyśleć.

— Doskonale. Dziękuję bardzo, Eminencjo, podejrzewam, że pomoc Eminencji okaże się nieoceniona przy rozwikłaniu tej zagadki.

— Mam nadzieję. Mój sekretarz zaraz przekaze panu nasz numer faksu i będziemy czekać na dokument.

— Prześlę go natychmiast. — Henry zaczekał, aż na linii pojawi się sekretarz, i bezwiednie zapisał numer faksu, myślami był bowiem całkiem gdzie indziej. Jeśli ksiądz de Almagro przebywał w Peru długo, w opactwie w Cuzco mogły być nawet jego listy i sprawozdania. Może da się z nich wywnioskować coś na temat zaginionego miasta.

Henry odłożył słuchawkę i wsunął szkic pierścienia do faksu. Wybrał numer i czekał na transmisję.

Po wysłaniu faksu zmusił się do analizy kolejnej związanej z mumią tajemnicy. Spędził noc, zastanawiając się nad przeszłością księdza, ale ponieważ miał ograniczone możliwości, pozwolił sobie na spekulacje dotyczące ostatniej zagadki mumii, zatajonej przed arcybiskupem: eksplozji czaszki, z której wytrysnęło złoto.

Co właściwie się wydarzyło? Co to była za substancja? Arcybiskup na pewno nie wniósłby w tej sprawie nic nowego. Pomóc mogła tylko jedna osoba, do której Henry już dawno chciał zadzwonić, ale nie miał pretekstu. Odkąd spotkał tę kobietę po trzydziestu latach, nie mógł przestać o niej myśleć.

Faks skończył transmisję i Henry podniósł słuchawkę. Wybrał numer i odczekał pięć dzwonek.

— Halo?

— Joan?

— Tak? — Wydawała się zaskoczona.

Henry wyobrażał sobie jej twarz, okoloną włosami o barwie skrzydeł kruka. Czas ledwie odcisnął na Joan ślad: dodał jej kilka siwych smug we włosach, okulary do czytania, kilka zmarszczek. Najrozkoszniejsze cechy pozostały jednak niezmienione — lekko zarysowujący się uśmiech, rozbawione oczy. Bystry intelekt i ciekawość świata nie zostały zżarte przez lata pracy na konserwatywnej uczelni. Henry'emu nagle zabrakło słów.

— T... to ja, Henry. Przepraszam, że... przeszkadzam o tak wczesnej porze.

Jej głos stracił chłodną obojętność i wyraźnie się ocieplił.

— Wczesna pora? Właśnie wróciłam ze szpitala.

— Pracowałam całą noc?

— No cóż... przeglądałam skany twojej mumii i... hm... straciłam poczucie czasu.

Henry popatrzył na swoje wymięte ubranie i uśmiechnął się.

— Doskonale cię rozumiem.

— Dowiedziałeś się czegoś nowego?

— Połączyłem kilka faktów. — Szybko opowiedział o odkryciu nazwiska księdza i telefonie do arcybiskupa. — A co u ciebie? Masz coś nowego?

— Niewiele, ale chętnie bym z tobą usiadła i omówiła parę spraw. Materiał w czasce jest niezwykły.

Henry bez zastanowienia przeszedł do ofensywy.

— Może zjemy dziś razem lunch? — Zacisnął powieki. Nie chciał wyjść na zdesperowanego. Poczuł, że czerwieni się z powodu własnej nieporadności.

Zapadła długa cisza.

— Niestety, nie mogę iść na lunch.

Skłął się w myśli. Na pewno go przejrzała. Od śmierci Elizabeth nie próbował romansować z żadną kobietą, ale nie bardzo mu na tym zależało — aż do teraz.

— Ale co powiesz na kolację? — dodała Joan. — Znam przyjemny włoski lokal nad rzeką.

Henry z trudem przełknął ślinę i spróbował opanować głos. Czyżby mógł mieć nadzieję, że Joan proponuje coś więcej niż spotkanie kolegów po fachu? Może odnowienie dawnych uczuć? Ale minęło tyle lat... tyle wody upłynęło od studenckich czasów. Iskry, które przeskakiwały między nimi, już dawno zgasły. Czy na pewno?

— Henry?

— Tak... byłoby świetnie.

— Mieszkaś w Sheratonie, prawda? Mogę cię zabrać około ósmej. Jeśli nie masz nic przeciwko późnej kolacji.

— Mnie pasuje. Często późno jadam, więc nie ma problemu. I prawdę mówiąc... hm... — Jąkaninę Henry'ego na szczęście przerwał drugi telefon. Zakaszłał zażenowany. — Przepraszam, Joan. Mam drugą rozmowę, zaraz do ciebie wrócę.

Odłożył słuchawkę, wziął głęboki wdech, żeby się uspokoić, i przełączył się na drugą linię.

— Słucham?

— Profesor Conklin?

Henry natychmiast rozpoznał głos i zmarszczył czoło.

— Arcybiskup Kearney?

— Tak, chciałem powiedzieć, że właśnie dostałem pański faks i rzuciłem na niego okiem. Widok jest... zaskakujący.

— Co Eminencja ma na myśli?

— Emblemata ze skrzyżowanymi szablami nad krucyfiksem. Dość dobrze go znam.

Henry wziął do ręki pierścień księdza i przysunął go do światła.

— Też wydał mi się znajomy, choć nie umiałem go rozpoznać.

— Nic dziwnego. To bardzo stary symbol.

— To znaczy?

— Znak hiszpańskiej inkwizycji.

Henry wstrzymał oddech.

— Słucham? — Przed oczami zaczęły mu przelatywać obrazy sal tortur i ciał palonych rozżarzoną żelazem. Ten ponury rozdział katolicyzmu dawno został zamknięty, a historia potępiła Kościół za stulecia śmierci i tortur zadawanych w imię religii.

— Pierścień wskazuje na to, że nasz ksiądz był inkwizytorem.

— Boże... — jęknął Henry, zapominając na chwilę, z kim rozmawia.

Arcybiskup zachichotał z rozbawieniem.

— Uznałem, że powinien się pan dowiedzieć, niestety muszę kończyć rozmowę. Przekażę informacje od pana do Watykanu i opatowi Ruizowi w Peru. Mam nadzieję, że wkrótce dowiemy się więcej.

Arcybiskup rozłączył się i Henry przez chwilę siedział otępiały, aż obudził go dzwonek telefonu.

— Boże... Joan... — Szybko przełączył się z powrotem do czekającej patolog. — Przepraszam, że to tak długo trwało, ale zadzwonił arcybiskup Kearney.

— Czego chciał?

Henry, nadal wstrząśnięty, przekazał jej nowiny.

— Inkwizytor?

— Na to wygląda. Kolejny fragment układanki.

— Zdumiewające — rzekła Joan. — A więc mamy jeszcze jedną sprawę do obgadania przy kolacji.

— Jasne. Do zobaczenia wieczorem — powiedział ze szczerym entuzjazmem.

— Więc mamy randkę. — Joan szybko się pożegnała i rozłączyła.

Henry powoli odłożył słuchawkę. Nie wiedział, co bardziej go zaskoczyło: fakt, że znalazł zmumifikowanego inkwizytora, czy perspektywa randki.

...

Gil wchodził po schodach jedyne go hotelu w Villacuacha. Drewniane stopnie skrzypiały pod jego ciężarem. Nawet w zacienionym wnętrzu dało się odczuć popołudniowy upał. Duchota otulała niczym gruby koc. Stał pot z karku naderwanym rękawem i zaklął pod nosem. Po całonocnej ucieczce przez dżunglę był cały podrapany, a do tego wkurzony. Udało mu się tylko krótko zdrzemnąć.

— Lepiej, żeby się nie spóźnił — mruknął pod nosem, wspinając się na trzeci podest. Po ucieczce z obozu dotarł o wschodzie do ścieżki w dżungli, gdzie za sprawą szczęśliwego trafu natknął się na Indianina z mułem i wozem z powykrzywianymi kołami. Garść monet zapewniła mu przejazd do wsi. Zadzwoił stamtąd do znajomego, który załatwił mu pracę w ochronie obozu. Wyznaczyli spotkanie na południe.

Gil poklepał się po tkwiącym bezpiecznie w kieszeni złotym kielichu. Człowiek, z którym miał się spotkać — handlarz antykami — za tak rzadki okaz na pewno zapłaci okrągłą sumkę i nie będzie się kłócić o cenę. Aby zwerbować ludzi, którzy pomogą mu przejąć kontrolę nad wykopaliskami, Gil potrzebował szybko gotówki.

Powiódł dłonią po długim nożu za pasem. Jeśli będzie trzeba, przekona faceta, żeby zapłacił odpowiednią sumę. Nie pozwoli, by cokolwiek stanęło między nim a skarbem — poniósł już dość kosztów.

Po dotarciu na szczyt schodów poprawił przyklejony do policzka plaster. Zostanie wynagrodzony za tę bliznę. Przysiągł to sobie. Zgrzytnął na potwierdzenie zębami i ruszył wąskim korytarzem. Znalazł odpowiednie drzwi i zapukał.

— Wejść! — dobiegł ze środka zdecydowany głos.

Gil nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Kiedy wszedł, jego uwagę od razu zwróciły dwie rzeczy. Pierwszą był panujący wewnątrz odświeżający chłód. Pod sufitem powoli obracał się wentylator, poruszając powietrzem i usuwając wilgoć. Podwójne drzwi, wychodzące na balkon z widokiem na cienisty hotelowy ogród, były szeroko otwarte i wpadała przez nie chłodna bryza, tak inna niż duchota w parnej dżungli. Firanki z białej koronki poruszały się pod wpływem łagodnego powiewu, moskitiera wokół pojedynczego łóżka wydymała się łagodnie niczym żagiel.

Gil odniósł wrażenie, że bardziej niż bryza pokój ochładza obecność lokatora. Po raz pierwszy spotykał się z nim osobiście. Wysoki handlarz siedział w wyściełanym poduszkami rattanowym fotelu, zwrócony plecami do balkonu, skąd mógł obserwować wejście i przybysza. Ubrany był na czarno, od butów po zapiętą pod szyję koszulę. Skrzyżował nogi i trzymał w dłoni drinka, w którym pobrzękiwał lód. Cera mężczyzny świadczyła o latynoskim lub hiszpańskim pochodzeniu. W Gila wpatrywały się ciemne oczy, twarzy dodawały powagi krótko ostrzyżone włosy i cienki wąsik.

Mężczyzna nawet nie próbował się uśmiechnąć, wskazał tylko wzrokiem stojące obok krzesło na znak, żeby Gil usiadł.

Ten, ubrany w porwane i prze poczone ubranie, poczuł się jak wieśniak przed obliczem króla. Nawet nie był w stanie okazać mężczyźnie złości. Wyczuwał w nim twardość, której nie miał szansy dorównać, coś, czemu nigdy by nie śmiał rzucić wyzwania.

— Mam... mam to, o czym mówiliśmy — powiedział z trudem.

Tamten jedynie skinął głową.

— Więc pozostaje ustalić cenę.

Gil powoli opadł na krzesło. Usiadł na skraju, więc nie mógł wygodnie się oprzeć. Chciał jak najszybciej zakończyć transakcję — nieważne, za jaką cenę. Niczego nie pragnął bardziej, niż opuścić chłodny pokój, zamienić go na znajomą duchotę kipiącego życia miasta.

Nie potrafił spojrzeć handlarzowi w oczy. Gapił się przez okno na kościelną wieżę, której wąski krzyż odcinał się wyraźnie od błękitnego nieba.

— Pokaż, co znalazłeś — powiedział, ściągając na siebie uwagę słowami i brzękiem kostek lodu w szklance, którą lekko zakręcił.

— Oczywiście. — Gil przełknął ślinę, wyciągnął wgnieciony na brzegu kielich i postawił go na stoliku. Rubiny i szmaragdy zamigotały jaskrawo na tle złota. Na widok zdobionego węża owijającego się wokół kielicha poczuł, jak powraca mu zdecydowanie. — Jest... jest tego więcej. Jak będę miał dość ludzi i odpowiednie narzędzia, na koniec tygodnia mogę przynieść sto razy tyle.

Handlarz odstawił drinka na stół i sięgnął po kielich. Uniósł go pod światło i nieznośnie długo oglądał.

Czekając, Gil splatał i rozplatał palce leżących na podłożu dłoni. Kiedy kupiec ocenił wykonanie, Gil widział jedynie wgniecenie na brzegu. Bał się, że uszkodzenie znacznie zmniejszy cenę — tamten stanowczo zaznaczył, że dostarczane artefakty mają być nienaruszone.

Kiedy kupiec wreszcie opuścił kielich, Gil zebrał się na odwagę, by spojrzeć mu w oczy. Zobaczył w nich jedynie złość.

— To wgniecenie... już było — wydukał szybko.

Mężczyzna w milczeniu wstał i podszedł do barku za plecami Gila. Słychać było, jak dodaje lodu do szklanki. Potem zaszedł gościa od tyłu.

Gil nie był w stanie się odwrócić. Wpatrywał się bez ruchu w stojący na stoliku skarb.

— Jeśli go pan nie chce... nie będę nalegał.

Nie odwracając głowy, Gil wyczuł, że tamten pochyła się ku niemu. Włoski zjeżyły mu się na karku w odruchu z czasów jaskiniowych przodków. Poczuł tuż przy uchu oddech kupca.

— To zwykłe złoto. Bez wartości.

Gil zbyt późno wyczuł zagrożenie i gdy sięgnął po nóż, dłoń dotknęła pustej pochwy. Zanim zdążył zareagować, jego głowa została odchylona do tyłu i kątem oka ujrzał w ręce napastnika własną broń. Nawet nie zdążył się zdziwić, w jaki sposób ją stracił. Wystarczył szybki ruch nadgarstka mężczyzny i nóż rozplątał Gilowi gardło, rysując ognistą linię od ucha do ucha. Gil został pchnięty do przodu i padł na podłogę, a krew chlusnęła na wyszorowane do białości deski.

Kiedy przewrócił się na plecy i zaczął dusić się własną krwią, zobaczył, jak kupiec wraca do barku po drinka.

— Ppp... proszę... — zacharczał, unosząc rękę błagalnym gestem. Światło wokół zaczęło ciemnieć. Tamten nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Z oczami pełnymi łez Gil odwrócił się do okna i krzyża na błękitnym niebie. Proszę, tylko nie w ten sposób... Pomodlił się w milczeniu, ale i stamtąd nie nadszedł ratunek.

...

Kończąc drinka, mężczyzna przyglądał się nieruchomemu ciału Guillerma Sali. Na niemal białej podłodze kałuża krwi wydawała się czarna. Nie czuł zadowolenia z zabójstwa — Chilijczyk zrobił swoje i stał się raczej zagrożeniem niż narzędziem do realizacji celu.

Westchnął i starając się nie zabrudzić butów, przeszedł przez pokój, wziął ze stołu inkaski klejnot, zważył go w dłoni i oszacował, jaką uzyska cenę po wydobyciu kamieni i przetopieniu złota w sztabkę. Nie takiego odkrycia się spodziewał, ale trudno. Z tego, co powiedział Gil o podziemnej komorze, wynikało, że jest szansa na obfitszy łup. Podeszedł do łóżka i schował kielich do leżącej na nim sakwy.

Rozejrzał się po pokoju. Zostanie sprzątnięty wraz z zapadnięciem zmroku.

Wyszedł z sakwą w rękę; przyjemny chłód od razu zastąpiło parne powietrze w wąskim korytarzu i na schodach. Natychmiast na czoło wystąpił mu pot, ale nie zwracał na to uwagi. Dorastał na tych wilgotnych wyżynach i przywykł do klimatu. Był mieszańcem, *mestizo*, dzieckiem Latynosa i miejscowej Indianki, ale mimo znaku hańby udało mu się wywalczyć dla siebie wysoką pozycję w łańcuchu pokarmowym.

Po minucie był na zewnątrz, w południowym słońcu. Schody przed hotelem oślepiały, zszedł po nich, osłaniając oczy, i niemal wpadł na stojącą na dole Indiankę z dzieckiem.

Kobieta, ubrana w tunikę i szal z surowej tkaniny, była nie mniej zaskoczona niż on. Opadła przed nim na kolana, złapała go za nogawkę i uniosła ku niemu dziecko owinięte alpakowym kocem w jaskrawych kolorach. Zaczęła szybko mówić w kiczua.

Mężczyzna łagodnie się uśmiechnął i skinął głową. Położył sakwę na ostatnim stopniu, sięgnął za kołnierzyk i wyjął srebrny krucyfiks. Krzyż mocno odcinał się na tle czarnego ubrania. Uniósł dłoń nad głowę dziecka i pobłogosławił je. Pocałował malca w czoło, wziął sakwę i ruszył w kierunku kościoła.

— *Gracias!* — zawołała za nim Indianka. — Dziękuję, ojcie Otera!

. . .

W ciemnych ruinach czas płynął powoli. Maggie mogłaby przysiąc, że minęło kilka dni, lecz o ile jej zegarek się nie popsuł, był ten sam dzień, zbliżało się południe. Byli uwięzieni niecałe pół doby.

Skrzyżowawszy ramiona na piersi, obserwowała pozostałych. Sam stał przy zasypanym wejściu z zarzuconym na ramię karabinem i walkie-talkie przy ustach. Od rana był w kontakcie z Philipem — oszczędzając baterie, starał się pomóc mu jak najlepiej oszacować stan ruiny.

— Nie! — wrzasnął właśnie do nadajnika. — Cały poziom jest podpierany przez stertę gruzu! Jeśli spróbujesz przebijać się przez pierwotny szyb, zwalisz nam wszystko na głowy! — Zapadła długa cisza, Sam słuchał. — Cholera, Philipie, posłuchaj mnie! Jestem na dole i widzę, że ściany opierają się o stertę kamieni. Zabijesz nas. Znajdź miejsce, przez które szabrownicy próbowali przebić tunel. To najlepsza droga.

Pokręcił głową z niedowierzaniem i odwrócił się do Maggie.

— Drań jest wystraszony jak królik — wyjaśnił. — Jak zwykle szuka skrótów.

Maggie słabo się uśmiechnęła. Osobiście nie miałyby nic przeciwko jak najszybszemu rozwiązaniu problemu.

Ralph i Norman przykucnęli wokół ich jedyne źródła światła — latarki Denala. Ralph trzymał ją tak, by Sam mógł ocenić poziom zniszczeń i stan pękającego sufitu. Po paru krótkich drzemkach w nocy Norman zrobił kilka zdjęć. Stał ze zwisającym u szyi aparatem i przyciskał go do brzucha. Jeśli przeżyją, miał szansę zdobyć kilka nagród za zdjęcia. Jego mina wyraźnie jednak wskazywała na to, że chętnie zamieniłby Pulitzera na szansę ujścia z życiem.

— Uważaj!

Krzyk za plecami przestraszył Maggie. Zamarła, ale czyjaś dłoń błyskawicznie ją pchnęła. Zatoczyła się dwa kroki do przodu, a w miejsce, gdzie przed chwilą stała, z góry zwałił się wielki kawał granitu. Cała świątynia zadygotała. Na kilka sekund kurz uniemożliwił oddychanie.

Maggie odwróciła się i zobaczyła Denala, pokrytego pyłem niczym górnik, próbującego wstać. Między nimi leżał fragment skały. Do Maggie zaczynało docierać, jak mało brakowało, by została zmiażdżona.

Sam już przy niej był.

— Musisz uważać na sufit — skarcił ją.

— Serio? — Odwróciła się do chłopca. — Dzięki, Denal.

Nie patrząc jej w oczy, chłopak mruknął coś w ojczystym języku. Była pewna, że poczerwieniał. Ujęła go pod brodę i pocałowała w policzek. Kiedy się odsuwała, oczy miał większe od spodków.

Odwróciła się, by oszczędzić chłopakowi zażenowania.

— Może powinniśmy przejść poziom w dół? — spytała Sama, wskazując głaz, który spadł ze stropu. — Masz rację, konstrukcja jest bardzo niestabilna. Może niżej będziemy bezpieczniejsi?

Sam się zastanowił. Zdjął kapelusz, przeczesał palcami włosy i spojrzał w górę.

— Może to dobry pomysł...

Podszedł Ralph i skierował światło na strop.

— Popatrz, jak poprzesuwały się płyty.

Maggie podążyła za jego wzrokiem. Ralph miał bystre oko. Niektóre prostokątne kamienie wysunęły się kilka centymetrów, nawet teraz, gdy patrzyli, jeden przesunął się o centymetr w bok.

Nie uszło to także uwagi Sama.

— W porządku... idziemy wszyscy poziom niżej... — powiedział lekko drżącym głosem.

Ralph ruszył przodem, tuż za nim podążył Norman.

— Ale bym się napił lemoniady z wielkiej szklanki wypełnionej po brzegi lodem — mruknął.

Sam skinął głową.

— Jeśli przyjmujesz zamówienia, to dla mnie coś z pianką. Może dużą coronę w mrożonym kuflu, z częstką limonki.

Maggie starła pot z czoła.

— W Irlandii pijemy piwo o temperaturze pokojowej, ale teraz byłabym gotowa przejąć wasze amerykańskie zwyczaje i wziąć coś lodowatego...

Kiedy doszli do drabiny, Ralph głośno się roześmiał.

— Wątpię, by Inkowie zostawili tu lodówkę, ale mogę się rozejrzeć. — Machnął latarką na Maggie, by schodziła pierwsza.

Choć starał się dobrze oświetlać drogę, szybko pochłonęła ich ciemność kolejnego poziomu i uśmiech zniknął z ust Maggie. Żarciki niewiele dawały — mrok poza granicą światła był wszechobecny, stale przypominał, w jakim są niebezpieczeństwie.

Czekając na pozostałych, Maggie rozmyślała nad ostatnimi słowami Ralpa. Co właściwie zostawili tu Inkowie? Co było w komorze za kamiennymi drzwiami i co przytrafiło się towarzyszom Gila?

Ciekawość zżerała ją, a skupienie na tajemnicy łągodziło nieco strach, że mogą zostać przysypani piętnastoma metrami gruzu. Jeśli pozwolić strachowi się rozpanoszyć...

Maggie pokręciła głową — nie straci znów panowania nad sobą. Kiedy patrzyła, jak Sam schodzi po drabinie, odczuwała lekkie poczucie winy. Po ataku epilepsji nie była z nim całkiem szczerą — nie powiedziała, że choroba zaczęła się po tym, jak w rowie melioracyjnym w Belfaście była świadkiem śmierci Patricka Dugana. Lekarze nie stwierdzili fizjologicznych przyczyn ataków, ale zgadzali się co do tego, że to rodzaj napadów paniki. Odepchnęła poczucie winy — szczegóły nie były sprawą Sama. Szybko poradziła sobie ze świadomością, że zostali uwięzieni. Dopóki będzie miała coś, co pozwoli jej odwrócić uwagę od zagrożenia, nic się nie stanie.

Sam włączył walkie-talkie. Radio działało, choć z powodu większej głębokości szum się nasilił. Sam przekazał Philipowi wiadomość, że

przenieśli się nizej. Kiedy skończył rozmowę, podeszła do niego Maggie.

— Chciałabym pożyczyć lampę ultrafioletową.

— Po co?

— Żeby sprawdzić, jakich szkód narobił Guillermo.

— Nie pozwolę, żebyś chodziła samopas. Musimy trzymać się razem.

Już miał się odwrócić, kiedy złapała go za ramię.

— To nie była prośba. Pójdę tak czy siak. To zajmie tylko kilka minut.

— Pójdę... pójdę z panią, miss Maggie — powiedział stojący dwa kroki dalej Denal.

Sam przyjrzał się obojgu i dostrzegł, że dziewczyna jest zdeterminowana.

— W porządku. Ale nie odchodź na dłużej niż piętnaście minut. Musimy oszczędzać światło i nie chcę was potem szukać.

— Dzięki, Sam. — Maggie skinęła głową.

— Pójdę z wami — wtrącił się Norman, zarzucając aparat na szyję.

Ralph też wyglądał na zainteresowanego, ale Sam spiorunował go wzrokiem.

— Idźcie we trójkę, ja i Ralph przyjrzymy się temu poziomowi i ocenimy jego stabilność. — Wyjął lampę z kieszeni i podał ją Maggie, wypuścił ją jednak z dłoni dopiero po końcowym ostrzeżeniu. — Piętnaście minut. Bądźcie ostrożni.

Niepokój w jego głosie utemperował ton jej odpowiedzi.

— Wiem, Sam. Nie martw się.

Uśmiechnął się, po czym wrócił do rozmowy z Philipem.

Maggie włączyła lampę i dała znak obu towarzyszom, aby szli za nią do następnej drabiny. Kiedy wyszli z kręgu jaśniejszego światła, natychmiast pochłonął ich mrok. Fioletowawy blask rozjaśniał zawarty w granicie kwarc, tworząc w głębi korytarza obraz przypominający rozgwieżdzone niebo. Maggie prowadziła, pozostała dwójka starała się trzymać tuż za jej plecami.

Przy każdej kolejnej drabinie serce coraz głośniej łomotało w uszach Maggie. Wkrótce miała wrażenie, że dźwięk dobiega spoza jej ciała.

— Co to za odgłos? — spytał Norman, kiedy zeszli z ostatniej drabiny.

— Już wcześniej go słyszałem — odparł Denal szeptem. — Po tym jak *señor* Sala stąd wyszedł. — Maggie stwierdziła, że to nie serce jej wali,

lecz dudni coś znacznie głębiej w świątyni. Drzenie przenikało nawet przez kamienie pod stopami.

— Brzmi jak tykanie wielkiego zegara — rzekł Norman.

— Idziemy dalej — powiedziała Maggie, unosząc wyżej światło. W porównaniu z dolatującym z dołu dudnieniem jej głos brzmiał jak pisk myszy.

Pokonali ostatni tunel i stanęli przed zniszczonym kamiennym wejściem. Pozostały tylko ułamane nity, w błocie po obu stronach progu leżały sztaby grawerowanego hematytu, spękane i poszczerbione od łomu. Łom stał oparty o ścianę.

Denal pochylił się i podniósł narzędzie.

Wejście częściowo blokowała przewrócona płyta, która jeszcze niedawno służyła za drzwi. Norman cofnął się kilka kroków i zajrzał do środka.

— Nic nie widzę.

Maggie przysunęła się, ale też wolała trzymać się dalej od wejścia. Gil nie bez powodu był przerażony i skądś musiało się wziąć oparzenie na jego policzku. Co tam było?

Norman i Maggie wymienili spojrzenia. Dziewczyna wzruszyła ramionami i trzymając lampę jak pistolet, ruszyła naprzód. Zatrzymała się w progu i wsunęła rękę do środka. Światło docierało do końca korytarzyka, basowe tykanie było znacznie głośniejsze.

— Przed nami jest chyba jakieś duże pomieszczenie, ale światło nie sięga w głąb — powiedziała cicho i popatrzyła przez ramię na Normana.

— Może powinniśmy poczekać na pozostałych.

Maggie zamierzała zaproponować to samo, ale ponieważ zrobił to Norman, zmieniła zdanie. Wyobrażała sobie minę Sama na wieść, że nawet nie spróbowała rzucić okiem do środka. Zużywała baterię lampy, aby dotrzeć tak daleko, więc powinni odkryć coś wartego wysiłku.

— Wchodzę — oświadczyła i ruszyła, zanim strach zdążył ją zatrzymać. Nie zamierzała dać sobą rządzić paraliżującemu lękowi z dzieciństwa.

— W takim razie wchodzimy wszyscy — powiedział Norman, kiedy zaczęła przechodzić nad przewróconymi kamiennymi drzwiami.

Zatrzymała się w korytarzyku. Norman i Denal dołączyli do niej.

— Patrzcie. — Wskazała lampą. — Coś tam jest, odbija światło. — Zaciekawiona, zaczęła powoli sunąć do przodu.

— Zaczekaj! — rzucił Norman. — Najpierw sprawdźmy, co to takiego.

Maggie odwróciła się do niego zdziwiona. Norman unosił aparat.

— Nie patrzcie prosto w lampę błyskową — ostrzegł.

Odwróciła się, a aparat błysnął. Po długim czasie w ciemności ostre światło powoduje ból, ale jęk Maggie nie wynikał tylko z tego. Choć światło jaśniało zaledwie przez ułamek sekundy, obraz, jaki powstał na siatkówkach, był wyraźny.

— Wi... widzieliście to? — wyszeptała.

Denal wymamrotał coś w ojczystym języku, wydawał się zdumiony.

Norman musiał odchrząknąć.

— Wszędzie złoto i srebro.

Maggie uniosła lampę Wooda, jej fioletowawe światło wydawało się teraz ledwie widoczne.

— A postać... widzieliście ją? Musi mieć przynajmniej dwa metry!

Kiedy przesunęła się jeszcze trochę do przodu, Norman natychmiast do niej dołączył. Denal z łomem ich nie odstępował.

— Dwa metry — szepnął Norman. — Nie może być ze złota. Może?

Maggie wzruszyła ramionami.

— Kiedy Hiszpanie się tu zjawili, opisali odkrytą w Cuzco Świątynię Słońca. *Coriancha*. Pomieszczenia były ponoć wyłożone grubymi płytami ze złota, a w samym centrum świątyni stał naturalnej wielkości model pola kukurydzy. Łodygi, liście, kolby, nawet ziemia... wszystko było ze złota.

Stali teraz przy wejściu do pomieszczenia. Maggie uklękła i delikatnie powiodła dłonią po złotej płycie u swoich stóp.

— Zdumiewające... chyba odkryliśmy drugą Świątynię Słońca.

— A co jest tam w głębi? — spytał Norman. — Na podłodze?

— Co masz na myśli? — Wstała i cofnęła się o krok.

Wskazał na cień majaczący na skraju fioletowawego kręgu. Maggie uniosła wyżej lampę i światło rozlało się po złocie i srebrze niczym po nocnym jeziorze. Zaczęła przysuwać się za światłem, jedną stopę postawiła na skraju metalowej podłogi.

Denal zagroził jej drogę łomem.

— Nie, miss Maggie — mruknął. — Tu coś śmierdzi.

— Ma rację — powiedział Norman. — Co to za smród?

Maggie wychwyciła odór przebijający się przez słodkawy zapach mokrej gliny i pleśni.

— Błyśnij jeszcze raz.

Norman skinął głową, uniósł aparat i poczekał, aż dziewczyna odwróci wzrok. Błysk światła wystrzelił w głąb pomieszczenia.

— Boże! — zawołała Maggie i zatoczyła się dwa kroki do tyłu.

Zasłoniła usta. Kiedy flesz błysnął, patrzyła w kierunku ciemnej plamy na podłodze i ze wszystkimi szczegółami ukazała jej się umęczona twarz. Poszarpane i poskręcane ciało, szeroko otwarte martwe oczy i krew... mnóstwo krwi. Za pierwszym ciałem leżało następne, tuż pod ścianą.

— Juan i Miguel — wymamrotał Denal.

Zapadła długa cisza.

— To nie sprawka Gila, prawda? — spytał w końcu Norman. — Nie zamordował ich dla złota?

Maggie powoli pokręciła głową. Zmasakrowana postać Juana znowu stała się obłym cieniem. W sali ze skarbem cały czas dudniło bicie serca jakiegoś olbrzymiego potwora. Rozpoznała w końcu, co to jest: tykanie ukrytych za ścianami i pod podłogą wielkich trybów.

Nagle przypomniało jej się ostrzeżenie wygrawerowane na plombach drzwi sali: *Zostawiamy ten grobowiec Niebiosom. Niech nikt go nigdy nie niepokoi.*

— Maggie?

— Nie, Gil tego nie zrobił. To pomieszczenie ich zabiło.

Zanim Norman zdążył odpowiedzieć, komora gwałtownie zadygotała, zwalając ich z nóg. Maggie upadła na skraj wyłożonej płytami podłogi z takim impetem, że całe powietrze uleciało jej z płuc. Spróbowała nabrać tchu i — czując niebezpieczeństwo — równocześnie odsunąć się od wejścia.

— Co to było?! — wrzasnął Norman.

Maggie przesunęła lampę — z wejścia do komory płynęła ku nim gęsta chmura pyłu.

— Boże! Jezus... Maria! Wstawać! — zaczęła krzyczeć.

— Co się dzieje? — Norman był na skraju paniki.

Maggie pchnęła go w kierunku korytarza.

— Niech to cholera! Ruszaj się! Ta cholerna świątynia się zawala!

. . .

Sam sprawdził, czy nic nie stało się Ralphowi. Oszołomiony olbrzym próbował podeprzeć się rękami. Kiedy oderwał się kawał sklepienia, kamienna płyta drasnęła go w głowę. Na szczęście chwilę przedtem ostrzegł ich zgrzyt w suficie.

— Żyjesz? — spytał Sam, otrzepując dzinsy.

Ralph ukląkł.

— Chyba tak. — Delikatnie obmacał krwawy guz na czole. — Jeszcze nigdy nie atakowałem granitowej płyty.

— Nie ruszaj się. — Sam wziął z podłogi latarkę. — Sprawdzę, co się stało.

Ralph wyszczerzył zęby i wstał.

— Akurat — rzucił. — Trzymamy się razem.

Sam skinął głową. Tak naprawdę nie miał ochoty dokonywać inspekcji w pojedynkę. Powietrze niemal całkowicie wypełniły pył i sypiący się ze sklepienia piach. Zasłaniał usta i nos rękawem, ale nie uchroniło go to od kaszlu.

— Tędy... — mruknął i ruszył w kierunku szybu prowadzącego na pierwszy poziom świątyni.

Na widok połamanej drabiny Ralph jęknął.

— To nie wróży niczego dobrego...

Nie mylił się — droga na górę była zablokowana przez sześciennie głązy, które z daleka wyglądały jak poprzewracane klocki.

— Pierwszy poziom musiał się całkowicie zawalić — stwierdził Sam.

Z walkie-talkie u jego pasa buchnął radiowy szum. Kiedy odebrał, z głośnika dobiegł roztrzęsiony głos Philipa.

— ...w porządku? Raportuj, do cholery! Odbiór!

Sam wcisnął nadawanie.

— Tu Sam. Nic nam nie jest. — Nad ich głowami sklepienie jęknęło i posypały się strużki piasku. — Choć nie wiem, jak długo to potrwa. Jak wam idzie przebijanie tunelu od podstawy wzgórza?

Przez chwilę znowu słychać było jedynie trzaski, po czym wrócił głos Philipa.

— ...właśnie znaleźliśmy szyb szabrowników. Jest ledwie zaczęty... przynajmniej dwa dni... po pomoc, ale nie wiem, jak długo... — Trzaski znowu zagłuszyły przekaz, przerażenie w głosie Philipa było jednak oczywiste.

— Cholera, dwa dni... — mruknął Ralph. — Świątynia tyle nie wytrzyma.

Sam próbował uzyskać więcej informacji od Philipa, docierały jednak tylko strzępy słów.

— Spróbuję znaleźć zasięg! — wrzasnął. — Czekaj! — Schował walkie-talkie i odwrócił się do Ralph. — Poszukajmy pozostałych. Sprawdźmy, czy są bezpieczni.

— Może na najniższym poziomie będzie najbezpieczniej — odparł Ralph, kiedy rozległo się kolejne jęknięcie nad sufitem. — Wygląda na to, że konstrukcja zawala się poziom po poziomie.

— Miejmy nadzieję, że nas uratują, zanim zabraknie nam poziomów.

Ralph nie miał na to odpowiedzi, podążył bez słowa za Samem.

Kiedy dotarli do drabiny prowadzącej na trzeci poziom, z szybu wyskoczył Norman, którego oczy w świetle latarki wydawały się ogromne. Oślonił twarz dłonią.

— Dzięki Bogu, że nic wam nie jest! — zawołał. — Nie wiedzieliśmy, co tu zastaniemy!

Denal był następny. Sam zauważył łom w jego rękach, ale nic nie powiedział.

Maggie wyszła ostatnia.

— Co się stało? — spytała z napięciem w głosie i zgasiła lampę Wooda.

— Górny poziom się zawalił — odpowiedział Sam i szybko streścił, co im się przydarzyło. — Górne poziomy są zupełnie niestabilne, więc uznaliśmy, że najlepiej schować się na piątym. Na wszelki wypadek.

— Więc będziemy trzymać głowy jak najniżej — zażartowała Maggie.

Norman popatrzył na drabinę.

— Znowu na dół?

Sam zauważył zaniepokojone spojrzenia, jakie wymienili Norman i Maggie.

— Co jest?

— Znaleźliśmy na dole Juana i Miguela — odparł Norman.

Po jego tonie Sam domyślił się, że obaj nie żyją.

— Co się z nimi stało?

— Lepiej zobacz sam — odparła Maggie.

W milczeniu zeszli na najniższy poziom i zatrzymali się przed wyważonymi drzwiami. Sam bez słowa wbijał wzrok w pozrywane

metaliczne sztaby.

— Dranie... — szepnął.

— Dostali za swoje — pośepnie powiedziała Maggie. — Chodź.

Wepchnęła Sama do następnego pomieszczenia i poszła tuż za nim.

Sam szybko oszacował sytuację w komorze, latarką oświetlając ciała. Na chwilę przypomniał mu się obraz zakrwawionych ciał rodziców na noszach. Bezpiecznie przypięty pasem na tylnym siedzeniu forda, w wypadku zaledwie złamał rękę. Odruchowo potarł złamane dawno miejsce.

— Co się z nimi stało?

— W komorze musi być pułapka — odparła Maggie. — Posłuchaj mechanizmu pod podłogą. Jest tam jakieś wymyślne urządzenie do likwidowania szabrowników.

— Nie wiedziałem, że Inkowie mieli taką technologię.

— Inkowie nie, ale niektórzy Indianie z wybrzeża mieli bardzo zaawansowaną technologię wielokrążkową do systemów irygacyjnych. Może tu pomagali?

Sam zatrzymał światło latarki na złotym królu Inków.

— Niezła przynęta. Kto nie rzuciłby się na coś takiego? — Powiódł światłem po układance ze złotych i srebrnych płyt. Umiał dostrzegać pułapki. — W tę grę bym wolał nie grać.

Kamienie pod stopami zgrzytały, z wyższych poziomów dobiegało echo odgłosów, jakby kruszono granit.

— Może nie będziemy mieć wyjścia — powiedziała Maggie. — Pomieszczenie podpiera maszyna, może być najbezpieczniejsze, kiedy cała konstrukcja się zawali.

— Sam, spróbuj jeszcze raz skontaktować się z Sykesem! — zawołał stojący w progu Ralph. — Podpal mu ogień pod tyłkiem! To miejsce się rozpada!

Sam spełnił prośbę i z głośniczka zaskrzeczał radiowy trzask. Wcisnął przycisk nadawania i szum zamilkł.

— Philip, jeśli mnie słyszysz, zgłoś się! Odbiór.

Odpowiedział mu szum, przez który przebiły się pojedyncze słowa.

— ...bujemy poszerzyć szyb, żeby mogło kopać więcej ludzi... rżamy pracować na okrągło...

— Pospieszcie się! To miejsce jest jak domek z kart!

— ...co możemy... cholerni robotnicy... nie rozumieją... —
Komunikat przerwał długi szum.

— To bez sensu... — mruknął Sam i pokręcił głową. Przyłożył walkietalkie do ust. — Informuj nas na bieżąco! — Wyłączył radio i odwrócił się do Maggie. — Nastawmy się na długie oczekiwanie.

Dziewczyna stała z przekrzywioną głową i wsłuchiwała się w jęki świątyni.

— Mam nadzieję, że wystarczy nam czasu — powiedziała.

Sam spróbował ją objąć, ale straciła jego rękę.

— Nic mi nie jest!

Patrzył za nią, gdy wychodziła. Ostatni raz powiódł światłem latarki po wnętrzu komory i też ruszył do wyjścia. Złoto-srebrny wzór nie dawał mu spokoju. Nie była to szachownica, ale skomplikowana układanka z dwoma kwadratami ze złota — jedną w lewym dalszym rogu, drugą w prawym bliższym.

Sam zatrzymał się w pół kroku i zaczął analizować wzór. Wydawał mu się dziwnie znajomy. Znow poświecił na podłogę.

— Czego szukasz? — spytała Maggie.

— Sekundę! — Podszedł do skraju komory. Zmrużył lekko oczy i zaczął uspokajać umysł. Czuł ukryty trop. Zwłoki go zdekoncentrowały, sprawiły, że nie zauważył tego od razu.

— Boże drogi... — wymamrotał.

— Co jest? — spytała Maggie.

Sam powiódł światłem latarki po trzydziestu szeregach metrowych płyt.

— Miałaś rację, że brali w tym udział inni peruwiańscy Indianie. To nie inkaski wzór.

— Jak to? Figura na pewno jest inkaska.

— Nie chodzi mi o figurę. Inkowie pewnie przynieśli ją później. Chodzi mi o podłogę i pomieszczenie. No i o pułapkę.

— Nie rozumiem.

— Spójrz na wzór. Jest tak duży, że ledwie to zauważyłem. — Sam zaczął wskazywać światłem latarki. — Żadne plemię starożytnego Peru, Paracas, Wari, Nazcowie czy Mochica, nie miało języka pisanego. Za to ich piktogramy i ideogramy na rysunkach i tkaninach były bardzo skomplikowane i charakterystyczne dla każdego plemienia. Popatrz na

wzór: dwa złote kwadraty w przeciwległych rogach, połączone zygzakującymi węzowymi liniami. Gdzie już coś takiego widziałaś?

Maggie przysunęła się o krok.

— Boże... masz rację! To olbrzymi piktogram. — Odwróciła się do Sama, oczy miała błyszczące z podniecenia. — To nie dzieło Inków, lecz Mochica!

— Tak jak powiedział mój wuj... — mruknął Sam. — Jesteśmy w piramidzie Mochica.

— Co takiego? Kiedy profesor Conklin wspomniał o Mochica?

Sam ugryzł się w język, ale było już za późno. Zdradził sekret wuja. W obecnej sytuacji wszelkie tajemnice wydawały się jednak absurdalne.

— Posłuchaj, Maggie, mój wuj ukrył coś przed nami wszystkimi. — Sam szybko streścił odkrycie profesora, że Plac Słońca wygląda tak samo jak czubek piramid Mochica na wybrzeżu. — Odkrył to tuż przed wyjazdem z mumią.

Maggie zmarszczyła czoło.

— A więc nie tylko ja trzymałam coś w tajemnicy...

Sam przypomniał sobie, jak zaatakował ją, i zaczerwienił się.

— Przepraszam.

Zapadła długa cisza.

— Jest w tym logika — odezwała się w końcu Maggie. — Biorąc pod uwagę poziom technologiczny, jakiego wymagało skonstruowanie tej komnaty, Mochica musieli być znacznie lepsi w metalurgii od Inków. Budowali skomplikowane kanały i systemy nawadniające, z pompami i przekładniami zębatymi. Jeśli któreś z plemion potrafiło stworzyć pułapkę ze szlachetnego metalu, to Mochica. — Skinęła głową w kierunku wzoru na podłodze. — Jesteś specjalistą od epigrafów. Co to oznacza?

Sam zaczął wyjaśniać, poruszając latarką.

— Popatrz, w jaki sposób schodkowy element styka się z dwoma złotymi kwadratami. Ilustruje to wznoszenie się duszy z doczesnego świata do królestwa duchów i bogów. To oznacza, że tutaj jest brama do nieba.

— Jezus Maria...

— To nie wszystko. — Sam poświecił na sufit, na którym ułożono lustrzane odbicie wzoru z podłogi. — Każda złota płyta na podłodze ma srebrny odpowiednik na suficie, a srebrna złoty. Mochica... i Inkowie też...

wierzyli w dualizm. W języku kiczua nazywa się to *yanantin* i *yanapaque*. Lustrzane odbicie, światło i mrok, to co na górze i to co na dole.

— Yin i yang...

— Otóż to. Dualizm jest znany w wielu kulturach.

— Więc to oznacza... — Maggie nie mogła się powstrzymać i zerknęła w kierunku zmasakrowanych zwłok.

— Że tutaj jest także wejście do piekła.

. . .

Philip przyglądał się zapadniętemu czubkowi góry. Cały szczyt podziemnej świątyni runął w głąb, pozostawiając trzymetrowe zagłębienie, po części wypełnione ziemią i głazami. Szczyt góry przypominał wulkaniczny stożek, z którego nadal unosiła się smuga dymu, wilgotne powietrze nie pozwalało pyłowi opaść.

Choć miał połączyć się z Samem dopiero za pół godziny, Philip już stał niedaleko namiotu komunikacyjnego. Ciasno oplótł swoje ciało ramionami. Kiczuańscy robotnicy do niczego się nie nadawali. Jedyńm sposobem na porozumienie się z tą bandą analfabetów były pantomima i rysunki, które i tak często źle rozumieli.

Zaczynał podejrzewać, że część „nieporozumień” jest celowa — zwłaszcza po tym, jak wbrew ostrzeżeniu Sama kazał im odkopywać pierwotny szyb. Ocena Sama szybko okazała się prawidłowa — po próbie wydobycia dużego fragmenty granitu świątynia znów nieco się zawaliła. Kiedy ustąpiło sklepienie, jeden z robotników złamał nogę, a Kiczua stali się niechętni i marnie reagowali na polecenia.

Podczas poprzedniej rozmowy z Samem Philip z rozmysłem ominął ten temat i nie przyznał się, że niemal pozabijał wszystkich na dole. Na szczęście problemy z łącznością oszczędziły mu wyjaśniania szczegółów.

Popatrzył na skraj dżungli. Robotnicy przynajmniej znaleźli tunel u stóp wzgórza, który zaczęli kopać szabrownicy. Obliczył, że aby dotrzeć do świątyni, trzeba przekopać prawie piętnaście metrów — przy obecnym tempie zajmie to nie dwa dni, jak powiedział Samowi, ale raczej cztery.

— Oczywiście o ile wcześniej nie nadejdzie pomoc — mruknął. Jeśli nie nadejdzie, los ludzi pod ziemią był przesądzony. Jeżeli świątynia się nie zawali, coraz większym problemem będzie woda. Nawet przy tej wilgotności powietrza groziła im śmierć z odwodnienia. Pomoc musiała nadejść. Nie chciał mieć na sumieniu śmierci kolegów — a tym bardziej

w życiorysie. Gdyby wybuchł skandal związany z jego nazwiskiem, mógłby się pożegnać ze stanowiskiem na Harvardzie.

Philip osłonił oczy przed popołudniowym słońcem. Dwóch robotników, ponoć szczególnie sprawnych biegaczy, zostało o świcie wysłanych po pomoc. Wyglądali, jakby potrafili biec cały dzień — jeśli to prawda, mogli w każdej chwili dotrzeć do Villacuacha i telefonu, a przy odpowiedniej organizacji ekipa ratunkowa zaczęłaby pracę za dwa dni.

Philip pokładał wszystkie nadzieje w tej ekipie. Ktokolwiek się pojawi, zwolni go z konieczności podejmowania decyzji. Jeśli ktoś zginie, nie będzie to wyłącznie jego wina. Zrzucenie na kogoś innego choć części odpowiedzialności mogło wybielić go w papierach.

Był jeszcze jeden powód, dla którego modlił się o przybycie ekipy ratunkowej: słońce zachodziło, a on bał się spędzić kolejną długą czarną noc otoczony skrzeczącym lasem. Gdzieś krążył też Guillermo Sala, czekający na odpowiedni moment do ataku.

Zapatrzony w leżącą za horyzontem Villacuacha, Philip posłał indiańskim biegaczom cichą modlitwę.

— Pospieszcie się, dranie.

. . .

Idący ścieżką ojciec Otera popatrzył na zachodzące słońce i naciągnął kaptur habitu, kryjąc twarz w cieniu. Mogli być przy ruinach w południe następnego dnia.

— Idziemy! — polecił i poprowadził.

Szedł za nim pięcioosobowy sznur zakonników w brązowych habitach. Jedynym odgłosem zakłócającym leśny półmrok był szelest habitów w trawie. Kiedy słońce zachodzi, dżungla zawsze robi się dziwnie cicha — jakby jej mieszkańcy wstrzymywali oddech w oczekiwaniu na niebezpieczeństwa nadchodzącej nocy, a myśliwi szykowali się do łowów.

Właśnie ta cisza pozwoliła ciemnowłosemu zakonnikowi usłyszeć trzask gałązki i dyszenie zbliżającego się człowieka. Przekrzywił głowę. Nie, zbliżało się dwóch ludzi. Ojciec Otera uniósł rękę i grupa stanęła bez słowa. Kościół dobrze ich wyszkolił.

Wkrótce na ścieżce pojawiło się dwóch Indian z nagimi torsami. Ich smukłe spocone ciała zdawały się świecić w ostatnich promieniach słońca. Kiedy podbiegli bliżej, było widać, że drżą i są podrapani kolcami. Musieli mieć za sobą długą drogę, którą pokonali w rekordowym tempie.

Osłonięte kapturem usta zakonnika z zadowolenia zacisnęły się w cienką kreskę. Choć nienawidził dzieciństwa w biedzie, wśród Indian, miało ono swoje zalety: na przykład teraz. Jako chłopaka prześladowano go i dręczono z powodu mieszanej krwi, i zacienione ścieżki w dżungli stały się jego jedynym schronieniem przed nieustannymi drwinami. Znał je jak mało kto. Wiedział, że gdy ktoś szuka pomocy, musi iść właśnie tędy — i ten ktoś otrzymał szczegółowe polecenia. Ojciec Otera uniósł dłoń w pozdrowieniu.

Pierwszy Indianin wyglądał na zaniepokojonego widokiem grupy. Nic dziwnego — dżungla była pełna rabusiów i partyzantów. Na widok habitów i srebrnych krzyży szybko się jednak uspokoił. Opadł na kolana i gardłowym głosem wymamrotał podziękowania.

Ojciec Otera skłonił głowę i skrzyżował osłaniane długimi rękawami nadgarstki. Jedna dłoń chwyciła rękojeść sztyletu ukrytego w pochwie w rękawie.

— Nie obawiaj się niczego, mój synu. Uspokój się. Powiedz mi, co się stało.

— Ojcze... biegniemy z daleka. Szukamy pomocy. Pracujemy dla *norte americanos* wysoko w górach. Był wypadek. Straszny.

— Wypadek?

— Zapadła się podziemna świątynia i uwięziła kilku *americanos*. Jeśli się nie pospieszymy, zginą.

Ojciec Otera ze smutkiem pokręcił głową.

— To rzeczywiście straszne — rzekł po kiczuańsku, choć uczynił to z obrzydzeniem. Ten stary język, prostacki twór wywodzący się z języka Inków zwanego *runa simi*, był prymitywną mową biedaków. Posługiwanie się nim przypominało mu o własnych korzeniach, czego nienawidził. Poczł w sercu ukłucie złości, lecz starał się jej nie okazywać. Słuchał w milczeniu, jak podniecony Indianin opowiada o eksplozji i zniszczonym łączu satelitarnym. Kiwał ze zrozumieniem głową.

— Musimy się spieszyć, ojcze, póki nie będzie za późno.

Ojciec Otera oblizwał wargi. A więc w ruinach kręcił się tylko jeden *americano*. Jak dobrze się składa...

— Tak, musimy się spieszyć — zgodził się z dyszącym Indianinem. — Dobrze zrobiłeś, przynosząc nam te wieści, mój synu.

Indianin w podzięce i z ulgi spuścił głowę.

Ojciec Otera minął go i podszedł do jego towarzysza.

— Ty też dobrze się sprawiłeś, mój synu.

W trakcie rozmowy drugi Indianin milczał, stojąc. Jego ciemne oczy były uważne. Czując zagrożenie, cofnął się o krok, było jednak za późno.

Ojciec Otera machnął ukrytym długim ostrzem i trafił czysto. Indianin uniósł dłonie do poderżniętego gardła, próbując zatrzymać krew. Kiedy osuwał się na kolana, czerwona struga trysnęła na habit mnicha.

Za późno na modlitwy, poganinie. Otera pchnął charczącego Indianina obcasem, przewracając go na plecy.

Przeszedł nad ciałem i ruszył dalej ścieżką. Kiedy pozostali mnisi pozbywali się drugiego posłańca, nie było słyhać żadnych odgłosów. Otera skinął głową z zadowoleniem.

Kościół naprawdę dobrze ich wyszkolił.

. . .

Joan Engel spróbowała wina. Delikatny merlot z dobrego rocznika, niezbyt wytrawny, ze słodkawym bukietem. Skinęła głową i kelner dopełnił jej kieliszek.

— Powinno ładnie podkreślić smak befsztyka — powiedział ze skromnym uśmiechem.

Henry, siedzący po drugiej stronie stolika, na którym stała zapalona świeca, odwzajemnił uśmiech.

— Patolog sądowy i koneser wina... stałaś się kobietą pełną niespodzianek. Jeśli dobrze pamiętam, wolałaś piwo i tequilę.

— Czas ma sposoby na doskonalenie ludzkich gustów — odpowiedziała z krótkim śmiechem Joan. — Zwłaszcza kiedy żołądek przestaje tolerować ekscesy. — Przyjrzała się Henry'emu. Wyglądał dobrze w ciemnym garniturze z dwurzędową marynarką, świeżo wyprasowanej białej koszuli i z blad różowym krawatem. Kolory ładnie podkreślały pasemka siwizny w jego ciemnych włosach. Trudno było uwierzyć, że ten idealnie ogolony i elegancko ubrany mężczyzna jeszcze tydzień temu przebijał się przez peruwiańską dżunglę.

— Muszę powiedzieć, że ty też jesteś pełen niespodzianek. Lata w terenie ci nie zaszkodziły.

Henry zatrzymał widelec nad talerzem i popatrzył na resztki sałatki Cezara. Jego szelmowski uśmieszek przypominał Joan studenckie czasy.

— Doktor Engel... gdybym cię nie znał, powiedziałbym, że próbujesz mnie poderwać...

— To był zwykły komplement, profesorze Conklin. Nic więcej. Zwykła zawodowa uprzejmość. Mówię to wszystkim składającym mi wizyty naukowcom.

— Rozumiem... to by wyjaśniało twoją popularność w kręgach akademickich. — Henry dziabnął grzanekę i ukrył uśmiech.

Joan udała obrażoną i żartobliwie uderzyła go serwetką w dłoń.

— Aua! — Pomasował rękę, jakby go zapiekła. — Jak chcesz... pozostajmy więc przy sprawach służbowych.

— Może tak będzie najlepiej.

Do tej pory opowiadali sobie o przeszłości. Kiedy Henry mówił o śmierci żony chorej na raka, Joan smutnie kiwała głową — słyszała o tej historii od wspólnych znajomych. Działo się to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy jej małżeństwo skończyło się pełnym gorzki rozводом. Po traumach oboje rzucili się w wir pracy, osiągnęli spore sukcesy i zdobyli renomę. Zranione serce powstrzymywało obydwójce przed szukaniem nowych związków. Ból był bólem, niezależnie od przyczyny.

— Dowiedziałaś się czegoś nowego o złotej substancji w czaszce mumii? — spytał Henry.

Wyprostowała się, przybierając bardziej profesjonalną pozę.

— Niewiele. To na pewno nie złoto, tylko jakiś gęsty lepki płyn. W temperaturze pokojowej jest plastyczny jak glina. Podejrzewam, że to amalgamat ciężkich metali, może ołów z domieszkami. — Wzruszyła ramionami.

Henry zmarszczył czoło i lekko pokręcił głową.

— To nielogiczne. Inkowie nie opanowali zbyt dobrze sztuki wytopu metali. Nawet produkcja żelaza przekraczała ich możliwości. Zdziwiłbym się, gdyby stworzyli nowy amalgamat.

— Może czegoś się nauczyli i napełnili czaszkę mumii dziwnym metalem.

— Podejrzewam, że to możliwe...

— Tylko dlaczego? Po co mieliby wypełniać mu czaszkę?

— Mogę jedynie teoretyzować. Inkowie uważali czaszkę za źródło siły. Z czaszek wrogów robili nawet naczynia do picia. Może obawiali się

chrześcijańskiego Boga i przeprowadzili dziwaczny rytuał, aby uniknąć jego gniewu.

Joan zmarszczyła nos.

— Dlatego wywiercili w czaszce księdza dziury, usunęli mu mózg i wypełnili ją amalgamatem, jako dar dla jego Boga?

Henry wzruszył ramionami.

— To tylko teoria. Inkowie pewnie fascynowali się trepanacją. Nigdzie na świecie nie znaleziono tylu trepanowanych czaszek co tam. Śmiem twierdzić, że ta procedura musiała mieć religijne znaczenie. Ale jak mówię, to tylko teoria.

— Podejrzewam, że nie najgorsza — odparła Joan z uśmiechem. — Może jutro będę mogła powiedzieć coś więcej o amalgamacie. Skontaktowałam się ze specjalistą metalurgiem, doktorem Kirkpatrickiem z Uniwersytetu George’a Washingtona. Jest mi winien przysługę. Zgodził się wpaść jutro i rzucić okiem na substancję.

Henry rozpromienił się na tę wiadomość, błysnęły mu oczy.

— Chciałbym być przy tym, jak będzie ją badał.

— Jasne... — Joan zastanawiała się, jak ponownie umówić się z Henrym, a on załatwił sprawę za nią. — Byłoby... świetnie. Twoje towarzystwo zawsze jest mile widziane. — Niemal trzasnęła się w czoło. Dlaczego zachowywała się jak skrepowana nastolatka? Miała w końcu pięćdziesiąt osiem lat! Kiedy te damsko-męskie gry staną się łatwiejsze?

Zauważyła, że Henry się do niej uśmiecha.

— Ja też z przyjemnością znowu popracuję u twego boku.

Zaczerwieniła się i wytarła dłonie w serwetkę. Przybycie kelnera z befsztykami zwolniło ją na chwilę z dalszej konwersacji. Czekali oboje w milczeniu, aż nakrycie zostało zmienione.

— A jak u ciebie? — spytała Joan, kiedy kelner odszedł. — Masz coś nowego o księdzu de Almagro?

— Nie. Cały czas czekam na odpowiedź z biura arcybiskupa.

— Kiedy pracowałam nad amalgamatem, sporo myślałam o dominikańskim krzyżu, który znalazłeś. Zastanawiałam się, czy jest ze złota, czy z takiego amalgamatu jak ten w czaszce.

— Boże, w ogóle się nad tym nie zastanawiałem!

Joan z przyjemnością przyjęła zaskoczenie i uznanie, jakie pojawiło się w jego oczach.

— Może twórcami tej substancji wcale nie byli Inkowie? — zapytała.
— Może stworzyli go hiszpańscy konkwistadorzy?

Henry skinął głową.

— W to łatwiej mi uwierzyć. Hiszpańscy konkwistadorzy! Może kiedy twój metalurg zbada substancję, odkryjemy ten element tajemnicy.

Joan znów się uśmiechnęła. Nie było nic bardziej atrakcyjnego od mężczyzny, który dzielił pasję do tajemnic nauki, zwłaszcza tak przystojnego jak Henry.

— Jak tylko wrócę do hotelu, przyjrzę się bliżej krzyżowi — rzekł Henry.

Joan spróbowała befsztyku. Był średnio wysmażony. Kucharze tej restauracji jeszcze nigdy jej nie zawiedli.

— Kiedy już to zrobisz, chciałabym jak najszybciej się dowiedzieć, do jakich doszedłeś wniosków.

— W takim razie... jeśli masz ochotę, ponieważ i tak zamierzasz mnie podrzucić do hotelu, możesz... wejść na górę i sama rzucić okiem. Pracowałeś cały dzień z amalgamatem, więc i tak lepiej ode mnie będziesz umiała ocenić krzyż.

Joan spojrzała znad talerza, by oszacować, czy za zaproszeniem kryje się coś więcej. Nie należała do kobiet wskakujących do łóżka facetom, którzy je interesowali, nawet jeśli to byli starzy przyjaciele... nie miałyby jednak nic przeciwko przedłużeniu wspólnego wieczoru z Henrym.

Jadł z wystudiowanym skupieniem. Spojrzał na Joan nad kieliszkami, jego wzrok przechylił szalę.

Podjęła decyzję.

— No cóż... oczywiście. Z przyjemnością rzucę okiem na krzyż.

Henry pokiwał głową i powrócił do befsztyku.

— To świetnie. — Jego uśmiech wyraźnie stał się szerszy. Joan uświadomiła sobie, że i ona szerzej się uśmiecha. Mogli być dwójką nastolatków na pierwszej randce.

Skupili się znów na posiłku. Resztę kolacji spędzili na wymianie towarzyskich grzeczności: ocenili danie, opowiadali sobie zawodowe historyjki, skomentowali nawet zapowiedź frontu burzowego nadchodzącego od Wielkich Jezior w kierunku wybrzeża. Kiedy podano deser — przepyszny *crème brûlée*, który jedli z jednego naczynia dwiema

łyżeczkami — ich nieporadność zniknęła i zapanowała przyjemna, ciepła atmosfera.

— Co się z nami stało, kiedy studiowaliśmy na Uniwersytecie Rice'a? — spytała w końcu Joan, czując się na tyle bezpiecznie, aby rozpocząć niewygodny temat. — Dlaczego nam nie wyszło?

Henry chwilę obracał filiżankę z kawą.

— Chyba mieliśmy przed sobą zbyt dużo życia. Ty chciałaś studiować medycynę, ja robić magisterium w Texas A&M. W tamtych czasach raczej nie było miejsca na nic innego, zwłaszcza na poważny związek.

— Niestety tych, którzy chcą robić karierę... — mruknęła Joan. Jej myśli powędrowały do męża. Ciągłe na to narzekał: nigdy nie było jej w domu, nigdy nie miał jej dla siebie.

— Pewnie masz rację — odparł Henry. — W końcu poznałem Elizabeth, a ty Roberta.

— Hm.

Henry odstawił filiżankę.

— Powinniśmy już iść. Zbliża się moja pora rozmowy z ekipą w Peru.

Joan popatrzyła na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Kiedy ten czas minął?

— A ja muszę jutro wcześniej wstać. Jeśli mamy rzucić okiem na krzyż, powinniśmy ruszać.

Henry nalegał, by zapłacić rachunek.

— Przynajmniej tyle mogę zrobić po tym, czego dokonałaś — rzekł, wyciągając portfel. — Poza tym rachunek i tak pokryje mój grant.

— Jeśli płaci rząd, to nie mam nic przeciwko temu.

Po krótkiej jeździe samochodem znów byli blisko siebie — w windzie. Zapadła cisza i ponownie ogarnęła ich nerwowość. Henry bawił się guzikami marynarki. Wysiedli na siódmym piętrze i poszli w kierunku pokoju.

— Przepraszam za bałagan — powiedział Henry, otwierając drzwi. — Nie spodziewałem się towarzystwa.

Przytrzymał drzwi i Joan ujrzała zdewastowany hotelowy pokój. Łóżko było przewrócone, materac pocięty. Każdą szufladę wyciągnięto i wyrzucono jej zawartość, nawet telewizor leżał na boku na dywanie — z odkręconym tyłem.

— Boże drogi! — zawołał Henry.

— Ostrzegałeś przed bałaganem, ale czegoś takiego się nie spodziewałam.

Henry wbiegł do pokoju i szybko się rozejrzył. Przerzucił leżące obok przewróconego biurka papiery i wyjął spod nich laptop. Sprawdził, czy działa. Włączył komputer, usłyszał cichy pisk i westchnął z ulgą.

— Moje badania... dzięki Bogu.

Joan ostrożnie weszła do środka.

— Nie powinieneś wszystkiego dotykać. Wezwijmy ochronę. Włamywacz może być jeszcze w pobliżu.

Henry postawił biurko i położył na nim laptop.

— Dlaczego nie zabrali laptopa?

— Podejrzewam, że szukali ciekawszego łupu — odparła Joan, wykręcając numer do recepcji. — Śmiem twierdzić, że artykuł w dzisiejszym „Baltimore Heraldzie” przyciągnął uwagę jakichś złodziejasków.

— Krzyż! — wrzasnął Henry jak oparzony.

— Powiedz mi, że zostawiłeś go w hotelowym sejfie...

Pokręcił głową i podszedł do kinkietu na ścianie.

— Zjechałem tyle krajów, że stworzyłem własny system bezpieczeństwa.

Kiedy Joan dzwoniła do recepcji, relacjonując włamanie, Henry za pomocą szwajcarskiego szczyrorka odkręcił lampę i sięgnął do znajdującego się za nią zagłębienia. Wyjął małą aksamitną sakiewkę z ciężkim przedmiotem w środku. Wysunął na dłoń dominikański krzyż i srebrny pierścień.

— Ochrona już idzie — powiedziała Joan, odkładając słuchawkę. — Tym razem miałeś szczęście. W przyszłości polecam hotelowy sejf.

Henry rozejrzył się po pokoju.

— Chyba masz rację. Byli bardzo staranni. Witamy w Ameryce.

Wzrok Joan powędrował w kierunku rzuconego w kąt pudła na garnitury od Barneya. Na wierzchu naklejony był rachunek. A więc Henry z okazji ich randki najwyraźniej zrobił w ostatniej chwili zakupy. Powstrzymała uśmiech i skłęła w duchu złodziei, że zepsuli im wieczór.

Wkrótce w drzwiach pojawiło się dwóch potężnych mężczyzn w granatowych garniturach. Machnęli identyfikatorami i weszli do środka.

— Wezwaliśmy policję — poinformowali. — Będą tu lada chwila. Szykujemy już dla pana nowy pokój.

Henry odwrócił się do Joan.

— Jedź może do domu. Sam wszystko załatwię.

— Chyba tak będzie najlepiej. Tylko nie zapomnij przynieść krucyfiks do laboratorium. Poproszę doktora Kirkpatricka, by mu się przyjrzał. Na pewno będzie umiał określić, czy to złoto.

— Dzięki. Nie zapomnę.

Ruszyła ku wyjściu, ale Henry zatrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu. Kiedy się odwróciła, zobaczyła jego uśmiech.

— Może zabrzmie to dziwnie, biorąc pod uwagę stan pokoju, ale bardzo miło spędziłem wieczór.

Ścisnęła jego dłoń i przytrzymała chwilę dłużej, niż tego wymagała zawodowa kurtuazja.

— Mnie też było miło. — Odwzajemniła uśmiech, choć nieco bardziej wstydliwie. — Do zobaczenia jutro.

Skinął głową.

— Już nie mogę się doczekać — powiedział cicho, kiedy wychodziła.

Joan nie odwróciła się; udawała, że tego nie usłyszała, choć w rzeczywistości obawiała się, że pąsowe policzki zdradzą stan jej serca. Dopiero w windzie, kiedy drzwi się zamknęły, wypuściła z ulgą powietrze.

— Weź się w garść — powiedziała do pustej kabiny. — To tylko stary przyjaciel. Nic więcej.

Mimo to podczas jazdy w dół przeszedł ją lekki dreszcz przyjemności. Oby jutro nadeszło jak najszybciej.

. . .

Kiedy z góry znów doleciał łoskot spadających kamieni, Sam popatrzył na sklepienie. Pozostali klęczeli przy hematytowych sztabach. Norman podniósł głowę, lekko ściągając ramiona. Ralph jedynie burknął pod nosem i małym pędzelkiem dalej rozsmarowywał żółty barwnik po swojej sztabie hematytu. Denal siedział z boku i powoli przesuwiał dłoń wzdłuż łomu.

Tylko Maggie spojrzała na Sama.

— Chyba zawala się drugi poziom — szepnęła.

Skinął głową i ciężko westchnął. Oboje woleli nie rozważać, co to oznacza. Zerknął na zegarek. Właśnie minęła dziesiąta wieczorem. Piramida zawalała się w takim tempie, że było mało prawdopodobne, by

wytrzymała jeszcze dwa dni. Szukali sobie zajęć, żeby nie myśleć o tym, jak ciężar ziemi powoli miażdży konstrukcję. Propozycja Sama, żeby przetestować eksperymentalne barwniki na sztabach hematytu, zaakceptowano mimo pomruków niezadowolenia.

— Co teraz? — spytał Ralph. Przeciągnął się, aby pozbyć się napięcia w plecach.

— Teraz musisz delikatnie zetrzeć nadmiar barwnika gąbką ze środkiem rozpuszczającym tłuszcz. — Sam podał mu gąbkę i słoiczek z przezroczystym płynem.

— Też jestem gotowa — powiedziała Maggie i sięgnęła po drugą gąbkę.

Wkrótce dwie sztaby hematytu były gotowe, mogli spróbować odczytać napisy. Sam uniósł lampę Wooda i ją włączył.

— Zgaście latarkę.

Ciemność ciasno ich otuliła. Od całkowitej czerni oddzielała ich jedynie plama jasnego fioletu. Hematytowe sztaby jarzyły się zielonkawo. Wszyscy przysunęli się bliżej.

— Niesamowite... — westchnęła Maggie.

W świetle nadfioletowym starożytne pismo wyglądało jak głęboka płaskorzeźba, zielone litery jarzyły się jaskrawo i wyraźnie jak w dniu, kiedy wyryto je w metalu.

— Super... — powiedział Ralph, klepiąc Sama w ramię.

Ten, powstrzymując się od okrzyku triumfu, przeciągnął palcem po literach i starannie czytał napis na pierwszej sztabie.

— *Nos Christi defenete. Malum ne fugat.* — Chwilę zastanawiał się nad tłumaczeniem. — Chrystusie, chroń nas. Oby Zło nigdy się nie wydostało.

Wypowiedziawszy te słowa, poczuł, jak po plecach przechodzą mu ciarki.

— To niekoniecznie coś, co chcesz słyszeć, kiedy jesteś uwięziony w podziemnej krypcie — stwierdził Ralph

— Szczególnie jeśli siedzisz w wejściu do przeklętej komory — dodał Norman. — Co powiedziałeś o piktogramie w tej komnacie obok? Brama do Nieba, brama do Piekła?

Sam zbył obawy fotografa machnięciem ręki.

— To interpretacja z judeochrześcijańskiego punktu widzenia. Starożytni Peruwiańczycy nie wierzyli w Niebo i Piekło w biblijnym

znaczeniu, ale w trzy poziomy istnienia: *janan pacha*, czyli górny świat, *cay pacha*, nasz świat, i *uca pacha*, świat dolny albo wewnętrzny. Uważali, że te trzy światy są ze sobą ściśle połączone, a w miejscach, gdzie się stykają, są święte strefy zwane *pacarisca*. — Sam popatrzył przez ramię. — Sądząc po piktogramach, komnata pewnie była czczona i chroniona jako *pacariscas*.

Norman spojrział w kierunku wejścia.

— Brama do górnego i dolnego świata.

— Właśnie.

— Dość tego! — Maggie dała Samowi kuksańca. — Bierzmy się do drugiej sztaby!

Sam odchrząknął i pochylił się nad wygrawerowanym hematytem. Tym razem równocześnie sunął palcem po grawerunku i tłumaczył.

— *Panie na wysokościach, zapewnij nam bezpieczeństwo... błagamy Cię... Zostawiamy ten grobowiec Niebiosom. Niech nikt go nigdy nie niepokoje. Chron...* — Sam przeczytał ostatnie dwa wersy i stracił oddech. Pochylił się niżej. — Boże!

— Co jest? — Maggie przysunęła się bliżej.

Sam popatrzył na kolegów.

— *Za tymi drzwiami znajduje się dzieło Szatana, wola Diabła. Zamykam to przejście dla Węża Edenu, by ludzkość nie została przeklęta na zawsze.*

Pięć par oczu skierowało się ku wejściu do komnaty.

— Wąż Edenu? — spytał nerwowo Norman.

— Wąż z Księgi Rodzaju — wyjaśniła Maggie. — Sprawca upadku pierwszych ludzi, głosiciel zakazanej wiedzy.

— Tekst jest podpisany — powiedział Sam. — Francisco de Almagro, sługa Pana, tysiąc pięćset trzydziesty piąty.

Ralph zajrzał mu przez ramię.

— Twój wuj przypadkiem nie mówił, że mumia to prawdopodobnie dominikański ksiądz?

Sam skinął głową.

— Zgadza się. To może być jego testament. Po zaplombowaniu tej komnaty musiał z jakiegoś powodu zginąć. Ale dlaczego? — Przykucnął na piętach. — Co tu się stało? Co jest w tym pomieszczeniu, co tak bardzo go

przeraziło? Nie mogło chodzić tylko o pułapki. Inaczej nie wspomniałby o Wężu Edenu.

— Cokolwiek to jest, znajduje się w pobliżu. Może chodzi o coś, co odkryli Mochica, a do czego Inkowie uzurpowali sobie prawo. Coś, co do głębi przeraziło naszego księżulka.

— Szkoda, że nie ma tu mojego wuja — stwierdził Sam. — Przydałaby się jego wiedza.

Nad ich głowami przesunęło się kilka kolejnych kamieni, chrzęszcząc jak stare kości.

— Nie sądzę, aby twój wuj miał na to ochotę. — Norman obserwował sufit.

Maggie nagle wstała i chwyciła latarkę.

— Chcę jeszcze raz zobaczyć tę komnatę.

Nie zrobiła jeszcze kroku, nogi drżały jej jak u konia wyścigowego przed startem. Sam podejrzewał, że kieruje nią nie tyle ciekawość, ile potrzeba ruchu, zajęcia czymś myśli. Wstał.

— Idę z tobą.

Ralph także się podniósł.

— Sprawdzę z Normanem poziom nad nami.

— Ze mną? — Oczy fotografa się rozszerzyły.

— Nie zachowuj się jak baba — skarcił go Ralph.

Norman wyszczerzył zęby i wstał.

— Jak chcesz. — Wziął drugą latarkę, którą Denal znalazł w torbie z narzędziami, przyniesionej przez ludzi Guillerma.

— Nie marnujcie czasu — ostrzegł ich Sam. — Na górze nie jest bezpiecznie i musimy oszczędzać baterie.

— Zaufaj mi — odparł Norman. — Będąc w towarzystwie Ralpa i mając w perspektywie spadające kamienie, naprawdę się pospieszę.

Denal też wstał, podszedł do Sama i Maggie. Norman i Ralph ruszyli przed siebie.

— Chodźcie — powiedziała Maggie do towarzyszy.

Sam i Denal ruszyli za nią. Sam zauważył, że przed przekroczeniem progu Denal dotyka czoła, żegna się i szepce modlitwę.

Wrócili w milczeniu na skraj wyłożonej płytami podłogi. Złoto i srebro jaskrawo odbijało światło latarki. Inkaski król świecił na tle czarnej granitowej ściany niczym gwiazda na niebie. Tykanie maszynierii odbijało

się echem, w rytmie niemal takim samym jak tętno Sama. Sam przekrzywił kapelusz i zaczął analizować układ płyt. Wodził światłem po złotym kwadracie, reprezentującym świat fizyczny, *cay pacha*, potem przeszedł do tego, który reprezentował wyższy świat — *janan pacha*. Oba łączył zygzak.

— No i? Co teraz? — spytał w końcu Sam. Starał się trzymać promień latarki z daleka od zwłok.

Maggie krążyła przy wejściu jak lwica w klatce.

— Musi być przejście — mruknęła. — Wystarczy rozwiązać łamigłówkę i jeśli jest tu jakaś nagroda, to nam przypadnie.

— Wąż Edenu? — spytał Sam.

Odwróciła się do Sama i spiorunowała go wzrokiem.

— Nie chcesz wiedzieć, co miał na myśli?

— Szczerze mówiąc, wolałbym zabrać stąd nasze tyłki.

— A ja do tego czasu popracuję. — Maggie ponownie popatrzyła na wykładaną płytami podłogę. — Bez słowa weszła na złotą płytę, współtworzącą złoty prostokąt.

— Miss Maggie, nie! — wrzasnął Denal.

Sam wyciągnął do niej rękę, ale Maggie przeszła na sąsiednią płytę i znalazła się poza jego zasięgiem.

— Co ty wyprawiasz?! — wrzasnął.

Maggie odwróciła się, ale nie do niego, lecz do chłopca.

— Jaka jest najbezpieczniejsza droga, Denal?

Młody Indianin stał rozdygotany, z szeroko otwartymi oczami.

— Maggie, o czym ty mówisz? On nie ma pojęcia.

— Ma — odparła. — Kiedy byliśmy tu pierwszy raz, ostrzegł mnie, żebym nie wchodziła na podłogę. — Wbiła wzrok w Denala. — Wiem, że coś rozpoznałeś...

Chłopak cofnął się o krok.

— Rozwiązałam część zagadki. Stałam na tej części piktogramu, która reprezentuje nasz świat. — Wskazała na oddalony złoty prostokąt. — Muszę dotrzeć do *janan pacha*, górnego świata. Prawda? Jak przejść bezpiecznie? Złota ścieżka jest zbyt oczywista.

Denal energicznie pokręcił głową.

Sam opuścił światło latarki.

— Maggie, on nie może wiedzieć...

Twarz na chwilę zastygła jej w bezruchu, w końcu dziewczyna odwróciła się, by stanąć na złotej płycie, połączonej schodkowym wzorem z dalekim kwadratem.

— Nie! — krzyknął Denal ze łzami w oczach. — Powiem pani.

Sam ze zdumieniem popatrzył na chłopaka.

Denal jakby się zapadł pod jego spojrzeniem.

— Stare *amautas* moich ludzi. Opowiadają złe opowieści o takich miejscach. Bardzo stare opowieści. Nie wiem na pewno, ale mówią, że życie balansuje między *janan* i *cay*. Żeby przejść pomiędzy, trzeba zrównoważyć Słońce i Księżyc.

— Słońce i Księżyc? — spytała Maggie i popatrzyła na podłogę. — Oczywiście! — Weszła na sąsiednią srebrną płytę.

— Maggie! Nie rób tego!

Zignorowała krzyk Sama i wróciła na złotą płytę.

— Żeby przejść po złotych schodach, należy każdy krok przeplatać srebrnym. Zrównoważyć srebro i złoto, Księżyc i Słońce.

— Nie wiesz tego na pewno!

— Jestem pewna. — Maggie kontynuowała marsz, stając to na złotej płycie, to na srebrnej. Idąc, mówiła. — Złoto było uważane przez Inków za pot Słońca, a srebro za łzy Księżyca. Słońce i Księżyc... złoto i srebro...

Sam stał na skraju podłogi, niezdolny oddychać.

Wystraszony Denal mamrotał coś w ojczystym języku.

— Ona idzie... nie wraca...

Sam ledwie go słyszał, chłopak szarpnął go za łokieć.

— Miss Maggie musi przestać — powiedział błagalnie. — *Amautas* mówią, kto idzie do *janan pacha*, nie wróci. Ona musi przestać!

Ostrzeżenie chłopca w końcu dotarło do Sama. Drgnął, jakby go przypieczono ogniem.

— Maggie!

Ton jego głosu sprawił, że się odwróciła.

— Denal mówi, że jeśli przejdiesz na drugą stronę, nie będziesz mogła wrócić!

Dziewczyna się rozejrzała.

— To bez sensu! Dlaczego droga przez komnatę miałaby być jednokierunkowa?

— Nie wiem, ale nie czas to sprawdzać.

— Może masz rację... — Westchnęła. — Zaczęła cofać się do srebrnej płyty, na której przed chwilą stała.

— Nie! — wrzasnął Denal.

Krzyk chłopaka uratował jej życie. Cofnęła nogę w chwili, gdy pod naciskiem jej buta srebrna płyta się odchyliła.

— Uważaj! — krzyknął Sam. — Nad tobą!

Odpowiednia złota płyta na suficie otworzyła się i wystrzelił z niej grad oszczepów. Śmignęły z wizgiem, powpadały do dziury po odchylonej płycie w podłodze i zniknęły.

Maggie zdążyła się uchylić przed kaskadą ostrzy. Opadła na kolana i patrzyła, jak srebrna płyta się zamyka.

— Sam...?

— Nie może wracać. Jak zacznie, miss Maggie musi skończyć — wyjaśnił Denal, wściekle gestykulując.

Oddalona o sześć metrów od wejścia Maggie patrzyła na Sama i Denala przerażonymi oczami. Czuć było narastającą w niej panikę. Sam gorączkowo się zastanawiał, co robić.

Nagle całe pomieszczenie potężnie zadygotało i rozległ się przypominający grzmot ryk. Sama rzuciło na podłogę, Maggie skuliła się, chroniąc głowę rękami. W suficie poluzowały się dwie płyty i spadły ze szcękaniem na podłogę.

Tylko Denalowi udało się ustać. Popatrzył w kierunku wejścia do komnaty — pędziła stamtąd chmura pyłu.

— Świątynia! Zapada się!

Kiedy drzenie ustało, Sam szybko wstał.

— Boże... Norman i Ralph...

Przez pył przebiły się dwie postacie, jakby usłyszały jego słowa. Kaszląc, Ralph zatrzymał się tuż obok Sama. Był od stóp do głów pokryty granitowym pyłem, Norman za nim tak samo. Fotograf głośno kichnął.

— Wszystko się wali! — wykrzyknął Ralph.

Jęk przesuwających się kamieni dochodził zewsząd. Raz za razem rozlegały się głośne łoskoty — zdawało się, że za najbliższą ścianą.

Norman wytarł nos rękawem.

— Nad nami nie ma już niczego — powiedział.

Ralph przyciągnął Sama do najbliższej ściany.

— Pomacaj.

Sam przyłożył dłoń do granitowych gładów — drżały pod naciskiem ton skały i ziemi.

— Wszystko ledwie się trzyma — stwierdził Sam.

— Maggie! — zawołał nagle Norman, wskazując na wyłożoną płytami podłogę.

Dziewczyna leżała na boku na złotej płycie, jej kończyny spazmatycznie podrygiwały. Miała następny atak.

— Co ona tam robi? — spytał ze złością Ralph.

— Nie ma czasu na wyjaśnienia. — Sam zdjął karabin z ramienia i podał go Ralphowi. — Nie ruszaj się stąd! — rzucił i wskoczył na złotą płytę.

Denal wrzasnął ostrzegawczo, ale Sam nie zamierzał słuchać. Przeskakiwał ze złotej płyty na srebrną i ze srebrnej na złotą, podążając schodkowym szlakiem w kierunku *janan pacha*. Kiedy dotarł do Maggie, ukląkł i położył sobie jej głowę na udach. Jego dotyk nieco ją uspokajał. Sam zaczął ją głaskać po włosach i łagodnie do niej mówił. Drzenie kończyn ustało.

— Maggie... jeśli mnie słyszysz, wróć do mnie. Idź za moim głosem. Z ust dziewczyny wydobył się cichy jęk.

— Dawaj, Maggie... potrzebujemy cię... nie czas na drzemki.

Jej powieki zatrzepotały i wzrok stał się przytomny.

— Sam...?

Pochylił się i mocno ją uścisnął. Zapach włosów i potu wnikał mu w nozdrza.

— Dzięki Bogu!

Maggie odepchnęła go i szybko się rozejrzała.

— Nie powinienesz być tu przychodzić. — W jej głosie nie było jednak nagany, tylko ulga. — To świątynia?

— Wali się nam na głowę. To ostatni poziom.

Wbiła w niego wzrok, zadając niewypowiedziane pytanie.

— Mamy maksimum godzinę — powiedział.

— Co robimy?

Sam wstał i pomógł wstać Maggie. Miała tak słabe nogi, że musiała się o niego oprzeć. Jej dłonie były gorące.

— Dałaś mi do myślenia. Dlaczego Mochica, albo Inkowie, zbudowali to pomieszczenie tak, żeby dało się przejść tylko w jednym kierunku?

Maggie pokręciła głową.

— To nielogiczne... chyba że... jest inne wyjście.

— Tajny korytarz?

— Musi być więcej pomieszczeń niż tylko to z pułapkami.

— Więc gdzie jest to wyjście?

Sam wskazał na figurę inkaskiego króla. Na tle czarnego granitu zdawał się świecić, dając znak.

— Jeśli ktokolwiek wie, to on — stwierdził Sam. — Wskazówka musi być przy nim.

— Więc musimy do niego dotrzeć. — Maggie z trudem przełknęła ślinę i niepewnie się uśmiechnęła. — Ostatnia łamigłówka.

Sklepienie znów groźnie zadudniło.

— Jasne. Albo ją rozwiążemy, albo możemy sobie pocałować tyłki na do widzenia.

— Co wy tam robicie?! — zawołał Ralph. — Zaczyna nam brakować czasu!

Sam szybko streścił, co planują.

— To szaleństwo! Rzykujecie życiem dla nikłej hipotezy!

— Wolę zaryzykować, niż czekać, aż sufit zwali mi się na głowę!

Ralph nie odpowiedział, tylko nerwowo przestępował z nogi na nogę.

— W porządku, szefie, tylko bądź ostrożny — odezwał się w końcu.

Denal — z twarzą szarą jak popiół — wszedł na pierwszą złotą płytę.

— Idę z wami.

— Nie! — jednym głosem zawołali Sam i Maggie.

Chłopiec oczywiście nie posłuchał i szedł dalej.

— Znam stare opowieści. Pomogę. Też nie umrę bez walki. — Pokonał tę samą drogę co Maggie i Sam i wkrótce do nich dotarł. Popatrzył na Sama. — Moja matka, nim umarła, uczyła mnie być odważny. Nie będzie za mnie wstydzic.

Sam przez chwilę milczał, po czym klepnął go w ramię.

— Dzięki, Denal.

Chłopak słabo się uśmiechnął, zerkał to na inkaskiego króla, to na wzorzystą podłogę. Drżącymi palcami wysupłał z kieszeni pomiętego papierosa i wsunął go sobie w usta. Kiedy zobaczył, że Sam obserwuje papierosa, spojrzał na niego buntowniczo.

— Ruszamy!

— Wiesz, że od papierosów gorzej się rośnie? — powiedział Sam.

— Chyba że się ich nie zapala.

— Znajdź wyjście, to będziesz mógł zakopć sobie płuca na węgiel.

— Ruszajcie się — ponagliła Maggie, stając między nimi. — Ten sufit długo nie wytrzyma.

Sam prowadził. Każdy krok wywoływał narastającą falę strachu. Na szczęście nic się nie działo. Maggie i Denal zdawali się być przekonani, że rozwiążali zagadkę złotych i srebrnych płyt — ale co dalej?

Sam dotarł na środek komnaty i zamarł.

— Dlaczego stanąłeś? — spytała idąca nieco dalej Maggie.

Odsunął się na bok, aby mogła sama zobaczyć.

— Och!

Na następnej płycie Sam stawał szczególnie ostrożnie, była bowiem śliska od krwi. Starał się nie dotknąć leżącego na niej, poszarpanego ciała Juana. Kiedy przechodził, miał wrażenie, że martwe oczy go śledzą. Odwrócił wzrok, ale smród — metaliczny odór krwi zmieszany z ziemistą wonią gnicia — był obezwładniający. Gdy stanął na kolejnej płycie, odetchnął z ulgą.

Kilka następnych szeregów przeszedł dość szybko, zadowolony, że minął trupa. Pozostała dwójka nie odezwała się słowem, tylko szuranie butów wskazywało na to, że za nim podążają. Ralph i Norman nerwowo mamrotali, ale nie dosłyszał ich słów.

Wreszcie Sam wszedł na cztery złote płyty tworzące piktogram *janan pacha*. Z ulgą pochylił się i oparł dłonie o kolana. Zamknął oczy i podziękował niebiosom za bezpieczną przeprawę.

Maggie i Denal po chwili stali przy nim.

— Wszystko w porządku? — spytał Sam.

Dziewczyna tylko skinęła głową. Twarz świeciła jej się od potu. Papieros drżał Denalowi w ustach, ale on też pokiwał głową.

Sam popatrzył na ścianę. Stali w lewym górnym rogu piktogramu. Ostatni szereg płyt składał się z samych srebrnych, tylko figura w połowie długości ściany stała na złotej płycie — obłożona niezbyt wysoką stertą złotych i srebrnych świecidełek.

— Co teraz? — spytał Sam. — Jak dotrzemy stąd do figury?

Maggie obróciła się.

— Posłuchaj.

Sam zmarszczył czoło.

— Co...? — spytał i dotarło do niego, co dziewczyna miała na myśli.

Denal też to wychwytał.

— Przestało.

Sam przekrzywił głowę. Odgłos tykającej maszynerii umilkł.

— Ucichło, kiedy tu doszliśmy — powiedziała Maggie.

— Może prawidłowe przejście ścieżki wyłączyło mechanizm — powiedział Sam.

— I można bezpiecznie przejść po srebrnych płytach do figury? — spytała Maggie, patrząc na Denala.

Kiczuański chłopak wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

Sam głęboko wciągnął powietrze i zszedł ze złotych płyt na szereg srebrnych. Przez ułamek sekundy kulił się w sobie, nic się jednak nie wydarzyło. Popatrzył na Maggie.

— Tryby nadal milczą — powiedziała. — Widać jest w porządku.

Sam szedł płyta po płycie w kierunku złotej figury, pozostali podążali jego tropem. Wkrótce cała trójka stanęła przed inkaskim wojownikiem. Zdawał się patrzeć na nich spod korony na głowie. Przyjrzeni mu się uważnie.

Figura była mniej więcej dwa razy wyższa niż przeciętny człowiek, opierała się plecami o wąski srebrny portal wycięty w granitowej ścianie. W jednym ręku miała laskę, a w drugiej typową inkaską *bola* — trzy kamienie nanizane na ścięgno lamy.

— Spójrz na tę koronę *llautu* — powiedział Sam, wskazując na plecione nakrycie głowy, zwieńczone trzema papuzimi piórami i kępką frędzli. — To na pewno atrybuty Sapa Inki, któregoś z królów.

— Tak, ale szczegóły twarzy i realistyczna muskulatura nie są typowe dla inkaskiego stylu — szepnęła Maggie. — To dzieło doskonałe jak *Dawid Michała Anioła*.

Sam przysunął się bliżej, aby przyjrzeć się twarzy króla.

— Dziwne. Nie wiadomo, który to Sapa Inka, ale na pewno czczono go bardziej niż innych...

Denal odchrząknął.

— Ściana... nie jest z kamieni.

Sam odwrócił się w kierunku chłopaka, który nie wpatrywał się w figurę, lecz w czarną ścianę za nią. Widać było tylko granit.

— Co masz na myśli?

— Denal chce powiedzieć, że to nie dzieło budowniczych — odpowiedziała Maggie. — Nie ma fug. To nie są wyciosane z kamienia bloki.

Sam podszedł do ściany i przesunął po niej dłonią.

— Lity granit...

— Znaleźliście coś? — od strony wejścia dobiegł głos Normana.

Sam odwrócił się ku niemu.

— Znaleźliśmy górę! — Wygiął szyję i zaczął lustrować ścianę. — Musieli zbudować piramidę u podstawy góry.

— Ale dlaczego? — spytała Maggie.

— Inkowie czcili góry — myślał głośno Sam. — Ale dlaczego budować tu *huaca*, święte miejsce? Co jest niezwykłego właśnie tutaj?

— A... a jeśli jest tu jaskinia? — zaryzykowała Maggie.

Sam płaśnął dłonią w ścianę.

— Jasne! Jaskinie uważano za *pacariscas*, mityczne miejsca łączące trzy światy. Często używano ich jako miejsc rytualnych. To logiczne!

— Ale gdzie jest wejście?

— Pojęcia nie mam, kluczem musi być figura. Zauważyłaś srebrny portal za jej plecami? Postać jest wystarczająco duża, aby zakryć otwór.

Zwrócili się ku figurze. Sam oparł o nią ramię i spróbował odsunąć bożka na bok.

— Ostrożnie! — ostrzegła Maggie.

Denal stał z pięścią przyciśniętą do gardła.

Nic się jednak nie wydarzyło. Figura nie dała się odepchnąć.

— Cholera! — zaklął Sam. Zdjął kapelusz i starł pot z karku. — Musi ważyć tonę!

Maggie popatrzyła na niego ze zmarszczonym czołem.

— Brutalna siła to żadne rozwiązanie. Przy tak skomplikowanych konstrukcjach należy zakładać, że figurę odsuwa jakiś mechanizm. — Odepchnęła Sama łokciem w bok i podeszła do postaci. Wspinając się na palce, przyjrzała się jej dokładnie, z nosem o centymetry od powierzchni złota. Powoli przesuwiała wzrok w dół.

Sam coraz bardziej się niecierpliwił, zwłaszcza że podłoga znowu zadrżała.

— To miejsce długo nie wytrzyma... — mruknął.

— Aha! — zawołała Maggie. Patrzyła w okolicę talii inkaskiego króla.
— Oto odpowiedź — rzuciła, wskazując na jego pępek.

— To znaczy?

Wyciągnęła rękę i wsadziła palec w dziurę znajdującą się w miejscu pępka wojownika. Palec zmieścił się w niej cały.

— Inkowie uważali pępek za miejsce siły. Sądzi, że kiedyś ciało człowieka było połączone pępowiną z bogami stworzenia.

Sam i Denal przykucnęli przy figurze.

— Kolejny punkt styku światów.

— To dziurka od klucza. — Maggie wyjęła palec. — Teraz tylko musimy znaleźć klucz.

— Pępek łączy bogów *janan pacha* z ludzkością w zwykłym świecie... *cay pacha* — myślał na głos Sam. — Jeśli w tej komorze zbiegają się wszystkie trzy światy... kluczem musi być coś z niższego świata, *uca pacha*.

Maggie starała się podążać za jego wnioskowaniem. Złapała Sama za łokieć.

— Włożenie klucza w zamek w pępku zjednoczy wszystkie trzy światy...

— Tak, ale gdzie ten klucz może być?

Denal trącił Sama dłonią. Wskazał na stopy figury, gdzie zebrano kupkę złotych i srebrnych darów.

— *Uca pacha* leży u stóp.

— Och! Ale z nas głupcy! — Maggie osunęła się na kolana i zaczęła grzebać w przedmiotach u stóp figury. — Dolny świat! Najlepszy sposób na ukrycie czegoś to położyć to na widoku!

Sam do niej dołączył. Po chwili uniósł złotą figurkę pantery z rubinowymi oczami, ale ją odrzucił.

— Dość tu majątku, aby pokryć dziurę budżetową niewielkiego kraju.

— Nie przyda się nam na nic, jeśli nie przeżyjemy.

Jakby dla przypomnienia, świątynia ponownie zagrzmiała i zadygotała — zawałiła się kolejna część. Płyty na suficie zadrżały i zabrzęczały, samoistnie zwolniła się jedna z kolejnych pułapek i na podłogę spadł wielki

kawał granitu, wyrzeźbiony w kształt głowy demona, i wbił się w srebrną płytę na podłodze.

Maggie i Sam popatrzyli na siebie ponuro.

— To by było na tyle! — zawołał Ralph, kaszląc. — Jesteśmy odcięci! Jeśli jest stąd droga wyjścia, proponuję szybko ją znaleźć!

— Podłoga się rozpada — powiedziała cicho Maggie do Sama. — Jeśli Norman i Ralph mają do nas dotrzeć...

— Masz rację. Szukaj dalej! — Sam wstał. — Ralph! Norman! Chodźcie do nas! Natychmiast!

Ci dwaj byli spowici chmurą pyłu, Ralph pomachał jednak latarką na sygnał, że zrozumiał, i ruszył w ich kierunku.

— Idą — powiedział Sam do Maggie. — Coś znalazłaś?

Pokręciła głową. Drżącymi rękami przebierała przedmioty.

— Nie mogę jasno myśleć. A jeśli czegoś nie zauważę? Nie będzie drugiej szansy. — Cicho westchnęła.

Sam ukląkł obok.

— Wydostaniemy się stąd — stwierdził zdecydowanie. Mocno objął dziewczynę ramieniem.

Poddała się objęciu, przez chwilę milczała. Potem przez jej ciało przeszedł dreszcz i się rozluźniła. Wysunęła się z objęcia Sama i popatrzyła na niego. Jej zakurzona twarz była poznaczona smugami łez. Starła je z policzków.

— Dzięki, Sam.

Więcej słów nie było potrzeba. Skinął głową i wrócił do poszukiwań. Pracowali jak świetnie zgrany zespół, metodycznie przeszukując stertę przedmiotów. Mało brakowało, a Sam odrzuciłby na bok właściwy przedmiot, ale Maggie złapała go za nadgarstek.

Miał w ręku trzydziestocentymetrowy sztylet ze srebrną rękojeścią.

— Co jest?

— Popatrz na grawerunek na rękojeści.

Sam uniósł sztylet do światła trzymanej przez Denalę latarki. Wyrzeźbiono na nim postać mężczyzny z wielkimi kłami. Sam od razu rozpoznał wizerunek.

— Bóg Aiapaec z kłami!

— Bóg Mochica! — dodała Maggie.

A więc wuj miał rację. Kolejny dowód, że podziemna piramida była dziełem Mochica.

— Wuj Hank bardzo się ucieszy... o ile uda nam się stąd wyjść i mu to pokazać. — Zaczął odkładać sztylet.

— Zaczekaj! Niektórzy naukowcy twierdzą, że Inkowie włączyli boga Aiapaeca do własnego panteonu, ale pod zmienionym imieniem: Huamancantac!

— Bóg nietoperzego... guana? — Sam patrzył na Maggie, jakby oszalała. O co mogło jej chodzić? Po chwili jednak zaczął rozumieć. — Bóg nietoperzy... i jaskiń! Duch z dolnego świata, *uca pacha*!

— To musi być klucz!

Dotarli do nich Norman i Ralph.

— Nie mam pojęcia, czym się tak podniecacie, ale proponuję wiać. — Norman wskazał za siebie.

Sam popatrzył w tę stronę. Gdy pył osiadł, okazało się, że komnata od strony wejścia przestała istnieć, zasypana stertą głazów. Połowa sufitowych płyt powykrzywiła się i w każdej chwili mogła spaść. Nad głowami dudniły setki ton granitu.

— Nie ma dokąd uciekać — jęknął Norman.

— Może jest — odparł Sam. Wbił sztylet w brzuch figury aż po rękojeść.

Nic się nie wydarzyło.

— No dobrze, Brutusie, zadźgałeś Cezara. Co teraz? — Norman wpatrywał się w sztylet.

Sam spróbował obrócić go jak klucz, ale sztylet nie chciał nawet drgnąć. Wyciągnął go i popatrzył na Maggie.

— Byłem pewien, że masz rację. — Ścisnął sztylet, aż pobiełały mu kostki dłoni. — To... to musi być klucz! — wydyszał przez zaciśnięte zęby. — Musi!

Sztylet przesunął mu się nieco w dłoni i złote ostrze zamieniło się w poszarpaną błyskawicę. Metal błysnął jaskrawo w świetle latarek. Sam niemal go wypuścił, złapał się jednak lewą dłonią za prawą i ustabilizował chwyt.

— Ktoś to widział czy tylko ja mam zwidy? — Przesunął palcami wzdłuż ostrza, szukając, co spowodowało przemianę. Nic nie znalazł.

Za ich plecami znów załomotała kaskada głazów. Waliło się sklepienie, spadały kolejne płyty. Łoskot kamieni i brzęk metalu tworzyły paskudną kakofonię. Śmierć sunęła ku nim jak walec drogowy, a oni tkwili w bezruchu.

Maggie uniosła dłonie w kierunku sztyletu, ale zaraz je opuściła w obawie przed zakłóceniem cudu.

— To teraz symbol Pacha Kamaqa, inkaskiego boga stworzenia. — Spojrzała Samowi w oczy. — Użyj go!

Sam skinął głową i odwrócił się do figury. Choć czubek sztyletu drżał, udało się go wsunąć w brzuch inkaskiego króla. Sam musiał trochę pomajstrować, aby włożyć ostrze do końca, ale wreszcie się udało.

Zachrzęściły tryby — wystarczająco głośno, aby zagłuszyć łoskot głazów nad ich głowami.

Sam trzymał mocno rękojeść sztyletu i po chwili figura króla rozpekła się od czubka głowy po stopy. Połówki odsunęły się na boki — wraz z portalem z tyłu — i ukazało się naturalne pęknięcie w skale.

Sam stał w bezruchu ze sztyletem w dłoni wskazującym jaskinię.

— A niech mnie jasna cholera!

Uniósł sztylet, który znów stał się taki jak na początku. Opuścił rękę i odwrócił się do pozostałych. Błysk flesza aparatu Normana kompletnie go zaskoczył. Potarł oczy grzbietem dłoni.

— Następnym razem ostrzegaj, dobrze?

— I zepsuj niepowtarzalny wyraz twarzy — odparł Norman. — Mowy nie ma.

Pozostali zaczęli mówić wszyscy naraz — w ich słowach było równocześnie zdumienie i ulga. Ralph poświecił latarką w głąb skalnego pęknięcia. Wchodziło głęboko w klif, poza zasięg światła.

— Słyszę jakby płynącą wodę — powiedział. — Jaskinia musi być cholernie głęboka.

— To dobrze — odparł Sam. Uniósł sztylet, ściągając na siebie uwagę pozostałych. — Nie mam pojęcia, co tu się właśnie stało, ale spadajmy stąd, zanim świątynia zrobi z nas naleśniki.

Nikt się nie spierał. Wszyscy pospieszyli za nim do chłodnej jaskini.

Przechodząc obok, Ralph oddał mu karabin.

— Mam teraz własną broń — powiedział, unosząc krótką strzelbę z rygłem.

Sam rozpoznał broń Gila.

— Skąd?

Ralph wskazał kciukiem za siebie.

— Wziąłem, kiedy do was szliśmy. Gil musiał uciekać w wielkim pośpiechu i ją porzucił. — Na ramieniu Ralpa wisiał pas z nabojami. — Jego strata... nasz zysk.

— Miejmy nadzieję, że nie będziemy potrzebować żadnej broni — odparł Sam.

Ralph wzruszył ramionami i poszedł dalej.

— Spróbuj jeszcze raz skontaktować się z Philipem — poradziła Maggie, patrząc na zapadające się pomieszczenie. — Daj mu znać, że jesteśmy bezpieczni, i niech nie spisuje nas na straty. Jak będziemy mieć wodę i schronienie, powinniśmy dotrwać, aż przybędzie pomoc.

— Jasne. W jaskiniach, może nie być łączności. — Sam zapomniał o Philipie Sykesie. Wyjął walkie-talkie, odsunął się od progu i włączył urządzenie. Kiedy wcisnął przycisk nadawania, natychmiast rozległy się radiowe trzaski. — Sykes? Słyszysz mnie? Odbiór.

Odpowiedź przysła od razu, niestety niewyraźna.

— ...żywi? Dzięki Bogu... całe wzgórze zniknęło. Pracujemy... jak się da! Odbiór.

Sam się uśmiechnął. Szybko opowiedział o odkryciu i cudzie ze sztyletem.

— Schowamy się w jaskiniach, aż nas wyciągniecie. Zrozumiałeś? Odbiór.

Odpowiedź była jeszcze bardziej przerywana.

— ...jaskiniach? Nie idźcie za daleko. Spróbuję i... — Reszta zginęła w szumie.

— Tylko się pospiesz, Sykes! — krzyknął na zakończenie Sam. — I jak najszybciej zawiadom mojego wuja!

W odpowiedzi usłyszał tylko szum. Bateria była zbyt słaba, aby sygnał przebił się przez grubą warstwę ziemi i skał. Sam zaklął pod nosem i wyłączył walkie-talkie, by oszczędzić resztkę baterii. Miał nadzieję, że Philip wszystko usłyszał.

Zagryzł dolną wargę i dołączył do reszty. Kawałek dalej zaczynał się kompletny mrok. Choć Sam czuł ulgę, że udało im się uciec, po głowie

krążyło mu ostrzeżenie ojca de Almagro: „Waż Edenu... Niech nikt go nigdy nie niepokoi”.

— Idziemy! — rzucił i ruszył w ciemność.

Ścieżka była wąska, więc szli gęsiego. Ralph prowadził, Sam szedł ostatni. Można było odnieść wrażenie, że skała zamyka się za nimi. W pewnym miejscu musieli przecisnąć się bokiem między dwiema granitowymi ścianami. Za przewężeniem szum wody zrobił się głośniejszy i Sam od razu poczuł pragnienie. Język miał jak wyschnięte płótno.

— Droga chyba się poszerza! — zawołał od przodu Ralph. — Chodźcie!

Sam przyspieszył, niemal następując Maggie na pięty. Szli już niemal godzinę, gdy dał się wyczuć ruch powietrza. Przed nimi mogła być otwarta przestrzeń i nogi same przyspieszały.

Przeście faktycznie się poszerzyło i mogli iść grupą.

— Coś przed nami jest — powiedział idący przodem i oświetlający drogę Ralph.

Zwolnili i po chwili doszli do końca przejścia. Ralph uniósł latarkę.

— Rany boskie... — westchnął.

Sam pokiwał głową, pozostali zamarli w milczeniu. Przed nimi znajdowała się jaskinia, pośrodku płynęła rzeka, która wyrzeźbiła w skale głębokie koryto. Nie to jednak zdumiało przybyszy. Strop podierały kolumny, rzeźbione na całej wysokości w skomplikowane wizerunki i fantastyczne stwory, intarsjowane srebrem. Osadzony w kamieniu metal odbijał światło latarek — patrzyły na nich oczy tysięcy postaci, strażników starożytnego świata.

Ralph zaświecił niżej.

— Patrzcie!

W ciemnej jaskini do brzegu dudniącej rzeki biegła ścieżka z młotkowanego złota. Dalej prowadziła wzdłuż strumienia i w głąb jaskiń. Znikała za zakrętem ściany.

— Niesamowite — powiedział Sam.

— Tamta komnata musiała być tylko kamuflażem, pułapką chroniącą to, co jest tutaj — stwierdził Ralph.

Sam zrobił dwa kroki naprzód i ostrożnie postawił stopę na złotej ścieżce.

— Ale co właściwie odkryliśmy?

Kiedy Norman zaczął robić zdjęcia, Maggie podeszła do Sama.

— Miejsce na odpoczynek. Na razie wystarczy.

Pozostali mruknęli na zgodę. Pragnienie i zmęczenie wygrały ze zdumieniem i chęcią odkrywania tajemnic.

Sam nie protestował. Tajemnice mogły poczekać do następnego dnia. Mimo wszystko, kiedy jego towarzysze szli krętą złotą ścieżką, nie mógł powstrzymać skojarzenia, jak bardzo przypomina ona wijącego się węża.

Złotego węża.

. . .

Henry Conklin siedział przy komputerze i patrząc na ekran, czekał, aż nawiąże łączność.

— No, Sam, podnieś tę cholerną słuchawkę... — mruknął pod nosem. Co najmniej dziesiąty raz próbował połączyć się z obozem w Peru. Po głowie krążyły mu różne scenariusze. Od trywialnych, jak usterka łącza satelitarne, po groźniejsze, takie jak atak szabrowników na obóz. — Nie powinienem był stamtąd wyjeżdżać.

Popatrzył na zegarek w górnym prawym rogu ekranu. Minęła jedenasta. Wziął głęboki wdech, aby uspokoić nerwy. Mógł być jeszcze prostszy powód: ze względu na włamanie do pokoju i papierkową robotę z hotelową ochroną zadzwonił ponad dwadzieścia minut po umówionym czasie. Studenci prawdopodobnie przestali czekać i smacznie spali w namiotach.

Spróbował po raz ostatni. Patrzył, jak na ekranie pojawia się ikona informująca, że kontakt z satelitą został nawiązany. Sygnał przeskoczył na antenę w Andach. Henry wstrzymał oddech, ale sygnał ponownie zamilkł — połączenie nie doszło do skutku.

— Cholera! — Huknął pięścią w biurko. Choć było mnóstwo wyjaśnień, w głębi serca czuł, że stało się coś złego. Już raz przeżywał podobny niepokój — w dniu, kiedy jego brat Frank, ojciec Sama, zginął w wypadku samochodowym. Pamiętał telefon o czwartej rano, lodowate macki przerażenia, kiedy sięgał po słuchawkę. Teraz czuł podobny niepokój.

Coś się stało w Peru. Wiedział to.

Wyciągnął znów rękę w kierunku komputera, nim jednak nacisnął klawisz, zadzwonił telefon na biurku, wytrącając go z równowagi. Z sercem w gardle popatrzył na słuchawkę, nagle wróciło wspomnienie straszego dnia sprzed lat. Zacisnął pięść.

— Opanuj się, Henry — powiedział na głos i spróbował rozluźnić palce. Zamknął oczy, zebrał się w sobie, podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

— Henry? Tu Joan.

Poczuł ulgę, że to ona, ale wyraźnie słyszał napięcie w jej głosie. To nie był towarzyski telefon.

— Co się stało, Joan?

Jego pełen niepokoju głos musiał zbić ją z tropu. Chwilkę się jąkała, po czym przeszła do rzeczy.

— Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć. Po naszej randce... wspólnym wieczorze... wpadłam do laboratorium i stwierdziłam, że ktoś próbował włamać się do kostnicy, gdzie są szczątki mumii. Ochrona wystraszyła włamywacza, ale go nie złapali.

— Co z mumią?

— Nic się nie stało. Złodzieje nawet nie weszli do środka.

— Wygląda na to, że artykuł w „Heraldzie” przyciągnął więcej much, niż mogliśmy się spodziewać.

— Albo to te same muchy. Może nie znaleźli niczego w twoim pokoju i przyszli tutaj. Co powiedziała policja? — spytała Joan.

— Niewiele. Niczego nie ukradziono, więc nie wykazali większego zainteresowania.

— Nie zebrali odcisków palców?

Henry się roześmiał.

— Naogłądałaś się za dużo kryminałów. Sprawdzili tylko nagrania z kamer na korytarzu.

— I co?

— Nic. Spryskano obiektywy farbą w sprayu.

Przez dłuższą chwilę milczała.

— Joan?

— To samo zrobili tutaj. To zaniepokoiło ochroniarza. Zniknął obraz na monitorze.

— Dlatego uważasz, że to ci sami ludzie?

— Nie wiem.

— No cóż, miejmy nadzieję, że interwencja ochrony powstrzyma ich przed dalszymi działaniami — powiedział Henry, choć wcale nie był do tego przekonany.

Joan głośno się roześmiała.

— Mam nadzieję, że masz rację. Przepraszam, że zawracam ci głowę.

— Nie zawracasz. I tak nie spałem. — Postanowił nie mówić, że stracił kontakt z Samem. Choć było to kompletnie nielogiczne, Henry czuł, że wszystkie wydarzenia wieczoru są ze sobą powiązane. Owszem, to oczywisty nonsens, ale włoski zjeżyły mu się na karku.

— Dam ci chyba spokój — powiedziała Joan. — Do zobaczenia jutro.

Ze zdziwieniem zmarszczył czoło, przypomniał sobie jednak, że są umówieni w laboratorium.

— Tak, jasne. Do zobaczenia. Dobranoc. — Tuż zanim odłożył słuchawkę, dodał szybko: — Dziękuję za telefon — ale Joan już się rozłączyła.

Henry powoli odłożył słuchawkę.

Wbił wzrok w ekran monitora, po czym wyłączył komputer. Nie było sensu dalej próbować. I tak nie wierzył, że uzyska połączenie. Zanim zatrzasnął laptop, złożył sobie obietnicę.

— Jeśli nie połączę się z nimi do jutrzejszego wieczoru, lecę tam pierwszym samolotem!

Ale nawet ta decyzja nie uspokoiła jego nerwów.

DZIEŃ TRZECI
SUBSTANCJA Z

Środa, 22 sierpnia, godzina 6.03

Jaskinie w Andach Peruwiańskich

W świetle latarki Sam przyglądał się złotemu ostrzu sztyletu. Miał ostatnią nocną wartę. Pozostali spali dookoła skuleni na nagiej skalnym podłożu, z poduszkami z koszul i plecaków. Ralph cicho chrapał, udało mu się zasnąć. Wcześniej Sam miał z tym kłopot — zdrzemnął się tylko na chwilę i miał straszliwe wizje spadających głazów, czuł obecność niewidzialnych potworów. Kiedy Norman nim potrząsnął, by przejął straż, wstał z ulgą.

Podniósł wzrok znad sztyletu i rozejrzał się po jaskini. Z dziesiątków rzeźbionych kolumn obserwowały go srebrne oczy pół ludzkich, pół zwierzęcych stworzeń. Inkaskich bogów i duchów. Złota ścieżka odbijała słabe światło niczym jasna żyła w ciemnej skale. Sam wyobrażał sobie, ile pokoleń Inków musiało nią przechodzić. Biegająca wzdłuż brzegu ścieżka prowadziła w głąb jaskiń i najchętniej od razu by nią podążył. Ustalili jednak, że rozbiją obóz przy wodzie, blisko wejścia do jaskini i tu zaczekają na pomoc. Zbadać jaskinię można będzie później.

Sam popatrzył na zegarek. Prawdopodobnie słońce właśnie wschodziło nad Andami, choć tu mrok zdawał się pogłębiać. Czas stracił znaczenie — ciągnął się w nieskończoność.

Choć Sam próbował ignorować głód, w brzuchu głośno mu burczało. Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz jedli? Mimo wszystko nie powinien narzekać — mieli przynajmniej wodę.

Najważniejsze, by czymś się zająć.

Obmacywał ostrze sztyletu, zastanawiając się nad tajemnicą jego mechanizmu. Jak doszło wczoraj do przemiany? Nawet nie umiał wyobrazić sobie, co sprawiło, że ostrze przybrało kształt błyskawicy. Nastąpiło to gładko i bez oporu, jakby zrobiło się płynne i nabrało nowego kształtu. Jaka kryła się za tym technologia? Ostrzeżenie ojca de Almagro

przed Wężem Edenu sugerowało zakazaną wiedzę, wiedzę, która mogła zniszczyć ludzkość. Czy sztylet był jej wytworem?

Z zadumy wyrwało go kasznięcie. Szła ku niemu Maggie, na bosaka. Nawet rozmemłana wyglądała zachwycająco. Miała na sobie tylko cienką, luźną zapinaną bluzkę i widać było poruszające się pod materiałem piersi. Sam poczuł suchość w ustach. Spuścił wzrok, żeby się nie skompromitować, ale natrafił na łagodne krzywizny talii i nóg.

— Musisz przestać się tym bawić — powiedziała cicho. — Ludzie zaczynają gadać.

— Słucham?

Maggie uśmiechnęła się smutno i skinęła głową w kierunku sztyletu.

— Och... — Sam szybko schował go za siebie. — Nie... nie mogłaś spać?

Wzruszyła ramionami i usiadła obok.

— Skąła nie jest najlepszym materacem.

Nie było sensu polemizować z jej małym kłamstwem. Podejrzewał, że nie mogła zasnąć z tych samych powodów co on. Z powodu głębokiego niepokoju i otaczającej ich ciemności.

— Wyjdziemy stąd — stwierdził, jakby to było oczywiste.

— Wierzysz w starego dobrego Philipa Sykesa?

— Jest dupkiem, ale nas stąd wyciągnie.

Maggie popatrzyła na sąsiednią kolumnę.

— Chciałam ci podziękować, że przyszedłeś, kiedy miałam drugi... drugi atak.

Otworzył usta, by powiedzieć, że podziękowania są zbędne, ale powstrzymała go, dotykając jego dłoni.

— Musisz coś wiedzieć — rzekła. — Chyba jestem ci to winna.

— O co chodzi?

— Nie jestem prawdziwą epileptyczką — powiedziała cicho.

Sam uniósł brwi.

— To znaczy?

— Psychologowie zdiagnozowali zespół stresu pourazowego, ciężką postać napadu paniki. Kiedy napięcie osiąga pewien poziom... — Maggie pomachała ręką — moje ciało strajkuje. Posyła umysł na zieloną trawkę.

— Nie rozumiem. To nie przypadłość tych, którzy byli na wojnie?

— Nie zawsze. Poza tym istnieją różne wojny.

Sam nie chciał naciskać, ale serce nie pozwalało mu milczeć.

— Co się stało?

Przyglądała mu się uważnie przez dłuższą chwilę, oceniała, na ile może mu zaufać. W końcu odwróciła głowę.

— Kiedy miałam dwanaście lat, widziałam, jak mojego kolegę ze szkoły, Patricka Dugana, trafiła zabłąkana kula snajpera IRA. Upadł na mnie, kiedy chowaliśmy się w przydrożnym rowie.

— Boże, to okropne...

— Kule latały, ludzie krzyczeli i płakali, nie miałam pojęcia, co robić. Ukryłam się pod jego ciałem. — Maggie zaczęła drzeć. — Cała przesiąkałam... jego krwią. Była gorąca, jak podgrzany syrop. Śmierdziało rzeźnią...

Sam przysunął się do Maggie i przyciągnął ją do siebie.

— Nie musisz mi o tym...

Nie odsunęła się, ale i nie zareagowała na dotyk. Wpatrywała się w ciemność, zatracona w dobrze znanym koszmarze.

— Patrick żył. Kiedy się pod nim chowałam, jęczał, ale za cicho, by usłyszał go ktokolwiek poza mną. Błagał, żebym mu pomogła. Płakał za mamą, ale ja się tylko chowałam, używałam jego ciała jako tarczy, a jego krew wsiąkała mi w ubranie. — Odwróciła się do Sama. — Było ciepło i bezpiecznie. Niech Bóg mi wybaczy, ale starałam się nie słuchać jego jęków.

— Byłaś dzieckiem.

— Mogłam coś zrobić.

— I zginąć jak on. Jaką korzyść przyniosłoby to Patrickowi Duganowi?

— Nigdy się tego nie dowiem — powiedziała zalana gorącymi łzami pogardy dla samej siebie. Odsunęła się od Sama i popatrzyła na niego zranionym, pełnym złości wzrokiem. — Prawda?

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Przykro mi — rzucił w końcu bezradnie.

Maggie energicznie otarła twarz.

— Od tego czasu pojawiają się te przekłete napady. Lata terapii i leki nic nie dały, więc dałam im spokój. To mój problem, coś, z czym muszę żyć... sama. Moje brzemię.

I zadana sobie kara za śmierć Patricka Dugana, pomyślał Sam, nic jednak nie powiedział. Jakie miał prawo ją osądzać? W głowie zakotłowały

mu się obrazy zmasakrowanych ciał rodziców wyciąganych z rozbitego samochodu jak połcie wołowiny, podczas gdy on siedział przypięty na tylnym siedzeniu i tylko patrzył. Poczucie winy tego, kto przeżył — doskonale znał to uczucie. Do dziś nieraz budził się w lepiącej się od zimnego potu pościeli, ciasno zawiniętej wokół ciała.

Kolejne słowa Maggie przywróciły go do rzeczywistości.

— Następnym razem nie ryzykuj dla mnie, zgoda?

— Nie... nie mogę tego obiecać.

Wbiła w niego wściekłe spojrzenie, w oczach zaczęły się jej zbierać łzy.

— Maggie...?

Przerwał im Norman.

— Przepraszam, ale muszę się odpryskać — mruknął fotograf, którego włosy sterczały na wszystkie strony. Podszedł do złotej ścieżki i poszukał najbliższego głazu. Najwyraźniej nie zauważył napięcia między Samem a Maggie.

Sam spojrział w kierunku dziewczyny, nie chciała jednak patrzeć mu w oczy. Wstała.

— Po prostu nie... ryzykuj życia... — Kiedy odchodziła, dodała coś jeszcze, pod nosem, ale akustyka jaskini sprawiła, że usłyszał. — Nie chcę mieć na sumieniu kolejnej śmierci...

Sam pochylił się, by wstać, pójść za Maggie i ją pocieszyć, ale zrezygnował. Co miał powiedzieć? Po śmierci rodziców słyszał mnóstwo banałów. „Nie obwiniaj się”. „Nie mogłeś nic na to poradzić”. „Wypadki się zdarzają”. Żadne słowa nie pomogły, ale miał wuja Henry’ego. Straciwszy żonę, Hank wyczuwał, że z niektórymi sprawami trzeba sobie poradzić samemu, przerobić je w milczeniu, a nie wałkować w poszukiwaniu „odpowiedzi”. Bratanka z wujem bardziej od żałoby związała właśnie ta cisza. Byli jak dwie rany gojące się i zablizniające równocześnie.

Sam patrzył, jak Maggie odchodzi z opuszczonymi ramionami. Miała rację — to było jej brzemię, mimo to najchętniej by do niej podbiegł, objął ją i ochronił.

Nim podjął decyzję, zaalarmował go głośny wrzask. Skoczył na nogi, wyciągając sztylet, i ruszył do miejsca, gdzie oparł karabin.

Zza głazu wyskoczył Norman. Zapinał nerwowo rozporek i zerkał przez ramię.

— Co się stało?

Fotograf przez chwilę nie mógł złapać powietrza. Jedną ręką wskazywał na głaz, za którym sikał.

— Za... za tym...

Podszedł Ralph, jeszcze nie do końca obudzony. Tarł oczy i ścisnął w drugim ręku strzelbę Gila.

— Jezu, Norman! Piszczysz jak dziewczucha!

Fotograf nie zareagował na złośliwość, zbyt na to rozdygotany.

— Wydawało mi się, że to tylko... porosty albo jaśniejsze plamy na skale, ale... tam się coś rusza!

— Co? O czym ty mówisz?

Norman wzdrygnął się, ale w końcu zebrał się w sobie. Machnął ręką, by podeszli w kierunku głazu.

— Nie jestem pewien... — Zaprowadził ich do miejsca, skąd przybiegł, trzymał się jednak z daleka od tego, co się tam kryło.

Sam stanął tuż obok Normana. Tył ciemnej skały krył się w cieniu, w pobliskiej ścianie biegły pasma kwarcu albo białego gipsu.

— Niczego nie widzę — powiedział.

— Dajcie mi latarkę — poprosił Norman.

Denal podszedł i podał mu drugą latarkę. Fotograf włączył ją i snop światła wbił się w mrok.

Sam aż wzdrygnął się z obrzydzenia: widoczne na ścianie blade pasma nie były kwarcem ani gipsem. Poruszały się, spływając po ścianie i tworząc u jej stóp małe jezioro, od którego wybiegały cienkie pasma, wyciągające się niczym palce w kierunku ich obozowiska. Sam przesunął latarkę.

— Pająki... — Każdy był blady jak brzuch ślimaka i miał wielkość dłoni człowieka. Musiały być ich setki... a raczej tysiące.

Ralph cofnął się o krok.

— Tarantule.

— Tarantule albinosy... — Maggie westchnęła.

Armia pajaków szła bez ustanku. Idące z przodu osobniki obchodziły głaz, kilka zatrzymało się przy parującej skale, w miejscu, gdzie Norman się wysikał — przyciągało je ciepło.

— Kierują się do ciepła naszych ciał — stwierdził Sam. — Paskudztwo pewnie jest ślepe, przyciąga je hałas i ciepło.

Stojący za ich plecami Denal zaczął mamrotać w kiczua.

Sam odwrócił się ku niemu i stwierdził, że chłopak wskazuje dłonią w przeciwnym kierunku, ku oddalonej części złotej ścieżki. Skierowali latarki w tę stronę i ujrzeni jeszcze jedną ścianę bladych owłosionych nózek. Sam poczuł, jakby coś pełzło mu po plecach.

Podniósł głowę i poświecił w górę.

Całe sklepienie było pokryte warstwą wzburzonych stworzeń — pełzających po sobie, parzących się, walczących. W jedwabistych sieciach wisiały tysiące worków z jajami. Weszli do gniazda tarantul... a armia drapieżców atakowała. Pająki schodziły po kolumnach, jakby rodziły się z wyrzeźbionych na nich postaci.

Sam przyglądał się uważnie wielkim pająkom. W jaskiniach nie mogło być zbyt wiele pokarmu, więc bestie musiały być tym bardziej agresywne. Zamiast czekać, aż ofiara wpadnie w sieć, te polujące zazwyczaj indywidualnie istoty tutaj wypracowały wspólną strategię. Zbijając się w masę, mogły lepiej przeczesać przestrzeń jaskini w poszukiwaniu pokarmu i pokonywały większego przeciwnika liczebnością. Sam nie miał ochoty zostać ich następnym daniem.

— No dobra, kochani, chyba nadużyliśmy gościnności — powiedział.
— Zbierajmy rzeczy i spadamy z Dodge City.

— Dokąd? — spytała Maggie.

— W jaskini jest ścieżka, prawda? Indianie, którzy ją zrobili, musieli mieć ku temu jakiś powód. Może prowadzi do wyjścia? Ktoś nie ma ochoty się dowiedzieć?

Nikt nie zgłosił obiekcji, widok podpełzających tarantul robił swoje.

Sam wsunął złoty sztylet za pazuchę i wziął karabin. Dał pozostałym znak, by zabrali bagaż.

— Używamy tylko jednej latarki — polecił, kiedy ruszyli. — Drugą oszczędzamy. Nie chcę zostać tu bez światła.

Na samą myśl o utknięciu w ciemności w otoczeniu bladej armii jadowitych pajaków robiło się lodowato. Sam zacisnął dłoń na karabinie, choć wiedział, że gdyby zgasło światło, niewiele mu on da.

Norman poszedł za nim, świecąc latarką i raz za razem oglądając się za siebie.

— Dopóki idziemy, pająki cię nie dogonią, Norman — rzekł ze złośliwym uśmiechem Ralph.

Fotograf mimo to nie przestawał się odwracać.

— W razie czego mi przypomnij... żadnych przerw na sikanie, dopóki nie zobaczymy światła dnia.

Sam miał na głowie coś całkiem innego. Martwiło go nie to, co za nimi. Nerwy miał jak postronki na myśl o tym, co może być przed nimi. Dokąd ta cholerna ścieżka ich zaprowadzi?

Niestety, był tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć.

— Lwy, tygrysy i niedźwiedzie. Ożeż... — mruknął Norman.

Sam popatrzył na niego, skonsternowany.

Fotograf kiwnął głową w kierunku złotej ścieżki.

— Jakoś mi się kojarzy z Żółtą Ceglaną Drogą.

— Super — stwierdził Ralph. — Teraz koleśowi się wydaje, że jest Dorotką w Krainie Oz.

— Chciałbym. Nie miałbym nic przeciwko Srebrnym Trzewiczkom, które zaniósłoby mnie do domu — mruknął Norman. — A przynajmniej z powrotem na farmę w Kansas.

. . .

Sam przewrócił oczami i ruszył dalej.

Resztkę długiego poranka zajął niekończący się marsz, głównie pod górę. Nogi i plecy bolały, ale ścieżka prowadziła ich coraz wyżej w labirynt jaskiń. Mogliby lepiej docenić widoki, gdyby nie brak jedzenia i narastające zmęczenie. Mijali wznoszące się wysoko stalagmity, wielkie groty z kryształowymi fosforyzującymi jeziorkami, przełomy, które spryskiwały złotą ścieżkę przyjemną chłodną mgiełką, nawet boczną jaskinię o ścianach tak szczelnie wyłożonych koronkowymi kryształami, że wyglądała jak wypełniona watą cukrową. Była to kraina magii i naturalnego piękna.

Cały czas drogę wyznaczały rzeźbione kolumny, przypominające milczących wartowników, obserwujących intruzów nieruchomymi srebrnymi oczami.

Choć widok kolumn ich zdumiewał, nie potrafili zapomnieć, co było za nimi. Gdy podczas przerw pili wodę ze strumienia, niespokojnie zerkali za siebie, ale nie wyglądało na to, by armia tarantul ich ścigała. Najwyraźniej zostawili pająki daleko za sobą.

Powoli dzień zaczynał przechodzić w popołudnie. Jedynym ciekawym momentem był krótki lunch z dwóch batonów Milky Way, które znalazły się w torbie z aparatami Normana. Czekolada dawno nie smakowała tak dobrze, ale ten smak nieba potwał krótko i tylko nasilił u wszystkich głód.

W trakcie następnych godzin reakcje zaczęły się zaostrzać, a nastroje pogarszać.

W dodatku klarowne dotychczas powietrze zaczął przenikać ostry odór.

— Amoniak — stwierdził Sam. — Śmierdzi jak tyłek skunksa.

— Może powietrze się psuje — stwierdził Norman.

— Nie bądź głupi — ofuknął go Ralph. — Byłoby jeszcze gorsze na dole.

— Niekoniecznie — zaproponowała Maggie. Mrużyła podejrzliwie oczy, wbijając wzrok w ciemność. — Chyba że jest tutaj źródło tego zapachu.

— Jak to? — Ralph był zmęczony i zirytowany.

Zamiast odpowiedzieć, Maggie odwróciła się do Sama.

— Te tarantule... były dobrze odżywione. Co tu jedzą?

Sam tylko pokręcił głową.

— Boże! — zawołał Norman, który przejął prowadzenie. Złota ścieżka wznosiła się nieco i prowadziła do sąsiedniej jaskini. Sądząc po echu jego głosu, musiała być bardzo duża.

Pobiegli za nim.

Maggie zatrzymała się, zasłaniając usta i nos dłonią. Odór kłuł w oczy i nosy.

— Oto odpowiedź. Źródło pożywienia tarantul.

— Nietoperze... — jęknął Sam.

Pod sklepieniem jaskini wisiały tysiące czarnych i brązowych nietoperzy z przyciśniętymi do ciała skrzydłami. Młode miały jaśniejszą barwę, niemal miedzianą. Ostre piski i ultradźwiękowe sygnały przekazywały wśród skrzydlatych stworzeń informację o pojawieniu się intruzów. Setki zwierząt oderwały się od sufitu i zaczęły uciekać, krążąc dziko w powietrzu.

Źródło smrodu od razu było widoczne.

— Gówno — stwierdził Ralph.

— Dokładnie — potwierdził Norman. — Nietoperze gówno.

Podłoże jaskini było pokryte grubą warstwą odchodów. Zanieczyszczone rzeźbione kolumny wystrzeliwały w górę ze śmierdzącej masy. Odór był tak intensywny, że wszyscy cofnęli się jak uderzeni w twarz.

Norman zaczął kasłać i pluć. Zgiął się wpół, charcząc.

Ralph wyglądał, jakby jego ciemną skórę wybieliła jakaś mocna substancja.

— Nie przejdziemy tędy — stwierdził. — Umarlibyśmy przed dotarciem na drugą stronę.

— Na pewno nie bez masek gazowych — zgodziła się Maggie.

Sam nie zamierzał się spierać. Ledwie widział, oczy mu łzawiły.

— W takim razie... co robimy?

Denal trzymał się nieco z tyłu, więc najmniej odczuł kontakt z odchodami, nie patrzył jednak do przodu, tylko za siebie. Wyciągnął rękę.

— Znowu idą — powiedział.

Sam popatrzył we wskazanym kierunku, zamrugał, aby odzyskać wzrok, i wziął latarkę od Normana. Kilka metrów za nimi po skałach pełzło kilka białych kształtów. Zwiadowcy armii tarantul.

— Niech to cholera! — rzucił Ralph.

— Co teraz? — spytała Maggie.

Sam popatrzył do tyłu i znowu do przodu. Wszyscy zaczęli mówić naraz. Sam uniósł wyżej latarkę.

— Spokojnie! Panika nic nam nie da!

W tej samej chwili jego latarka zamigotała i zgasła. Połknęła ich ciemność, mrok był tak kompletny, jakby świat w jednej chwili zniknął. Wszyscy natychmiast zamilkli.

Po dłuższej chwili odezwał się Norman.

— No świetnie... możemy teraz zacząć panikować?

. . .

Joan otworzyła przed Henrym drzwi laboratorium.

— Czuj się jak u siebie w domu — powiedziała i popatrzyła na zegarek. — Doktor Kirkpatrick powinien się zjawić punkt dwunasta.

Henry zatrzymał się w wejściu i patrzył szeroko otwartymi oczami.

— To jak wielki sklep z zabawkami... Od czasów studiów na Rice musiałaś sobie świetnie radzić.

Joan ukryła uśmiech zadowolenia.

Henry powoli wszedł w głąb kompleksu laboratoriów, przyglądając się urządzeniom. Pod ścianą w głębi stały różne aparaty diagnostyczne i badawcze: ultrawirówka, analizatory hematologiczne i chemiczne, spektrograf masowy, chromatograf, sekwencer genów. Pod jedną z bocznych ścian znajdował się wyciąg, gdzie można było pracować

z niebezpiecznymi substancjami, pod drugą — szafki, inkubatory, wielkie urządzenie chłodzące.

Henry przeszedł przez pomieszczenie i zajrzał do sąsiedniego.

— Boże, masz nawet własny mikroskop elektronowy... — Przewrócił oczami. — Żeby u nas skorzystać z uniwersyteckiego, trzeba się meldować przynajmniej z tygodniowym wyprzedzeniem.

— Tutaj nie ma takiej potrzeby. Dziś moje laboratorium jest do twojej dyspozycji.

Henry podszedł do centralnie ustawionego stołu roboczego w kształcie litery U i postawił na nim aktówkę.

— Śniłem o czymś takim... — powiedział z rozmarzeniem.

Chichocząc pod nosem, Joan zbliżyła się do zamykanej na klucz szafki ze stali nierdzewnej i wyjęła z niej dużą zlewkę.

— Tu jest cały materiał, jaki zebraliśmy ze ścian i podłogi laboratorium radiologicznego.

Kiedy stawiała naczynie, Henry otworzył szeroko oczy. Pochylił się nieco i i poprawił okulary.

— Nie sądziłem, że tyle tego jest.

Żółtawa substancja wypełniała połowę litrowej zlewki. W jarzeniowym blasku laboratorium zdawała się świecić własnym światłem.

Joan przysunęła stołek.

— Sądząc po ilości, musiała wypełniać całą czaszkę.

Henry podniósł zlewkę, szybko musiał pomóc sobie drugą ręką — substancja była cięższa, niż sądził. Przechylił naczynie, ale zawartość nie była płynna. Odstawił zlewkę na stół.

— Wygląda na substancję stałą.

Joan pokręciła głową.

— Ale nie jest. — Wzięła do ręki szklane mieszadło i włożyła je do naczynia. Pod naciskiem ciężki pręt dotarł do dna, choć nie od razu. Wydawało się, jakby wchodził w miękką glinę. Kiedy Joan puściła, mieszadło stało pionowo. — Jest plastyczna, ale nie stała.

Henry spróbował poruszyć mieszadłem.

— Hm... to zdecydowanie nie złoto, ale barwa i blask idealnie je imitują. Może miałaś rację, że to jakiś nowy amalgamat. Na pewno jeszcze nigdy niczego podobnego nie widziałem.

— Może widziałeś. Porównajmy to ze złotym krzyżem. Przyniosłeś go, prawda?

Skinął głową. Odwrócił się do stołu, ustawił zamek numeryczny w aktówce i otworzył ją.

— Chyba przy mnie będzie bezpieczniejszy niż w hotelu.

Wyjął dominikański krzyż i podał go Joan.

Wykonanie było niezwykle. Twarz stylizowanej postaci Chrystusa przepełniała żarliwa łaska.

— Niesamowity — powiedziała Joan.

— I nie plastyczny, wątpię więc, by został zrobiony z tego samego amalgamatu. — Henry położył krucyfiks obok zlewki.

Materiał w naczyniu i krzyż błyszcząły identycznie.

— Jesteś pewien?

Henry popatrzył na Joan znad okularów i uniósł brwi.

— Pozostawiam ostateczną ocenę twojemu ekspertowi.

— Mogę? — Sięgnęła po krzyż.

— Oczywiście, Joan.

Kiedy zwrócił się do niej po imieniu, jej dłoń na ułamek sekundy się zawahała. Dość intymna sytuacja oraz otoczenie wywołały wspomnienia z czasów, kiedy przez jeden semestr wspólnie pracowali w laboratorium biologicznym. Jakże były dziwne — i żywe! Zdecydowanie były czymś więcej niż *déjà vu*.

Nie patrząc na Henry'ego, wzięła do ręki krzyż. Przeszłość to przeszłość. Zważyła krucyfiks w dłoni — był cięższy, niż można by się spodziewać, ale czy ze złotem nie jest tak zawsze? Uniosła krzyż do światła i zaczęła pochylać go na boki i uważnie oglądać.

— To zdecydowanie robota hiszpańskiego rzemieślnika — myślał Henry na głos. — Nie inkaskiego. Jeśli krzyż jest zrobiony z tego samego amalgamatu, będzie to raczej dowodem, że Hiszpanie sprowadzili substancję do Nowego Świata, a nie odwrotnie...

Coś zwróciło uwagę Joan. Z tyłu krzyża wyczuła pod palcami drobne zadrapania. Wyjęła z kieszeni okulary. Założyła je, odwróciła krucyfiks i zmrużyła oczy. Nie był to podpis artysty ani starożytny napis, ale szeregi drobnych znaczków. Pokrywały cały tył krucyfiksu.

— Co to? — spytała, przerywając Henry'emu monolog.

Podszedł bliżej i stanął, dotykając Joan barkiem. Poczula jego zapach — płyn po goleniu i coś mocniejszego, bardziej pizmowego. Próbowwała nie zwracać na to uwagi.

— O czym mówisz?

— Tutaj. — Wskazała paznokciem na znaczki.

— Ach, to... moim zdaniem krzyż ocierał się o habit mnicha, po latach powierzchnia się starła.

— Hm... może, ale znaki są zbyt symetryczne, a niektóre są głębsze i nieregularne. — Odwróciła się do Henry'ego i jej nos niemal zetknął się z jego nosem. Czula na policzku jego oddech. Henry wpatrywał jej się uważnie w oczy.

— Co sugerujesz?

— Nie wiem — odparła i cofnęła się o krok. — Chciałabym się temu bliżej przyjrzeć.

— W jaki sposób?

Zaprowadziła go za róg stołu, gdzie stało kilka mikroskopów. Podeszła do jednego z nich — z pękatym binokulem i dużą szklaną tacą.

— Mikroskop dysekcyjny. Zwykle używam go do dokładniejszej obserwacji tkanek.

Położyła krzyż tyłem ku górze i zapaliła światło. Oświetlony z góry krucyfik zajarzył się wewnętrznym światłem. Joan wyregulowała lampę, aby równomiernie oświetlała przedmiot, pochyliła się nad okulem i ustawiła ostrość. Choć zaczęła od niewielkiego powiększenia, od razu zauważyła, że znaki są trójwymiarowe — wyglądały jak głębokie rowki w metalu, precyzyjnie wykonane i powtarzające się długie wgłębienia. Układały się w drobne symbole: krzywe prostokąty, nierówne okręgi, poziome i pionowe zawijasy, zachodzące na siebie owale.

— Spójrz — powiedziała, odsuwając się na bok.

Henry pochylił się nad mikroskopem. Patrzył przez chwilę, po czym gwizdnął.

— Masz rację. To nie przypadkowe zadrapania. — Rzucił okiem na Joan. — Chyba w niektórych zagłębieniach jest srebro. Może ślady narzędzia, którym grawerowano krzyż.

— Trzeba mieć dobry powód, aby podjąć się tak żmudnej pracy.

Henry zacisnął wargi i lekko zmrużył oczy, jakby mogło to pomóc w rozwiązaniu nowej tajemnicy.

— Może to jakaś wiadomość? Kto wie? Modlitwa? Błogosławieństwo?

— Zapisane kodem? I dlaczego z tyłu krzyża? To musi mieć dodatkowe znaczenie.

Henry wzruszył ramionami.

— Jeśli to zrobił ksiądz, kiedy był uwięziony, mógł to być jedyny sposób, aby wiadomość się zachowała. Inkowie szanowali złote przedmioty. Może wiedział, że jeśli będzie miał krzyż przy sobie, kiedy zginie, Inkowie mu go zostawią.

— Ale dla kogo chciał przeznaczyć tę wiadomość?

— Odpowiedź może kryć się w jej treści... — Henry powoli pokręcił głową.

Joan wróciła do mikroskopu. Wyjęła z szuflady blok listowy i długopis, po czym usiadła i zaczęła przenosić na papier widok z obiektywu.

— Sprawdźmy. Zawsze lubiłam grzebać się w szyfrach. Jak mi się nie poszczęści, poproszę kogoś z działu komputerowego, żeby przepuścił to przez program deszyfrujący. Może go złamią.

Henry stał za nią i patrzył, jak rysuje.

— Stałaś się kobietą o wielu talentach, Joan Engel.

Pochyliła głowę, by nie pokazać rumieńca; skupiała się na zadaniu i jak najstaranniejszym kopiowaniu kodu. Pracowała szybko i efektywnie. Rysując, nie unosiła wzroku znad okularu. Po latach robienia notatek z równoczesnym studiowaniem tkanek pod mikroskopem, nabrała wprawy w notowaniu na ślepo.

Po pięciu minutach kopia była gotowa. Symbole wypełniały papier szereg po szeregu. Joan wyprostowała się i przeciągnęła, aby rozluźnić kark.

— Poczekaj — powiedział stojący za nią Henry. Przeciągnął dłonią nad jej barkiem i delikatnie odsunął włosy z karku. Kostki jego dłoni musnęły jej skórę.

Musiła powstrzymać drżenie.

— Henry...?

— Nie ruszaj się. — Zaczął ugniatać palcami napięte mięśnie górnej partii jej ramion. Z początku jego dłonie wydawały się chłodne, zaraz jednak się rozgrzały i ich ciepło łagodziło ból zmęczonych mięśni.

— Widzę, że nie straciłeś wyczucia — powiedziała, poddając się jego dotykowi, wspominając inne miejsca i czas. — Jeśli każę ci przestać, nie

słuchaj — dodała z udawaną nonszalancją.

— Przynajmniej tyle mogę zrobić po wszystkim, co ty zrobiłaś dla mnie. — Ton głosu Henry’ego był głębszy niż zwykle.

Przerwało im ostre pukanie do drzwi laboratorium.

Dłonie Henry’ego zamarły i po chwili się cofnęły.

Joan przesunęła się na krzesło, z barkami i karkiem ciągle rozgrzanymi od masażu. Popatrzyła na zegarek.

— To musi być doktor Kirkpatrick. Jest punktualny.

. . .

Henry w myśli sklął punktualność metalurga. Potarł dłonie jedna o drugą, jakby chciał zetrzeć pamięć dotyku skóry Joan. Weź się w garść, człowieku, skarcił się w myśli. Zachowujesz się jak zadurzony nastolatek.

Patrzył za odchodzącą Joan. Delikatnie dotknęła dłonią karku, po czym poprawiła włosy — czarne jak noc na tle białego kitla. Od rozwikływania tych wszystkich tajemnic wolałby kilka chwil sam na sam z Joan.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i przywitała gościa.

— Dale... dzięki, że zechciałeś wpaść.

Dale Kirkpatrick, metalurg z Uniwersytetu George’a Washingtona, był o dobrą głowę wyższy od Henry’ego, ale wyglądał jak tyczka do fasoli i miał podłużną twarz, na której rzadko pojawiał się uśmiech. Właśnie próbował się uśmiechać, ale z katastrofalnym rezultatem — wyglądał jak koroner, który wita się z rodziną ofiary zbrodni.

— Dla koleżanki wszystko.

Henry od razu wyczuł, że Joan i rudzielca łączy więcej niż profesjonalna zażyłość. Ich spojrzenia spotykały się często, a uścisk dłoni trwał nieco dłużej, niż dyktowały konwenanse. Henry natychmiast zapalał antypatią do naukowca w drogim jedwabnym garniturze i wypolerowanych na wysoki połysk butach. Kiedy Kirkpatrick wchodził do laboratorium, te buty głośno zastukały o podłogę. W lewym ręku niósł dużą walizkę z przyborami.

Henry odchrząknął.

— Dale, pozwól, że przedstawię ci profesora Henry’ego Conklina — powiedziała Joan.

Kirkpatrick wyciągnął rękę.

— Archeolog. — Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie i w tonie głosu Henry dosłyszał lekkie lekceważenie.

Krótko i formalnie uścisnęli sobie dłonie.

— Doceniam pańską pomoc — powiedział Henry. — Mamy do czynienia z poważną zagadką. Nie wiemy, co począć z tym amalgamatem, czy co to jest.

— Oczywiście... niech rzucę okiem. — Kirkpatrick był uprzejmy, ale lekko wyniosły, jakby sama jego obecność mogła wnieść światło w mrok.

— Jest tam. — Joan zaprowadziła go do stołu roboczego.

Stanąwszy na wprost zagadki, Kirkpatrick przekrzywił głowę i zaczął w milczeniu przyglądać się tajemniczej substancji. Joan otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, metalurg uniósł jednak palec, by ją uciszyć. Henry musiał się powstrzymać, by nie złapać go za paluch i mu go nie złamać.

— To nie złoto — oznajmił po chwili Kirkpatrick.

— Tego już się domyśliliśmy — rzekł kwaśno Henry.

Tamten popatrzył na niego z uniesionymi brwiami.

— Bez wątpienia, inaczej nie zostałbym wezwany, prawda? — Odwrócił się do zlewki i sięgnął ku tkwiącemu w niej szklanemu mieszadłu. Poruszał nim przez chwilę. — Konsystencja pólstała w temperaturze pokojowej. Szacowaliście punkt topnienia?

— Jeszcze nie.

— To łatwe.

Powiedział Joan, czego potrzebuje, i wkrótce stali wokół ceramicznego pojemnika ogrzewanego palnikiem Bunsena. Na dnie naczynia była próbka materiału z tkwiącym w niej termometrem. Kiedy substancja powoli się ogrzewała, metalurg zaczął wykład:

— Jeśli to jest amalgamat, gdy zacznie topnieć, poszczególne metale powinny się oddzielić.

— Właśnie się rozpuścił. — Henry wskazał ruchem głowy na próbkę.

— To niemożliwe — rzekł Dale, marszcząc czoło. — Ogrzewał się dopiero kilka sekund. Nawet złoto nie topi się w tak niskiej temperaturze.

Henry jednak się nie pomylił. Dale uniósł naczynie chwyதாகami — substancja w środku nabrała konsystencji kremu. Popatrzył na Joan.

— Jaka jest temperatura?

— Trzydzieści siedem stopni — odparła skonsternowana.

— Temperatura ciała... — powiedział Henry.

Po zdjęciu z palnika naczynie szybko wystygło i metaliczna substancja stęzała.

— Poszczególne składniki się nie oddzieliły, wbrew temu, co pan przewidział — zauważył Henry. — To znaczy, że to nie amalgamat?

— Za wcześnie, żeby to stwierdzić — odparł Kirkpatrick, ale jego głos stracił ostrość.

— Co teraz?

— Zrobimy dalsze badania. Chętnie sprawdzę przewodność i zachowanie w polu magnetycznym.

Szybko ugnietli z badanego materiału sześcian i włożyli w niego dwie elektrody. Kirkpatrick skinął głową i Joan podłączyła je do akumulatora. Kiedy popłynął prąd, sześcian natychmiast się roztopił i zmienił w przypominającą ślimaka strugę.

— Wyłącz prąd!

Kiedy Joan wykonała polecenie, materiał natychmiast stężał. Kirkpatrick go dotknął.

— Chłodny.

— Co właściwie się stało? — spytał Henry.

Kirkpatrick pokręcił głową — nie miał odpowiedzi.

— Przynieście mi magnesy z walizki.

Ustawili dwa magnesy z ołowianymi obudowami po obu stronach drugiej metalowej kostki i Kirkpatrick zainstalował potencjometr.

— Na mój znak podnieście osłony. — Pochylił się nad przyrządem. — Teraz!

Kiedy usunęli ołów, wydarzyło się to samo co przy przepływie prądu: złota kostka rozpuściła się jak lód w piecu i rozlała po stole.

— Osłońcie magnesy!

Substancja natychmiast stężała. Kirkpatrick dźgnął ją palcem. Miał zaniepokojoną minę.

— No i? — spytał Henry.

— Mówiłaś, że podczas tomografii substancja wystrzeliła z czaszki mumii?

— Dokładnie tak było — odparła Joan. — Rozprysła się po całym laboratorium.

— A więc na tę substancję działa nawet promieniowanie tomografu — mruknął Kirkpatrick, stukając długopisem o skraj stołu. — Interesujące...

— Co pan o tym sądzi? — spytał Henry, pakując magnesy.

Wzrok Kirkpatricka wyostrzył się i skupił. Naukowiec odwrócił się do Joan i Henry'ego.

— Substancja z doskonałą wydajnością może wykorzystywać każdą energię promieniującą, prąd elektryczny, pole magnetyczne, promieniowanie rentgenowskie. Absorbuje różne rodzaje energii i wykorzystuje je do zmiany stanu skupienia. — Trącił palcem bryłkę stężałego metalu. — Moim zdaniem przy zmianie stanu skupienia nawet nie wydziela ciepła. Doskonale wchłanianie energii! Bez marnowania jej na wytwarzanie ciepła! Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem. To niemożliwe z termodynamicznego punktu widzenia.

Henry przyjrzał się zawartości zlewki.

— Sugeruje pan, że eksplozję mumii wywołało promieniowanie rentgenowskie skanera?

Kirkpatrick skinął głową.

— Pod wpływem skupionej wiązki promieni część materiału mogła zmienić stan skupienia z płynnego na gazowy. Objętość nagle się zwiększyła i spowodowała gwałtowny wybuch płynnej substancji. Po ustaniu promieniowania znów wróciła do stanu półstałego.

— Ale co to jest? — spytała Joan.

Kirkpatrick ponownie uniósł ten swój irytujący paluch.

— Spróbujmy jeszcze czegoś — zaproponował. Wziął kolejną kostkę miękkiej substancji i zaczął ją ścisnąć jak glinę. — Czy zdarzyło się, że to całkiem stwardniało?

Joan pokręciła głową.

— Nie. Próbowалаm to zamrozić, ale pozostało plastyczne.

— Profesorze Conklin, mógłby mi pan podać rękaw do izolacji magnesów? — spytał metalurg.

Henry, który właśnie owijał ostatni z ciężkich magnesów w impregnowaną miedzią tkaninę, przerwał pracę, odwinął materiał i dał go Kirkpatrickowi.

— Rękaw blokuje działanie magnezu... dzięki niemu, przechodząc obok, nie niszczy drogiego elektronicznego sprzętu. Ekranuje niemal każdą postać promieniowania.

Henry zaczął się domyślać, na czym polega plan metalurga.

Kirkpatrick wziął złoty sześcian, owinął go czarną tkaniną i położył na stole. Wyjął z walizki młotek i dłuto. Przyłożył dłuto do sześcianu i mocno

uderzył. Usłyszeli tylko głuchoe brzdęknięcie. Kostka oparła się uderzeniu.

Kirkpatrick szybko odwinął metal — uderzenie nie pozostawiło na powierzchni śladu. Wziął znów dłuto i bez trudu wetknął je w kostkę.

— Wokół nas jest pełno promieniowania o niskiej energii — wyjaśnił. — Jest wszędzie i zawsze. Fale radiowe, impulsy elektromagnetyczne z przewodów w budynkach, promieniowanie słoneczne. Ta substancja wykorzystuje je wszystkie! Dlatego pozostaje plastyczna. Nawet ta śladowa ilość energii ją zmiękcza.

— Nie rozumiem — powiedziała Joan. — Jaki metal czy amalgamat może mieć takie właściwości?

— Żaden, z jakim dotychczas się spotkałem i o którym słyszałem. — Kirkpatrick wstał i chwycił złotą kostkę szczypcami. Skinął ku sąsiedniemu pomieszczeniu, gdzie znajdował się mikroskop elektronowy. — Zbadajmy to dokładniej.

Henry wkrótce szedł za nimi do pomieszczenia z mikroskopem. Niósł zlewkę z tajemniczą substancją — zatkaną gumową pokrywą — i dominikański krucyfiks. Joan i Kirkpatrick już pochylali głowy i odcinali cienki plasterek kostki, który miał trafić pod mikroskop elektronowy.

Henry podszedł do niewielkiego stolika w głębi i postawił na nim zlewkę oraz krucyfiks. Wielki mikroskop zajmował całą przestrzeń w głębi pomieszczenia, kolumna optyczna sięgała aż pod sufit. Przed urządzeniem ustawiono trzy monitory.

Joan włączyła aparaturę, zaczęła wciskać przełączniki i szybko sprawdzać kalibrację. Kirkpatrick kończył przygotowywać próbkę — mocował ją na tacy skanera. Dał Joan znak uniesionym kciukiem.

Zapomniany Henry cierpko się uśmiechnął i usiadł na stołku.

Kolumna optyczna zaczęła mrużyć i cicho trzaskać — wolframowe działo elektronowe zbombardowało próbkę strumieniem elektronów. Kirkpatrick pognął do siedzącej przy monitorach Joan. Patolog wcisnęła klawisze i ekrany monitorów zajarzyły się na szaro. Nawet z miejsca, gdzie siedział Henry, dało się odczytać komendę STAND BY.

— Ile to zajmie? — spytał.

Joan spojrzała w jego kierunku; wyglądała na zaskoczoną i zażenowaną. Musiało wreszcie do niej dotrzeć, że go ignorowała.

— Niezbyt długo. Kompilacja i obliczenie obrazu zajmuje mikroskopowi mniej więcej dziesięć minut. — Uśmiechnęła się

przepraszająco i odwróciła do monitorów.

Henry skupił uwagę na krucyfiksie. Postukał w niego palcem. Na pewno był z prawdziwego kruszcu.

— Czyste złoto... — mruknął pod nosem. Przynajmniej jedna tajemnica się wyjaśniła, choć niewiele to dawało.

Odwrócił krucyfiks, aby przyjrzeć się znaczkom. Co próbował przekazać Francisco de Almagro? Henry przesunął palcem po drobnych znakach. Jeśli był to jego ostatni komunikat, co aż tak ważnego miał do przekazania? Dotyk krzyża wywołał w Henrym złe przecucie — podobne do tego, jakie miał poprzedniego wieczoru, gdy nie mógł nawiązać łączności z obozem. Odsunął od siebie przesądny lęk. Dostawał paranoi. Po raz setny tego dnia jego myśli podążyły ku Samowi i pozostałym studentom. Jak radzili sobie z podziemną piramidą? Może już rozwikłali największe zagadki?

Henry umieścił krucyfiks pomiędzy dłońmi i oparł czoło na czubkach palców. Z tym wykopaliskiem wiązało się tyle dziwacznych sytuacji... Jakoś na pewno dałoby się połączyć wszystkie wątki w jedną całość: zmumifikowanego księdza, tajemnicze substancje, szczelnie zamknięte komory. Gdzie tkwił jednak klucz? Henry czuł, jak kontur krzyża wciska mu się w skórę. Złoty krzyż i zakodowana wiadomość. Czy o to chodziło?

Wyobraził sobie młodego księdza, skulonego nad krzyżem i grawerującego go jakimś ostrym narzędziem. Żmudna praca w obliczu śmierci. Być może Henry właśnie trzymał w dłoni jego ostatnie słowa. Co chciał przekazać?

— Co mogło być takie ważne...? — szepnął.

Ujrzał oczami wyobraźni dominikanina...

Joan głośno westchnęła, wrywając Henry'ego z zadumy. Patrzyła w jego kierunku, ale nie na niego. Podążył za jej wzrokiem, ku swojemu prawemu łokciowi.

Stała tam zlewka ze złotą substancją. Kiedy ujrzał jej zawartość, wstrzymał oddech.

— Henry...?

W zlewce nie było nieforemnej metalicznej masy, lecz dość toporna kopia krucyfiksów dominikanina. Opierający się pionowo o bok zlewki kształt przypominał krzyż, ale szczegóły nie były wyraźne. Postać Chrystusa była tylko lekko zaznaczona.

Joan i Kirkpatrick podeszli.

— Pan to zrobił? — spytał metalurg.

Henry spojrzał, jakby ten oszalał. Wskazał na szczelnie przylegającą pokrywę.

— Żartuje pan?

Elementy krzyża zaczęły topnieć na ich oczach. Krawędzie się zaokrągliły, Chrystus spłynął do kałuży substancji na dnie zlewki. Jednak krzyż nadal zachowywał kształt.

— Myślałem o nim, kiedy... — zaczął wyjaśniać Henry.

Niedaleko rozległ się ostry dźwięk brzęczyka, który w małym pomieszczeniu wydał się szczególnie głośny.

Obraz na monitorach zadrgał i zaczęły pojawiać się kontury.

— Może jesteśmy krok bliżej rozwiązania — oznajmił Kirkpatrick i odszedł w kierunku monitorów.

Henry i Joan poszli za nim. Przelotnie spojrzeli sobie w oczy. Henry miał wrażenie, że dostrzega w jej oczach konsternację i jakby strach. Zanim się opanował, wyciągnął rękę i dodał Joan otuchy, ściskając jej dłoń. Przyjęła gest, przysuwając się kilka centymetrów.

Henry po raz ostatni zerknął podejrzliwie na krzyż w słoju i też popatrzył na monitory.

Kirkpatrick pochylał się nad klawiaturę, palcem dotykał ekranu. Widać było na nim niezmiernie krajobraz: poszarpaną krainę, pełną dziwnie ukształtowanych szczytów i dolin, jakby ktoś zrobił czarno-białe zdjęcie Marsa.

— To niemożliwe — rzekł Kirkpatrick, wskazując na ramkę z powiększonym fragmentem obrazu. — Popatrzcie! Ta substancja to agregacja drobnych cząstek. Patrzcie, jak są połączone i nawzajem powiązane!

Zdjęcie ukazywało maleńkie ośmiokątne cząsteczki połączone ze sobą za pomocą przegubowych odnóży. Każda jednostka była połączona z sąsiednimi za pomocą sześciu wypustek, tworząc gęstą sieć.

Joan wyciągnęła palec do ekranu i dotknęła obrazu jednej z szarych struktur.

— Wyglądają niemal organicznie. Jak fagi wirusa albo coś w tym stylu. Metalurg mruknął pod nosem i wskazał dłonią „krajobraz” na ekranie.

— Nie, to zdecydowanie nie wirusy. Załamania i macierz wewnętrzna wskazują wyraźnie, że to materia nieorganiczna. Powiedziałbym, że w strukturze wręcz krystaliczna.

— Więc co to właściwie jest? — spytał Henry, coraz bardziej rozzłoszczony zachowaniem Kirkpatricka. — Metal, kryształ, wirus, warzywo, minerał?

Wzrok Kirkpatricka powędrował ku krzyżowi w zlewce. Pokręcił głową.

— Pojęcia nie mam, ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że wszystko, co pan wymienił.

. . .

Philip Sykes stał przed namiotem komunikacyjnym i obserwował góry. Trwał drugi dzień jego warty przy zawalonych ruinach. To, co jeszcze niedawno było porośniętym dżunglą wzgórzem z ukrytą wewnątrz świątynią, zamieniło się w rumowisko. Z ciemnej ziemi niczym połamane zęby wystawały krawędzie przewróconych granitowych głazów i płyt.

Gdyby Philip nie dowiedział się od Sama, że studenci odkryli system jaskiń, uznaliby, że nie żyją. W ostatnich godzinach wzgórze już więcej się nie zapadło ani nie poruszyło, spod ziemi nie dolatywał odgłos przesuwających się skał. Wykopalisko było ciche jak grób, świątynia całkowicie osiadła.

Ale Sam nawiązał kontakt.

Philip zacisnął pięść. Coś w najgłębszym zakamarku jego duszy żałowało, że aroganckiemu Teksańczykowi się to udało. Znacznie prościej byłoby uznać wszystkich za nieżywych — wtedy mógłby opuścić wykopaliska i zostawić przeklętych Indian na pastwę ich czarnej dżungli. Z każdą spędzoną godziną coraz bardziej obawiał się ataku Guillerma Sali. Kiedy ze szczytu góry spłynęła chłodna bryza, Philip objął się ramionami. Kto dotrze pierwszy — ekipa ratunkowa, wezwana przez dwóch Indian, czy najemnicy Gila, powracający, żeby dokończyć robotę?

Napięcie zżerało mu nerwy.

— Gdybym tylko mógł stąd wyjechać...

Wiedział jednak, że to niewykonalne, dopóki nie skończy się kopanie tunelu.

Wbił wzrok w skraj dżungli.

Pokrzykiwania i ciche śpiewy robotników Kiczua odbijały się echem od niewidocznego miejsca robót po przeciwległej stronie szczytu. Tego dnia wykopali piętnaście metrów tunelu, rozpoczętego przez szabrowników. Choć Indianie nadal rzucali mu mroczne spojrzenia i mamrotali ostre słowa, Philip nie mógł mieć do nich pretensji, bo wykonywali ciężką pracę. Ekipa została podzielona na trzy zmiany i kopano oskardami oraz łopatami dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Mogło się wręcz okazać, że jego przewidywania — dwa dni pracy do wydobycia zasypanych studentów — wcale nie będą aż tak bardzo odbiegały od prawdy.

Czy to jednak wystarczy?

Kilka metrów w głębi dżungli, gdzie paru Indian robiło sobie przerwę w cieniu drzew, powstało zamieszanie. Philip wyprostował się, jakby dodatkowe dwa centymetry mogły mu pozwolić przeniknąć wzrokiem listowie. Wstrzymał oddech.

Spomiędzy drzew wypadł jeden z indiańskich robotników. Machał do Philipa ręką, wzywając go gestem zrozumiałym dla każdego. Philip nie zamierzał go słuchać, nawet cofnął się o krok. Dolatujące z oddali okrzyki Indian stały się głośniejsze, coraz więcej robotników gromadziło się bowiem za skrajem dżungli. Sądząc po uldze i radości w ich głosach, odkrycie nie mogło być niebezpieczne.

Philip wziął głęboki wdech i zaczął schodzić krokiem, który miał demonstrować pewność siebie. Nawet tak niewielki wysiłek, jak przejście przez polanę, szybko odebrał mu oddech. Napięcie i zmęczenie osłabiły jego wydolność w rozrzedzonym na tej wysokości powietrzu. Kiedy dochodził do skraju dżungli, poczuł w prawej skroni narastający ból.

Zanim doszedł na miejsce, spomiędzy drzew wyszła grupa podnieconych Indian. Kręcili się jak pszczoły w ulu, szeroko się uśmiechali, świecąc zębami w popołudniowym słońcu. Po chwili otoczyli go jak woda skałę w rzece. W końcu tłum rozdzielił się na tyle, że Philip mógł dostrzec, kogo prowadzą do obozu.

Spomiędzy drzew wyszło sześć postaci w brązowych jak błoto habitach i sandałach, a kiedy odrzuciły do tyłu kaptury, ukazały się szczere i ciepłe twarze. Wszyscy się uśmiechali, ale nie jak Indianie szczerzący idiotycznie zęby, lecz uprzejmie, nie ostentacyjnie.

Od razu dało się rozpoznać przywódcę. Był nieco wyższy i jako jedyny miał srebrny krzyż.

— Zakonnicy... — mruknął Philip zdumiony.

Niektórzy Indianie opadli na kolana i pochyłili głowy, by uzyskać błogosławieństwo. Pięciu mnichów zaczęło przykładać dłonie do głów i mamrotać po hiszpańsku modlitwy, przywódca grupy ruszył w kierunku Philipa.

Miał urodziwą twarz o wyrazistych rysach, zwieńczoną czarnymi włosami.

— Usłyszeliśmy o twojej potrzebie, synu — powiedział. — Nazywam się Dominic Otera. Chcemy zaoferować pomoc.

Philip zamrugał. Mnich mówił po angielsku! Philip powstrzymał chęć, żeby podejść i z wdzięczności go objąć. Potrzebował chwili, by wziąć się w garść i zacząć mówić.

— Jak... skąd... się dowiedzieliście?

Mnich uniósł dłoń.

— W trakcie wędrówki po okolicznych wioskach natknęliśmy się na Indian, których wysłaliście po pomoc. Kazałem im iść do Villacuacha, aby zawiadomili władze, ale w międzyczasie możemy zaoferować modlitwę i pociechę po tragedii, jaka się tu wydarzyła.

Philip poczuł ulgę, jakby ktoś zdjął z niego ciężkie brzemię. Pojawił się ktoś — mówiący po angielsku — z kim mógł podzielić się niepokojem. Zaczął gadać trzy po trzy, niezdolny jasno formułować myśli, paplał, to dziękując, to wyrażając niepokój.

Ojciec Otera podszedł do niego i położył mu dłoń na policzku.

— Uspokój się, synu.

Dotyk natychmiast pomógł.

— Tak... oczywiście... gdzie moje maniery — powiedział Philip. — Idziecie z daleka, musicie być spragnieni i wygłodniali.

Mnich spuścił głowę.

— Pan jest wszelkim pokarmem, jakiego potrzebujemy, ale jako wędrowcy bylibyśmy nieroztropni, nie korzystając z waszej gościnności.

Philip pokiwał głową jak głupek, ale czuł taką ulgę, że nie potrafił się opanować.

— Zapraszam więc do mojego namiotu — rzekł. — Mam sok, wodę i mogę szybko kazać zrobić kilka kanapek.

— To bardzo uprzejme. Może gdy zejdziemy z ostrego słońca, opowiesz nam, co wam się przytrafiło.

Philip poprowadził mnichów do namiotów. Trzech nie poszło — zostali nieco z tyłu i błogosławili robotników.

— Dołączą do nas niedługo — wyjaśnił najważniejszy zakonnik, kiedy Philip stanął. — Służba Panu przede wszystkim.

— Oczywiście. — Philip skinął głową i ruszył dalej.

Wkrótce on i Otera siedzieli na biwakowych krzeselkach w namiocie. Między nimi stała taca z serami i mięsiwem. Pozostałych dwóch mnichów skromnie przyjęło po szklance soku z gujawy i skryło się w cieniu na zewnątrz, pozostawiając przywódcę i Philipa samych.

Po skosztowaniu poczęstunku zakonnik z westchnieniem wdzięczności opadł na oparcie krzesła.

— Przepyszne. — Położył dłonie na kolanach i wbił wzrok w Philipa. — A teraz powiedz mi, synu, co się tu stało. Jak możemy pomóc?

Philip napił się soku i zebrał w sobie. Przyjmując na siebie obowiązki gospodarza, uspokoił się, nie potrafił jednak patrzeć zakonnikowi prosto w oczy. W mrocznym namiocie wydawały się bardzo ciemne, niczym przenikające mrok studnie, przez które mógł zajrzeć w duszę rozmówcy. Philip został wprawdzie wychowywany w prezbiteriańskim duchu, nie był jednak nigdy szczególnie religijny. Czuł w siedzącej naprzeciwko niego cichej postaci siłę, a początkowa ulga powoli zamieniała się w niepokój. Czuł, że nie wolno mu kłamać, mnich bowiem natychmiast go rozszyfruje.

Odstawił szklankę i zaczął opowiadać o zdradzie Gila i dokonanym sabotażu.

— ...a po wybuchu świątynia zaczęła się zapadać, uwięzieni musieli schodzić coraz głębiej. Nie byłem w stanie im pomóc.

Ojciec Otera skinął raz głową, jakby udzielał rozgrzeszenia.

— Pokój z tobą, Philipie. Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.

Te słowa dodały Philipowi siły. Naprawdę zrobił wszystko, co w jego mocy. Poprawił się na krześle i opowiedział, jak Indianie zaczęli kopać szyb ratunkowy, a Sam i pozostali odkryli za złotym bożkiem tajne przejście. Gadał i gadał. Opisał nawet, jak Sam znalazł klucz i przesunął figurę.

— Złoty klucz, który w jakiś sposób zmienił kształt.

Na te słowa zakonnik szerzej otworzył oczy i przerwał Philipowi.

— Złoty nóż i ukryty tunel, prowadzący w głąb góry? — Głos Otery zrobił się dziwnie basowy i złowieszczy.

— Tak...

Zakonnik przez chwilę milczał, zaraz jednak powrócił jego swobodny styl bycia.

— Dziękujemy Panu za ratunek. Przynajmniej pańscy przyjaciele znaleźli bezpieczne schronienie. Pan zawsze otwiera drogę przed tymi, którzy są dobrego serca.

— Mam nadzieję, że za dwa dni skończymy tunel ratunkowy. A jeśli Indianie, których wysłałem, sprowadzą pomoc...

Ojciec Otera nagle wstał.

— Nie obawiaj się. Pan będzie chronił tu obecnych. Dla niego wszyscy jesteśmy ukochanymi owieczkami. Nic złego się nie stanie.

Philip szybko się podniósł, aby być bliżej zakonnika i chłonąc pociechę.

Otera dał znak dłonią, by nie wstawał.

— Odpoczywaj, Philipie, zasłużyłeś na to. Chroniąc przyjaciół, czyniłeś to samo, co czyniłby Pan.

Philip opadł na krzesło i westchnął. Ojciec Otera pochylił się i wyszedł z namiotu.

— Dziękuję! — zawołał Philip za oddalającym się mnichem.

Sam w namiocie, zamknął na chwilę oczy. Może uda mu się zasnąć? Brzemie zostało podzielone i otrzymał rozgrzeszenie za swoje wątpliwe działania.

Patrzył na wejście do namiotu. Cały czas czuł emanującą od mnicha siłę.

Ojciec Otera musiał być naprawdę religijnym człowiekiem.

. . .

Otera spotkał się ze swoim człowiekiem w bezpiecznej odległości od namiotów. Uspokoił drżące dłonie. Czy to możliwe? Po tak długim czasie?

Mnich pogrzebał w plecaku i podał Oterze radio, ten je wziął i schował się pod osłoną lasu, wybrał odpowiedni kanał i połączył się ze zwierchnikiem.

— Kontakt nawiązany — powiedział po hiszpańsku. — Odbiór.

Nastąpił krótki szum, po którym nadeszła odpowiedź.

— Twoja ocena?

— Korzystna. Stanowisko wygląda na złote. Powtarzam: złote. — Ojciec Otera krótko streścił informacje uzyskane od roztrzęsionego doktoranta.

Nawet tutaj ojciec Otera dosłyszał przez radio pomruk zaskoczenia i ciche słowa po hiszpańsku.

— *El Sangre del Diablo*.

Na te słowa Oterę przeszedł dreszcz.

— Pańskie rozkazy?

— Zaprzyjżnij się z doktorantem. Zdobądź jego zaufanie. Potem podpal ogień pod robotnikami. Przekop się do tunelu. — Zapadła długa cisza, po której nadszedł ostateczny rozkaz. — Po nawiązaniu kontaktu oczyść miejsce... dokładnie.

Ojciec Otera po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął. Pomacał sztylet w pochwie na nadgarstku. Wyniosły doktorant przypominał mu młodzieńców, którzy kiedyś pluli na jego niskie pochodzenie i mieszaną krew. Z przyjemnością posłucha, jak *americano* błaga o litość, ale co ważniejsze, jeśli podejrzenia się potwierdzą, on, Otera, będzie grał o znacznie wyższą stawkę. Czekał długo, znosząc upokorzenia ze strony hiszpańskich misjonarzy, którzy uważali się za jego przełożonych. Jeśli ma rację, pokaże im ich błąd, ich ślepotę. Nie będzie więcej popychadłem i obiektem krzywych spojrzeń. Grając rolę dobrego żołnierza, uniósł radio do ust.

— Nawiązać kontakt i oczyścić obiekt. Rozumiem. Bez odbioru.

Wyszedł z lasu i oddał radio trzymającemu straż mnichowi.

— No i? — spytał mnich, chowając odbiornik.

— Mamy zielone światło. — Ojciec Otera poprawił krucyfiks.

W oczach mnicha pojawiło się zdumienie.

— A więc to prawda... — Przeżegnał się. — Niech Pan ma nas w swej opiece!

Otera ruszył w kierunku obozu. Słowa z radia odbijały się echem w jego głowie.

El Sangre del Diablo.

Krew Diabła.

. . .

Maggie drżącymi palcami manipulowała drugą latarką. Wcisnęła przycisk i światło wystrzeliło w głąb mrocznej jaskini, na chwilę ją

oślepiając. Na ścieżce wyłoniły się blade twarze studentów i młodego Indianina. Podczas minuty ciemności na złotą ścieżkę weszły tarantule. Z boku podchodziło ich jeszcze więcej — pająki albinosy wyglądały na tle czarnej skały jak rozgwiezdzy o białych odnóżach.

Sam popatrzył w kierunku śmierdzącej jaskini nietoperzy.

— Nie wiem... za kilka minut będzie tu pełno tarantul, ale nie da się brnąć po pas w *guanie* i się nie udusić. Musi być inna droga.

Maggie zeszła ze złotej ścieżki do strumienia. Woda bulgotała w wąskim kanale, wyrzucając w powietrze delikatną mgiełkę.

— Popłyniemy — rzuciła, wskazując światłem latarki na pędzącą wodę.

— Popłyniemy? — spytał łamiącym się głosem Norman. — Oszalałaś? To woda z rozpuszczonego śniegu. Zamarzniemy na śmierć.

— W tej części jaskini prąd jest żwawy, ale nie rwący — odparła Maggie. — Wskoczmy i damy się przenieść przez jaskinię z nietoperzami, żeby oddalić się od pajaków. — Poruszyła dłonią unoszącą się nad strumieniem mgiełkę. — Może nawet woda nieco nas odizoluje od toksycznych oparów.

Sam podszedł i popatrzył na dziewczynę z uznaniem.

— Ma rację. To może zadziałać, ale powinniśmy trzymać się razem. Jak tylko miniemy nietoperze, musimy od razu zabierać tyłki z wody. Jeśli prąd nas nie zabije, może nas zabić temperatura.

Denal podszedł do brzegu strumienia. Woda płynęła mniej więcej metr poniżej krawędzi.

— Ja pierwszy — zaproponował. — Sprawdzę, czy jest bezpiecznie.

— Nie, Denal — zaprotestowała Maggie, wyciągając ku niemu rękę.

Odsunął się poza jej zasięg.

— Dobrze pływam. Dopłynę, zawołam. Wtedy popłyniecie. Nie zawołam, nie płyńcie.

Sam podszedł do Indianina.

— Nie, Denal, ja to zrobię. — Poklepał się po kieszeni kamizelki. — Mam lampę Wooda, żeby sobie poświecić.

Chłopiec sięgnął do swojej kieszeni — lampa Wooda tam właśnie się znajdowała. Zapalił fioletowawe światło.

— Nie pytam, płynę. — Powiedziawszy to, odwrócił się i wskoczył do wody.

— Denal! — wrzasnął Sam i rzucił się do brzegu.

Maggie powstrzymała go w ostatniej chwili i oboje patrzyli na chłopaka. Podskakiwał pod wpływem niosącego go prądu, ale lampę trzymał nad wodą, kierując światło w głąb jaskini. Potem strumień skręcał i wpływał do tunelu.

— Cholerny dzieciak mnie obrobił — mruknął Sam z szacunkiem i jednocześnie niepokojem w głosie.

— Da sobie radę — stwierdziła Maggie.

Czekanie szybko stało się nieznośne. Nikt nie miał odwagi spytać, dlaczego Denal nie woła.

Ralph został bliżej ścieżki, by mieć oko na pająki.

— Nadchodzi główna armia — rzucił ostrzegawczo.

Można było odnieść wrażenie, że do plamy światła dotarła pieniaąca się grzywa białej fali.

— Dawaj, Denal, nie zostawiaj nas na lodzie... — powiedziała Maggie.

Jak gdyby chłopak ją usłyszał, z głębi jaskiń dobiegło echo dalekiego krzyku. A więc mały dotarł na miejsce.

— Dzięki Bogu — westchnął Sam. — Spadajmy stąd.

Norman szybko spakował sprzęt do wodoszczelnej walizki, a Ralph — nie tracąc z oczu pająków — podszedł do grupy.

Sam zdjął z ramienia winchestera i skinął Ralphowi, by zrobił to samo ze strzelbą.

— Próbuje trzymać broń nad powierzchnią. Pewnie wytrzyma krótki kontakt z wodą, ale lepiej nie ryzykować.

Ralph popatrzył na strumień z miną, jakby było mu niedobrze.

— Do diabła ze strzelbą. Obym głowę utrzymał nad wodą. — Popatrzył na przyjaciół. — Nie umiem pływać.

— Słucham? — spytał Sam. — Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej?

— Bo Maggie miała rację. Rzeka to jedyna droga ucieczki.

Podszedł Norman.

— Popłynę z Ralphem. W wojsku zrobiłem kurs ratownictwa wodnego.

— Byłeś w wojsku? — spytał z niedowierzaniem Ralph.

— Trzy lata w Fort Ord, aż mnie zwolnili podczas polowania na czarownice w bazie. — W głosie Normana pobrzmiwała gorycz. — To tyle w kwestii dyskrecji.

Ralph pokręcił głową.

— Poradzę sobie sam.

Fotograf zaczerwienił się.

— Powodzenia, bezmózgi mięśniaku! Przestań odgrywać macho i pozwól sobie pomóc. Nie zamierzam się do ciebie dobierać, nawet nie jesteś w moim typie! — Podał Ralphowi walizkę z aparatami. — Jest izolowana pianką, żeby unosiła się na wodzie. Trzymaj ją mocno przy sobie, a ja zajmę się resztą!

Ralph z ociąganiem wziął walizkę.

— A co z tym? — spytał, unosząc strzelbę Gila.

— Zajmę się obydwoma — odparł Sam. Sięgnął po broń, ale Maggie go ubiegła.

— Dwie sztuki broni ściagną cię na dno — powiedziała. — Latarka jest wodoszczelna i prawie nic nie waży.

— W razie kłopotów odrzuć strzelbę — poradził jej Sam. — Światła potrzebujemy bardziej niż broni.

Maggie skinęła głową.

— Ruszajmy. Pająkom się nie spodoba, że ucieka im posiłek.

Sam dał znak Ralphowi i Normanowi, aby skakali pierwsi. On i Maggie mieli płynąć ostatni.

Balansując ramionami, Norman zsunął się na skałę tuż nad linią wody.

— Teraz! — krzyknął do Ralpa.

Wielki futbolista zagryzł dolną wargę, przytulił walizkę do piersi i skoczył, zanim strach go powstrzymał.

Maggie świeciła na nich latarką. Norman gładko zanurkował i po chwili wynurzył się obok nieporadnie unoszącego się na wodzie Ralpa.

— Połóż się na plecach! — wrzasnął, kiedy prąd ich porwał. — Przyciśnij walizkę mocno do siebie!

Ralph machał rękami, pluł wodą i gorączkowo kopał.

— Nie walcz z wodą!

Ralph w końcu go posłuchał i obrócił na plecy.

Norman płynął obok; jedną ręką trzymał kołnierzyk jego koszuli i unosił mu głowę nad wodą.

— Tylko trzymaj mocno walizkę! — ostrzegł Norman, kiedy odpływali. — Jak zgubisz moje aparaty, to cię utopię!

— Teraz my — powiedział Sam, wsuwając kapelusz do plecaka. — Gotowa?

Maggie wzięła głęboki wdech i skinęła głową.

— Nic ci nie będzie? — spytał Sam, prostując się i patrząc jej prosto w oczy.

Wiedziała, że ma na myśli nie tyle jej strach przed wodą, co raczej ataki paniki.

— Ja to wymyśliłam, prawda? Nic mi nie będzie.

— No to ty pierwsza.

Otworzyła oczy, aby zaprotestować, gdy poczuła na nodze łaskotanie. Po jej spodniach wspinała się tarantula wielkości pięści. Maggie westchnęła z obrzydzeniem i zabiła pająka latarką. Uniosła strzelbę Gila nad głowę i nie dbając o grację, skoczyła do wody.

Z głośnym echem plasnęła plecami i tyłkiem o wodę. Krótkie ukłucie gorąca natychmiast zastąpiło lodowate zimno. Kiedy zanurzyła się po szyję, Maggie odniosła wrażenie, że zaraz eksploduje. Wszystkie mięśnie się skurczyły i musiała wykonać spory wysiłek, żeby zmusić kończyny do ruchu. Zimno natychmiast przeniknęło ubranie i zamroziło oddech w płucach.

Sam plasnął tuż za nią.

Zanim zdążyła się odwrócić albo odezwać, porwał ją prąd. Płynęła na plecach, nogami do przodu, aby móc odepchnąć ewentualne przeszkody. Trzymała latarkę nad wodą, kolby strzelby używała jako steru i wiosła.

Na skraju światła widziała Normana i Ralpha, wpływających w gardło tunelu.

— Jak ci idzie?! — zawołał do niej Sam.

Maggie zmarszczyła czoło. Nie był to czas na pogaduszki. Wypluła wodę, która wpadła jej do ust, z nagłą falą, tak lodowata, że mroziła nawet plomby w zębach.

— Świetnie!

Nagle prąd wessał ją w czarną paszczę tunelu. Niski sufit mknął tuż nad głową, miejsca było tak mało, że raz i drugi lufa strzelby drasnęła o skałę, krzesząc iskry. W ciasnej przestrzeni ten odgłos wydawał się dziwnie głośny.

Tak samo niespodziewanie, jak wpłynęli do tunelu, wypłynęli z niego i znaleźli się w jaskini nietoperzy. Maggie natychmiast poczuła kłucie w oczach i pieczenie w nosie. Krążące w powietrzu nietoperze wpadały w krąg światła latarki i wylatywały z niego, nadal podenerwowane obecnością dwunogich intruzów. Jeden z rogów łukowatego sklepienia

oświetlało słońce: była to brama, przez którą wlatywały i wylatywały nietoperze. Tkwiła jednak za wysoko i była za mała, żeby mogła się na coś przydać ludziom.

Nie było jednak czasu na podziwianie widoków. Prąd przyspieszył, co było zarówno przeszkodą, jak i pomocą. Pęd wody tworzył chmurę mgły, która chroniła przed najgorszym smrodem odchodów nietoperzy, ale za to poniewierał płynącymi.

Maggie poczuła, że jej kończyny zamieniają się w ołów, woda zamraża szpik w kościach. Oddychanie stawało się trudne. Zrezygnowała z trzymania strzelby nad wodą i używała jej w pełni jako steru, by nie obijać się o skały po obu brzegach. Skupiała się na trzymaniu latarki przed sobą.

Niemal ślepa od oparów, z nosem piekącym, jakby go przypalano, dziewczyna kaszłała i pluła. Coś nagle drapnęło ją w uniesione ramię, skrobiąc skórę i przygniatając swoim ciężarem. Był to wielki nietoperz, który przysiadł jej na rękę jak na gałęzi, wbił pazury w przedramię i próbował utrzymać równowagę, wściekle machając skórzastymi skrzydłami. W świetle latarki migotały ostre szpony. Maggie westchnęła głośno, na co nietoperz obrócił ku niej szeroko otwarte ślepia i wielkie uszy. Z wrzaskiem schowała rękę pod wodę — z nadzieją, że latarka naprawdę jest wodoszczelna i nic złego jej się nie stanie. Miała szczęście, latarka jasno świeciła pod wodą, a lodowaty prąd zmył nietoperza.

Niestety, zwierzę zawirowało w wodzie i przepływając obok, huknęło Maggie w bark.

Wyjęła latarkę z wody i zaczęła wściekle wiosłować.

Nietoperz nie chciał dać jej spokoju. Poczuła lekkie pociągnięcie za płynące za nią w wodzie włosy. Nietoperz chwycił się ich niczym ryba haczyka. Skręcając ciało i obracając się w wodzie, zaczął wspinać się po włosach Maggie. Po chwili poczuła, jak w skórę głowy drapią ją drobne pazury. Nietoperz wrzeszczał wniebogłosy — niemal prosto do jej ucha.

Na ten krzyk o ratunek szybko odpowiedziano — jaskinia buchnęła skrzekami i piskami, jakby setki paznokci drapały po szkolnej tablicy. Sklepienie jaskini zaczęło się zapadać, w rzeczywistości były to jednak setki nietoperzy. Kolonia zanurkowała ku wplątanemu we włosy Maggie pobratymcowi.

Boże!

Maggie tłukła w nietoperza latarką, co tylko bardziej go pobudzało. Po jej policzku przesunęły się ostre pazury, wywołując piekący ból.

Nagle pojawiła się czyjaś dłoń i odepchnęła na bok latarkę.

— Nie ruszaj się!

Był to Sam. Złapał szamoczącego się nietoperza i wyszarpnął go z włosów Maggie, wyrywając przy tym kilka ich garści. Odrzucił wrzeszczącego stwora; nietoperz uderzył o kamienisty brzeg z trzaskiem łamanych kości.

— Nadlatują! — zdążył krzyknąć Sam.

Maggie nie zdążyła dostrzec spadającej na nich czarnej chmury, tym bardziej złapać powietrza, gdy Sam wepchnął jej głowę pod wodę. Spanikowałyby, ale Sam był tuż-tuż, przyciskał ją do siebie — jedyne źródło ciepła w lodowatym strumieniu. Pozwoliła mu nad sobą panować, kierować, sama skupiła się na utrzymaniu powietrza w płucach.

Wkrótce kanał się wyprostował, a prąd złagodniał. Maggie zaryzykowała i otworzyła oczy. Latarka cały czas świeciła pod wodą, oświetlając twarz Sama. Blond włosy, zwykle schowane pod kapeluszem, falowały mu wokół głowy niczym drobne wodorosty. Popatrzył jej w oczy, co dało jej siłę. Przyciągnął ją mocniej do siebie — nie broniła się.

Prąd łagodnie niósł ich dalej, lekko kołysząc. Płuca Maggie domagały się powietrza. Wysunęła się z uchwytu Sama i popłynęła ku powierzchni. Postanowiła wziąć bardzo krótki wdech.

Kiedy jej usta znalazły się nad wodą, zaczęła łapać wielkie hausty lodowatego powietrza. Właśnie zamierzała się znów zanurzyć, kiedy zauważyła dwie rzeczy: powietrze się oczyściło z piekącego smrodu, a z przodu, na lewym brzegu, świeciło fioletowawe światło.

Sam wynurzył się tuż obok z odgłosem wypływającego słońca morskiego.

Maggie uniosła latarkę i skierowała ją przed siebie.

— Tam!

Kiedy zbliżali się do wskazanego miejsca, Norman pomagał Ralphowi wyjść z wody. Wielki futbolista pełził na łokciach i kolanach. Na brzegu siedział Denal, otoczony upiornym światłem lampy Wooda. Jego zęby świeciły biało-fioletowo — machał lampą, dając znaki.

Maggie i Sam popłynęli ku brzegowi, na szczęście nie było daleko. Kanał zakręcał, tworząc w zakolu głębsze, ale spokojne miejsce. Prąd

wepchnął tam oboje i musieli pokonać ostatnią przeszkodę: zmusić odrętwiałe, obciążone przemoczonym ubraniem kończyny, żeby wciągnęły ciało na brzeg. Podobnie jak Ralph, Maggie wpełzła na ląd na czworakach i zwała się ciężko na plecy.

Sam padł tuż obok, resztką sił rzucając karabin dalej od brzegu.

— To tyle w kwestii chronienia broni przed wilgocią.

Podszedł do nich Norman.

— Mmm... musicie się ruszać — wydukał, szczękając zębami. — I... i zdjąć mokre ubrania. — Zaczął ściągać z siebie koszulę.

Maggie zauważyła, że Denal już jest rozebrany do bielizny, a Ralph powoli zdejmuje spodnie.

— Jeszcze nie jesteście bezpieczni — wyjaśnił Norman. — Woda była bliska temperatury zamarzania. Jeśli nie wyschniemy i się nie rozgrzejemy, umrzemy.

Maggie zaczęła dygotać.

— To z... zzzimna — powiedziała, domyślając się, czego obawia się Sam.

— Wstawajcie — poważnie powiedział Norman.

Podał Maggie dłoń, Sam z głośnym jękiem wspiął się na czworaka, potem wstał.

— Teraz się rozbierajcie — polecił fotograf.

Odrętwiałe palce Maggie były niebieskie w świetle lampy. Rozpięła guziki i zdjęła koszulę — zbyt zmarznięta i wycieńczona, by przejmować się nagością. Cholera, pomyślała, rozpinając suwak spodni, porządny rumieniec byłby całkiem na miejscu.

Po chwili stała w samych majtkach i biustonoszu.

Mężczyźni uprzejmie odwracali wzrok — z wyjątkiem Denala, który gapił się na nią szeroko otwartymi oczami. Kiedy zauważył, że przyłapano go na podglądaniu, też szybko się odwrócił.

Maggie powstrzymała uśmiech. Przechodząc obok Sama, klepnęła go w tyłek w mokrych bokserkach.

— Norman mówi, że mamy się ruszać. Musimy utrzymać ciepło.

Kiedy odchodziła, czuła na plecach wzrok Sama.

— Nie martw się — mruknął. — Jak będziesz szła przede mną w takim stroju, na pewno będzie mi gorąco.

Tym razem nie udało jej się ukryć uśmiechu.

— Mmusi... dokądś prowadzić — rzekł Sam, wskazując na biegnącą wzdłuż rzeki złotą ścieżkę. Z trudem panował nad szcękającymi zębami.

Nikt nie odpowiedział, bo wszyscy byli zbyt zajęci kontrolowaniem drżących ciał i masowaniem odrętwiałych kończyn. Lodowata woda tak ich wyziębiła, że byli na granicy hipotermii, a nie mogli rozpalić ogniska. Musieli znaleźć suche i ciepłe miejsce — i to szybko.

Idący przodem Sam nagle krzyknął. Kierował światło latarki za grzbiet wznoszącej się ścieżki, więc pozostali widzieli go oświetlonego od tyłu, co znakomicie podkreślało jego zgrabną sylwetkę. Maggie dopiero teraz zauważyła, jak ładnie zbudowane ciało Sam ukrywa pod workowatymi ubraniami. Od szerokich ramion aż po smukłą talię i mocne nogi, wszystko miał na swoim miejscu.

— Chodźcie zobaczyć! — zawołał z szerokim uśmiechem na ustach.

Norman natychmiast złapał za aparat.

Przed nimi, w jaskini wielkości boiska piłkarskiego, rozpościerało się małe ciemne miasteczko. Jedyne źródłem światła była latarka Sama, ale wystarczyła do oświetlenia tej przestrzeni. Pośrodku rozrzucone były domy z cegły — niektóre trzykondygnacyjne — a pod ścianami piętrzyły się, wzniesione jedna na drugiej, budowle z granitu przypominające konstrukcję z klocków. Wpatrywały się w nich puste okna. Wiele domów było zdobionych płamami złota i srebra, uwagę zwracało jednak to, co stało pośrodku miasteczka: potężna złota figura sięgająca pod samo sklepienie. Wyglądem przypominała tę, która chroniła wejście do grot, stała jednak zbyt daleko, aby dało się dostrzec szczegóły.

— Boże... — westchnął Norman. — Wielka podziemna wioska.

Kiedy Maggie podeszła, jej uwagę od razu zwrócił szczególny zapaszek i było jasne, że ocena Normana jest błędna. Zapach był szczególny — woń suchego rozkładu i ziół do mumifikacji.

— To nie wioska, ale nekropolia — poprawiła Normana. — Podziemne inkaskie miasto zmarłych.

Trąc energicznie ramiona, Sam przytaknął.

— Krypta grobowa... chociaż nigdy nie słyszałem o tak wielkiej ani tak skomplikowanej.

Flesz Normana zaczął błyskać. Światło sprawiało, że kontury znacznie się uwypuklały.

— Może uda nam się schować w którymś z budynków i rozgrzać. Podzielić się ciepłem ciała jak Eskimosi w igloo.

Na te słowa Maggie z całą mocą poczuła ból zlodowaciałych kończyn.

— Spróbować zawsze warto. — Poszła pierwsza złotą ścieżką, która kończyła się przy granicy miasteczka.

— Chyba mam lepszy pomysł — rzekł Sam, ruszając za nią. Kiedy Maggie się do niego odwróciła, nie wyjaśnił nic więcej, dał tylko znak, aby szła dalej.

Jego wargi miały fioletowawy odcień, pozostali byli w nie lepszym stanie. Kończyny Ralpa podrygiwały jak w febrze — chyba miał się najgorzej ze wszystkich. Płynąc strumieniem, nałykał się mnóstwa lodowatej wody i cierpiał katusze.

Maggie szybko przeprowadziła grupę przez szereg ostrych zakoli i stanęli na skraju zabudowań. Nozdrza wypełnił im ostry odór gnijącej ziemi — jak kompost. Zaczęli analizować architekturę: grobowce zbudowano tak, aby przypominały domy, co miało poprawić samopoczucie zmarłych, przypominać im o minionym życiu, naśladować znajome otoczenie. Wejścia zdobiły rzeźby wymyślnych postaci — mitologicznych i zoomorficznych, stanowiących połączenie człowieka ze zwierzęciem.

Tak samo jak kolumny stojące wzdłuż ścieżki.

Maggie dotknęła jednej z płaskorzeźb, skrzyżowania kobiety z panterą.

— To bogowie *uca pacha*, chroniący martwych.

Sam przyglądał się wykonanemu jaskrawymi barwami freskowi na bocznej ścianie piętrowej budowli.

— A tu są różne *mallaqui*... duchy podziemnego świata — powiedział, wskazując palcem.

Podszedł Norman.

— Z wielką niechęcią przerywam wam wykład z historii sztuki, ale Ralph nie wygląda dobrze.

Maggie spojrzała za siebie. Ralph, ze spuszczoną głową, opierał się o framugę budynku. Choć podparty, kiwał się na boki.

— Musimy znaleźć schronienie i go rozgrzać.

— Twoje zapalki są suche? — spytał Denala Sam.

Chłopak skinął głową i z węzła mokrego ubrania wyciągnął owiniętą w plastik paczkę: zapasowe papierosy z zapalkami. Podał Samowi zapalki.

— Ogień? — spytała Maggie. — A skąd podpałka?

Sam bez odpowiedzi wszedł do jednego z grobowców. Ze środka rozległo się szuranie i Maggie z przerażeniem pojęła, co Sam zamierza. Po chwili wyszedł na zewnątrz, wlokąc coś za sobą. Z głośnym stęknieniem odwrócił się i rzucił ciężar na ziemię. Zagrzecotały kości i buchnęła chmura pyłu. Na ulicy leżała owinięta w płótno mumia.

— Są doskonale na podpałkę — stwierdził Sam bez ogródek.

— Blee... — jęknął Norman i zakrył usta dłonią.

Sam wziął kilka oddechów, podszedł do mumii i wyjął zapałki. Zapalił jedną i po chwili spowijający mumię materiał się zajął. Kiedy stare kości i skóra zaczęły łapać ogień, na zewnątrz wystrzeliwały małe płomyki. Z każdą chwilą rosły.

Maggie — choć lekko przerażona rodzajem podpałki — przysunęła się do ognia.

Oparty o ścianę Sam powiódł ręką wokół.

— Pomijając wszystko inne, nie należy się martwić, że zabraknie nam opału.

. . .

Ralph usiadł jak najbliżej ognia. Mniej więcej po godzinie ciepło dotarło do jego zmrożonych kości. W którymś momencie z płomieni wysunęła się z mumifikowana dłoń; palce lekko się poruszały. Odwrócił się, próbując nie myśleć, co służy im za opał.

Siedzący po drugiej stronie ogniska Sam rozłożył oba karabiny i starannie je czyścił i suszył przy ogniu. Maggie, jedną ręką obejmując Denala, zaczęła drzemać. Kiczuański chłopak wpatrywał się szeroko otwartymi i szklistymi oczami w płomienie. Dzień wszystkich wycieńczył. Norman stał oddalony o parę kroków. Zrobił kilka zdjęć, ale dało się zauważyć, jak go korci, aby wejść głębiej między zabudowania. Oczywiście nie poszedłby sam. Ciemność — nawet przy płonącym ogniu — czuć było niemal fizycznie jak dotyk kogoś obcego.

Norman podszedł do obserwującego go Ralpa.

— Jak tam? — spytał.

Ralph odwrócił głowę.

— Lepiej.

Fotograf usiadł na kamieniu obok i Ralph odruchowo odsunął się dwa centymetry.

— Nie martw się, wielkoludzie — powiedział Norman. — Nie mam wobec ciebie niecznych zamiarów.

Ralph skłął się w duchu. Stare nawyki...

— Przepraszam... Nie miałem nic złego na myśli.

— Jasne, oczywiście. Nie mogą cię przyłapać na siedzeniu koło pedała.

— Nie o to chodzi.

— A o co?

Ralph zwiesił głowę.

— No dobra, może o to. Wychowałem się na Południu. Mój wuj Gerald był nawet pastorem u baptystów. Wpoili nam taki sposób myślenia.

— Co w tym nowego? Moi rodzice byli mormonami. Też nie byli zachwyceni informacją, że jestem gejem. — Norman parsknął. — Ani armia. Wykopali mnie z obydwu rodzin.

Ralph nie mógł spojrzeć mu w oczy. Choć w życiu nieraz padał ofiarą uprzedzeń, miał przynajmniej rodzinę, która go wspierała.

Norman wstał. Ralph niespodziewanie wyciągnął ku niemu rękę i chwycił jego dłoń. Chudy fotograf się wzdrygnął.

— Dzięki — rzucił Ralph. — Za to w rzece.

Norman wyszarpnął dłoń, nagle poczuł się niezręcznie.

— Żaden problem. Tylko nie próbuj mnie całować. Nie jestem tego typu dziewczyną.

— Słyszałem co innego.

— Ralph komediant... — powiedział Norman, odwracając się. — Już zaczynam tęsknić za tamtym fanatycznym mięśniakiem.

. . .

Wczesnym wieczorem Henry czuł się coraz bardziej nie na miejscu. Szedł za Joan i Kirkpatrickiem pustymi korytarzami Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa. O tej porze poza nimi nie było w budynku nikogo. Po niekończących się badaniach w laboratorium Joan wracali do jej gabinetu, aby zaplanować eksperymenty na kolejny dzień.

Joan i Kirkpatrick rozmawiali o tajemniczym materiale, jakby świat przestał istnieć.

— Potrzebujemy pełnej krystalograficznej oceny tej substancji Z — powiedział chudy metalurg, używając nazwy, jaką ochrzcił tajemniczy materiał.

Henry czuł, że gość już się zastanawia, w jakich czasopismach opublikuje wyniki swoich badań.

— I chciałbym sprawdzić, jak reaguje w obecności innych rodzajów promieniowania, zwłaszcza gamma.

Joan skinęła głową.

— Porozumiem się z laboratorium nuklearnym. Na pewno da się coś zorganizować.

Idąc, Henry obserwował tkwiącą w zlewce surową replikę dominikańskiego krzyża. Substancja Z. Ta dwójka nie widziała lasu spoza drzew! Oto była prawdziwa tajemnica: cechy chemiczne i molekularne materiału, choć intrygujące, były niczym w porównaniu z tym, że sam z siebie się przemienił.

Ani Joan, ani metalurg najwyraźniej nie przykładali do tego wielkiej wagi. Kirkpatrick przypisał przemianę temu, że substancja znalazła się blisko krzyża; teoretyzował o transferze energii albo elektronach, które dokonały przemiany.

— Każdy metal emituje specyficzny schemat energetyczny — wyjaśnił. — Ponieważ materiał jest wrażliwy na różne rodzaje energii, musiał zareagować na złoto i zmienić strukturę krystaliczną, by się do niego dostosować. To niesamowite!

Henry się nie zgadzał, ale nic nie powiedział. Uważał, że odpowiedź tkwi gdzie indziej. Dobrze pamiętał, że w chwili, gdy doszło do przemiany, dumał nad zapisanym na krucyfiksie kodem. To nie bliskość krzyża spowodowała przemianę substancji Z, ale bliskość jego, Henry'ego. Coś się wydarzyło, ale nie chciał spekulować, przynajmniej na razie. Nie było to w jego stylu — póki nie dysponował większą ilością informacji. Jedną z pierwszych nauk, jaką starał się wpoić studentom, brzmiała: działaj na podstawie wiedzy, nie spekulacji. Jedynym pewnikiem co do substancji Z było dla niego to, że nie należy z nią igrac. Niestety, pozostała dwójka naukowców była głucha na ostrzeżenia.

Prawą dłonią dotykał leżącego w kieszeni sportowej marynarki dominikańskiego krzyża. Ojciec Francisco de Almagro o czymś wiedział. Chciał o tym powiedzieć światu w swoim testamencie i Henry podejrzewał, że wyjaśnienia tajemnicy substancji Z nie uda się znaleźć w laboratorium nuklearnym czy innych gabinetach badawczych, kryje się bowiem w zadrapaniach z tyłu krzyża. Zanim wyrazi na głos wątpliwości albo

przeprowadzi własne eksperymenty, zamierzał rozwikłać ów starożytny szyfr i dokładnie wiedział, od czego zacząć. Jutro znów skontaktuje się z arcybiskupem. Może jakieś stare zapisy zawierają informację o używanym przez dominikanów szyfrze.

— No to jesteśmy na miejscu — oznajmiła Joan. Zabrzęczała kluczami i podeszła do drzwi. Kiedy złapała za gałkę, same się otworzyły. — Dziwne... może zapomniałam...

Pchnęła drzwi, ale Henry gwałtownie ją powstrzymał.

— Nie! — Złapał Joan za łokieć. Odciągnął ją, doskonale pamiętając, że zamykała je na klucz. Potknął się przy tym o stojące za nim wiadro sprzątaczk i o mało się nie przewrócił.

— Henry!

— Co pan wyprawia?! — wrzasnął metalurg, jakby Henry oszalał.

Nie było czasu na wyjaśnienia. Henry poczuł, że coś jest nie tak.

— Uciekajcie!

Było już jednak za późno.

Zza pleców Kirkpatricka wysunęła się ciemna postać.

— Nie ruszać się! — lodowato rozkazał intruz.

Kirkpatrick odwrócił się w jego kierunku, twarz miał bladą jak papier. Szybko cofnął się o kilka kroków.

Mężczyzna wyszedł na korytarz. Miał na sobie czarny garnitur, czarną koszulę i czarny krawat, smagłą twarz o hiszpańskich rysach, włosy kruczoczarne, oczy ciemne. W prawej dłoni trzymał wielki pistolet z tłumikiem. Wodził lufą na boki, pilnując całej szerokości korytarza.

— Które z was ma złoty krucyfiks? Dajcie mi go, to przeżyjecie.

Kirkpatrick szybko wskazał na Henry'ego.

Napastnik skierował w niego lufę.

— Profesorze Conklin, proszę mnie nie zmuszać, żebym pana zastrzelił.

W tej samej chwili skończyła się odwaga metalurga. Wykorzystując sytuację, postanowił uciekać. Niestety, zawiodły go drogie buty: twarde obcasy zastukały o wypastowane linoleum. Napastnik nawet się nie odwrócił — jedynie odchylił do tyłu rękę z pistoletem i wypalił. Tłumik wyciszył odgłos strzału, ale efekt był piorunujący. Impet kuli przewrócił Kirkpatricka; runął głową naprzód i przejechał dwa metry po podłodze, pozostawiając na niej krwawy ślad. Spróbował wstać, ale upadł ciężko i pod jego ciałem zaczęła się tworzyć kałuża krwi.

— Profesorze Conklin — powtórzył zabójca, wyciągając wolną rękę. — Krzyż, proszę.

Zanim Henry zdążył zareagować, z gabinetu Joan Engel wyszedł drugi mężczyzna w czarnym garniturze. Popatrzył na martwego metalurga, potem na strzelca. Zaczął mówić szybko po hiszpańsku, lecz Henry wszystko rozumiał.

— Carlos, zniszczyłem wszystkie papiery i pliki.

Carlos popatrzył na kolegę. Nieznacznie opuścił pistolet.

— A komputer?

— Twardy dysk jest wyczyszczony.

Carlos skinął głową.

Henry wykorzystał chwilę zamieszania, aby wysunąć krzyż z kieszeni i wrzucić go do przewróconego wiadra sprzątaczk. Tylko Joan to zauważyła. Oczy miała wielkie ze strachu.

Carlos uniósł pistolet i zwrócił się ponownie do Henry'ego.

— Tracę cierpliwość, profesorze. Krzyż!

Henry podszedł do napastnika i własnym ciałem zasłonił Joan. Wyciągnął naprzód zlewkę z kopią krzyża. Miał nadzieję, że kształt i barwa zwiedzie złodziei.

Oczy Carlosa zwęziły się podejrzliwie. Wziął zlewkę i uniósł ją na wysokość twarzy. Choć skupiał się na czymś innym, nawet na ułamek sekundy nie odwrócił lufy pistoletu skierowanej prosto w serce Henry'ego.

— Czy to...? — powiedział stojący tuż przy ramieniu Carlosa wspólnik.

Carlos nie zareagował, całkowicie skupiony na replice krzyża. Z jego ust zaczęły płynąć hiszpańskie słowa modlitwy i błogosławieństwa. Krzyż w zlewce zaczął się zmieniać i pod wpływem wzroku intruza przybrał kształt idealnie symetrycznego ostrosłupa.

Henry westchnął.

Drugi napastnik osunął się na kolana.

— *Dios mio!*

Carlos opuścił zlewkę. Drżała mu ręka.

— Znaleźliśmy! — Triumfalnie odwrócił się do jeńców.

Henry cofnął się, by lepiej osłonić Joan. Z całej siły chwyciła go za rękę. Pojął, że popełnił poważny błąd: napastnicy szukali dominikańskiego

krzyża nie dlatego, że sądzili, iż jest ze złota — szukali substancji Z. Niechcący dał im to, czego chcieli. Kim byli ci ludzie?

Carlos skinął głową i wydał towarzyszowi polecenie.

— Ucisz ich!

Jego pomocnik wstał i wyciągnął broń — coś znacznie większego i bardziej przerażającego od pistoletu szefa.

— Zaczekajcie! — krzyknął błagalnie Henry.

Ignorując go, napastnik wycelował i strzelił. Pierś Henry'ego eksplodowała ogniem. Joan wrzasnęła. Henry osunął się na kolana, jego dłoń wysunęła się z dłoni Joan. Zdążył jeszcze popatrzeć w górę i zobaczyć, jak bandyta celuje do Joan.

— Nie... — jęknął, próbując unieść rękę.

Było za późno. Rozległ się kolejny stłumiony strzał.

Joan złapała się za pierś i zaczęła osuwać. Popatrzyła zdumionym wzrokiem na Henry'ego, a potem na własną dłoń. Wyciągnęła z piersi pierzastą strzałkę i padła zemdlna.

Henry popatrzył na swoją pierś. Nie miał krwawiącej rany, jedynie piekącą strzałkę z czerwonymi lotkami. Strzałki ze środkiem usypiającym?

Kiedy narkotyk zaczął działać, popłynęły obok niego hiszpańskie słowa.

— Zabierz ich stąd.

— A co z zabitym?

— Zostaw go w biurze razem z dozorcą.

Tuż przy twarzy Henry'ego pojawiła się twarz Carlosa. Jego oczy były wielkie jak talerze i Henry miał wrażenie, że się w nich zatracą.

— Pojedziemy na małą wycieczkę. Życzę miłych snów, profesorze.

Henry zwiotczał, w ostatniej chwili przytomności zauważył na szyi napastnika srebrny krzyżyk. Już go gdzieś widział. Miał identyczny kształt jak krzyż zmumifikowanego księdza!

Dominikański krzyż!

Zanim zdążył pomyśleć o czymś jeszcze, porwały go czarne objęcia narkotyku.

DZIEŃ CZWARTY
NEKROPOLIA

Czwartek, 23 sierpnia, godzina 7.45

Jaskinie w Andach Peruwiańskich

Sam obudził się na kamiennym podłożu jaskini, kiedy ktoś zaczął trącać go w bok dużym palcem u nogi. Czego? Stękając w proteście, odsunął się od ognia i stwierdził, że tuż obok stoi Norman i wpatruje się w mroczną nekropolię. Fotograf miał ostatnią wartę. Choć między nimi a armią tarantul była jaskinia nietoperzy, woleli nie ryzykować.

— Co jest? — spytał zaspany Sam, trąc oczy.

Po wysiłku poprzedniego dnia i mrozącym — dosłownie — krew w żyłach pływaniu w lodowatym strumieniu o niczym bardziej nie marzył niż o spędzeniu kolejnych godzin przed buchającym ogniskiem. Pomimo rodzaju opału zapach był w miarę przyjemny, miał w sobie cynamonową nutę. Ze środka ogniska gapiła się na niego zwęglona czaszka. Sam przeciągnął się i uniósł tułów do pionu.

— Czemu mnie budzisz?

Norman nie odwracał wzroku od spowitych mrokiem inkaskich grobowców.

— Robi się jaśniej — oznajmił.

Sam zmarszczył czoło.

— O czym ty mówisz? Ktoś dorzucił do ognia? — Popatrzył na ułożone niczym belki drewna trzy mumie czekające na spalenie.

Norman odwrócił się ku niemu — w dłoni trzymał niewielkie urządzenie. Światłomierz.

— Nie. Podczas warty sprawdzałem pomiary. Od piątej rano światłomierz rejestruje wzrost luksów. — Okulary Normana odbijały ogień.

— Wiesz, co to oznacza?

Sam był zbyt zmęczony, by jasno myśleć, zwłaszcza bez manierki kawy.

— Wypluj to z siebie.

— Świt — powiedział Norman, jakby to wszystko wyjaśniało.

Sam patrzył na niego bez słowa.

— Naprawdę nie jesteś rannym ptaszkiem, co? — spytał Norman.

Pozostali zaczęli się budzić, z zaimprovizowanego obozowiska dolatywały szurania i szelesty.

— Co się dzieje? — spytała Maggie, szeroko ziewając.

— Rozwiązujemy zagadki — odparł Sam.

Norman zrobił kwaśną minę i podszedł do pozostałych.

— Mój światłomierz od świtu rejestruje coraz mocniejsze sygnały.

— Naprawdę? — Maggie wyprostowała się i popatrzyła w kierunku ciemnej jaskini.

— Czekałem kilka godzin, żeby się upewnić — powiedział Norman. — Nie chciałem nikomu robić płonnej nadziei.

Sam wstał. Miał na sobie tylko spodnie, jego kamizelka nadal suszyła się przy ognisku.

— Nie sugerujesz chyba...?

— Może Norman ma rację — przerwała mu podniecona Maggie. — Jeśli odczyt wzrasta wraz z nadejściem świtu, musi przedostawać się tu światło dnia. — Klepnęła Normana po plecach i radośnie nim potrząsnęła. — Boże, niedaleko musi być wyjście!

Sam dopiero teraz zrozumiał. Wyjście! Podszedł do Normana i Maggie.

— Jesteś pewien, że światłomierz nie rejestruje tylko płomieni ogniska?

Fotograf zmarszczył czoło.

— Nie. — Uniósł wyżej światłomierz. — Zdecydowanie chwyta dzienne światło.

Sam skinął z zadowoleniem głową. Norman nie był głupi. Sam spojrzął w głąb ciemnej jaskini — światło ogniska rozjaśniało ściany i odbijało się od gigantycznego złotego pomnika pośrodku nekropolii. Sam miał wielką nadzieję, że sugestie Normana okażą się prawdziwe.

— Więc dowiedzmy się, skąd pochodzi. Dasz radę wytropić źródło światłomierzem?

— Może... Jeśli osłonię go przed światłem pochodni i zmniejszę przysłonę...

— Może okrążę z Normem obóz i sprawdzę, gdzie jest najwięcej światła — włączył się do rozmowy Ralph. Najwyraźniej wracał do formy po maratonie pływackim z poprzedniego dnia. — Powinniśmy się zorientować, gdzie zacząć.

Ponieważ fotograf nie od razu odpowiedział, Sam trącił go dłonią.

— Norman?

Ten popatrzył na ścianę ciemności za kręgiem rozjaśnianym przez ogień. Nie wyglądał, jakby przywiązywał wagę do propozycji Ralpha, ale wzruszył ramionami na zgodę.

— Może to coś da.

— Świetnie. — Sam potarł dłonie i zaczął przedstawiać plan. — Kiedy będziecie robić rekonesans, my zwiniemy obóz. Weźcie latarkę, ale włączajcie ją tylko do odczytywania wyników. Tylko ostrożnie, baterie zaczynają się kończyć.

Ralph wziął od niego latarkę i na próbę włączył ją i wyłączył.

— Nie ma obaw. Będziemy ostrożni.

Norman popatrzył na ogień, potem na ciemność.

— Musimy się pospieszyć. Nie wiadomo, kiedy stracimy dzieńne światło. Nawet chmury na niebie mogą je odciąć — powiedział. Wciąż jednak się wahał i nie ruszał do działania.

— O co chodzi? — spytał Sam.

— O nic. — Norman pokręcił głową. — Naoglądałem się za dużo kiepskich horrorów.

— I?

— Podział grupy. Wtedy seryjny zabójca zaczyna załatwiać studentów.

Sam się roześmiał, zabrzmiało to bowiem jak żart, ale Norman był całkowicie poważny. Uśmiech zamarł Samowi na ustach.

— Nie mówisz chyba poważnie...?

Nagle coś wielkiego spadło do ogniska. Na boki wystrzeliły strzępy płonącego całunu i kości, poparzyły tych, którzy zostali trafieni, i spadły z grzechotem na podłogę. Buchnął kłęb dymu, a ponieważ ognisko zostało niemal całkowicie rozrzucone, mało brakowało, a zapadłaby kompletna ciemność. Na szczęście duży płonący fragment spadł na leżące z boku trzy mumie i je zapalił, przywracając światło. Po ścianach zatańczyły cienie.

Sam odwrócił się gwałtownie na pięcie i pociągnął Maggie za siebie. Pośrodku niedawnego ogniska leżał wielki kanciasty blok pochodzący z którejś z budowli. Sam spojrzął w górę — nie było nad nimi nawisu, z którego gwałt mógłby spaść.

— To nie był przypadek. — Ralph głośno wyraził myśli Sama. Zapalił latarkę i zaczął promieniem światła przeczesywać ciemności.

— Weźcie broń! — polecił Sam. — Szybko!

Ralph skinął głową, rzucił latarkę Normanowi i złapał opartą o ścianę strzelbę Gila, Sam wziął leżący obok legowiska karabin. Maggie trzymała się tuż przy nim, Denal niemal się do niej tulił.

Poza trzaskami pękających w ogniu kości niczego nie było słyhać, Sam miał jednak wrażenie, że wyczuwa wokół ruch. Cienie skakały w blasku ognia, niektóre połacie mroku wydawały się jednak przesuwać we własnym rytmie. Coś było w jaskini i ich okręzało.

— Duchy po nas przyszły... — mruknął Denal.

Maggie objęła chłopaka ramieniem, by dodać mu otuchy, nikt jednak nie zaprotestował przeciwko jego słowom. Sąsiedztwo rozległej nekropolii, oświetlanej migoczącymi płomieniami i gęstej od poruszających się cieni, sprawiało, że nawet najgorsze koszmary wydawały się możliwe.

To, co krążyło wokół nich, było jednak znacznie gorsze.

Norman uchwycił światłem latarki jednego ze skradających się intruzów. Zamarł on na sekundę niczym jelen w świetle reflektorów — nie był to jednak jelen. Błady jak tarantula albinos stwór stał na dwóch łapach — nagi, zgarbiony, podpierający się długim, mocno umięśnionym ramieniem. Sam najpierw uznał, że to małpa, ale stwór był pozbawiony sierści i łusy.

Syknął w stronę światła i ludzi, wielkie czarne oczy zwięziły się w szparki, a zza warg wydobyły się spiczaste, ostre zęby. Po chwili uciekł w ciemność, poruszając się szybciej, niż Sam potrafił sobie wyobrazić.

Stwór pojawił się i zniknął w takim tempie, że nikt nie zdążył nic powiedzieć. Ani Sam, ani Ralph nie mieli czasu podnieść broni. Jedyne światło latarki zadrżało wraz z dygotem dłoni Normana.

— Co to, do cholery, było? — szepnęła w końcu Maggie.

Sam przystawił winchestera do ramienia. Ze wszystkich stron dolatywały odgłosy: drapanie o skałę, zduszone syknięcia, gardłowy kaszel, nawet przeszywające wycie, które na pewno oznaczało rzucenie wyzwania. Wydawało się, jakby stado zwierząt zamknęło ich w pułapce i otoczyło, ale akustyka jaskini była myląca. Ralph popatrzył Samowi w oczy — źrenice wielkiego futbolisty były rozszerzone strachem.

— Co to jest? — powtórzyła Maggie.

— *Mallaqui* — odpowiedział Denal. Duchy podziemnego świata.

— A chciałeś, żebyśmy poszli z Ralphem we dwóch — powiedział Norman drżącym głosem. — Uczmy się na horrorach. Od tej chwili trzymamy się razem.

Nikt się nie spierał. Tak naprawdę nikt nic nie powiedział.

Wszyscy wpatrywali się w mroczne centrum nekropolii.

. . .

Henry się obudził, od razu tego żałując. Bolała go głowa i pulsowało w niej, jakby ktoś grał mu na skroniach solo na perkusji. W ustach czuł kwaśny posmak, a wargi mu się lepiły, jakby nalano tam kleju. Jęknął, bo na więcej nie było go stać. Wziął kilka oddechów i skupił się na otoczeniu. Jedyne światło wpadało przez okienko znajdujące się wysoko na tylnej ścianie niewielkiego pomieszczenia.

Powróciły wspomnienia ataku na korytarzu Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa. Jedną dłoń powędrowała do bolesnego miejsca na klatce piersiowej. Pierzasta strzałka zniknęła. Powoli uniósł tułów i stwierdził, że leży na metalowym łóżku z cienkim materacem. Miał na sobie to samo ubranie, co przed atakiem — dżinsy i szarą koszulę — zniknęła jedynie marynarka od Ralpha Laurena. Odrzucił na bok cienki koc i spróbował wstać.

Pomieszczenie urządzone bardzo surowo. Poza łóżkiem było tu tylko zżarte przez korniki biurko w kącie i klęcznik ustawiony przed prostym drewnianym krzyżem. Henry wbił wzrok w krzyż, którego wiśniowa barwa odcinała się ostro od białego tynku. Przypomniawszy mu się obraz srebrnego dominikańskiego krzyżyka na szyi mężczyzny, który go postrzelił. Co się właściwie działo?

Spuścił nogi na podłogę i zadzwoniło mu w uszach, a przed oczami pojawiły się mroczki. Wziął głęboki wdech i wyłowił znajomy zapach, pochodzący z wyświechtanego koca. Pomacał przybrudzoną tkaninę. Uniósł ją do nosa i powąchał. Wełna lamy. Najgorszej jakości wyrób tekstylny produkowany w Ameryce Południowej, używają go jedynie wieśniacy. W zasadzie się go nie eksportuje.

Czyżby był w Ameryce Południowej?

Henry szybko wstał, potrzebował chwili, aby złapać równowagę na słabych nogach, ale wnet odzyskał siły.

— Niemożliwe!

Podszedł do drzwi — niedużych, ale dość solidnych. Sprawdził zasuwę. Była oczywiście zaryglowana. Poszedł na środek pokoju i popatrzył na wysokie okno. Gdzieś na pobliskim drzewie śpiewały ptaki, a ciepły wiaterek poruszał kurzem, unoszącym się w snopach światła. Było widno, więc raczej nie był to ten sam dzień, w którym został postrzelony. Jak długo leżał nieprzytomny? Wiatr niósł zapach smażonego oleju oraz dalekie odgłosy bazaru, na którym zachwalano towary po hiszpańsku.

Henry poczuł, że traci nadzieję. Został porwany i wywieziony z kraju. Oczami wyobraźni zobaczył twarz: prosto opadające kruczoczarne włosy, jasne oczy, pełne wargi. Na wspomnienie Joan, wyciągającej sobie z piersi pierzastą strzałkę i osuwającej się na podłogę, stracił oddech. Gdzie mogła być?

Bardziej zaniepokojony o nią niż o siebie, podszedł do drzwi i załomotał w nie pięścią, aż zadygotały deski. Zanim zdążył zawołać, u szczytu drzwi otworzył się mały judasz i popatrzyło przez niego ciemne oko.

— Chcę natychmiast wiedzieć, co się...!

Judasz się zatrzasnął i kilka metrów za drzwiami wymieniono parę słumionych zdań, zbyt cichych, by rozróżnić słowa. Ktoś szybko odszedł. Henry ponownie załomotał.

— Wypuście mnie stąd!

Nie spodziewał się odzewu, pragnął tylko rozładować frustrację, zdziwił się więc, kiedy odpowiedziano na jego wołanie.

— Henry? To ty?

Poczuł gwałtowną ulgę, chłodzącą rozgrzaną krew.

— Joan?!

— Nic ci nie jest?

— Wszystko gra. Co z tobą?

— Cała jestem obolała, mdli mnie i jestem wściekła jak osa.

W głosie Joan słyhać było także strach. Henry nie wiedział, co powiedzieć. Przeprasić za to, że wciągnął ją w kłopoty? Dać fałszywą obietnicę ratunku? Odchrząknął.

— Przepraszam... Nie była to szczególnie ekscytująca druga randka, prawda?

Zapadła długa cisza, potem rozległ się cichy chichot.

— Miewałam gorsze.

Przycisnął dłonie płasko do drzwi. Marzył, by objąć Joan.

W korytarzu rozległo się echo kroków zbliżających się do celi. Joan też musiała je usłyszeć, bo umilkła. Henry wstrzymał oddech. Co teraz? Tuż za drzwiami rozległ się zdecydowany i szorstki głos. Ktoś wydawał polecenie.

Zgrzytnęła odsuwana zasuwka i otworzono drzwi. Henry nie wiedział, czego się spodziewać, zaszokował go jednak widok dwóch mnichów w habitach. Mieli odrzucone do tyłu kaptury, a na szyjach różańce z dużymi krzyżami.

Kiedy Henry rozpoznał twarz wyższego mnicha, cofnął się o krok. Był to zabójca z Johnsa Hopkinsa imieniem Carlos. I tym razem miał w dłoni pistolet, choć bez tłumika.

— Proszę współpracować, profesorze Conklin, to wszystko będzie dobrze.

— Ggg... gdzie jestem? Czego od nas chcecie?

Carlos zignorował go, dał znak drugiemu mnichowi, który podszedł do drzwi kawałek dalej w korytarzu i odryglował je. Otworzył, warknął komendę po hiszpańsku i wyciągnął zza pazuchy pistolet. Machnął nim, dając znak komuś w środku, by wychodził.

Joan wyszła ostrożnie i natychmiast poszukała wzrokiem Henry'ego. W jej oczach pojawiła się ulga, zamigotały łzy. Szybkim ruchem dłoni otarła twarz i niepopędzana podeszła do Henry'ego i Carlosa. Spojrzała na pistolet w dłoni mnicha, potem na Henry'ego.

— Co tu robimy? — szepnęła. — Czego chcą?

— Chodźcie — powiedział Carlos, zanim Henry zdążył się odezwać. — Uzyskacie odpowiedzi na swoje pytania. — Odwrócił się na pięcie i poprowadził ich korytarzem. Drugi mnich, z pistoletem w dłoni, podążył za nimi.

Joan wsunęła dłoń w dłoń Henry'ego. Ścisnął ją mocno, by dodać jej otuchy. Jeśli ci ludzie chcieliby ich zabić, nie usypialiby ich i nie wlekli aż tutaj. Gdzie jednak było to „tutaj”? Czego chcieli? Był tylko jeden sposób, aby się dowiedzieć.

Szedł za Carlosem, obserwując ruch jego habitu, słuchając stukotu sandałów o kamienną podłogę. Po co się poprzebierali?

Przez całą drogę w labiryncie korytarzy i po schodach, którymi weszli dwa piętra wyżej, Joan milczała. Szła sztywno jak marionetka. Minęli tylko jednego mnicha — zakapturzonego, ze spuszczoną głową. Nie podnosząc

jej, odsunął się na bok, aby przepuścić procesję. Kiedy go mijali, Henry usłyszał, że mnich się modli. Nawet na chwilę na nich nie spojrzął.

Henry się obejrzał — mnich szedł korytarzem, albo nieświadom obecności więźniów i broni, albo nie przywiązując do tego żadnej wagi. Dziwne...

W końcu Carlos zatrzymał się przed wielkimi podwójnymi drzwiami, nawoskowanymi i wypolerowanymi na wysoki połysk. Henry miał wrażenie, że to afrykański mahoń, bardzo drogi. Płaskorzeźba na drzwiach ukazywała łańcuch gór z rozrzuconymi tu i ówdzie wioskami. Henry znał ten widok — podziwiał go nieraz podczas wizyt w Peru. Był to bardzo dobrze znany fragment Andów.

Carlos zapukał.

— *Entrada!* — odpowiedział ze środka basowy głos.

Carlos otworzył drzwi, które gładko poruszyły się na dobrze naoliwionych zawiasach, ukazując pomieszczenie tak samo eleganckie jak wejście. W rogu stał pięknie rzeźbiony ołtarzyk, zdobiony srebrnymi i złotymi liśćmi, kroki wchodzących tłumił kunsztownie tkany dywan z alpaki. Pod ścianami po prawej i lewej stały sięgające sufitu regały pełne zakurzonych woluminów, środek zajmowało potężne biurko z komputerem, który wydawał się całkowicie nie na miejscu.

Siedzący za biurkiem starszy, ale żwawy mężczyzna wstał, a fotel zaskrzypiał. Kiedy mężczyzna się wyprostował, okazało się, że jest tak wysoki, że nawet wielkie biurko wydało się małe.

Uwagi Henry'ego nie skupił jednak ani on, ani pokój, lecz widok za oknem: potężny kolonialny kościół dominujący nad miasteczkiem. Henry głośno jęknął, bo natychmiast rozpoznał miejsce; znał je ponad wszelką wątpliwość: byli w peruwiańskim Cuzco. Za oknami znajdował się hiszpański kościół Świętego Dominika, zbudowany przez dominikanów na ruinach inkaskiej Świątyni Słońca.

Henry rozejrzał się po pokoju. Powoli zaczynał się domyślać, dlaczego zostali uwięzieni. Mnisi, to miasteczko, nawet stojący za biurkiem człowiek, szczerzący zęby w powitalnym uśmiechu...

O Boże...

Podszedł do biurka, za którym stał wysoki mężczyzna. Nieznajomy miał hiszpańskie rysy, niemal arystokratyczne. Henry przypomniał sobie rozmowę z arcybiskupem, którą przeprowadził w Baltimore — obiecano

mu przekazać jego pytania dominikaninowi z Peru. Przypomniawszy sobie nazwisko, którego użył arcybiskup.

— Opat Ruiz? — spytał.

Wielki mężczyzna skłonił głowę na powitanie.

— Profesorze Conklin, witamy w opactwie Świętego Dominika. — Fakt, że Henry rozpoznaje otoczenie, najwyraźniej był mu obojętny. Brzuch opata był stosowny do jego wzrostu — pierś i brzuch ciasno wypełniały sutannę i czarny mantolet. Ciało opata nie wydawało się miękkie — jakby kiedyś był nabity mięśniami, ale z wiekiem przytył.

Henry mu się przyglądał. Zawsze uważał się za znawcę charakterów, jednak ten człowiek go dezorientował. Pozornie był otwarty i przyjacielski, siwe włosy nadawały mu wygląd dobrego dziadka, lecz w tych okolicznościach Henry rozumiał, że ocena ta jest jak najdalsza prawdy.

— Znasz tego człowieka? — spytała Joan, która przysunęła się blisko Henry'ego.

— W zasadzie nie.

Opat Ruiz wskazał im tapicerowane krzesła.

— Profesorze Conklin i doktor Engel... proszę się rozgościć.

Henry podszedł do biurka.

— Zanim uzyskam kilka odpowiedzi, wolę postać.

— Jak pan sobie życzy — odparł opat z urażoną miną. Wrócił do fotela i opadł na niego z westchnieniem.

Joan podeszła do Henry'ego.

— Więc czego od nas, do jasnej cholery, chcecie?

Opat zmarszczył z naganą czoło, fałszywa uprzejmość zniknęła z jego twarzy.

— Jesteśmy w świętym miejscu Pana. Proszę się powstrzymać od bluźnierstw.

— Bluźnierstw? — ze złością rzucił Henry. — Pański człowiek, który tu stoi, zabił naszego kolegę, po czym nas oszołomił i porwał. Ile złamał przykazań, nie wspominając o paragrafach?

— Nie dbamy o prawo świeckie. Ojciec Carlos jest wojownikiem armii Pana, co stawia go ponad wszelkimi paragrafami. Proszę nie mieć obaw co do jego duszy. Uzyskał rozgrzeszenie na świętej spowiedzi, grzechy zostały mu wybaczone.

Henry pokręcił głową. Wszyscy tu poszaleli.

— Więc dobrze... wszystkie dusze są wyprane, wyprasowane i poskładane — wtrąciła się Joan. — Ale dlaczego, do diabła, nas porwaliście?

— Z dwóch powodów. — Twarz opata pozostawała napięta i nieprzyjazna. Dobry dziadek dawno zniknął. — Po pierwsze chcemy dokładnie wiedzieć, co profesor Conklin odkrył w ruinach w Andach, a po drugie: czego oboje dowiedzieliście się w Stanach, badając mumię.

— Nie będziemy współpracować — odparł Henry z powagą.

Ruiz zaczął obracać wielkim pierścieniem na palcu prawej dłoni.

— To się jeszcze okaże — powiedział zimno. — Przez wieki nasz zakon zdobył duże umiejętności w kwestii rozwiązywania języków.

Henry poczuł, jak krew zamarza mu w żyłach.

— Kim jesteście?

Ruiz cmoknął.

— Ja tu zadaję pytania, profesorze. — Opat sięgnął do szuflady biurka, wyjął z niej znajomy przedmiot i położył go na stole. Była to laboratoryjna zlewka z substancją Z. Złoty materiał nadal miał kształt piramidy. — Gdzie dokładnie to pan znalazł?

Henry przypomniał sobie eksplozję głowy mumii. Wyczuł, że lepiej nie kłamać — przynajmniej dopóki nie pozna, ile wie przeciwnik. Wyznanie całej prawdy nie było jednak wskazane.

— To było w... posiadaniu ojca Almagro.

Joan rzuciła mu ostre spojrzenie.

Oczy opata lekko się powiększyły.

— A więc misja naszego dawnego kolegi zakończyła się sukcesem. Odkrył źródło *el Sangre del Diablo*.

Henry uniósł brwi.

— Krwi... diabła?

Ruiz przez chwilę w milczeniu przyglądał się Henry'emu, po czym złożył palce dłoni w piramidkę i zaczął powoli mówić.

— Wyczuwam, że wie pan więcej, niż mówi, profesorze. Choć przez stulecia bardzo udoskonaliliśmy nasze narzędzia, wydaje mi się, że łatwiej będzie skłonić pana do współpracy dzięki szczerości. W końcu jest pan człowiekiem nauki... a ciekawość może pomóc bardziej niż groźby. Zechce mnie pan wysłuchać?

— Jakbym miał wybór...

Opat Ruiz wstał. Wziął zlewkę i schował ją pod fałdami szaty.

— Wszyscy ludzie dysponują wolną wolą, profesorze. To nasze przekleństwo albo zbawienie. — Obszedł biurko i dał ręką znak mnichowi imieniem Carlos, aby ten prowadził. — Sanctum!

Zakonnik zrobił przerażoną minę, ale szybko skinął głową i obrócił się na pięcie. Otworzył drzwi i wyprowadził obecnych na zewnątrz.

Zawsze posłuszny żołnierz Pana, pomyślał Henry.

— Dokąd nas zabieracie? — spytała Joan, idąc tuż przy jego boku.

— Ujawnić prawdę, bo wierzę, że okazecie się tak samo otwarci — odparł Ruiz.

— Prawdę o *el Sangre del Diablo*? — spytał Henry w nadziei, że wyciągnie z księdza więcej informacji. — Skąd ją znacie?

Opat głośno westchnął, jakby rozważał, czy warto o tym opowiadać.

— Tę substancję odkryli hiszpańscy konkwistadorzy tu, w Cuzco — odparł w końcu i machnął ręką. — W Świątyni Słońca Inków.

— W ruinach pod kościołem Świętego Dominika?

Henry doskonale pamiętał, że świątynię po raz pierwszy opisał historyk Pedro de Cieza de Leon, który wspomniał o wypełniającej ją niezwyklej ilości złota i srebra. Nawet ściany były pokryte dwucentymetrowymi płytami złota — do chwili, aż budowlę obrabowali Hiszpanie, burząc ją aż do fundamentów, by zbudować na nich kościół własnego boga.

— Owszem — powiedział z westchnieniem Ruiz. — Świątynia musiała być przed grabieżą niezwyklej. Wielka szkoda.

— A krew diabła? — spytała Joan. — Skąd taka nazwa?

Doszli do kręconych schodów prowadzących głęboko do wnętrza klasztoru. Opat powoli schodził, z trudem przeciskając wielkie ciało przez wąski korytarz.

— Inkowie mieli na złoto i srebro barwne nazwy: łyzy Księżycy, pot Słońca — powiedział, lekko dysząc. — Kiedy hiszpańscy konkwistadorzy dowiedzieli się o tej substancji i ujrzeli jej niezwykłe właściwości, uznali ją za bluźnierczą i dali jej nie mniej barwną nazwę: *el Sangre del Diablo*. Krew Diabła.

Henry był zaciekawiony — historia niejako pochodziła z jego zawodowego podwórka, ale nigdy przedtem jej nie słyszał.

— Dlaczego nie ma zapisów o tym odkryciu?

Opat wzruszył ramionami.

— Ponieważ wezwano Kościół, który zgodził się z konkwistadorami. Zbadano tę substancję, dostrzeżono jej niezwykle cechy i w tysiąc pięćset czterdziestym drugim roku papież Paweł Trzeci uznał ją za ohydną w obliczu Pana. Za dzieło diabła. Towarzyszący Hiszpanom dominikanie skonfiskowali wszystkie próbki i odesłali je do Rzymu, żeby zostały oczyszczone. Wszelkie zapisy o odkryciu tej substancji zniszczono, mówienie i pisanie o niej uznawano za obcowanie z diabłem. — Opat na chwilę przerwał i wbił wzrok w ścianę. — Kilku historyków, którzy przeciwstawili się dekretowi papieża, spalono na stosie... w budynku, w którym jesteśmy. Zachowanie tajemnicy stało się brzemieniem naszego zakonu.

— Waszego zakonu... to brzmi, jakbyście nie należeli do Kościoła katolickiego.

Ruiz zmarszczył czoło.

— Bez dwóch zdań jesteśmy częścią świętego Kościoła katolickiego. — Opat spojrział w bok, jakby z poczuciem winy. — Niestety, większość ludzi w Rzymie o nas zapomniała. Z wyjątkiem garstki ludzi w Watykanie nikt nie pamięta, na czym polega prawdziwa misja tego zakonu.

— To znaczy? — spytał Henry.

Ruiz zbył pytanie ruchem głowy.

— Proszę za mną, a sam pan zrozumie.

. . .

Zeszli na dół po długich schodach, Henry szacował, że są mniej więcej pięć metrów pod ziemią. Drogę przed nimi rozświetlał szereg zwisających z sufitu żarówek. Ze zdziwieniem stwierdził, że ściany są inkaskiej roboty: poustawiane bez fug potężne bloki granitu, spiętrzone z ogromnym kunsztem i dokładnością.

Opat musiał zauważyć zainteresowanie Henry'ego, który przesunął dłonią po ścianie.

— Jesteśmy pod opactwem. Tak jak kościół Świętego Dominika, stoi ono na starożytnych inkaskich fundamentach. Przejścia pod nimi się łączą i docierają do Świątyni Słońca.

— Tam idziemy? — spytała Joan. — Do tej świątyni?

— Nie... do znacznie bardziej zdumiewającego miejsca.

Szli za Carlosem labiryntem korytarzy. Od czasu do czasu przechodzili po pomostach z desek, przerzuconych nad dziurami w kamiennej podłodze.

Z początku Henry sądził, że jej fragmenty zapadły się w wyniku trzęsienia ziemi albo rozkruszyły ze starości, potem jednak stwierdził, że dziury są zbyt regularne, niemal idealnie prostokątne. Nagle się domyślił, dokąd się udają.

— To Najgłębsza Jama! — wykrzyknął Henry, rozglądając się wśród splątanych korytarzy z mnóstwem zakrętów i rozgałęzień.

— A więc słyszał pan o tym miejscu? — spytał Ruiz z uśmiechem.

— Najgłębsza jama? — spytała Joan.

— Podziemny labirynt. Piekielne miejsce, do którego inkascy władcy wrzucali swoich największych wrogów. Było tu mnóstwo dołów z wymyślnymi pułapkami, wypełnionych ostrym jak brzytwa krzemieniem. Aby jeszcze bardziej dręczyć więźniów, wrzucali do nich skorpiony, pająki, węże, nawet ranne pumy.

Joan rozejrzała się.

— Jakie to okropne...

— To była jedna z najsłynniejszych inkaskich izb tortur. Hiszpańscy konkwistadorzy dużo o tym pisali. Uważano, że znajdowała się w Cuzco, ale została dawno zniszczona. — Henry odwrócił się do opata. — Najwyraźniej nie.

Carlos zatrzymał się przed kolejnym zakrętem. Stał sztywno przy ścianie, niemal na baczność. Jego wściekłe spojrzenie mówiło, że nie akceptuje pomysłu opata, by przyprowadzić tu więźniów.

Zwierzchnik podszedł do niego.

— Dotarliśmy do samego środka labiryntu. Najświętszego miejsca naszego zakonu.

Henry rozejrzał się po korytarzu. Wszędzie były tylko granitowe bloki. Żadnych drzwi. Opat podszedł do ściany i przycisnął pierścień z rubinem do małej stalowej płytki w zagłębieniu. Kiedy rozległ się zgrzyt trybów, cofnął się.

Henry stężał. Nie miał pojęcia, czego oczekiwać.

Fragment kamiennej ściany powoli zapadł się w podłogę i z otworu wystrzeliło oślepiające światło.

Kiedy Henry odzyskał wzrok, ze zdumienia otworzył usta.

Stojąca obok Joan głośno westchnęła.

Mieli przed sobą duże pomieszczenie, rozmiarów niewielkiego magazynu. Śnieżnobiałe i błyszczące chromem, nowoczesne laboratorium.

Za oknami i hermetycznie zamkniętymi drzwiami widać było kilkadziesiąt postaci w sterylnych kombinezonach, pracujących przy stanowiskach roboczych. Z pomieszczenia docierała stłumiona muzyka Beethovena.

Henry popatrzył za siebie na inkaski korytarz, potem na zaawansowane technologicznie laboratorium.

— W porządku, przykuł opat moją uwagę — powiedział.

. . .

Atak nie nastąpił. Minęła godzina, zanim Sam odszedł od wielkiego ogniska, z mocno przyciśniętym do ramienia karabinem. Ciemna nekropolia zamieniła się w krąg zacienionych szczytów. Blask ogniska rozjaśniał plamami światła najbliższe grobowce, ale większą część zabudowy spowijała atramentowa czerń. Światło odbijała tylko złota figura pośrodku — jarząca się kolumna w ciemnej jak bezksiężycowa noc jaskini.

W mieście grobów nic się nie poruszało.

— Może sobie poszły? — szepnął Norman.

— Dalej są tam, gdzie były — odparł Sam.

— Płomienie — dodała Maggie ostro, ale cicho, odwracając na chwilę uwagę mężczyzn od nekropolii. — Spróbowały zniszczyć ognisko, wrzucając do niego skałę, i tylko przypadek sprawił, że zapaliła się sterta mumii. Gdyby ogień zgasł, już byśmy nie żyli.

— Co masz na myśli? — spytał Norman.

— Boją się ognia — odparł Sam. Popatrzył na Maggie z szacunkiem. — Ze strachu trzymają się z daleka.

Dziewczyna skinęła głową.

— W skórze nie mają pigmentu, więc pewnie nie są przyzwyczajone do światła. Pewnie od zawsze mieszkały w jaskini.

— Ale co to za istoty? — spytał Ralph.

— Pojęcia nie mam — odparła Maggie. Wszyscy robili się nerwowi. Przyciągnęła do siebie Denala, którego oczy były wielkie ze strachu. — Cokolwiek to jednak było, nie był to duch. Żaden *mallaqui*. To zwierzę z krwi i kości.

Ralph pokręcił głową i lekko poprawił chwyt na broni. Chyba stawał się tak samo zmęczony jak pozostali.

— Nic nie słyszałem o wielkich małpach w Ameryce Południowej — powiedział.

— Ale duże tereny Andów są do dziś niezbadane — odparła Maggie. — Tak jak na przykład to miejsce.

— Wyglądają niemal humanoidalnie.

Sam nie użyłby takiego określenia na niekształtnego i garbatego stwora o paskudnej mordzie i ostrych jak żyłki zębach. Nie, zdecydowanie ta istota nie była humanoidalna.

— Na całym świecie na dużych wysokościach ludzie rzekomo widują dziwne stwory — stwierdziła Maggie. — W Górach Skalistych jest to wielka stopa, w Himalajach yeti.

Ralph prychnął.

— Rewelacja. A myśmy odkryli ohydneho człowieka śniegu z Andów.

W obozie znów zapadło milczenie — napięcie zniechęcało do rozmów. Ciszę tylko od czasu do czasu przerywał trzask płomieni. Po jakimś czasie Sam zaczął mieć nadzieję, że ocena Normana była trafna i dziwne stwory sobie poszły, ale nagle z głębi jaskini doleciało głośnie szczeknięcie, do którego dołączyło dolatujące zewsząd gardłowe powarkiwanie.

Wszyscy zdrętwieli. Sam położył palec na spuście winchestera.

— Tubylcy są coraz bardziej niespokojni — szepnął Norman.

Chrapliwe porykiwania i bełkot stawały się coraz głośniejsze, ich echo robiło wrażenie, jakby byli otoczeni przez setki bestii.

Sam próbował przebić wzrokiem ciemność.

— Ogień nie ogień, może zbierają się na odwagę do ataku...

— Co robimy? — spytał Norman.

— Mamy dwie możliwości. Możemy zabarykadować się w którymś z grobowców, rozpalić przy wejściu wielkie ognisko i spróbować przeczekać. W razie ataku postaramy się je powstrzymać. — Sam poruszył palcami w kieszeni. — Mam kilkanaście pocisków, Ralph ma mniej więcej trzydzieści.

Maggie popatrzyła na wąskie wejście do pobliskiego grobowca. Po jej minie widać było, że pomysł niezbyt ją zachwyca.

— Bylibyśmy tam uwięzieni, bez możliwości ucieczki. Obawiam się też, że ich strach przed ogniem osłabnie.

— A ognisko może zgasnąć — dodał Norman. — Gdyby zabrakło nam mumii, kto by się wybrał po następne?

— Fakt, to nie najlepszy pomysł — zgodził się Sam. — A więc opcja numer dwa: próbujemy znaleźć drogę wyjścia. Użyjemy światłomierza

Normana. Wyjdziemy uzbrojeni i z pochodniami. Jeśli boją się ognia, będziemy machać zapalonymi pochodniami, może to je odstraszy przynajmniej na tyle, że zdążymy zabrać tyłki.

— Tak czy inaczej, powinniśmy się pospieszyć — wtrącił Ralph, wsłuchując się w wycie z przekrzywioną głową.

— Robią się coraz pewniejsze, chyba dlatego, że nie podejmujemy żadnych działań — powiedziała Maggie. — Jeśli zaczniemy się poruszać, niosąc ogień, powinny znów się wystraszyć. Może ta jaskinia to ich dom i chodzi tylko o obronę terytorium. Jak pokażemy, że odchodzimy, może nie zaatakują.

— Sporo tu „może” i „chyba” — zauważył Ralph.

Maggie wzruszyła ramionami.

— Wolę się poruszać, niż utknąć tu na dobre. Moim zdaniem tkwienie w jednym miejscu nie jest mądre. Głosuję za tym, żebyśmy się stąd ruszyli.

— Ja też — szybko dodał Denal, cicho, ze strachem.

Norman skinął głową.

— Chyba nadużyliśmy gościnności.

Sam rzucił okiem na Ralpa. Były piłkarz wzruszył ramionami.

— Zwijajmy obóz — rzucił.

— Jestem za. — Sama ucieszyła się jednogłośnie decyzją, ale modlił się w duchu, aby okazała się słuszna. — Ja i Ralph musimy mieć wolne ręce, żeby trzymać broń. Wy bierzcie pochodnie.

On i Ralph zaczęli obserwować ciemną nekropolię, pozostali — przy nieustannym akompaniamencie wycia i pohukiwań bestii — zabrali się do robienia pochodni. Z sąsiedniego grobowca wyciągnęli kolejną mumię i oderwali jej kończyny. Denal i Norman wzięli po nodze, a Maggie obie ręce.

Norman cofnął się, machając chudą zmumifikowaną nogą.

— Słyszałem o wyrywaniu ludziom nóg z tyłka, ale myślałem, że chodzi o coś innego. — Twarz świeciła mu się od potu. Podszedł do ogniska i zapalił stopę mumii. — Coś mi mówi, że trafię za to do piekła, choć z drugiej strony może już w nim jestem...

Maggie i Denal, ignorując jego paplaninę, uczynili to samo ze swoimi pochodniami i po chwili każdy trzymał płonąca kończynę.

— Na wszelki wypadek mam zapasową latarkę — powiedziała Maggie, wskazując kciukiem na wystającą spod pasków plecaka odłamaną rękę. —

W razie czego możemy po drodze zebrać więcej.

— Jeśli to, co najgorsze, jeszcze się pogorszy — odparł Norman. — W razie czego w aparacie mam flesz.

— No to ruszajmy — rzekł Sam. — Idę pierwszy, Norman pójdzie ze mną, bo potrzebujemy jego światłomierza. Maggie, możesz nieść równocześnie pochodnię i latarkę?

Skinęła głową.

— Więc idź z Denalem za nami. Ralph będzie osłaniał tyły. Przejdziemy najpierw przez nekropolię. Wiadomo, że za nami nie ma wyjścia, więc... najlepiej iść naprzód. — Sam popatrzył po obecnych. Nikt nie protestował. — No to w drogę!

Wyruszyli. Alejki między grobowcami były na tyle szerokie, że mogli iść zbitą grupą — Norman obok Sama, osłaniając ciałem światłomierz przed blaskiem pochodni i odczytując wskazania. Maggie z drugiej strony Sama, ze skierowaną do przodu latarką, Denal tuż obok. Tylko Ralph, zgodnie z instrukcją Sama, szedł bardziej oddalony, pilnując tyłów.

Ocena Maggie okazała się nie do końca trafna. Kakofonia wrzasków ucichła — stwory były wyraźnie zaskoczone ruchomymi światłami pochodni, ale nie w takim stopniu, w jakim sobie wyobrażała. Porykiwania i pochrząkiwania otaczały ich ze wszystkich stron, wręcz jakby się przybliżyły.

Nagle z tyłu huknął wystrzał. Sam, z sercem w gardle, gwałtownie się odwrócił, z gotowym do strzału winchesterem przy ramieniu. Ralph stał oddalony o kilka metrów, z lufy jego strzelby leciał dym.

— Cholera jasna! — krzyknął Sam. — Widziałeś coś?

Ralph pokręcił głową. Wyszczrzył zęby, patrząc na ciemną nekropolię.

— To tylko strzał ostrzegawczy. Jeśli nie za bardzo boją się ognia, wystrzał powinien je przekonać.

— Mało brakowało, a dostałabym zawału! — zawołała Maggie. — Następnym razem nas ostrzeż!

— Przepraszam — odparł Ralph z głupkowskim wyrazem twarzy. — Musiałem coś zrobić. Od tych wrzasków swędziały mnie plecy.

— Zrób tak jeszcze raz, a kupujesz mi nowe majtki — rzekł Sam.

— Posłuchajcie! — wtrącił się Denal. — Jest cicho!

Kiedy Samowi przestało dzwonić w uszach, stwierdził, że chłopak ma rację. Strzał Ralpha przynajmniej tyle dał. W jaskini panowała śmiertelna

cisza.

— Może się wystraszyły — powiedział z nadzieją w głosie Norman, otrzepując spodnie.

— Nie licz na to — rzucił Sam. — Idziemy dalej.

Szli przez labirynt alejek i dróg. Sam uznał, że projektant nekropolii nie był wielkim znawcą architektury miejskiej. Nie istniała ani jedna przelotowa droga, wiele uliczek kończyło się ślepo. W stosunku do złotej postaci pośrodku przemieszczali się powoli jak ślimaki. Wiele razy się cofali i sprawdzali odczyty światłomierza.

— Zaraz się zgubimy — odezwał się w którymś momencie Norman, zgarbiony nad światłomierzem, by osłonić go przed blaskiem pochodni.

— Musi być jakieś wyjście — powiedział z uporem Sam.

Wszyscy coraz bardziej się denerwowali — nie z powodu wycia stworów czy oznak ich obecności, ale dlatego, że coraz bardziej niepokoiła ich cisza. Nie wiedząc, gdzie mogą kryć się bestie, podskakiwali przy każdym ruchu cienia i każdym skrobnięciu o skałę. Choć nikt się nie odzywał, pierwotny instynkt ostrzegający przed drapieżnikami mówił im, że zwierzęta cały czas im towarzyszą. Czuli ich wzrok, dyszące w ciemności oddechy.

Z każdym metrem cisza robiła się cięższa. Nikt się nie odzywał, ucichły nawet skargi Normana. Sam rozglądał się, niemal życząc sobie, aby znów rozległo się wycie. Wszystko było lepsze od tej przekłętej ciszy.

Nagle nad ich głowami rozbrzmiał przeciągły ni to ryk, ni to skowyt. Maggie skierowała latarkę w górę, ku dachowi sąsiedniego grobowca — spojrzały na nich blade mordy. Światło odbiło się w wielkich czarnych ślepiach, spomiędzy cofniętych warg wydobywał się przenikliwy wrzask, ostre jak brzytwa zęby szczyrzyły się gotowe do ataku.

— Cofnąć się! — krzyknął Sam, zasłaniając Maggie i Denala.

W tym momencie stwory zaczęły zeskakiwać z dachu.

Huknęła strzelba Ralpa i jeden z potworów zakręcił się w powietrzu. Z rany na szyi trysnęła krew. Zwierzę uderzyło o kamienne podłoże, wyjąc i wijąc się jak oszalałe.

Sam przesunął całą grupę do tyłu, nieco w głąb uliczki. Patrzył przy tym na długą lufę winchestera. Jeden z przykucniętych na uliczce stworów wstał i Sam po raz pierwszy mógł się mu przyjrzeć. Zwierzę było tak samo blade i bezwłose jak poprzednie, ten osobnik był jednak chudszy, jakby

wygłodzony. Pod skórą widać było każde zebro, kończyny składały się z samych długich kości i bladych ścięgien przypominających napiętą gumę. Najbardziej fascynowała jednak morda: lekko wydłużona jak u niedźwiedzia, z zębami, z których wszystkie przypominały kły. Zdecydowanie był to mięsożerca. Jego ślepia napawały niepokojem: były wielkie i czarne, a kryła się w nich prymitywna inteligencja, zaciekawienie i furia. Śmiertelne połączenie.

Widać było jednak także ostrożność. Wychudzony stwór popatrzył na rannego towarzysza wijącego się na uliczce. Kiedy się odwrócił, jego czarne ślepia zwężyły się w szparki.

Syknął na Sama, po czym długie blade kończyny poruszyły się błyskawicznie i potwór zniknął w bocznej uliczce — z taką szybkością, że ludzkie oko nie mogło go śledzić. Sam nie zdążył nawet przesunąć broni.

Cholera jasna, ależ był szybki... jak rozmazany biały duch.

Z każdej dziury wysuwały się następne — wypełzały z czarnych okien, wyczołgiwały się z wąskich otworów drzwiowych. Choć były do siebie bardzo podobne, różniły je drobne szczegóły. Niektóre osobniki były mniejsze, inne masywniejsze, część miała szczątkowe skrzydła na wysokości łopatek. Jediną cechą łączącą wszystkie osobniki było przenikliwe, głodne spojrzenie czarnych oczu i półprzezroczysta skóra.

— Sam... z twojej lewej! — zawołała Maggie.

Sam szybko się odwrócił — jeden ze stworów, niski i krępy, biegł ku nim na zgiętych nogach, unosząc nad głową wielki kamień.

Sam miał tylko ułamek sekundy na wycelowanie i dobrze posłużyły mu odruchy wypracowane przez lata podczas polowań na bazanty i kaczki. Skierował broń na napastnika i wystrzelił. Pocisk trafił bestię prosto w pierś, impet uderzenia natychmiast ją zatrzymał. Potknęła się i oparła kolanem o podłoże, rzuciło nią lekko w bok. Z rany popłynęła czarna jak olej krew. Kamień wypadł z łap zwierzęcia, ciało się zważyło.

Z prawej rozległ się następny wystrzał. Niedaleko Ralpa na ziemi zwijał się kolejny stwór. Ralph pomachał do swoich towarzyszy.

— Idźcie dalej! — zawołał.

Kolejny krzyk ostrzegł Sama — choć tym razem nie krzyczała Maggie. Przeciągle, sygnalizujące atak wycie wydobyło się z gardła stwora — samicy ze zwisającymi, płaskimi jak naleśniki piersiami. W łapach zwierzę trzymało uniesioną wielką pałkę.

Sam skierował lufę karabinu w bok.

— Sam!

Pałka pomknęła w jego kierunku, przecinając powietrze szybciej, niż się spodziewał. Cofnął się o krok, lekko się przy tym potykając, ale nie był wystarczająco szybki. Pałka uderzyła w lufę winchestera, wydając głośny, metaliczny dźwięk. Karabin wypadł Samowi z rąk i zagrzechotał na kamiennej ulicy.

Sam poczuł pieczenie w dłoni, która zamortyzowała uderzenie. Pałka zatoczyła błyskawiczne koło — tym razem pomknęła w kierunku jego głowy. Samica triumfalnie zawyła. Straciwszy równowagę, Sam nie mógł nawet się uchylić.

Nagle poczuł w lewym uchu ukłucie piekącego bólu. Zawył — zarówno z zaskoczenia, jak i bólu.

— Przepraszam — powiedziała Maggie, przesuwając pochodnię tuż nad jego ramieniem i kierując ją prosto w pysk bestii.

Na widok ognia oczy stwora gwałtownie się rozszerzyły. Ryk triumfu przemienił się w jęk przerażenia. Zwierzę zasłoniło mordę łapą, wypuszczając pałkę z trzęsących się palców.

Maggie obeszła Sama dookoła i wykonała kilka dźgających ruchów pochodnią.

Stwór zaczął się cofać, zawrócił na pięcie, wspiął się na pobliski grobowiec i zwiął. Tak samo jak poprzedni, poruszał się z nieprawdopodobną prędkością.

— Bierz karabin! — wrzasnęła Maggie do Sama, po czym zwróciła się do Normana: — Używaj pochodni!

Wyciągnęła rękę do Ralpha w chwili, gdy rozległ się kolejny wystrzał. Były futbolista był otoczony ze wszystkich stron.

— Idź mu pomóc, ja zostanę z Samem i Denalem! Musimy nawzajem się kryć.

Norman ruszył w kierunku Ralpha, odgonił pochodnią dwa groźnie wyglądające stwory.

— Dokąd się wycofujemy? — spytał.

— Dokądkolwiek, byle nie tkwić tutaj! — odkrzyknęła Maggie.

Norman skinął głową, jakby to coś wyjaśniało, i ruszył przed siebie, by włączyć się w walkę u boku Ralpha. Kolejny strzał i ruchliwe pochodnie szybko oczyściły przestrzeń wokół nich.

Z lewej strony głośno westchnął Denal. Kiedy Sam spojrział w jego kierunku, stwierdził, że drobny kiczuański chłopak cofa się przed trzema mniejszego wzrostu stworami — miniaturowymi wersjami tych, które zaatakowały jego. Sunęły po podłożu, podpierając się kostkami dłoni, i bardzo przypominały nieduże małpy.

Wolną ręką Sam pociągnął Denala za siebie, po czym uniósł karabin. Wycelował w najbliższego zwierzaka i wystrzelił, odłupując mu potylicę. Krew i kawałki kości opryskały pozostałą dwójkę, na chwilę ją zatrzymując.

— Cofnijcie się! — wrzasnął Sam, wciągając Maggie i Denala w boczną uliczkę, kiedy pozostałe dwa stwory zdecydowały się kontynuować atak. Kolejny wyciągnął ku Maggie łapę z dachu, na szczęście machnęła pochodnią i stwór się wycofał.

Atakująca dwójka zawyła i skoczyła — choć nie na ludzi. Rzuciła się na zabitego towarzysza, rozdzierając go zębami i pazurami, zanurzając w jego ciele zakrwawione pyski.

Sam, Maggie i Denal wycofywali się dalej.

— Co to za diabelskie potwory? — mruknęła przerażona Maggie.

Sam nie umiał na to odpowiedzieć.

Do posiłku dołączały kolejne zwierzaki, ściągane zapachem krwi. Kiedy odeszli ludzie z pochodniami, stwory wypełzały z każdego zagłębienia i zacienionej wnęki. Wydawały się skrajnie wygłodniałe. Zapach świeżego mięsa i krwi jeszcze bardziej rozbudził ich krwiożercze instynkty.

— Sam! Maggie! — zza rogu dobiegł dudniący głos Ralpha. — Nie dostaniemy się do was! Jest ich za dużo!

Sam obserwował jatkę. Obawiał się, że oszalałe od żądz krwi stwory nie dadzą się odstraszyć.

— Nie próbujcie do nas iść! — odkrzyknął. — Ruszymy dalej tą drogą, kierujcie się na złotą figurę! Spotkamy się przy niej!

Zza rogu znowu huknął wystrzał.

Maggie poświeciła do tyłu latarką. Droga była chwilowo czysta. Wyżerka w sąsiedniej uliczce przyciągnęła stwory niczym ogień ćmy.

— Szybciej! — Maggie pospieszyła przyjaciół. — Kto wie, jak długo zadowolą się swoim kumplem?

Nikt nie potrzebował zachęty. Trzymając ją i Denala przed sobą, Sam zmuszał ich do biegu. Na ślepo wbiegali w każdy zakręt, który wydawał się zbliżać ich do złotej figury pośrodku miasta grobów. Wszędzie wokół odbijały się echem wrzaski stworów, dopingujące ich do wysiłku. Sam w biegu przeładował broń, drżącymi palcami ledwie udało mu się powkładać nowe naboje. Zarzucił winchestera na ramię i dogonił Maggie.

— Trzymasz się? — wydyszał spomiędzy zaciśniętych zębów.

Popatrzyła na niego, w świetle latarki jej spocona twarz wydawała się bardzo blada.

— Ujdzie. Zapytaj jeszcze raz, jak przestaniemy biec.

Wyciągnął rękę i uściśnął jej przedramię. Rozumiał, co miała na myśli. W trakcie walki i ucieczki adrenalina blokuje strach. Pełne zrozumienie grozy tej sytuacji dopiero nastąpi.

— Nic mi nie będzie.

— Wydostaniemy się stąd — zapewnił Sam z bladym uśmiechem.

Maggie skinęła głową, ale on wiedział, że pewnie nie do końca mu wierzy. W końcu oboje nie byli głupi — ścigające ich stwory były mięsożercami, do tego kanibalami. Blada skóra i wielkie oczy świadczyły o tym, że mieszkają w jaskiniach od pokoleń, może od tysiącleci... Mutacje, chów wsobny, kto wie, jak pierwotnie wyglądały? Może były kiedyś nieznanym gatunkiem wielkich małp, może prehistorycznym człowiekiem? Pojawiało się kolejne pytanie: jeśli istnieje wyjście z jaskiń, dlaczego ich nie opuszczają?

Sam główkował nad tą zagadką i starał się nie panikować. Może Denal miał rację? Może te stwory to faktycznie *mallaqui*, duchy podziemnego świata? Jeżeli Inkowie natknęli się na to plemię uwięzionych pod ziemią potworów, mogli wziąć je za istoty rodem z *uca pacha*, niższego duchowo poziomu. Czy dlatego zbudowali tutaj tak wielką nekropolię? Uznali, że dzikie stwory ochronią ich zmarłych? Biorąc pod uwagę ich atak, demoniczne bestie rzeczywiście były znakomitymi psami stróżującymi.

Sam pokręcił głową; nie wiedział, jakie wyciągnąć wnioski. Coś mu mówiło, że do rozwiązania zagadki brakuje ważnego elementu i dopóki go nie odkryją, nie ma co liczyć na odpowiedź.

Biegli we trójkę przed siebie. Z oddali dolatywały wycie i huk wystrzałów, znaczących drogę ucieczki Normana i Ralpha. Były jednak na tyle rzadkie, że po każdej eksplozji Sam się wzdrygał.

— Mam nadzieję, że sobie radzą — powiedziała Maggie po serii kilku wystrzałów. Oparła się o parapet i próbowała złapać oddech.

— Poradzą sobie. Z siłą Ralpha i sprytem Normana jak mogliby sobie nie poradzić?

Skinęła głową. Wychyliła się, by zobaczyć, co czeka ich za rogiem.

— Boże drogi, jest tam! — Postąpiła krok do przodu i machnęła na Sama i Denala, by szli za nią.

Sam wyszedł z za rogu i znieruchomiał z wrażenia. Miał przed sobą długą i prostą ulicę, pierwszą taką w zagmatwanym labiryncie. Na końcu majaczyła podstawa olbrzymiej złotej figury. Z tej perspektywy dostrzegł, że to inkaski król — Sapa Inka, bardzo podobny do tego, który pilnował tajnego wejścia do jaskiń. Figura miała wysoko uniesione ręce, wewnątrz dłoni dotykała sklepienia, wspierając je.

Denal zamarł z otwartymi ustami.

— To ten sam król — powiedziała Maggie, unosząc latarkę. Figura miała przynajmniej dwadzieścia pięter wysokości.

Sam podążył wzrokiem za światłem latarki. Król zdawał się spoglądać na nich spod zdobionej piórami i frędzlami korony *llautu* z ironicznym półuśmiechem na arystokratycznej twarzy.

— Masz rację — przyznał Sam. — To musi być inkaski król, który pokonał plemię Mochica, budowniczych piramidy. Założę się, że w ten sposób chciał odcisnąć swoje piętno na tej górskiej cytadeli.

— Niezbyt subtelny gość — stwierdziła Maggie, wykręcając szyję.

— Przedstawmy mu się. — Sam poprowadził, cały czas w oczekiwaniu ataku ze strony mieszkańców nekropolii. Choć ulica wydawała się wyludniona, trzymał karabin w gotowości. Nie było słyhać skrobnięć. Zawodzące wycie dochodziło z daleka.

Sam wolał, by tak pozostało, i pospieszył naprzód.

Ulica okazała się znacznie dłuższa, niż początkowo się wydawało — ogromna postać ze złota w złudny sposób skracała perspektywę. Im bliżej centralnego placu, tym większe i wystawniejsze stawały się grobowce.

Sam, Maggie i Denal zwolnili i zaczęli truchtać, a wkrótce już tylko drobili małymi kroczkami.

Światło latarki Maggie poruszało się po ornamentach bogato zdobionych mauzoleów. Niektóre miały wysokość trzypiętrowych domów, pełno było na nich złotych i srebrnych ozdób, inkrustowanych rubinami

i szmaragdami. Fasady zdobiły fantazyjne stwory: smoki, skrzydlate lamparty i hybrydy, po części ludzie, po części zwierzęta. Maggie przesunęła palcem po skomplikowanej mozaice, ukazującej ceremonialną procesję.

— Te grobowce musiały być przeznaczone dla *kapak*, przedstawicieli wyższych klas — powiedziała.

Sam skinął głową.

— Zebrane u stóp boga, Sapa Inki. Zwróć uwagę na układ jego dłoni. To kolejny symbol, że król był ogniwem łączącym niebo z ziemią.

Wreszcie szereg grobowców się skończył i stanęli przed szerokim placem, ciągnącym się do stóp złotej figury. Sam podniósł głowę porażony wielkością posągu.

— No, no, no...

Maggie nie była równie zachwycona. Stała tyłem do placu i wpatrywała się w ciemną nekropolię. Wsłuchiwała się w echa podnoszących się od czasu do czasu w oddali wrzasków bestii.

— Co to za stwory? — mruknęła kolejny raz pod nosem.

Sam podszedł do niej.

— Pojęcia nie mam, ale moim zdaniem są całkiem inteligentne. Niektóre używały do ataku narzędzi. Kamieni i pałek.

— Zauważyłam, ale tylko te o grubszych kończynach. Zwróciłeś uwagę?

— Byłem zbyt zajęty odpędzaniem ich — odparł Sam, unosząc karabin.

— Tak było. Pozostałe używały tylko zębów i pazurów. Wydawało się nawet, że sfora podzieliła się na cztery gatunki, a każda ma inne funkcje i zdolności.

— Jak u pszczół? Robotnice, trutnie i królowa?

— Otóż to. Najpierw pojawiły się chude i zwinne.

— Widziałem jednego. Poruszają się z szybkością światła.

— Zwróciłeś uwagę, że nie walczyły?

— Teraz, kiedy o tym mówisz, faktycznie wydaje mi się, że tak było. Chude pojawiły się najpierw, ale jakby tylko szwendały się z boku. — Sam popatrzył na Maggie. — Jaką pełnią funkcję? Zwiadowców?

Wzruszyła ramionami.

— Może.

Sam zastanowił się nad tą teorią. Spróbował odtworzyć bitwę w pamięci.

— A co z tymi wyglądającymi jak pitbule? Tymi, które nie bały się płomieni?

— To inny gatunek. Zauważyłeś, że nie miały narządów płciowych?

— Nie patrzyłem im między nogi. Ale jeśli rzeczywiście ich nie miały, pewnie myślisz, że to trutnie, jak u pszczoł.

Maggie skinęła głową.

— Bezpłodni robotnicy o ograniczonej inteligencji. Brak strachu wynika prawdopodobnie bardziej z głupoty niż odwagi. Ale kto wie?

— A te z bronią? — spytał Sam. — Te większe z potężnymi mięśniami i dziwnymi szczątkowymi skrzydłami? Niech zgadnę... żołnierze.

Maggie pokręciła głową.

— Może tylko robotnicy. Nie wiem. Widziałeś tego wielkiego, który trzymał się z tyłu i jakby wykrzykiwał komendy? Jestem pewna, że był kimś w rodzaju przywódcy. Nie widziałam większego niż ten.

— To sporo wniosków i przypuszczeń jak na tak krótką obserwację.

— Tak właśnie uczył nas twój wuj. Ekstrapolować. Zbierz drobne odłamki starożytnej kultury i skonstruuj cywilizację.

— Mimo wszystko bez pełniejszych informacji wolałbym nie...

Nagle Denal pociągnął go za rękaw.

Kiedy Sam na niego spojrział, chłopak wpatrywał się w mroczną nekropolię.

— Mister Sam... nie słyszę strzałów.

Sam i Maggie podążyli za spojrzeniem chłopca.

— Ma rację — powiedziała Maggie. — Od jakiegoś czasu nie padł żaden strzał.

Sam poszukał wzrokiem znaku obecności Ralpa i Normana. Nad miastem pohukiwały pojedyncze okrzyki.

— Może im zwiali...

Maggie rozejrzała się. Z placu, na którym stali, siedem ulic rozchodziło się promieniście niczym szprychy koła, i znikало wśród grobowców.

— Nigdzie nie widzę blasku pochodni Normana — rzekła Maggie.

Sam podszedł do niej. Rozejrzał się w milczeniu. Gdzie oni się podzieli? Zostali złapani? Strach o przyjaciół ścisnął mu żołądek.

— Muszą gdzieś tam być — powiedział cicho. — Muszą.

. . .

Ścigani przez tłum bestii, Norman i Ralph wycofali się przez drzwi do grobowca. Ciasne wnętrze wypełniał odór pleśni i cynamonu, podkreślający klaustrofobiczną przestrzeń. Stojące przed wejściem blade stwory jęczały i warczały z głodu.

Machając płonąca zmumifikowaną nogą, spaloną już do kolana, Norman odganiał chmarę bestii od grobowca. Jak na razie płomienie — aczkolwiek niezbyt intensywne — trzymały zwierzęta na dystans.

— Dawaj, Ralph... — powiedział błagalnie Norman. Rzucił okiem za siebie, o mało nie gubiąc okularów, które zsunęły mu się po spoconym nosie.

Stojący w głębi Ralph walczył ze strzelbą, nie mógł sobie poradzić z rygłem.

— Co za złom! Ciągłe się blokuje!

— To ją odblokuj!

— A co, twoim zdaniem, próbuję zrobić? — Ralph zabrał się do tego ze zwiększonym zapalem, napiął potężne mięśnie, ale bez efektu. Kiedy podniósł głowę, jego mina wystarczała za komentarz.

— Pieprz się! — Norman wbił pochodnię w pysk zwierzęcia, które podeszło zbyt blisko. Bestia zawyła i cofnęła się. — Co teraz? Kończy mi się noga!

— Wytrzymaj jeszcze trochę — doleciał głos z za jego pleców. Stwory robiły się coraz bardziej nachalne i próbowały złapać pochodnię, którą machał. Po chwili u jego boku pojawił się Ralph. — Zejdź z drogi.

Norman odsunął się i Ralph rzucił coś w progę: mumię zabalsamowaną w pozycji płodowej.

— Zapal ją! — polecił.

Norman przyłożył ogień do wyschniętego całunu. Buchnął kłęb dymu, natychmiast wypełniając wnętrze grobowca, i po chwili — jak światło zbawienia — nad zmumifikowanymi zwłokami strzeliły płomienie. Kolejny kłęb dymu zakłuł w oczy i wywołał kaszel.

— Cofnij się — ostrzegł Ralph, po czym kopniakiem wyrzucił płonąca mumię na zewnątrz. Zatrzymała się metr za drzwiami i zapłonęła jasnym ogniem.

Stwory rozbiegły się na boki, piszcząc jak przerażone prosiaki.

Norman cofnął się o krok i westchnął z ulgą. Powinni zyskać nieco czasu.

— Uda ci się zrobić porządek ze strzelbą?

— Nie wiem. Łuska zaklinowała się na amen. Nie mogę jej wyrwać. — Ralph pokręcił głową i zapatrzył się w płomienie. — Jedyne nadzieje, że nasi zobaczą ogień i przyjdą sprawdzić, co się dzieje.

— Nie będą przecież wiedzieć, że ogień oznacza kłopoty. Może zawołajmy o pomoc?

Ralph rozejrzał się dość bezradnie i pokręcił głową.

— Wątpię, żeby to miało sens. Akustyka jest taka, że krzyki tylko mieszają się z innymi hałasami. Ale chętnie przyjmę każdy inny błyskotliwy pomysł.

Norman zagryzł dolną wargę i obszedł grobowiec, jakby wśród porozbijanych glinianych naczyń i ludzkich szczątków dało się znaleźć odpowiedź.

— Chyba mam błyskotliwy pomysł... — rzekł w końcu, podał pochodnię Ralphowi, po czym zaczął grzebać w torbie ze sprzętem fotograficznym. Wyjął flesz. — Oto i on!

— Co kombinujesz?

Fotograf zbył pytanie machnięciem ręki.

— Muszę się dostać do otworu okiennego. — Wskazał na wąską szparę w ceglach tuż pod sufitem. Była za mała, aby stwory się nią wcisnęły, ale idealnie się nadawała do realizacji pomysłu. — Potrzebuję pomocy. Jesteś silny?

Ralph zmarszczył czoło.

— Mógłbym podnieść czterech z takimi chudymi tyłkami jak twój.

— Jeden chudy tyłek wystarczy. — Norman postawił aparat na podłodze. — Podstaw kolano.

Ralph zgiął się wpół i pomógł Normanowi wspiąć się z kolana na bark.

— Teraz mnie podnieś — nakazał Norman, klęcząc na ramionach Ralpha i balansując z dłonią, opartą o jego głowę.

Z głębokim wydechem Ralph się wyprostował, pchając Normana w kierunku sufitu. Ustabilizował stopy i się zapał.

— Ale bez względu na to, co wymyśliłeś, pospiesz się... — syknął.

Fotograf podciągnął się na dolnym brzegu wykuszu okienka i wyjrzał na zewnątrz. Miał otwarty widok aż do złotej postaci w centrum nekropolii.

Idealnie.

— Pospiesz się! — powtórzył Ralph z dołu.

Norman poczuł, że traci równowagę, i musiał mocniej złapać się dolnej krawędzi wykuszu.

— Uspokój się, wielkoludzie!

— Rób, co masz robić! Nie jesteś taki lekki, na jakiego wyglądasz!

— Chcesz powiedzieć, że jestem gruby? — spytał Norman z udawaną urazą.

— Dość tych wygłupów! To wcale nie jest śmieszne.

— Krytyk się znalazł — mruknął Norman. Wyjął z kieszeni flesz, uniósł go wysoko i zaczął błyskać — trzy razy krótko, trzy razy dłużej, i znów trzy razy krótko. Odczekał chwilę i powtórzył sygnał.

Odbijające się od ścian okolicznych grobowców światło było oślepiające. Norman powtórzył sekwencję i wyłączył lampę. Musiało wystarczyć.

Ostatni raz popatrzył na figurę, która zdawała się stać na wyciągnięcie ręki, i zszedł na podłogę.

— Co tam robiłeś? — spytał Ralph, masując obolałe barki.

— Dzwoniłem pod dziewięćset jedenaście — odparł Norman, wsuwając flesz do torby. — Wysłałem staromodny SOS.

— Sprytnie.

— Dziękuję bardzo. — Norman, dumny z siebie, wyprostował się i zarzucił torbę na ramię. — Pod warunkiem że ktoś zauważył sygnał.

Nagle poczuł coś we włosach. Pochylił się i zaczął tłuc się po głowie. Trafił nadgarstkiem w coś twardego. Wrzasnął z przerażenia, odskoczył do tyłu i się odwrócił.

Stworowi udało się od zewnątrz sięgnąć przez okienko. W otworze szczyrzyła się pełna zębów mordą. Najwyraźniej sprytny pomysł Normana zadziałał i ściągnęli na siebie uwagę — tyle tylko, że nie tych, na których liczyli.

— Cholera...

Drapanie i szuranie od strony dachu grobowca robiło się coraz głośniejsze. Jakby na górze szalało sto kruków. W górnym rogu jeden z kamieni zazgrzytał i przesunął się o dwa centymetry.

Norman i Ralph równocześnie odwrócili się z przerażeniem w kierunku szpary między granitowymi blokami.

— Próbują się wdrzeć! — jęknął Ralph.

— Poradzą sobie z kamieniami?

— Jeśli będzie ich wystarczająco dużo, pewnie rozwałą budynek na kawałki.

Drapanie pazurów i zgrzyty kamienia o kamień odbijały się ponurym echem w wysokim, ciasnym pomieszczeniu.

Norman popatrzył w kierunku wyjścia. Blokowały je płomienie z palącej się mumii. Tkwili w pułapce, którą sami na siebie zastawili.

— Te moje sprytne pomysły...

. . .

Maggie jako pierwsza zauważyła błyski flesza.

— Tam! — wrzasnęła. — Boże, żyją!

Chwilę wcześniej dostrzegła w labiryncie grobowców czerwonawy blask, nie była jednak pewna, czy to oni. Teraz sprawa się wyjaśniła!

Podszedł Sam, który okrążał podstawę złotej postaci, czegoś szukając.

— Gdzie?

Jakby w odpowiedzi zamigotała kolejna seria błysków. Źródło światła nie było daleko — na końcu jednej z dróg rozchodzących się promieniście od centralnego placu.

— Chyba mają problemy — rzekł Sam.

— Dlaczego?

— To alfabet Morse'a. Nadają SOS.

— Co robimy?

— Spróbuję im pomóc. — Seria błysków z flesza zamigotała ponownie, po czym się urwała. — Obawiam się, że gdzieś utknęli.

— Idę z tobą — powiedział Denal, unosząc wyżej pochodnię.

— Ja na pewno nie zostanę tu sama — oświadczyła Maggie. — Chodźmy.

Zamierzała ruszyć ulicą, która zdawała się prowadzić prosto do uwięzionych kolegów, powstrzymała ją jednak dłoń Sama.

— Wy zostajecie tutaj.

Dziewczyna energicznie strząsnęła jego dłoń.

— Żebyś się nie zdziwił! Nie będę słuchać twoich szowinistycznych męskich pomysłów!

— Wcale cię o to nie proszę. Jeśli uwolnimy tamtą dwójkę, będziemy biegli jak przerażone króliki ze sforą wilków na karku i przyda nam się

dziura, do której będziemy mogli się schować. — Sam cofnął się do złotej figury, uniósł karabin i postukał kolbą w piętę inkaskiego króla. Rozległo się głucho echo.

— Jest pusty w środku... — powiedziała ze zdumieniem Maggie.

— I świetnie można się w nim schować. Z tyłu ma drzwiczki. W lewej pięcie. — Sam sięgnął za pasek, wyciągnął złoty sztylet i podał go Maggie. — Chcę, żebyś przed naszym powrotem otworzyła zamek.

Wzięła sztylet.

— Tata był w młodości złodziejem... miejmy nadzieję, że te predyspozycje się dziedziczy.

— Zawsze podejrzewałem, że masz w sobie coś z przestępcy. — Sam uśmiechnął się.

— Otworzę wam te cholerne drzwi. Tylko ich sprowadź. — Wyciągnęła ku niemu pochodnię. — Bądź ostrożny.

Kiedy Sam podszedł bliżej, aby odebrać pochodnię, Maggie dostrzegła determinację w jego błękitnych oczach. Gdy przejmował od niej płonąca kończynę, nieco dłużej przytrzymał jej dłoń.

— Ty też — powiedział lekko schrypniętym głosem. Wahał się chwilę, jakby chciał coś dodać.

Maggie uniosła ku niemu wzrok. Przez chwilę sądziła, że Sam zamierza ją pocałować, cofnął się jednak.

— Chyba powinienem już iść.

Skinęła głową. Gdzieś w głębi, w miejscu, które rzadko się odzywało, poczuła rozczarowanie i aby nie zdradzić swoich uczuć, odwróciła się.

— Tylko nie rób żadnych głupstw! — zawołała.

— Nie widzę więcej błysków — odezwał się Denal. — Przestali.

Sam odwrócił się i... wątpiła, jaka zaczynała łączyć go z Maggie, zerwała się. Kolejny raz rozejrzał się po nekropolii.

— To nie może być dobry znak — powiedział cicho.

— Pospiesz się, Sam!

Skinął głową i skierował w górę lufę karabinu.

— Zasłońcie uszy.

Choć mocno przycisnęli dłonie do uszu, wystrzał ich ogłuszył. Kiedy dudniące echo ucichło, Sam opuścił broń.

— Mam nadzieję, że Ralph i Norman zrozumieli sygnał nadejścia kawalerii.

Obawiam się, że stwory zrozumieją to podobnie, pomyślała ponuro Maggie, kiedy Sam ruszył.

. . .

— To musiał być Sam! — zawołał Ralph. — Na pewno odebrał twój sygnał!

Norman kątem oka obserwował szparę między kamieniami. Kiedy echo wystrzału ucichło, blade paluchy znowu zaczęły ciągnąć i pchać bloki granitu, poszerzając wyłom o kolejne dwa centymetry. Norman dźgał płonąca pochodnią w kierunku mord, niewiele to jednak dawało. Sufit był za wysoko. Stwory się cofały, ale natychmiast wracały.

— Sam nie dotrze na czas... — mruknął Norman — ...jeśli nie wymyślimy jakiegoś sposobu, żeby pogonić te szczury.

— Chyba mam pomysł...

Norman przyglądał się swojemu towarzyszowi, który zdjął strzelbę z ramienia.

— Z zakleszczonym nabojem nie przyda się na wiele — stwierdził Ralph i ruszył w kierunku wyjścia. W pasie na naboje tkwiło mniej więcej dwadzieścia pocisków.

Norman zaczął się domyślać, na czym polega plan Ralpha.

— Może zadziała...

— Może nawet pozwoli nam się przebić — odparł Ralph, wrzucając pas w płomienie.

Minęło kilka sekund, nim naboje zaczęły skwierczeć i strzelać niczym popcorn na patelni. Rykoszetowały z wizgiem od pobliskich ścian. Płonąca mumia rozpadła się na strzępy, które wylądowały na okolicznych kamieniach.

Zebrane na górze bestie rozpierzchły się przed eksplozjami płonących szczątków. Norman podszedł do ściany, którą przed chwilą atakowały stwory, by upewnić się, że uciekły. Uniósł pochodnię w kierunku szpary pod sufitem. Niczego za nią nie było widać. Zniknęły gapiące się ślepia, nie było drapania pazurów. Uśmiechnął się.

— Zadziałało... — zaczął.

— Cofnij się! — wrzasnął Ralph.

Nogę Normana nagle przeszył ogień. Wypuścił z dłoni pochodnię i osunął się na podłogę. Kiedy piekielny ból przeniknął całe jego ciało, otworzył usta w niemym krzyku, po czym zaczął wrzeszczeć jak opętany.

— Jasssssnaaaaa cholera!

Ralph natychmiast znalazł się przy nim i zaciągnął go z powrotem pod zacienioną ścianę.

— Do diabła, Norm, co ty wyprawiasz?!

Norman nie był w nastroju do dyskusji o swoich błędach. Zaciskając zęby z bólu, patrzył na prawą nogę. Na wysokości kolana przez spodnie przesączała się krew. Powoli zaczynało mu wirować przed oczami.

— Dostałeś rykoszetem — wyjaśnił Ralph i zaczął zdejmować koszulę.
— Dlaczego wyszedłeś z za osłony?

Norman stęknął i pomachał ręką w kierunku dziury między kamiennymi blokami.

— Chciałem się upewnić... a niech to cholera... nie pomyślałem. — Kiedy Ralph zaczął delikatnie badać ranę, Norman się skrzywił. — Jak byłem dzieciakiem, nie wrzucaliśmy do ogniska naboju, ale po wojsku powinienem być bardziej przewidujący.

— Chyba nie trafił w tętnicę. Krew nie tryska, ale kolano masz nieźle rozwalone. Będę musiał cię ciasno obandażować, żeby je usztywnić i powstrzymać krwawienie. — Ralph zaczął drzeć koszulę na pasy. — To będzie bolało.

— Więc nic nie rób — odparł Norman z grymasem.

Ralph zmarszczył brwi.

Norman westchnął i machnął ręką.

— No dobra, bierz się do roboty!

Kiedy Ralph chwycił zranioną nogę i ją uniósł, Norman miał wrażenie, że kolano eksploduje mu bólem, jakby ktoś odpalił wewnątrz łaskę dynamitu. Znacznie gorszy był jednak chrzęst kości. Jęknął, próbując powstrzymać łzy.

— Wiesz przynajmniej, co robisz? — spytał.

Ralph opatrywał dalej, ignorując cierpienie rannego. Kilka razy owinał nogę pasami flaneli od uda do połowy łydki.

— Na Uniwersytecie Alabamy futboliści ciągle rozwalali sobie kolana. Wiem przynajmniej, jak zrobić szybki opatrunek usztywniający. — Zakończył pracę węzłem.

Norman zwinął pięści i lekko się skulił. Miał wrażenie, jakby wielka łapa zacisnęła mu pazury na kolanie. Po chwili było po wszystkim.

— Powinno cię to uchronić od śmierci — rzekł Ralph.

Norman wytarł łzy z oczu. Ból nieco przeszedł.

— Znakomite podejście do pacjenta, doktorze.

Ralph chwilę mu się przyglądał, ze zmartwieniem marszcząc czoło. W końcu odwrócił wzrok ku wejściu do grobowca. Panowała za nim cisza. Pociski przestały eksplodować w ogniu.

— A teraz złe wieści — powiedział. — Musimy się stąd wydostać. Mój numer nie powstrzyma stworów na długo.

Norman też popatrzył w kierunku wyjścia. Zaraz za progiem dymiły szczątki mumii, dopalały się tu i ówdzie na podłodze, wyjście było jednak wolne. Skinął głową i uniósł rękę.

— Pomóż mi wstać.

Ralph wstał, sięgnął po niego silnym ramieniem i pociągnął w górę.

Choć Norman starał się nie obciążać zranionej nogi, nie było mu łatwo wstać. Kiedy mu się udało, ostrożnie oparł się na pięcie, badając, ile wytrzyma. Noga zapulsowała bólem, ale opatrunek dobrze unieruchomił kolano. Pokuśtykał kilka kroków, ciężko opierając się na szerokim ramieniu Ralpa.

— Poradzisz sobie?

Norman podniósł wzrok. Niewielki wysięk sprawił, że czoło miał zlane potem. Ciągłe pulsowanie w nodze doprowadzało go do mdłości. Uśmiechnął się kwaśno do Ralpa.

— A mam wybór?

Nad ich głowami coś zadygotało. O skałę znów drapnęły pazury. Brzmiało to, jakby któryś ze stworów schował się na dachu i teraz próbował zwać. Norman i Ralph zamarli, wsłuchiwali się i czekali, aż zwierzę sobie pójdzie. Milczeli przez dziesięć sekund.

Nie warto było czekać dłużej. Gdzie była jedna bestia, zaraz mogły pojawić się kolejne.

— Spadajmy stąd — stwierdził Norman.

Ralph podniósł pochodnię. Pomachał nią, by się rozpałała, po czym podszedł do Normana.

— Złap mnie za ramię. Oprzyj się o mnie.

Norman nie protestował, choć chwilę się wahał.

— Jeśli wpadniemy w tarapaty... — powiedział poważnym tonem. — Zostaw mnie.

Ralph nie odpowiedział.

Norman ścisnął jego bark.

— Słyszałeś?

— Nie zamierzam słuchać głupot. — Ralph uniósł dłoń na wysokość twarzy swojego towarzysza.

— Nie rób mi tu za Oprah. Nie będę gadał do ręki. — Pchnął Ralpa w kierunku wyjścia. Gadał, aby odwrócić uwagę od bólu. — Nie powiedziałem, że masz mnie rzucić jako przynętę stworom na pożarcie i prysnąć, tylko że masz być... praktyczny. Jak wpadniemy w tarapaty, zostaw mnie w jakimś grobowcu i spadaj. Użyj swoich nóg futbolisty.

— Będziemy się martwić, jak przyjdzie co do czego — mruknął Ralph pod nosem, pomagając mu przecisnąć się przez niskie drzwi.

Na zewnątrz Norman się wyprostował i ostrożnie ruszyli przed siebie. Uliczka była zasłana płonącymi strzępami całunu. Wyglądem przypominała strefę wojny.

— Nie spodziewałem się takiego przedstawienia.

— Przynajmniej przegoniliśmy te bestie.

Norman rozejrzał się na boki. Stworów nie było widać.

— Dzięki Bogu.

Na razie byli bezpieczni.

— Chodźmy — rzucił Ralph. — Wyośmy się stąd.

— Co każesz, szefie.

Ruszyli wolno, ale równym tempem. Płonące szczątki mumii wkrótce pozostawili za sobą i drogę oświetlała im jedynie pochodnia. Norman wyjął flesz i trzymał go w gotowości, by w razie potrzeby wystraszyć nachalnego stwora. Co minuta błyskał, aby wskazać Samowi i pozostałym, gdzie są.

Oczywiście błyski flesza zdradzały ich pozycję także bestiom, było to jednak wkalkulowane ryzyko. Potrzebowali pomocy, więc musieli dawać znaki.

— Czuję się jak robaczek świętojański — odezwał się Norman, kiedy puścił kolejną serię błysków w kierunku sklepienia.

Ralph zmarszczył czoło, nakazując ciszę. I tak łatwo było ich namierzyć.

Na tę niemą naganę Norman skrzywił się, ale nic nie powiedział. Czuł, że Ralph robi się coraz bardziej nerwowy — przystawał i patrzył za siebie, jakby podejrzewał, że są śledzeni.

Norman nic nie słyszał, ale w głowie bez przerwy mu dudniło. Jedno wiedział na pewno: jeśli te stwory ich tropiły, to nie z powodu kilku wyszeptanych słów. Przyjrzał się swojej nodze. Spomiędzy fałd opatrunku powoli sączyła się krew. Domyślał się, że z powodu braku światła inne zmysły tych istot, poza wzrokiem, są bardzo wyostrzone. Jestem uciekającym posiłkiem, skonstatował ponuro.

W milczeniu posuwali się dalej, ku złotej figurze. Bestie nie atakowały, ale zrobiło się dziwnie cicho. Tylko czasami w dalekich otchłaniach rozlegało się wycie. Ramię Ralpa coraz bardziej drętwiało.

W końcu Norman zwolnił. Miał wrażenie, że czaszka mu zmaląła, na dodatek zaczynały mu się plątać nogi.

— Potrzebuję przerwy... — wyszeptał.

— Już?

Norman puścił ramię Ralpa i pokuśtykał w kierunku najbliższego grobowca.

— Tylko chwilę.

Ralph skrzywił się i poszedł za nim. Frustrację na jego twarzy zastąpił niepokój.

— Wyglądasz do dupy, Norman.

— To się dobrze składa, bo właśnie tak się czuję. — Norman osunął się po chłodnej ścianie i klapnął na tyłku.

Ralph przykucnął obok, cały czas się rozglądając.

— Nie może już być daleko.

Norman zagryzł dolną wargę, po czym wypowiedział słowa, które powstrzymywał przez kilka ostatnich minut.

— Musisz iść dalej sam.

Ralph pokręcił głową, lecz fotograf zauważył, że przez chwilę się wahał.

— Nie mogę cię tu zostawić.

— Możesz — odparł Norman z fałszywym optymizmem. — Wpełzną do grobowca, przytulę się do lokatorów i zaczekam, aż sprowadzisz Teksańczyka z wielkim karabinem.

— Może... — Ralph powoli wstał. Zrobił krok, po czym się odwrócił. — Chrzanię to! Nie zostawiłeś mnie przy rzece, więc i ja nie zostawię cię tutaj! — Wyciągnął w kierunku Normana pochodnię. — Bierz!

— Co chcesz...? — zaczął Norman, biorąc pochodnię.

Ralph schylił się i ignorując protesty, złapał go pod pachy.

— Jeśli będzie trzeba, to cię stąd wyniosę!

Norman chwilę się bronił, w końcu jednak ustąpił.

— Postaw mnie... jak jesteś taki zdeterminowany, może jeszcze trochę wytrzymam.

Ralph postawił go na ziemi i przysunął głowę tuż do jego ucha.

— Nie chcę więcej słyszeć o żadnym zostawianiu cię... — syknął.

Norman wyszczerzył zęby z ulgą, że Ralph nie przystał na jego propozycję.

— A myślałem, że już cię nie obchodzę.

Ralph groźnie zmarszczył brwi.

— Lepiej ruszaj dupsko...

Norman pokuśtykał krok do przodu, podtrzymywany przez niego.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz i do figury jest blisko.

Z bólem zrobił kolejny krok, Ralph jakby się zawahał. Trzymał go za ramię, ale nie ruszył za nim.

Dłoń Ralpa zacisnęła się w krótkim spazmie, po czym rozluźniła.

— Co jest?

Wiotka ręka Ralpa opadła z ramienia Normana. Z niewiarą w oczach pomacał swój masywny kark. Spomiędzy palców popłynęła krew. Drugą rękę wyciągnął do przodu.

— Uuu... uciekaj... — powiedział błagalnie.

Norman stał jak skamieniały. Znieruchomiał, zahipnotyzowany widokiem długiej, zaostrej jak dzida kości wystającej z szyi Ralpa, który osunął się na kolana.

— Do jasssnej... cholery! Uciekaj!

Zza pleców Ralpa wyszedł wysoki blady stwór na patykowatych nogach. Uniósł drugi kościany oszczep, wbił spojrzenie czarnych oczu w Normana i rzucił się na niego, przeskakując wysoko nad Ralphem.

Norman zatoczył się do tyłu, ale był za wolny. Bestia mknęła ku niemu z uniesionym oszczepem.

Skulił się i czekał na uderzenie.

Ralph nagle wściekle wrzasnął i rzucił się do przodu. Złapał przelatującego nad nim stwora za kostkę jak rasowy obrońca, próbujący przechwycić wypuszczoną piłkę. Odciągnął zaskoczona bestię, zamachnął się i huknął nią o najbliższą ścianę.

Czaszka stwora pękła jak skorupka jajka.

Zwierzę runęło, kończyny miało powykręcane. Za chwilę to samo stało się z Ralphem. Huknął o kamienie, nie amortyzując upadku.

Norman podbiegł i przyklęknął obok niego.

— Nie ruszaj się! Sprowadzę pomoc! Sam nie może być daleko. — Delikatnie odwrócił głowę przyjaciela.

Zobaczył puste, szkliste oczy.

Odruchowo cofnął rękę. Ralph nie żył. Norman odpełził do tyłu, łyzy rozmazały mu obraz przed oczami.

Jaskinia wokół zatrzęsała się od wycia i bełkotliwych wrzasków. Zbliżali się kolejni tropiciele. Wyczuli świeżą krew i dziki głód wskazywał im kierunek.

Norman przycisnął czoło do chłodnej skały i wziął kilka głębokich oddechów. Był zbyt zmęczony, aby biec, ale z trudem wstał. Nie mógł pozwolić, aby poświęcenie Ralpha poszło na marne. Popatrzył na jego ciało i wyprostował się, unosząc pochodnię.

Odwrócił się na zdrowej nodze i rozejrzał. Trzy metry dalej przykucnął kolejny potwór: krępy, z grubymi ramionami i zgarbionymi plecami. Zawarczał groźnie.

Norman z wściekłością zmrużył oczy. Uniósł wyżej pochodnię.

— Pieprz się! — wrzasnął, zaciskając pięści i dygocząc ze złości. Włożył w krzyk całą nienawiść i żal, pozwalając łzom popłynąć po policzkach.

Ślepią stwora otwarły się szeroko jak u przestraszonego jelenia — zaskoczyła go niezwykła reakcja rannej ofiary. Wytrącony z równowagi, odpełził kilka kroków, po czym odszedł boczną uliczką.

Kiedy ucichł wrzask, Norman wydał z siebie zduszone chlipnięcie. Wytarł dłonią twarz, poprawił okulary na nosie i pokuśtykał przed siebie.

— Lepiej nie wchodźcie mi w drogę! Nie jestem, kurwa, w nastroju!

. . .

Maggie klęczała przy drzwiczkach w pięcie złotej postaci — wysokiej i wąskiej wstawce ze srebra, o szerokości mniej więcej pół metra i wysokości dwóch metrów. Nie było przy niej najmniejszej szpary ani występu. Maggie dziwiła się, że Sam w ogóle je zauważył.

Denal świecił latarką, ona kolejny raz próbowała wsunąć czubek złotego sztyletu w wąski otwór pośrodku drzwi. To musiała być dziurka od

kluca, ale na razie mimo jej starań zapadka nie chciała odskoczyć.

— Miss Maggie... — powiedział cicho stojący za jej plecami chłopiec. Żeby nie ściągać na siebie uwagi bestii, rzadko się odzywali, a jeśli, to tylko szeptem. — Mister Sam odszedł już dawno.

Maggie spróbowała wyobrazić sobie Sama skradającego się samotnie po nekropolii i z wściekłości walnęła pięścią w oporny metal.

— Wiem, Denal. — Poza dziką kanonadą wystrzałów, jakby z astmatycznego karabinu maszynowego, i pojedynczym głośnym wrzaskiem nie było innych sygnałów życia, które nie pochodziłyby od stworów.

Chłopak wymamrotał przeprosiny.

Maggie westchnęła, odchyliła się do tyłu i położyła sobie sztylet na kolanach.

— Nie chciałam na ciebie naskakiwać, Denal. To ja przepraszam. To dlatego, że nie... nie mogę otworzyć tego cholerstwa, a liczą na mnie. — Najchętniej by się rozpłakała.

Denal położył dłoń na jej ramieniu.

Nawet ten skromny gest ukoił jej nerwy. Wzięła głęboki wdech. Popatrzyła na chłopca i poklepała go po dłoni.

— Dzięki. — Przez chwilę patrzyła w jego przerażone oczy, po czym wróciła do zamka w drzwiach. — Denal... przepraszam, że wciągnęłam cię w to całe zamieszanie.

— Nie trzeba. Sam szpiegowałem Gila. Chciałem pomóc. Mama, zanim umarła, mówiła, że mam pomagać innym. Bądź odważny, Denal, mówiła mi.

— Musiała być wspaniałą kobietą.

— Była — odparł, pociągając nosem.

No cóż, nie powinnam pozwolić, by syn tej wspaniałej kobiety marnie tu zginął, pomyślała Maggie.

Uniosła sztylet do światła i trzydziestocentymetrowe ostrze błysnęło. Pomyślała o sztuczce, za pomocą której Sam zmienił kształt sztyletu. Przechyliła nóż i przyjrzała się rzeźbionemu jelcowi, ukazującemu zaopatrzonego w pazury boga Huamancantaca. Przesunęła palcem po rękojęści, nie znalazła jednak żadnego występu, przycisku ani dźwigni.

— Jak to zrobiłeś, Sam?

Popatrzyła na drzwi, potem w górę postumentu. Musiała się zastanowić. Dlaczego drzwi znajdowały się na pięcie? Przyszła jej do głowy opowieść o pięcie Achillesa — jedynym słabym punkcie niezwycięzonego wojownika. Inkowie i plemiona peruwiańskie nie miały jednak podobnej legendy...

Zbieżność wydawała się nieprzypadkowa. Czyżby wspólny wątek? Wiele mitów i legend przenika z kultury do kultury i z kontynentu na kontynent... Fakt, że nie słyszała o takim inkaskim micie, nie znaczy, że nie istniał, zwłaszcza że Inkowie nie mieli języka pisanego i duża część ich dziedzictwa przepadła. Czemu więc nie miałyby istnieć inkaski odpowiednik legendy o Achillesie?

Uniosła sztylet i spróbowała przypomnieć sobie szczegóły greckiego mitu. Potężnego Achillesa uśmiercił strzał w piętę. Chronionego przez magię wojownika nie pokonał sztylet, lecz strzała. Maggie pokręciła głową — ten ciąg myślowy był bez sensu.

Gdybyś tylko był strzałą, pomyślała o sztylenie.

Nagle rękojeść stała się zimna, złote ostrze zaczęło się wyciągać i robić coraz cieńsze, a czubek zamienił się w grot strzały.

— Boże! — wykrzyknęła Maggie, skacząc na nogi. Odwróciła się do Denala, pokazując przemieniony sztylet. — Patrz!

Chłopiec patrzył jednak na coś innego. Cofnął się w kierunku Maggie, unosząc rękę.

— Miss Maggie...

Podążyła wzrokiem za jego palcem. Na skraju cienia, tuż przy grobowcach, kuliły się monstrualne blade postacie. Zbliżyły się w kompletnej ciszy, nie wydały z siebie nawet jęku. Niektóre patrzyły na gigantyczny złoty posąg, ale nie wszystkie. Wiele wygłodniałych oczu gapiło się prosto na Maggie i Denala.

Stwory jakby uświadomiły sobie, że zostały zauważone, i zaczęły pełznąć przez plac. Poruszały się cicho jak cienie. Było ich przynajmniej dwadzieścia.

Maggie pociągnęła chłopca i ukryli się pomiędzy piętami inkaskiego króla. Było oczywiste, że latarka i dogorywająca pochodnia Denala nie powstrzymają stworów przed atakiem. Potrzebowali pomocy. Zaryzykowała i wyszła na otwartą przestrzeń.

— Sam! Pomocy! — wrzasnęła ile tchu. Zachowanie ciszy nie miało celu. Krzyk odbił się w jaskini głośnym echem.

Dwa stwory, zirytowane wrzaskiem, ruszyły ku Maggie. Należały do kasty żołnierzy: miały mocne nogi, wąskie jak szparki ślepia, zęby na wierzchu. Przypominały bezwłose niedźwiedzie atakujące z szeroko rozwartymi paszczami.

Maggie machnęła jedyną bronią, jaką miała: sztyletem, który zamienił się w strzałę. Gdyby udało jej się zabić któregoś stwora...

Najbliższa bestia wyprostowała się, gotowa na nią skoczyć, ale szybko rzuciła okiem na jej broń. Zawyla jak śmiertelnie trafiona, rzuciła się do tyłu i wpadła na drugą. Stwory splątały się i wycofały, wytrzeszczając przerażone oczy i drapiąc się nawzajem pazurami. Jęcząc, uciekły do czekających dalej pobratymców.

Maggie wyszła krok dalej na otwartą przestrzeń. Uniosła broń i przez grupę bestii przetoczyła się fala pisków. Niczym ławica przelęknionych ryb zawróciły i uciekły.

Dziewczyna opuściła przemieniony sztylet i przyjrzała mu się, mrużąc oczy. Co się stało? Przesunęła dłonią po trzonie strzały. Popatrzyła na zamknięte drzwi. Bardziej na podstawie reakcji bestii niż własnych przemyśleń doszła do wniosku, że ma w ręku klucz do figury inkaskiego króla. Stwory najwyraźniej przstraszyły się zamienionego w strzałę sztyletu, ale dlaczego? Pamiętały coś przerażającego z czasów Inków, którzy przychodzili tu ze sztyletem? Jeśli tak, to jakim cudem? Przecież minęło przynajmniej pięć wieków. Chodziło o kolektywną pamięć, genetycznie przekazywany instynkt?

Zdecydowana przetestować swoją teorię, Maggie podeszła do drzwiczek. Przykucnęła i włożyła ostrze strzały w wąski otwór. Jeśli okaże się kluczem, to znaczy, że istnieją wspólne mity greckie i inkaskie. Już to byłoby godne doktoratu. Wstrzymując oddech, do końca wsunęła strzałę w otwór.

Rozległo się ciche metaliczne trzaśnięcie i drzwiczki się otworzyły.

Za nimi była ciemna pusta przestrzeń.

Maggie popatrzyła na swoje narzędzie — po otwarciu drzwiczek sztylet powrócił do poprzedniej postaci i światło odbiło się w długim ostrzu. Pamiętając o pułapkach w komorze wejściowej, machnęła na Denala. Był tylko jeden sposób, aby zdecydować, co dalej.

— Przynieś latarkę.

Kiedy zaświeciła do środka, ujrzała pozbawioną ozdób komorę z podłogą wyłożoną złotem. Miejsca było dość dla wszystkich członków ich grupy. Wsunęła głowę do wnętrza i skierowała latarkę w górę. Komora nie miała sufitu — promień pomknął w puste wnętrze złotej figury i zagubił się w nieskończoności.

Maggie wysunęła się na zewnątrz i oświetliła latarką wierzchołek figury. Uniesione ręce króla podtrzymywały sklepienie jaskini. Miejsce nie było szczególnie dyskretną kryjówką.

Odwróciła się ponownie w kierunku nekropolii. Gdzie podziewali się pozostali?

. . .

Na dźwięk krzyku Maggie o pomoc Sam zamarł. Przez pół godziny nie znalazł śladu Normana i Ralpa. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, było głośnie: „pieprz się!”, potem ulice ogarnęła cisza.

Gdzie się podziewacie, chłopaki?

Musiał pogodzić się z myślą, że obaj zginęli. Przeprził ich w duchu, jeśli się mylił, zawrócił i ruszył w stronę złotej figury. Nie szukając zaginionych kolegów, mógł poruszać się szybciej. Pamiętał dobrze drogę — gdzie skręcać i jakich ślepych zaułków unikać.

Dotarł do ostatniej ulicy — prostego fragmentu drogi prowadzącego do centralnego placu. Widać było stąd nawet blask pochodni Maggie, oświetlający podstawę figury. Nasunął stetsona głębiej na czoło i ruszył przed siebie.

Ledwie zrobił kilka kroków, usłyszał krzyk bólu, który dobiegł z prawej. Sam szybko się odwrócił i uniósł karabin. W głębi krótkiej przecznicy pod ścianą sunęła skulona postać. Kontur był zbyt ciemny, aby była to jedna z miejscowych bestii.

Sam uniósł wyżej pochodnię i został oślepiiony.

— Spadaj, zasrańcu! — wrzasnęła postać.

Sam zamrugał i opuścił winchestera.

— Norman?

— Sam? — rozległ cichy, nieagresywny głos. Fotograf opuścił latarkę.

Sam radośnie krzyknął i podbiegł do niego. Kiedy zobaczył, że jest ranny, dobry nastrój szybko mu przeszedł.

— Gdzie Ralph?

Norman wsadził flesz do kieszeni i pokręcił głową.

— Co z Maggie i Denalem? — spytał.

— Są przy figurze. — Strata Ralpa była jak ołowiany ciężar, który wrzucono mu do płuc, nie było jednak czasu na żalobę. Sam wyprostował się i sięgnął w kierunku Normana, aby mu pomóc. — Musimy się pospieszyć. Mogą mieć kłopoty.

Norman odepchnął jego rękę i cofnął się o krok.

— Nie chcę, by ktoś jeszcze zginął.

— Daj spokój, to tylko noga. — Sam podszedł do niego i niemal siłą wziął go pod ramię. — Jesteś dobry w biegu na trzech nogach?

Norman otworzył usta, by zaprotestować, tymczasem z głębi uliczki za jego plecami doleciał przerażający ryk. Popatrzyli obaj w tamtym kierunku i Norman wsparł się na Samie.

— Sprawdźmy.

Sam musiał niemal nieść rannego fotografa, mowy jednak nie było, żeby go zostawił. Wrócili na główną ulicę i choć kuśtykali i podskakiwali, utrzymywali niezłe tempo. Wycie wokół narastało. Głosy stworów przemieszczały się równoległe z nimi.

— To moja... noga... — wydyszał Norman Samowi do ucha. — Krew je ściga. Jeśli mnie zostawisz, może...

— Przykro mi, ale w trakcie tego lotu posiłki nie są przewidziane — odparł Sam, mocniej przyciągając Normana, by wybić mu z głowy pomysł o poświęcaniu się dla innych.

Sunęli wśród coraz głośniejszych wrzasków drapieźników. Złota postać powoli rosła w ich oczach.

— Nie uda nam się — stęknął Norman, wskazując brodą skaczące za nimi po dachach blade postacie. Przemieszczały się z niesamowitą prędkością. Jedna zatrzymała się na chwilę i wydała z siebie bojowy okrzyk.

— Zwiadowcy. Zobaczyli nas i wzywają posiłki — powiedział Sam, odwrócił się i wystrzelił za siebie. Niestety nie trafił. Pocisk odbił się od ściany i zrykoszetował w ciemność. Poza zasięgiem światła coś krótko zawyło.

— Naprawdę trzeba uważać na te cholerne rykoszety... — rzekł Norman.

Sam zarzucił karabin na ramię i pociągnął fotografa. W winchesterze został jeden nabój — gdyby chciał dalej strzelać, musiałby się zatrzymać, żeby załadować magazynek, a tego by nie przeżyli

— Sam! Szybciej! — doleciał do nich głos z głębi ulicy. — Znalazłam wejście do figury!

W odległości kilkudziesięciu metrów widać było drobną postać Maggie, otoczoną poświatą pochodni.

— Więc włączcie do środka! — odkrzyknął Sam. — Szybko!

— To wy ruszajcie tyłki! O mnie się nie martw!

Norman spojrział za siebie, ku kłębowisku siedzących im na ogonie bestii.

— Osobiście bardziej martwiłbym się nimi — powiedział gorzko.

Z ogniem w płucach i dygoczącymi nogami, Sam zmusił się do większego wysiłku. Byli już tak blisko Maggie, że zauważyli, jak szeroko otworzyła oczy na widok ścigającego ich stada.

— Jasna cholera... — jęknęła i ruszyła w kierunku uciekinierów. — Szybciej!

— Cofnij się! — odparł Sam.

Maggie zignorowała polecenie, wybiegła naprzeciwko. Denal podążył za nią jak przyklejony. Kiedy się zbliżyli, Maggie uniosła sztylet nad głowę i głośno gwizdnęła, niczym zwołujący psy owczarz.

Co ona wyprawia?

Sam nerwowo spojrział za siebie. Fala bladych stworów zeskakiwała z dachów na ulicę, niemal prosto na jego plecy. Pchnął Normana naprzód i odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z atakującymi, mając do dyspozycji jeden nabój w karabinie.

W tym samym momencie Maggie była przy nim.

— Nie! — krzyknęła i pchnęła lufę winchestera w dół. Wyszła krok naprzód i pomachała długim sztyletem.

— Maggie! — wrzasnął Sam, ale ku jego zaskoczeniu bestie gwałtownie się zatrzymały, drapiąc skałę. Nawet idący po dachach zwiadowcy usunęli się w cień. Najbardziej widoczne stwory, te na ulicy, skuliły się i zaczęły powoli wycofywać.

Maggie dała znak do odwrotu.

— Nie wiem, jak długo strach będzie wygrywał z głodem — powiedziała. — Gdzie Ralph?

— Nie żyje — cicho odparł Norman.

— Boże, nie... — jęknęła Maggie, ale po chwili pogroziła sztyletem, żeby chronić siebie i swoich towarzyszy.

Sam trzymał się tuż obok. Patrzył to na sztylet, to na stłoczone stwory.

— Czemu się tego boją?

— Pojęcia nie mam. Ale nie bardzo mnie to obchodzi. Grunt, że działa.

Sam był podobnego zdania, chociaż jego umysł nie przestawał analizować przedziwnej reakcji stworów. Powrócił do niego pomysł, że może to być jakaś zdeformowana genetycznie przez chów wsobny linia małą lub prehistorycznego człowieka, jaskiniowych istot, które Inkowie odkryli pod ziemią i czcili jako *mallaqui*, duchy podziemnego świata. Dlaczego jednak bały się starego inkaskiego sztyletu?

Zmarszczył czoło, czując, że daleko im do rozwiązania tutejszych zagadek, jak jednak powiedziała Maggie — najważniejsze dla naukowca badającego coś dziwnego to przeżyć.

Po obu stronach skończyły się grobowce. Byli na centralnym placu.

— Tędy! — powiedziała Maggie i odwróciła się plecami do gromady bestii. Szybko zaprowadziła przyjaciół do tajnych drzwi. Sam z ulgą stwierdził, że są otwarte.

— Jak ci się udało?

Maggie oddała mu sztylet.

— Wygląda na to, że to jest klucz uniwersalny. Dopasował się do zamka sam.

— Żartujesz? — Obrócił sztyletem na wszystkie strony, uważnie mu się przyglądając. — Jak to zrobiłaś?

— Hm... — Maggie zmarszczyła czoło. — Tak naprawdę to nie wiem.

Dysząc i sapiąc, podszedł Norman, wspierający się na Denalu.

— Mamy towarzystwo... — wydyszał, wskazując za siebie.

Rozlegały się basowe pomruki. Białe stwory znowu zaczęły wypełzać z cienistych kryjówek na centralny plac, a oni, popędzani przez Sama, zaczęli się gramolić do otworu w pięcie.

— Wygląda na to, że głód zwycięża.

Maggie wślizgnęła się do środka.

— Szybciej, Sam! Pomóż mi z drzwiczkami!

Nie odwracając wzroku od zbliżającego się stada, Sam wsunął się tyłem w wąski otwór, ale zrobił to tak nieszczęśliwie, że pasek karabinu zahaczył

o zawias. Zaczął szarpać, ale jeszcze bardziej się zakleszczył.

— Jasna cholera!

Wyczuwając strach ściganej zwierzyny, jeden ze stworów skoczył do przodu, warcząc i prychnając, szczerząc zęby i wysuwając pazury. Żołnierz. Syknął, opryskując Sama pianą z pyska, i machnął na niego łapą z ostrymi jak brzytwa pazurami.

Sam cofnął się i sparował cios sztyletem. Nóż trafił w nagie ciało, ale skutek był nie większy, niż gdyby wbić scyzoryk w szarżującego bawołu. Stwór wyprostował się i ryknął z wściekłością. Krew opryskała Sama, który nie przestawał mocować się z paskiem karabinu.

— Zostaw go! — krzyknęła Maggie.

— To nasza jedyna broń! — Trzymając dłoń na winchesterze, Sam zasłaniał się sztyletem. Zza pierwszego stwora wychodziły następne, rycząc jak w amoku. Poczuly krew.

Sam spotkał się wzrokiem z górującą nad nim bestią. Dostrzegął w czarnych ślepiach mroczną inteligencję. Zwierz uniósł skaleczone ramię, z którego na blade ciało kapała czerwona krew. Wycharczał basową groźbę. Sam napiął się, oczekując na uderzenie.

Nie nastąpiło, stwór bowiem odskoczył do tyłu jak pociągnięta za niewidzialny sznurek marionetka. Uniesione ramię poczerniało — zaczynając od dłoni, szybko w dół, ku barkowi, jakby rozplýwała się w nim trucizna. Z kończyny wydobył się dym. Stwór zawył z bólu i poleciał do tyłu, wpadając na pobratymców. Ramię zwęgliło się i popiół opadł, ale ciało nadal paliło się od wewnątrz. Stwór turlał się po kamiennym podłożu. W ciągu kilku sekund blady tors i pozostałe kończyny nabrały barwy granitu. Dym spowił postać, w pęknięciach skóry pojawiły się małe płomyczki.

Sam wiedział, co obserwuje. Niezwykle rzadkie zjawisko było dokumentowane, ale nikt nigdy nie był jego świadkiem. Naukowo nazywano je spontanicznym spalaniem.

Sam cofnął się, zapominając o karabinie. Broń spadła z metalicznym terkotem. Zostawił ją — wystarczyło, że machał sztyletem.

Stwory odsunęły się od zwęglonego pobratymcy. Wielka bestia leżała bez ruchu niczym rzeźba z popiołu.

Maggie kucnęła, złapała kolbę winchestera i wciągnęła go do komory.

— Pomóż mi z drzwiami!

Sam tępo skinął głową. Popatrzył na sztylet i powoli wsunął go sobie za pasek. Pomógł Maggie zamknąć ciężkie drzwi. Zatrzasnęły się i zamek zaskoczył.

— Powinniśmy być teraz bezpieczni — powiedziała dziewczyna, opierając się o srebrną przegrodę.

Nagle podłóżę pod nimi zadygotało i wszyscy znieruchomieli.

— Musiałaś to mówić? — jęknął Norman, wbijając wzrok w dół.

Pod stopami narastał gardłowy bulgot, przypominający łoskot potężnej rzeki. Narastał, ogłuszając, odbijając się echem od pustego wnętrza.

— A to co znowu? — spytała Maggie.

— Kolejna pułapka.

. . .

— Tędy — powiedział opat Ruiz, odwracając się i ruszając długim, wąskim korytarzem.

W trakcie prezentacji kompleksu badawczego pod opactwem Świętego Dominika Henry trzymał się nieco z tyłu. Joan, której strój został ukryty pod sterylnym białym kitlem laboratoryjnym, szła obok potężnego opata, a Henry towarzyszył stoickiemu zakonnikowi Carlosowi, który obserwował wszystkich spod półprzymkniętych powiek, podejrzliwy i uważny. Cała czwórka, ubrana w identyczne białe stroje, wyglądała na członków zespołu badawczego z laboratorium. Dysonans stanowił jedynie glock w mocno zaciśniętej dłoni Carlosa.

Przez większą część popołudnia krążyli od laboratorium do laboratorium, a opat objaśniał prowadzone tu niezwykle skomplikowane badania: od nauk botanicznych po medycynę jądrową. Było nawet wielkie laboratorium komputerowe, poświęcone wyłącznie projektowi poznania genomu ludzkiego. Henry dokonał w myśli kilku obliczeń. Ukryta w sercu inkaskiego labiryntu sieć laboratoriów musiała zajmować cały obszar opactwa. Niełatwo było uwierzyć, że tak długo udawało się ukrywać istnienie tak niesamowitego kompleksu.

— Dlaczego opat nam to wszystko pokazuje? — spytała Joan, wypowiadając pytanie, które dręczyło również Henry'ego.

Ruiz skinął głową, jakby się go spodziewał.

— Jak już powiedziałem, żeby skłonić państwa do współpracy. Także po to, aby zademonstrować wam wagę poświęcania się temu, co tu się dzieje; żeby to, co pokażę na końcu, zostało dostrzeżone w odpowiednim

kontekście. — Opat odwrócił ku Henry'emu i Joan spoconą twarz. — Mnie może wystarczać wiara, ale podejrzewam, że wam będą potrzebne konkretniejsze dowody. Sądzę, że jak apostoł Tomasz, przed uwierzeniem w cud, którego staniecie się świadkiem, będziecie chcieli włożyć palce w rany Chrystusa.

Henry podszedł do Joan i po godzinnym milczeniu w końcu się odezwał.

— Cud? To pierwsze odniesienie do religii, jakie tu na dole słyszę. Co właściwie robicie? — Zatoczył dłonią krąg. — Pomijając morderstwa i porwania, jak Kościół katolicki może zajmować się czymś takim?

Opat skinął głową.

— Chodźmy. Odpowiedź jest niedaleko.

Chociaż celowano z glocka w jego nerki, Henry był dziwnie zaintrygowany. Jako naukowca nie trzeba było go zmuszać do zwiedzania tego ośrodka.

Kiedy dochodzili do końca korytarza, Joan chwyciła go za rękę. Choć i jej oczy błyszczały z ciekawości, emanowała niepokojem. Jej dłoń była gorąca w dłoni Henry'ego. Delikatnie przyciągnął Joan.

Korytarz zamykała potężna stalowa ściana z drzwiami tak wielkimi, że przeszedłby przez nie słoń. Zabezpieczały je wielkie rygle, z boku zamontowano klawiaturę i czytnik dłoni. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, aby się domyślić, że dotarli do centralnego pomieszczenia kompleksu — najświętszego miejsca.

— Nikt poza najbardziej oddanymi sprawie nie postawił tu stopy — powiedział opat, nie odwracając się. — To, co tu się znajduje, stanowi nadzieję ludzkości na zbawienie i odkupienie.

Henry był tak zaciekawiony, że nie odważył się otworzyć ust. Bał się powiedzieć coś, co powstrzymałoby opata przed otwarciem drzwi. Aby zachować tajemnicę o tym miejscu, zamordowano człowieka i Henry zamierzał się dowiedzieć, o co chodzi.

Joan nie miała aż tak wiele szacunku dla tajemnic.

— Dlaczego akurat my mamy to zobaczyć?

Ruiz i tym razem się nie odwrócił. Wpatrywał się w drzwi, w jego głosie brzmiał głęboki szacunek.

— Wszystkie odpowiedzi znajdują się w środku.

Wziął sygnet i przyłożył go do zagłębienia w ścianie. Czytnik dłoni zapalił się i opat położył na nim lewą dłoń. Drugą ręką, którą zasłonił ciałem, wystukał szyfr na klawiaturze.

Z basowym odgłosem toczących się potężnych łożysk otworzyły się masywne zamki i zwolniły drzwi. Ruiz cofnął się i drzwi automatycznie się uchyliły. Musiały mieć przynajmniej pół metra grubości. Ze środka wypłynął słodki zapach kadzidła. Wydawał się duszący w porównaniu ze sterylną atmosferą laboratorium. Chłodny wiaterek szybko rozwiął zapach — pomieszczenie musiało być chłodzone.

Ruiza nie przejęły jednak ani zapach, ani chłód. Kiedy drzwi się otwierały, uniósł błagalnie ręce.

Gdy w pełni się otwały, przeżegnał się i ruszył przodem. Nie odzywał się i Henry czuł, że każde słowo zbrukałoby podniosłą chwilę. Zaciskał usta, za to szeroko otwierał oczy.

Kiedy opat wszedł do środka, czujniki zapaliły halogeny i wnętrze zalało jaskrawe światło, jakby pod ziemią wzeszło słońce.

Joan westchnęła. Ze swojego miejsca mogła dostrzec, co kryje komora, ale Henry musiał okrążyć przysadzistego opata. Kiedy przekroczył próg, mimowolnie puścił dłoń Joan. Wszedł do pomieszczenia jak otumaniony.

Chłodna salka miała mniej więcej dwadzieścia metrów kwadratowych. W każdym rogu stała metalowa lampka z unoszącą się cienką stróżką kadzidlanego dymu. Na tytanowych ścianach wisiały wielkie srebrne krzyże wysokości dorosłego człowieka. Jeszcze większy zwisał z wysokiego na przynajmniej trzy piętra sufitu.

Wszystkie te zdumiewające rzeczy były niczym wobec tego, co znajdowało się na dole. Pośrodku pomieszczenia, na bogato zdobionym srebrnym ołtarzu, leżała naturalnej wielkości rzeźba mężczyzny. Henry podszedł bliżej. Ubrana w falujące szaty postać wyglądała jak śpiąca — głowę otaczały długie włosy, skrzyżowane dłonie spoczywały na brzuchu. Twarz była pogodna i rozluźniona, cała postać emanowała głębokim spokojem. Henry podszedł bliżej, by przyjrzeć się twarzy.

Głowę postaci otaczała cierniowa korona.

Boże drogi!

Była to rzeźba Chrystusa wykonana z czystego złota!

Nie, nie ze złota... Henry nie musiał podchodzić bliżej, żeby to dostrzec. Halogeny jaskrawo oświetlały śpiącego Chrystusa i metal zdawał

się niemal płynąć. To nie było złoto! To była *el Sangre del Diablo*. Naturalnej wielkości postać została wyrzeźbiona z Krwi Diabła!

Henry poczuł, że miękną pod nim kolana. Z jego ust zaczęły wydobywać się słowa. Panujący w pomieszczeniu chłód wnikał w kości. Nic dziwnego, że salę chłodzono — w temperaturze pokojowej metal by zmiękł i rzeźba straciłaby swój kształt, tak jak krzyż w laboratorium na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa.

Opat Ruiz podszedł do prostego drewnianego klęcznika ustawionego przed ołtarzem i ukląkł na twardej desce. Jego usta zaczęły się poruszać w milczącej modlitwie. Kiedy skończył, wstał, rozpiął kitel i wyjął zlewkę ze złotą próbką z laboratorium Joan. Substancja nadal zachowywała kształt piramidy. Ruiz pocałował opuszki palców, otworzył zlewkę i sięgnął do środka, aby wyjąć tę substancję. Wielkie dłonie delikatnie oderwały bryłkę od ścianki zlewki i ją wyjęły. Opat pochylił się i z najwyższym szacunkiem położył piramidę na rzeźbie, przy splecionych dłoniach Chrystusa.

— Proszę podejść — powiedział z powagą, wracając do klęcznika. — Pan to odkrył i to pański dar, profesorze. Powinien być pan świadkiem.

Ruiz ponownie ukląkł i pochylił głowę w modlitwie. Henry podszedł, z Joan tuż obok. Carlos został przy drzwiach, z kamienną miną i nieruchomo trzymanym pistoletem.

Opat Ruiz modlił się, mamrocząc i skromnie chowając twarz za dłońmi.

Henry przyjrzał się uważnie rzeźbie Chrystusa. Nie miał konkretnych oczekiwań, ale przeżył wstrząs. Musiał kilka razy zamrugać, aby się upewnić, że to nie złudzenie optyczne.

Piramida roztopiła się i spłynęła po rzeźbie. Splecione dłonie rozchyliły się i substancja Z wpłynęła pod nie. Kiedy złote palce wróciły na poprzednie miejsce, strumyczek płynnej substancji utworzył perfekcyjnie ukształtowaną lilię — z pięknym kwiatem i smukłą łodygą, trzymaną przez dłonie Chrystusa.

Opat westchnął i opuścił dłonie, na jego twarz wypłynął błogi uśmiech. Wstał.

— Co to było? — wyszeptała Joan.

— Dodałem waszą próbkę do naszej. Dzięki temu dokonał się kolejny krok do osiągnięcia naszego celu. — Opat odszedł od ołtarza, Henry i Joan podążyli za nim.

— Jak to się stało? — spytał Henry, wskazując głową w kierunku rzeźby.

— Byliście świadkami tego, co spowodowało, że Watykan uznał tę substancję za demoniczną. To unikatowa cecha *el Sangre del Diablo*. — Ruiz zwrócił się do Joan: — Czytaliśmy wasze notatki i sprawozdania. Podobnie jak wy, przez lata dowiedzieliśmy się, że ta substancja reaguje na wszelkie rodzaje promieniowania: elektryczność, promienie rentgenowskie, ciepło. Wykorzystuje z perfekcyjną skutecznością wszystkie postacie energii, przechodząc ze stanu stałego w płynny. Ale nie odkryliście jednak tego, co Inkowie zademonstrowali pierwszym przybyłym do nich dominikanom.

— Czyli? — spytał Henry.

Opat popatrzył na niego.

— Reaguje na ludzką myśl.

— Co takiego? — spytała Joan.

Henry, choć zaskoczony, nic nie powiedział. Tak się stało, kiedy próbka przybrała kształt dominikańskiego krzyża, wtedy gdy trzymał w rękach oryginał i nad nim dumał.

— Reaguje na mózgowy fale alfa tak samo jak na promieniowanie rentgenowskie czy mikrofały. Rozpuszcza się wtedy i przybiera kształt, na jakim skupia się umysł ludzki.

— To niemożliwe... — mruknęła Joan.

— Możliwe. Mózg wytwarza energię znacznej mocy, którą można zmierzyć. Na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku zespoły badawcze w Związku Radzieckim i w CIA zademonstrowały, że są ludzie, którzy mogą wpływać na kliszę fotograficzną za pomocą umysłu. — Ruiz popatrzył w kierunku rzeźby Chrystusa. — W tym przypadku niezwykle jest nie człowiek, lecz substancja. Jest wrażliwa na emitowane przez ludzki mózg sygnały, jego myśli.

Henry odzyskał mowę, ale kiedy zaczął mówić, o mało się nie zachłysnął.

— To niezwykle odkrycie. Dlaczego... utrzymujecie je w tajemnicy?

— Aby zachować nadzieję ludzkości na zbawienie — z powagą odparł opat Ruiz. — Na mocy edyktu papieża Pawła Trzeciego z tysiąc pięćset czterdziestego drugiego roku obowiązkiem naszej hiszpańskiej sekty dominikanów jest zrobić wszystko, aby ta demoniczna substancja nie

zniszczyła ludzkości. Naszym świętym zadaniem było i jest do dziś utrzymywanie jego istnienia w tajemnicy.

Henry zmrużył oczy.

— Znowu opat powiedział „nasza sekta”. Co to znaczy? Kim właściwie jesteście?

Opat patrzył na niego, jakby oceniał, czy jest godzien odpowiedzi.

— Kim jesteśmy? — odezwał się w końcu tonem kryjącym groźbę. — Nasz zakon jest jednym z najstarszych zakonów dominikańskich, założonego w trzynastym wieku. Kiedyś nazywano nas Strażnikami Przesłuchania. To my jako pierwsi towarzyszyliśmy konkwistadorom do Nowego Świata, kraju pogan. Jako odkrywcom *el Sangre* wyznaczono nam zadanie konfiskaty każdej uncji tej demonicznej substancji i doprowadzenia każdej osoby, która miała z nią kontakt, na przesłuchanie, do chwili, aż wiedza o *el Sangre* zniknie w łonie Kościoła.

Henry zaczynał powoli wszystko pojmować. Przypomniał sobie skrzyżowane miecze na pierścieniu ojca de Almagro.

— Boże drogi... — jęknął.

Opat Ruiz wyprostował się z dumą.

— Jesteśmy ostatnimi inkwizytorami.

Henry z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Ale przecież was rozwiązano. Rzym wyparł się hiszpańskiej inkwizycji pod koniec dziewiętnastego wieku.

— Jedynie w słowach. Edykt papieża Pawła Trzeciego nigdy nie został odwołany.

— Więc uciekliście tutaj?

— Z dala od czujnych oczu i bliżej źródła *el Sangre del Diablo*. Nasz zakon uważał, że misja jest zbyt ważna, by ją przerwać.

— Misja? — wtrąciła się Joan. — Przy tym całym sprzęcie, jaki tu stoi, na pewno nie uważacie, że ta substancja jest splamiona przez diabła.

Jej słowa wywołały na ustach opata protekcjonalny uśmieszek.

— Oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie. Obecnie uważamy, że *el Sangre* jest błogosławiony. — Na widok skonsternowanych min jeńców opat uśmiechnął się szerzej. — Skoro zgaduje ludzkie myśli i obraca je w fizyczną rzeczywistość, musi w nim być ręka Boga. Przez stulecia nasza sekta pracowała w laboratoriach nad doskonaleniem materiału i poprawianiem jego wrażliwości na ludzką myśl.

— W jakim celu? — spytał Henry.

— Żebyśmy w końcu mogli dotrzeć do umysłu Boga — odparł opat, jakby było to coś oczywistego.

Henry nie potrafił ukryć szoku. Joan podeszła bliżej i dotknęła jego dłoni.

— Uważamy, że gdy odpowiednio udoskonalimy tę substancję, uzyskamy narzędzie na tyle czułe, by rejestrowało umysł lub ducha naszego Pana.

— Opat raczy żartować — powiedziała Joan.

Stoicka mina Ruiza nie potwierdzała jej sugestii.

— I co wtedy? — spytał Henry, wyczuwając lukę w rozumowaniu.

Opat przekrzywił głowę na bok.

— Profesorze, to nasz najpilniej strzeżony sekret, chociaż podejrzewam, że aby uzyskać pańską współpracę, muszę pokazać wam wszystko. Oto ostatnie objawienie. — Ruiz ruszył w kierunku ołtarza. — Proszę podejść. Musi pan to zrozumieć.

Henry wyczuwał, że opata, szepczącego o ściśle chronionych tajemnicach, cieszy zabawa w chowanego z gośćmi. A jednak go to niepokoiło — jeśli otwarcie ujawniał sekrety, widać nie obawiał się, że goście podzielą się tą wiedzą ze światem. Ponad wszystko Henry'ego denerwowały pewność siebie opata i jego gotowość do mówienia.

Ruiz podszedł do ołtarza i wyciągnął ramię nad złotą rzeźbą.

— Oto nasz ostateczny cel.

— Nie rozumiem — powiedziała Joan. Henry również nie rozumiał.

Opat dotknął figury drżącym palcem.

— Oto puste naczynie, jedynie reagujące na nasze myśli. Mamy nadzieję, że przy odpowiedniej ilości surowca uda nam się dotrzeć do Boga. Zamienić jego wolę w postać fizyczną.

Henry wpatrywał się w postać śpiącego Chrystusa.

— Chyba nie sugeruje opat, że...

— Uważamy, że przekazanie *el Sangre* w ręce Kościoła po odkryciu jej w Nowym Świecie było przeznaczeniem. Wyzwaniem dla wiary. Sprawdzianem Boga. Jeśli zbierzemy wystarczającą ilość świętej substancji, umysł Boga wyśle w przestrzeń część siebie, dotrze do spoczywającego tu naczynia i ożywi je. — Opat Ruiz odwrócił się do

Henry'ego. Jego oczy rozświetlała religijna żarliwość. — Naszym celem jest ponowne sprowadzenie na Ziemię Boga.

— Opat mówi o zainicjowaniu drugiego nadejścia Mesjasza! — zawołała Joan.

Opat Ruiz skinął głową i wbił wzrok gdzieś nad złotą figurą.

— O ponownych narodzinach Chrystusa na tej Ziemi.

Henry pokręcił głową. To szaleństwo.

— Więc dlaczego my? Do czego jesteśmy potrzebni?

Ruiz znowu się uśmiechnął.

— Ponieważ pan odkrył szczątki ojca Francisca de Almagro, jednego z naszych poprzedników. W szesnastym wieku wysłano go na poszukiwania złoża *el Sangre*, o którym krążyły pogłoski, że jest tak wielkie, że jak mówili Inkowie, „spływa ze szczytu góry niczym woda”. Nigdy nie powrócił i uznano go za zabitego, lecz kiedy dostałem wiadomość od arcybiskupa Kearneya z Baltimore, nasza nadzieja ożyła. Może nasz przodek odkrył złożę-matkę i zginął, nim zdążył przekazać wieści. — Opat popatrzył na śpiącego Chrystusa. — Modlimy się, profesorze, aby się okazało, że znalazł pan sposób na dotarcie do Boga.

— Naprawdę opat uważa, że to mityczne złożę-matka jest na terenie moich wykopalisk?

Opat uniósł brwi.

— Otrzymaliśmy wieści od naszego człowieka, który jest na miejscu. Znaki są obiecujące, choć po wypadku z podziemną świątynią sporo czasu zajmie nam...

Henry zamarł.

— Jakim wypadku? O czym opat mówi?

Twarz Ruiza zrobiła się ponura.

— No tak... nie miał pan jak się dowiedzieć, że budowla się zawaliła. — Szybko streścił wydarzenia na terenie wykopalisk.

Z każdym zdaniem Henry coraz bardziej bladł.

— Proszę się nie martwić — uspokoił go opat. — Choć studenci zostali uwięzieni, ich ostatni przekaz wskazuje na to, że znaleźli jaskinię, w której udało im się ukryć.

— Muszę tam jechać! Natychmiast! — krzyknął Henry. Jego zainteresowanie laboratorium zniknęło w ułamku sekundy. Boże...

zapomniał o Samie. Nawet nie pomyślał, że bratanek może być w niebezpieczeństwie.

— Nie może pan nic zrobić. Jestem w kontakcie z moimi ludźmi, którzy przebywają na miejscu. Jeśli coś się zmieni, natychmiast pana zawiadomię.

Krew, która odpłynęła Henry'emu z twarzy, gwałtownie powróciła.

— Nie będę z wami współpracował, dopóki nie uzyskam pewności, że mój bratanek jest bezpieczny!

— Proszę się uspokoić, profesorze. Już wysłałem ekipę wyspecjalizowanych górników, aby wzięli udział w akcji ratunkowej.

Henry zaczął nerwowo splatać dłonie, Joan podeszła i objęła go ramieniem. Zamarł w jej uścisku. Po śmierci żony i brata Sam był jego jedyną rodziną i w życiu Henry'ego nie było miejsca na nikogo więcej. Gdyby nie zaślepiła go dawna studencka miłość, myślałby jaśniej i uniknął nieszczęścia. Wysunął się z objęcia Joan i zaczął mówić do Ruiza przez zaciśnięte zęby:

— Jeśli Sam z tego powodu ucierpi, zabiję pana...

Ruiz cofnął się o krok, za to zbliżył się Carlos, strasząc Henry'ego pistoletem.

— Jestem pewien, że pańskiemu bratankowi nic nie grozi — powiedział lekko drżącym głosem opat Ruiz.

. . .

Kolejna pułapka!

Kiedy złota podłoga zadrżała pod ich stopami, Sam przyciągnął Maggie do siebie. Próbowwała otworzyć drzwiczki, przez które weszli, ale zatrasnęły się na amen.

— Trzymajcie się! — zawołał Sam, przekrzykując łoskot napływającej od dołu wody. — Szykujcie się do działania!

Drżenie przenikało przez podeszwy jego butów, wspinało się po nogach, łaskotało zebra i kręgosłup.

Krok dalej Denal wspierał Normana. Oczy kiczuańskiego chłopaka były wielkie jak spodki.

Łoskot w dole robił się ogłuszający.

— Trzymajcie się mocno!

Ryk wypełnił całą przestrzeń, a podłoga zadygotała, jakby powstrzymywała wielkie ciśnienie. Trzasnęły zwalniane zamki i podłoga zaczęła się wznosić z wielką prędkością. Norman opadł na dłonie i kolana,

wyjąc z bólu, kiedy uderzył ranną nogą o metal. Nikt się nie odzywał, wszyscy zamarli, sparaliżowani strachem.

Podłoga chybotwała się, ale sunęła ku górze — coraz szybciej, na dodatek zaczęła się lekko obracać, szaleńczo dygocząc

— Hydraulika! — wrzasnął Norman, przekrzykując ryk wody. Denal pomógł mu wstać.

— Co? — spytał Sam.

Maggie wyrwała się z uścisku Sama i obserwowała podłogę.

— Musieli zrobić kanał do podziemnej rzeki, może dopływu tej, którą płynęliśmy wczoraj. To winda hydrauliczna!

Sam wpatrywał się w górę szybu.

— Tylko dokąd nas zawiezie?

— To zbyt skomplikowany sposób, żeby zabijać intruzów — odparła Maggie, obserwując przesuwającą się ścianę. — Moim zdaniem zawiezie nas na samą górę.

— Pod sufit? — Sam dobrze zapamiętał postawę inkaskiego króla, zdającego się podtrzymywać dłońmi sklepienie. Stał wyprostowany, jakby kij połknął.

— Miejmy nadzieję, że nie po to, aby nas zmiażdżyć — rzekł Norman. — Zepsułoby to doskonały dzień.

— Nie sędzę — odparła Maggie.

— Patrzcie! — zawołał nagle Denal, wskazując w górę.

Maggie poświeciła latarką niepotrzebnie, jak się okazało. Wysoko nad nimi migotał koniec szybu — złota kopuła, sklepienie czaszki inkaskiego króla. Przez regularnie rozmieszczone otwory do środka wpadało światło. Po chwili — niczym płatki kwiatu — rozchyliło się sześć segmentów i jadącą w „windzie” czwórkę zalało światło słońca.

— Wyjście! — zawołał Sam. Zerwał z głowy kapelusz i wydał z siebie triumfalny okrzyk. — Udało się nam!

— Niektórym z nas — powiedział cicho Norman.

Sam, któremu uśmiech zamarł na ustach, założył kapelusz. Przed oczami miał twarz Ralpha. Norman miał rację — nie należało się cieszyć wolnością po utracie przyjaciela.

Maggie przysunęła się do Sama. W jej oczach były zarówno radość, jak i smutek. Uniosła głowę, aby przyjrzeć się otwierającej się kopule.

Sam ją objął.

— Ralph na pewno byłby szczęśliwy, że udało nam się uciec.

— Może...

— Martwi nie mają żalu do żywych, że przeżyli. Na pewno ani Ralph, ani twój przyjaciel Patrick Dugan... — powiedział, w myśli dodając do listy swoich rodziców.

Maggie wtuliła się w niego.

— Wiem, Sam — powiedziała zmęczonym głosem. — Już to nieraz słyszałam.

Nie było sensu mówić więcej. Doskonale wiedział, że trudniej wybaczyć sobie, że się przeżyło, niż stawić czoło śmierci. Każdy musi sam sobie z tym poradzić.

Winda powoli wspinała się ku wolności, wjeżdżała w otwartą kopułę. W końcu stanęła. Sześć segmentów dachu było całkowicie otwartych. Trzasnęły zatrzaski i podłoga została zablokowana. Szum odpływającej wody cichł.

— Jesteśmy w domu — powiedział Norman.

Po mroku jaskini popołudniowe słońce — nawet filtrowane przez mgłę, która zdawała się spowijać niebo gęstym woalem — wydawało się oślepiające.

— Tylko gdzie, do cholery, jesteśmy? — spytał Sam, rozglądając się.

Byli w głębokiej, zalesionej dolinie. Ze wszystkich stron otaczały ich wysokie, niemal pionowe ściany z czerwono-czarnej skały, które mogliby pokonać tylko sprawni alpinieści ze specjalistycznym sprzętem. Nad głowami przetaczała się skłębiona mgła i zasłaniała słońce.

— Co to za zapach? — spytał Norman.

Rzadkie i ciepłe powietrze przepęśniał smród zgniłych jaj.

— Siarka — odparła Maggie. Okręciła się powoli i wyciągnęła rękę. — Tam!

W pobliżu północnej ściany doliny z pęknięcia w skale ku niebu strzelał strumień pary.

— Krater wulkanu — stwierdził Sam. Ten region peruwiańskich Andów, naznaczony wulkanicznymi stożkami, po części zimnymi i cichymi, po części stale parującymi, nadal był aktywny geologicznie. Niemal codziennie górami wstrząsały trzęsienia ziemi.

Maggie pomachała.

— To nie jest dolina ryftowa. Jesteśmy w wulkanicznej kalderze.

Norman pokuśtykał bliżej. Przyglądał się ścianom, po chwili mocno zmarszczył czoło.

— Super. Dlaczego przychodzi mi do głowy powiedzenie: „z deszczu pod rynnę”?

Ignorując ponure słowa fotografa, Sam przyglądał się uważnie okolicznym wzgórzom.

— Jeśli się nie mylisz, Maggie, to musimy być w którymś z grupy wulkanicznych wierzchołków na wschód od obozu. — Skinął głową w kierunku mrocznego cienia. Z południowej ściany zdawał się wyrastać kolejny szczyt wulkanu, wyższy od tego, w którym się znajdowali, z wierzchołkiem spowitym parą.

— Patrz, ile ich tu jest.

Maggie skinęła głową.

— Pewnie masz rację. Tego regionu nikt jeszcze nie zbadał. Za stromo tu i zbyt niebezpiecznie, żeby przejść.

— I za ciepło — stwierdził Denal, wycierając czoło rękawem.

Sam się z nim zgodził. Zdjął kapelusz i szesał do tyłu wilgotne włosy. Było kilka godzin do zmroku i na tej wysokości, ubrany tylko w kamizelkę, powinien wyraźnie czuć chłód, ale wiaterek był ciepły, niemal balsamiczny.

— To od wydobywającej się pary — wyjaśniła Maggie. — Utrzymuje wysoką temperaturę i wilgoć.

— Więc mamy tu jakby tropikalną szklarnię — stwierdził Norman, przyglądając się bujnej zieleni. — Popatrzcie na roślinność... — powiedział i wyjął aparat.

Dżungla dookoła była bardzo gęsta, z oplecionymi przez pnącza drzewami. W oddali widać było przecinki — tuż przy kraterach, poza tym dżungla wydawała się nietknięta. Na niższych poziomach, chronionych przez szczelny dach, rosło ogromne bogactwo roślin: ziemię pokrywały gigantyczne paprocie, wyższe od człowieka, z pni drzew zwisały setki orchidei o żółtych kwiatach wielkości pięści. Drzew i pnączy czepiały się niezwykle gatunki tropikalnych róż, wspinające się za pomocą długich kolców.

Norman zrobił kilka zdjęć, pozostali ruszyli skrajem lasu.

W masie bujnej i kwitnącej zieleni przestraszone obecnością intruzów ptaki gwizdały i ćwierkały jak oszalałe. Nad głowami ludzi przeleciało niewielkie stado niebieskoskrzydłych papug. Przypominające szczeknięcia

okrzyki małą, odbijające się od skalnych ścian, dawały do zrozumienia, by intruzi nadmiernie się nie zbliżali. Drobne stworzenia skakały między drzewami i pnączami, strasząc napuszonym futrem i śmigającymi jak pejcze ogonami.

Za ścianą zieleni słyhać było kuszący spragnionych ludzi szum wody.

— Tu jest jak w utraconym Raju — stwierdził Norman.

Sam skinął głową, choć zaczęło w nim kiełkować ziarno niepokoju. Przypomniało mu się łacińskie ostrzeżenie przed wężem Edenu, wyryte na hematytowych sztabach przez Francisca de Almagro.

Podobna myśl musiała przejść przez głowę Maggie, która mocno zaciskała usta i podejrzliwie mrużyła oczy.

— Mamy towarzystwo... — szepnęła.

Sam zamarł i natychmiast czujnie się rozejrzał.

— Słucham?

Maggie stała nieruchomo, poruszały się jedynie jej oczy, wskazując kierunek, w którym należało patrzeć.

Za nimi rozległ się metaliczny chrzęst. Kopała zamykała się — znikła jedyna szansa na wydostanie się z wulkanicznej kaldery.

Sam wbił wzrok we fragment dżungli, który wskazała Maggie, i po jakimś czasie dostrzegł w cieniu zwróconą prosto ku niemu małą twarz. Postać musiała się zorientować, że została dostrzeżona, bo się wyprostowała. Wyszła zza osłony gęstych liści. Z innych miejsc na polanę ze złotą kopałą wyszło kolejnych siedmiu ludzi.

Smagli i ciemnooccy mężczyźni byli kiczuańskiego pochodzenia. Sięgali Samowi do ramienia, mieli jednak dzidy, których ostrza kończyły się pół metra nad jego głową. Byli ubrani w tradycyjne indiańskie stroje: proste spodnie *haura* i koszule bogato zdobione piórami papug i kondorów.

Przywódca z ciemnoczerwoną przepaską na czole wyszedł naprzód i przemówił:

— Chce, żebyśmy za nimi poszli — przetłumaczył Denal.

Niski myśliwy odwrócił się i podszedł do skraju lasu. Odsunął wielką paproć, pokazując ukrytą ścieżkę. Wszedł skulony pod parasol liści i ruszył. Pozostali myśliwi czekali, aż grupa Sama pójdzie za ich przywódcą.

— Chodźmy... może znaję drogę do wykopaliska — powiedział Sam i machnął ręką na przyjaciół. Nie widział powodu, aby bać się tubylców,

widok ich broni sprawił jednak, że mocniej zacisnął dłoń na zwisającym z ramienia winchesterze. W razie kłopotów wołał być przygotowany.

Denal dotknął jego łokcia. Chłopak mrużył podejrzliwie oczy. Zamierzał coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową i wyłuskał z kieszeni zgiętego papierosa. Kiedy wsuwał sobie filtr w usta, mruknął coś w ojczystym języku.

— Co jest, Denal?

— Coś nie gra — mruknął zdawkowo chłopak. Podszedł do Normana, pomógł mu przejść pod paprocią i wejść na ścieżkę.

Sam i Maggie poszli ostatni. Kiedy zostali połknięci przez dżunglę, przez kilka minut szli w milczeniu.

— Co o nich sądzisz? — spytała w końcu dziewczyna cichym szeptem.

— Chyba są z jakiegoś kiczuańskiego plemienia. Setki takich jak oni żyją w okolicy jako myśliwi i zbieracze.

Maggie wskazała palcem za siebie.

— I nie zwracają uwagi na kopułę ze złota?

No tak... ci ludzie byli bardziej zaskoczeni widokiem białych ludzi niż bogactwem za ich plecami. Intrygujące było także zachowanie Denala. O co chodziło?

Sam uważnie przyglądał się Indianom. Poruszali się cicho, nieśli oszczepy tak, by móc odsuwać pnącza. Wkrótce ścieżka przecięła strumień, przez który można było przepawić się niemal suchą stopą po rzuconych w poprzek nurtu dużych kamiennych blokach. Kim właściwie byli ci „myśliwi”?

Odpowiedź kryła się za następnym zakrętem.

Dżungla nagle się rozstała i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się wioska. Kamienne chaty były rozrzucone symetrycznie wokół centralnego placu i wchodziły tarasowato w dżunglę. Wszystkie były schowane w zieleni, ocieniane wysokim dachem dżungli. Na kamiennych dachach i wokół domów rosły gęsto rośliny, zapach kwiatów przytłumiał siarkowy zapach, wydobywający się z wulkanicznych głębin.

Sam zamarł z otwartymi ustami. Po wąskich uliczkach łążyły lamy i małe świnie, w oknach i drzwiach domów pojawili się gospodarze, by pogapić się na czwórkę obcych. Wioska miała kilkuset mieszkańców, ubranych w przypominające poncza *cushmas*, koszule z długimi rękawami i małe peleryny albo długie indiańskie tuniki *anacu*.

Chaty były bogato zdobione: miały rzeźbione parapety i ościeżnice, w zachodzącym słońcu migotały srebrne i złote detale.

Norman kuśtykał na przedzie, opierając się na ramieniu Denala. Podeszła do niego zdenerwowana młoda kobieta, owinięta wełnianym szalem *llikla*. Wyciągnęła ku niemu luźno spleciony wieniec z niebieskich kwiatów, w który wetknięto żółte papuzie pióra. Chudy fotograf uśmiechnął się i uklonił. Kobieta wykorzystała sytuację i zarzuciła mu wieniec na głowę. Fotograf się wyprostował, na co kobieta zachichotała, zasłoniła usta dłonią i odeszła tanecznym krokiem.

Zażenowany odwrócił się do Denala i z uśmiechem pomacał prezent.

— Pasuje mi do koszuli? — spytał i pokuśtykał dalej. Zachowywał się, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, na co się natknęli.

Sam i Maggie zatrzymali się na skraju wioski. Sam w myślach usunął roślinność, ludzi oraz zwierzęta z uliczek, i ujrzał centralny plac, rozchodzące się promieniście alejki, poustawiane tarasowato domy... układ był dokładnie taki sam jak plan podziemnej nekropolii.

Maggie chwyciła go za łokieć.

— Wiesz, co to za miejsce, prawda? To nie pierwsze lepsze kiczuańskie plemię próbujące przeżyć z dnia na dzień.

Sam skinął głową.

— To przodkowie Denala — odparł, dochodząc do tego samego wniosku co Maggie.

Natknęli się na wioskę Inków, którzy przetrwali przez stulecia!

. . .

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, Philip usłyszał odgłos, w który nie mógł uwierzyć: radiowy szum z obozowego nadajnika. Skoczył na nogi, przewracając stołek, na którym siedział. Ojciec Otera i pozostali zakonnicy byli na dole, przy wykopaliskach — poprzedniego dnia, tuż po południu, zjawiło się kilku doświadczonych górników, którzy pokierowali kiczuańskimi robotnikami.

Philip jednym szarpnięciem otworzył wejście do namiotu komunikacyjnego i zanurkował do środka. Złapał mikrofon.

— Halo?! Ktoś mnie słyszy?

Odpowiedziały mu szumy i trzaski, przez które przebił się drżący głos.

— ...ilip? Tu Sam! Bateria walkie-talkie... udało nam się wyjść z jaskini... — Resztę zagłuszył szum.

Philip poprawił antenę.

— Sam! Zgłoś się! Gdzie jesteście?!

— W jednym z wulkanów... wschodzie, jak sądzę...

Philipa ogarnęła fala radości. Jeśli tamci żyli, nie było powodu dalej odkopywać szybu. Wkrótce będzie mógł opuścić to miejsce! Wyobraził sobie mieszkanie w Harvardzie, gdzie wszystko — książki, komputer, dokumenty — jest dokładnie skatalogowane i precyzyjnie uporządkowane. Popatrzył na podartą koszulę i brudne spodnie, które miał na sobie. Po tej ekspedycji już nigdy nie będzie pracować w terenie!

Radość sprawiła, że stracił kilka słów Sama, nie miało to jednak znaczenia.

— ...helikoptery... Poślemy sygnał ogniowy na skraju stożka. Szukajcie nas! Masz jakieś wieści od mojego wuja?

Philip zmarszczył czoło i wcisnął klawisz nadawania.

— Nie, ale wiadomość na pewno dotarła już do Cuzco i pomoc wyruszyła. Nie powinno to długo potrwać.

Kiedy puścił klawisz, z głośnika popłynęła fala głośnego szumu.

— Nie uwierzysz, co znaleźliśmy... — powiedział Sam, ale ledwo było go słychać.

Philip przewrócił oczami. Jakby go to interesowało. Następne słowa Sama przywróciły jednak jego zainteresowanie.

— Znaleźliśmy zaginione plemię Inków.

— Co takiego?

— ...zbyt długo, by opowiadać... bateria siada... o tej samej porze jutro...

— Sam, czekaj!

— Czekajcie na nasz sygnał!

Resztę zagłuszył elektroniczny szum.

Philip przez kilka minut próbował znowu złapać Sama, ale na próżno. Albo padła bateria, albo drań po prostu się rozłączył. Philip huknął nadajnikiem o widełki.

— Jebaniec!

Nagle jego uwagę zwrócił szelest płachty w namiocie. Do środka wślizgnął się ojciec Otera. Wysoki mnich się wyprostował. Promienie zachodzącego słońca tak oświetlały go od tyłu, że nie było widać twarzy.

— Z kim pan rozmawiał? — spytał szorstko.

Philip podejrzewał, że mnich jest zmęczony i podenerwowany całodzienną ciężką pracą. Gestem zaprosił go do środka.

— Z Samem! Udało im się wyjść z jaskiń!

— Jak? Gdzie są?

Philip z przyjemnością obserwował minę zszokowanego zakonnika, ale szybko zrelacjonował rozmowę.

— Musimy jakoś odnaleźć ogień, który zapala... potrzebujemy helikoptera albo samolotu...

Zakonnik skinął głową.

— To świetne wieści... — mruknął.

— Ale to jeszcze nie wszystko — rzekł Philip, jakby osobiście dokonał odkrycia. — Sam uważa, że spotkał w górach grupę Inków, zaginione plemię.

Ojciec Otera rzucił mu błyskawiczne spojrzenie.

Na widok jego oczu, w których pojawiło się coś dzikiego i niebezpiecznego, Philip aż westchnął. Cofnął się o krok i potknął o leżący na ziemi kubek. Nim zdążył się pozbierać, Otera już był przy nim i mocno trzymał go za łokieć.

— Nic się panu nie stało?

Philip popatrzył na zakonnika. Groźny wyraz oczu zniknął, twarz była pełna troski i ciepła. Co za złudzenie... Philip odchrząknął.

— Nic... nic mi nie jest...

Ojciec Otera puścił jego łokieć.

— To świetnie. Nie chcielibyśmy, aby coś się panu stało. — Odwrócił się. — Muszę się podzielić dobrą wiadomością z pozostałymi — powiedział, po czym wyszedł z namiotu.

Philip z ulgi głęboko westchnął. Nie umiał powiedzieć, co takiego było w ojcu Oterze, co sprawiało, że się przy nim denerwował. W końcu to zwykły mnich. Mimo to Philip musiał rozmasować gęsią skórę na przedramionach. Coś było w tym człowieku...

...

Sam siedział z Maggie na schodach na skraju placu i obserwował odbywający się ceremoniał. Pochodnie i ogniska wypełniały otwartą przestrzeń pośrodku inkaskiej wioski. Muzycy grali na instrumentach różnego kształtu i wielkości: bębnach obciągniętych skórą lamy, trąbach z tykw i drewna, fletach z trzciny i różnej długości gałęzi, nawet na

piszczałkach skonstruowanych z dużych kości górskiego kondora. Śpiewano, radując się z przybycia gości.

Przed zachodem słońca szaman, *socyoc*, wróżył im, rzucając na ziemię mistyczne *chumpirun*, czyli zestaw odpowiednio dobranych kolorowych kamieni. Ponury na twarzy, wytatuowany mężczyzna studiował uważnie kamienie, potem wstał, uniósł ramiona i oznajmił, że Sam i jego ludzie to wysłannicy Illapy, czyli Boga Piorunów. Natychmiast zarządził ku ich czci całonocne święto.

Wbrew protestom grupka przybyszy została porwana przez tłum i potraktowana po królewsku. Umyto ich, uczesano, ubrano w miejscowe stroje i posadzono na honorowym miejscu. Kolacja trwała bez końca i co chwila pojawiały się kolejne miejscowe dania: pieczone prosię, potrawka z fasoli z mięsem z papugi, sałatka ze smakujących podobnie do szpinaku liści amarantusa z miejscową marchwią zwaną *arrachacha*, ziołowe ciastka z *oca*, rośliny spokrewnionej z patatem. Po długiej głodówce wszyscy członkowie grupy opychali się niemiłosiernie, nie odmawiając niczego, aby nie urazić gospodarzy.

Tylko Norman jadł niewiele. Dostał od ran gorączki i szybko poszedł do przydzielonego im domku. Denal oddalił się zaraz po nim — nie był chory, jedynie zmęczony i senny — zostawiając Maggie i Sama, by do końca uczestniczyli w ceremonii.

Sam ziewnął i przeciągnął dłonią po sięgającej kolan beżowej tunice, w którą go ubrano, i poprawił krótką pelerynę *yacolla*. Na szczęście pozwolono mu zachować ulubiony kapelusz.

Usiadł wygodniej i zwrócił się do Maggie:

— Jak ci ludzie mogli tak długo się tu ukrywać?

— Bo tak chcieli — odparła. Była ubrana w długą brązową tunikę, sięgającą do kostek. Strój uzupełniały szarfa barwy kości słoniowej i szal. Pomacała mocującą szarfę złotą spinkę w kształcie smoka. — Zauważyłeś, że prawie cała wioska jest sprytnie schowana w dżungli? Niemal zakamuflowana. Podejrzewam, że nie widać jej nawet na zdjęciach satelitarnych, zwłaszcza przy nieustannej aktywności geotermalnej. Wszystkie zdjęcia termowizyjne zostałyby przekłamane.

Sam wpatrywał się w zamglone nocne niebo. Było widać ledwie kilka gwiazd.

— Hm... może masz i rację.

— Powiedz mi, Sam, jak to jest być posłańcem Boga Piorunów? — spytała Maggie, zmieniając wątek.

— Moim zdaniem szaman słyszał echa wystrzałów z naszych karabinów. Pewnie dlatego skojarzył nas z Illapą.

— Nie pomyślałam o tym. Niezła hipoteza. A co z nekropolią na dole? Jest niemal lustrzanym odbiciem tej wioski.

Sam zmarszczył czoło.

— Pojęcia nie mam, ale biorąc pod uwagę lokalizację, może ma jakiś związek z inkaskimi trzema poziomami istnienia. Jeśli ta wioska była uważana za część świata środkowego, czyli świata żywych, *cay pacha*, to nekropolię należy uznać za element *uca pacha*, świata dolnego.

— Świata umarłych.

— Dokładnie... w końcu to nekropolia.

— Hm... może. — Maggie mocniej zmarszczyła brwi. — Jeśli masz rację, gdzie jest trzecia wioska?

— To znaczy?

— Inkowie lubili bardzo precyzyjne struktury. Jeśli zbudowali korespondujące ze sobą wioski w świecie dolnym i środkowym, gdzie jest wioska górnego świata, *janan pacha*?

Pokręcił głową. Ogarniało go coraz większe zmęczenie.

— Nie wiem. Więcej odpowiedzi będziemy mieli jutro. Jak na razie cieszymy się świętem na naszą cześć. — Uniósł kubek *chicha*, sfermentowanego napoju z kukurydzy, i wziął długi łyk. Skrzywił się na gorzki smak.

— Nie w twoim guście, co? — spytała Maggie.

— Nic nie zastąpi zimnej butelki budweisera, ale... ma kopa. — Samowi zaczęło się lekko kręcić w głowie. W końcu była już głęboka noc, nawet księżyc zdążył zejść.

Maggie uśmiechnęła się i lekko w niego wtuliła. Wykorzystał okazję i ją objął. Nie odsunęła się ani nie zamieniła sytuacji w żart. Sam wziął kolejny łyk kukurydzianego napoju. Miał nadzieję, że zrobiło się miło i ciepło nie tylko z powodu procentów.

Kolejna grupa zaczęła skomplikowany taniec wokół ogniska na placu. Tancerze — zarówno mężczyźni, jak i kobiety — mieli pomalowane na złoto i srebrno twarze i poruszali się w dokładnie wyliczonym rytmie do

wtóru melodii wygrywanej na czaszce jakiegoś tutejszego jelenia, którego rogi wykorzystywano jako flety.

— Jak tu pięknie... — westchnęła Maggie. — Jak we śnie. Opowieści, które mieliśmy okazję czytać, ozywają.

Sam przyciągnął Maggie bliżej.

— Szkoda tylko, że mój wuj tego nie widzi.

— I Ralph.

Sam przyjrzał się dziewczynie w swych ramionach. Wpatrywała się w ogień, jej oczy zdawały się płonąć, ciepły blask spowijał jej twarz.

Musiała poczuć, że jej się przygląda, bo się odwróciła. Ich twarze znalazły się blisko, zbyt blisko.

— Miałeś rację, Sam... kiedy mówiłeś, że martwi nie mają żalu do żywych. Miałeś rację. Żyjemy... jesteśmy tutaj i nie możemy psuć tego daru poczuciem winy ani smutkiem. To dopiero byłaby prawdziwa tragedia.

Przytaknął skinieniem głowy.

— Nie należy żyć tak, jakby się było martwym — powiedział tak cicho, jakby nie chciał, aby go usłyszano. Wracały wspomnienia lat po śmierci rodziców. Dzielili się smutkiem z wujem, wzajemnie się wspierali, ale tak naprawdę obaj niewiele różnili się od Maggie. Oni też wykluczyli ze swojego życia obcych, użyli wspólnej tragedii jako bariery pozwalającej uniknąć bliskości innych ludzi. Sam już tego nie chciał.

Odważył się przysunąć jeszcze dwa centymetry do Maggie.

Patrzyła mu w oczy, lekko rozchyłała wargi.

Przysunął się jeszcze bliżej, serce waliło mu w takim samym rytmie co bębny — i nagle muzyka umilkła. Na placu zapanowała ciężka jak kamień cisza.

Maggie odwróciła głowę, by sprawdzić, co się dzieje, i intymna chwila prysła jak bańka mydlana.

— Chyba przyjęcie się skończyło — rzuciła Maggie.

Sam miał wrażenie, jakby wielka dłoń ścisnęła go za serce. Nie ufał swojemu głosowi. Przełknął z trudem ślinę, by odzyskać mowę.

— Chyba... chyba tak.

Szła w ich kierunku jakaś postać. Po chwili okazało się, że to szaman, którego imię brzmiało Kamapak. Wspinał się po schodach z szerokim uśmiechem na wytatuowanej twarzy. Sam i Maggie wstali na powitanie. Szaman zaczął mówić w swoim języku, ramiona miał uniesione w geście

łączącym podziękowanie i pożegnanie — najwyraźniej życzył im dobrej nocy. Członkowie plemienia gasili ogniska.

Kiedy Sam wstał, lekko się zatoczył. Napój podziałał. Sam złapał równowagę i spojrzał w stronę gasnących płomieni — były niczym alegoria jego nadziei i emocji. Odwrócił się, nie mógł na nie patrzeć.

Szaman zaprowadził ich do chaty dla gości. Przez całą drogę gadał podniecony.

Sam żałował, że nie ma Denala, który by tłumaczył, rozpoznawał jednak pojedyncze słowa. Szaman powiedział coś o jednym z mitycznych bogów, Inkarrim. Sam tylko się uśmiechnął i pokiwał głową jak ktoś, kto nic nie rozumie.

Kiedy doszli do chat na skraju placu, Kamapak wreszcie umilkł i poklepał Sama po ramieniu. Ukłonił się i odszedł, by nadzorować zakończenie święta.

Maggie bez słowa obserwowała, jak odchodzi. Miała w chacie osobną izbę. Sam stał nieporadnie, zastanawiając się, czy możliwe jest przywołanie minionej chwili, ale dziewczyna wylała wiadro zimnej wody na jego kielkujące nadzieje.

— O co chodziło z tym Inkarrim?

Wzruszył ramionami, próbując przypomnieć sobie epicką opowieść Inków. Inkarrim był synem Inti — Słońca — i ostatnim bogiem-królem swojego ludu. Został pojmany przez hiszpańskich konkwistadorów i ścięty, ale obcięta głowa nie chciała umrzeć. Skradziono ją i ukryto w świętej jaskini, gdzie aż do dziś wyrasta z niej nowe ciało. Kiedy ciało urośnie w pełni, Inkarrim ponownie dojdzie do władzy i przywróci minioną chwałę Inków.

Oczywisty mit. Ostatnim przywódcą Inków był Atahualpa, którego dowodzeni przez Pizarra żołnierze zamordowali za pomocą garoty w 1533 roku, a potem spalili ciało.

Sam pokręcił głową.

— Kto wie, o co mu chodziło? Może rano zgodzi się porozmawiać z Denalem.

— Mimo wszystko... — Maggie pokręciła głową. — Zawsze mi się wydawało, że mity pojawiają się tam, gdzie opowieści o hiszpańskiej konkwiscie mieszają się z opowieściami biblijnymi przedstawianymi przez

misjonarzy, zwłaszcza tymi o zmartwychwstaniu Chrystusa. Dziwne, że *socyoc* tego odizolowanego plemienia opowiada to samo.

— No cóż, niezależnie od źródła opowieści, sprawiał wrażenie bardzo podnieconego.

Maggie skinęła głową i obserwowała wioskę, w której gaszono ogniska i pochodnie. Ciemność ogarniała kamienne domy, jakby je połykała. W końcu dziewczyna westchnęła i się odwróciła.

— Chyba najlepiej będzie iść spać. Jutro czeka nas długi dzień. Dobranoc, Sam.

Machnął ręką na pożegnanie i skierował się do swojej izby. Kiedy odsuwał służącą jako drzwi trzciniową matę, opowieści o inkaskich bogach odpłynęły — zastąpił je obraz patrzącej na niego Maggie, jej błyszczące oczy, obiecujące namiętność. Czuł ból w piersi... przerwano im coś ważnego.

A może dopatrywał się zbyt wiele... pewne było jedno: wspomnienie rozchylonych warg Maggie będzie go dręczyło długo w noc.

Westchnął i wszedł do izby.

DZIEŃ PIĄTY
INKARRI

Piątek, 24 sierpnia, godzina 6.30

Cuzco, Peru

Joan nie spała całą noc. Siedziała przy biurczku w swojej celi, świecąc sobie małą lampą naftową. Na przeżartym przez korniki drewnie leżał arkusz papieru; ogryzek ołówka ledwo dało się utrzymać w palcach, gumka starła się do metalowej skuwki. Joan nie przestawała jednak odszyfrowywać szeregów symboli. Pracowała nad sporządzoną przez siebie kopią wiadomości znajdującej się na odwrocie krucyfiksu ojca Francisca de Almagro. Nikt nie wpadł na pomysł, aby zabrać jej papier, ale w końcu dlaczego mieliby to robić? Nikt poza nią i Henrym nie znał znaczenia symboli.

Joan postukała ołówkiem w wargę.

— Przed czym chciałeś nas ostrzec? — mruknęła po raz tysięczny od powrotu do celi po kolacji. Nie mogła spać, głowa pękała jej od niepokoju z powodu uwięzienia i tego, co ujawnił opat.

Współwięzień w drugiej celi nie ułatwiał jej sytuacji.

Kiedy Henry dowiedział się o grożącym bratankowi niebezpieczeństwie, straciła z nim kontakt — jego spojrzenie stało się twarde i pełne złości, zamknął się w sobie. Podczas kolacji nie powiedział słowa. Jeśli w ogóle można to było nazwać kolacją, Henry bowiem ledwie tknął jagnięce kotlety. Każda próba złagodzenia jego lęków spotykała się z uprzejmą odmową.

Joan wróciła do celi napięta i zaniepokojona. Nie mogąc zasnąć, mniej więcej około północy zaczęła pracować nad kodem.

Przyjrzała się efektom swojej pracy. Duże fragmenty wiadomości udało się przetłumaczyć, ale pozostawało jeszcze wiele luk. Wskazówki udzielił jej opat Ruiz, podając nazwę *el Sangre del Diablo*. Joan dość szybko doszła do wniosku, że wśród symboli przypominających runy każdy odpowiada jednej literze alfabetu i chodzi o prosty szyfr, polegający na zastępowaniu liter innymi znakami. Na początku wystarczyło znaleźć sekwencję

odpowiadającą zwrotowi *el Sangre del Diablo*. Modliła się, aby się okazało, że zakonnik w którymś miejscu wymienił nazwę.

Tak też było!

Po przypisaniu pewnych symboli określonym literom odszyfrowanie reszty było sprawą kolejnych prób i eliminacji błędów. Jednak okazało się to wcale nie takie łatwe. Po pierwsze nie znała płynnie hiszpańskiego. Jaka szkoda, że nie miała do pomocy Henry'ego — zwłaszcza że tekst, który odcyfrowała, układał się jednoznacznie w rodzaj przesłania, ostatnie słowa zakonnika, jego końcowe ostrzeżenie dla świata.

Uniosła kartkę wyżej. Z każdym słowem, które czytała, przeszywał ją dreszcz:

Oto słowa mej ostatniej woli... Niech Bóg mi wybaczy... Wąż Edenu... zaraza... Krew Diabła niszczy dobre dzieło Boga... nasze Zbawienie jest w rękach Prometeusza... módlcie się... oby Wąż nigdy nie został uwolniony.

Joan westchnęła, odłożyła ołówek i kartkę, po czym potarła zmęczone oczy. Więcej nie osiągnie. Ojciec de Almagro był szalony albo śmiertelnie przerażony, po tym jednak, co widziała w krypcie pod opactwem, Joan nie miała już pewności, czy w jego majakach nie tkwi ziarno prawdy. Cokolwiek znalazł, to go przeraziło.

Na korytarzu rozległy się kroki, wyrywając Joan z zadumy.

Szybko zwinęła żółtą kartkę i wsunęła ją do kieszeni. Jeśli będzie miała chwilę sam na sam z Henrym, poprosi go o opinię... oczywiście, jeśli zechce jej wysłuchać. Dobrze pamiętała, jak uparty bywał Henry w młodości, często popadał w ponury nastrój i stawał się dla niej niedostępny. Teraz jednak nie pozwoli mu się wywinąć — nawet jeśli będzie musiała wykrecić mu rękę, zmusi go do słuchania. Francisco de Almagro przestraszył się czegoś w górach, czegoś związanego z tajemniczą substancją. Jeśli bratanek Henry'ego tkwił w centrum rozgrywających się tam wydarzeń, lepiej będzie, jeśli dumny pan profesor zechce jej wysłuchać.

Rozległo się ostre pukanie do drzwi.

— Opat życzy sobie widzieć was oboje! — rozległ się głos Carlosa. W zamku rozległ się szcęk klucza.

Co teraz?

...

Henry znów siedział w gabinecie opata. Ściany zastawiono regałami pełnymi książek, za szerokimi oknami widać było kościół Świętego Dominika, którego krzyż błyszczał w porannym słońcu. Za Henrym ustawił się kolejny mnich — też z pistoletem w dłoni.

Henry jednak nie dostrzegał otoczenia. Oczami wyobraźni widział Sama, zasypanego tonami granitowych bloków oraz ziemi, i mimowolnie zaciskał pięści. To jego wina! Co sobie myślał, pozostawiając wykopalisko pod opieką garstki niedoświadczonych studentów? Odpowiedź była oczywista: zaślepiła go szansa na udowodnienie swojej teorii. Wszystko przestało się wtedy liczyć, nawet bezpieczeństwo Sama.

Skrzypnięcie ciężkich drzwi zapowiedziało przybycie kolejnej osoby. Henry spojrzął przez ramię — Carlos wprowadzał do gabinetu Joan. Miała podpuchnięte powieki, a stan ubrania świadczył o tym, że nawet na chwilę nie zmrużyła oka.

Wchodząc, nie uśmiechnęła się do niego. Dlaczego miałyby się uśmiechnąć? Była kolejną osobą, której bezpieczeństwo naraził przez swoją głupotę. Wkroczył znów do jej życia tylko po to, by ściągnąć na nią niebezpieczeństwo.

— Siadaj — niegrzecznie rozkazał Joan Carlos. — Opat Ruiz zaraz tu przyjdzie. — Mruknął coś po hiszpańsku do drugiego zakonnika, zbyt cicho i szybko, by Henry zrozumiał, po czym wyszedł.

Joan opadła na krzesło przed mahoniowym biurkiem.

— Jak się masz? — spytała.

Henry nie miał nastroju do rozmów, ale zasługiwała na odpowiedź.

— Ujdzie. A ty?

— Tak samo. To była długa noc. — Joan popatrzyła na wartownika i pochyliła się do Henry'ego. Dotknęła jego kolana, udając intymność pocieszających się kochanków. Jej słowa były nie głośniejsze od oddechu. — Chyba odszyfrowałam większość tekstu z krucyfiksu twojej mumii.

— Słucham? — Henry od razu nadstawił uszu.

Jego gwałtowna reakcja nie uszła uwagi strażnika. Wbił w niego wzrok i uniósł pistolet.

Henry ściszył głos i dotknął policzka Joan. Udawanie kochanka tej kobiety nie wymagało od niego wielkich umiejętności.

— Co masz na myśli? — szepnął. — Wyrzuciłem krzyż w laboratorium.

Joan sięgnęła do kieszeni i wysunęła róg żółtej kartki.

— Mam kopię.

Henry szeroko otworzył oczy. Kotłował się całą noc w poczuciu winy i złości, a Joan spędziła ją na konstruktywnej pracy. Zaczerwienił się ze wstydu. Z drugiej strony nie było w tym nic zaskakującego — ta kobieta zawsze była zdolna do niezwykłych rzeczy.

— Ostrzega przed tajemniczą substancją — kontynuowała Joan szeptem. — Jego ostatnie słowa to dość bełkotliwe ostrzeżenie przed chorobą albo zarazą związaną z substancją Z. Czymś, o czym ten zakon chyba nie miał pojęcia... i do dziś nie ma.

Henry znowu poczuł, że tajemnica go wciąga. Dopóki znajdowali się w rękach opata, nie mógł bezpośrednio pomóc Samowi, ale wiedzę można wykorzystać niemal tak samo dobrze jak broń.

— Czego się obawiał?

— Nie odczytałam wszystkiego. Brakuje szeregu fragmentów i pojawiają się niejasne odniesienia do Węża Edenu i greckiego mitu o Prometeuszu. Potrzebuję twojej pomocy, aby wypełnić luki.

Henry szybko spojrział w kierunku wartownika. Najchętniej rzuciłby okiem na tłumaczenie, nie było jednak o czym marzyć.

— Wąż Edenu to na pewno odwołanie do biblijnego kuszenia zakazaną wiedzą, metafora czegoś, co równocześnie mami i psuje.

— Może jak substancja Z.

— Może...

— A to z Prometeuszem?

Henry pokręcił głową.

— Nie dostrzegam związku. Był jednym z mitycznych tytanów, ukraść bogom ogień i dał go ludziom, za co został przykuty do skały, by dzień w dzień wielki sęp wydziobywał mu wątrobę, która odrastała w nocy.

Joan zmarszczyła czoło.

— Dziwne... dlaczego mowa akurat o tym?

Henry opadł na oparcie krzesła i w milczeniu dumał nad zagadką. Lepsze to, niż bezużytecznie zadręczać się losem Sama. Zdjął okulary i potarł oczy.

— Musi być jakiś powód.

— Zakładając, że zakonnik był zdrowy na umyśle, kiedy grawerował krzyżyk.

— Tego nie wiemy, ale zastanówmy się. Ze słów opata wynika, że Francisco szukał złoza-matki, prawdziwego źródła *el Sangre*. Wiedział o zdolności tej substancji do przemiany, więc myślę, że twoje poprzednie założenie jest prawidłowe. Odkrył coś w górach, co zmieniło jego pogląd o substancji Z.

— I przeraziło go to na śmierć.

— Zabito go jednak i zmumifikowano, co sugeruje, że po dokonaniu odkrycia został pojmany przez Inków. Jeśli chciał ostrzec swój zakon, wiadomość na krzyżu była dobrym pomysłem. Musiał wiedzieć o tym, że inkascy szamani pozostawią w spokoju wszystkie osobiste przedmioty znalezione przy zmarłym, zwłaszcza złote. Była to jedyna możliwość wysłania wiadomości, niestety nie zadziałała. Musiał liczyć na to, że jego ciało nie zostanie zmumifikowane i pochowane, lecz zwrócone Hiszpanom.

— Więc co to oznacza?

Henry popatrzył na Joan z niepokojem. Nie miał na to pytanie odpowiedzi.

W tym momencie przerwano im dalszą rozmowę. Otworzyły się drzwi i do pokoju wmaszerował opat Ruiz, zaczerwieniony na twarzy z wysiłku albo podniecenia. Tuż za nim wszedł Carlos i zajął miejsce obok drugiego strażnika. Ruiz podszedł do biurka i z westchnieniem opadł na fotel. Przez chwilę w milczeniu przyglądał się więźniom.

— Dobre wieści, profesorze — powiedział w końcu. — Z gór.

Henry mimowolnie się wyprostował.

— Co z Samem i resztą?

— Na pewno się pan ucieszy, że udało im się wyjść z zawałonej świątyni. Są bezpieczni.

Henry przełknął rosnącą mu w gardle gulę. Joan wyciągnęła ku niemu rękę i z wdzięcznością ją ujął.

— Dzięki Bogu...

— W rzeczy samej to Jemu powinien pan być wdzięczny — odparł opat. — To jednak nie wszystko.

Czując kolejną falę niepokoju, Henry popatrzył na Ruiza.

— Wygląda na to, że dobrze wyszkolił pan bratanka — powiedział opat z szerokim uśmiechem.

— To znaczy?

— Wraz z kolegami dokonał w górach zdumiewającego odkrycia.

Henry zmrużył oczy.

Ruiz opadł na oparcie fotela. Wyraźnie bawiło go, że ma w zanadru niespodziankę.

— Znalazł zaginione inkaskie plemię mieszkające w wiosce ukrytej wysoko w stożku wulkanicznym.

— Co takiego?! — Henry z zaskoczenia ścisnął mocniej dłoń Joan. Nie wiedział, co sądzić o tej wiadomości. Czyżby opat próbował jakichś sztuczek? — To pewne?!

— Będziemy to musieli zweryfikować. Cały poranek spędziłem na organizacji naszej wspólnej wyprawy.

— Naszej... wspólnej wyprawy?

— Tak, udamy się tam we dwóch: pan i ja. Będziemy potrzebowali pańskiej fachowej wiedzy, profesorze. Poza tym pańska obecność będzie potrzebna, aby przekonać bratanka do pełnej współpracy. — Opat szybko streścił komunikaty radiowe Sama oraz to, co było wiadomo o ucieczce studentów przez jaskinie i dotarciu do wioski w górach. — Jak więc pan widzi, profesorze, nie wiemy dokładnie, o który wulkan chodzi. Są ich w okolicy setki. Pański bratanek zaproponował, że da znak za pomocą ognia, i jestem pewien, że jeśli będzie pan z nami, zrobi to jak najszybciej.

Henry musiał przetrwać nowiny. Było ich tyle, że wymagały uporządkowania. Po pierwsze: Sam był bezpieczny. Jeśli jednak on zaakceptuje propozycję Ruiza i włączy się do działania, może to mieć groźne skutki dla bratanka. Z drugiej strony w terenie może nadarzyć mu się okazja, by go ostrzec i unicestwić plany Ruiza. Tkwiąc w więzieniu, na pewno mu nie pomoże.

Joan ścisnęła jego dłoń, jakby czuła, w jak trudnej sytuacji się znalazł.

Ruiz wstał.

— Odlatujemy helikopterem za dziesięć minut — zapowiedział. — Liczy się każda minuta.

— Dlaczego? — spytał Henry.

Ruiz popatrzył na niego jak na krnąbrnego ucznia.

— Ponieważ doszliśmy do wniosku, że pański bratanek odkrył nie tylko inkaskie plemię. Być może natrafił także na złożę-matkę *el Sangre del Diablo*. Z jakiego innego powodu mieliby się tam chować Inkowie? Najprawdopodobniej po to, aby czegoś strzec.

Joan i Henry wymienili niespokojne spojrzenia.

— Musimy się pospieszyć. — Opat machnął na Carlosa, który wysunął się do przodu, wciąż z glockiem w dłoni.

— Ruszać się! — rzucił ostro strażnik, wbijając lufę w szyję Henry’ego.

Opat najwyraźniej nie dostrzegł manier swojego pomocnika. Jakby umywał ręce, obszedł biurko i ruszył ku drzwiom.

Henry i Joan wstali.

— Ty nie! — rzucił Carlos, wskazując na Joan. — Ty zostajesz.

Henry przyciągnął ją do siebie.

— Leci ze mną albo ja też się stąd nie ruszę.

Opat, który już zdążył dotrzeć do drzwi, odwrócił się na odgłos zamieszania.

— Proszę się nie obawiać, profesorze. Doktor Engel zostanie, aby chciał pan współpracować. Dopóki będzie pan spełniał nasze polecenia, nic jej nie grozi.

— Pieprzę to! Nigdzie nie leczę!

Opat skinął głową i Carlos uderzył szybciej, niż Henry zdążył się zorientować. Potężna dłoń plasnęła Joan na odlew w twarz. Cios był tak silny, że kobieta jak ścięta runęła na podłogę.

Henry natychmiast przy niej uklęknął.

Uniosła dłonie znad bladej twarzy. Palce miała zakrwawione, wargę rozciętą.

Henry odwrócił się wściekły do Ruiza i zakonnika.

— Wy przekłęci dranie! Nie było potrzeby!

— Ani nie ma potrzeby bluźnić — spokojnie odparł Ruiz. — Lekcja mogła być znacznie mniej przyjemna. Jeszcze raz proponuję wspólny wyjazd, profesorze. Proszę nie odmawiać, bo Carlos następnym razem nie będzie aż tak pobłażliwy.

Joan pchnęła Henry’ego, aby wstał.

— Leć — powiedziała przez łzy. — Rób... co każą.

Także dla niego było oczywiste, że nie ma wyboru. A mimo to... Przysunął się jeszcze bliżej do Joan.

— Nie mogę cię zostawić samej.

Uklękła i starła krew z ust.

— Musisz — powiedziała na granicy płaczu. Objęła Henry’ego i wpadła mu w ramiona. — Idź, Henry. Pomóż Samowi — szepnęła mu do ucha znacznie pewniejszym tonem.

Zdziwiła go ta nagła przemiana, ale szybko pojął, że numer z „wiedzącym fiołkiem” był jedynie na użytek oprawców.

— Jeśli dranie mają rację, że jest tam złoże-matka, tylko ty znasz ostrzeżenie Francisca. Więc leć tam, ja tu na miejscu zrobię wszystko, co mogę.

— Ale... — Henry nie wiedział, co powiedzieć.

Objęła go mocniej, udając, że płacze.

— Daj spokój z tymi szowinistycznymi bzdetami. Miałam o tobie lepsze mniemanie — powiedziała mu do ucha, po czym zaczęła lamentować: — Proszę, rób... wszystko, co każą. Dla mojego dobra! Tylko wróć do mnie!

Nawet w tych okolicznościach Henry nie mógł powstrzymać uśmiechu. Zasłonił usta włosami Joan.

— Teraz trochę przegięłaś...

Joan pocałowała go delikatnie w ucho i znowu zniżyła głos do szeptu.

— Obyś się nie pomylił, Henry! Lepiej do mnie wróć. Nie mam ochoty, żebyś znowu zniknął z mojego życia jak po studiach.

Siedzieli objęci jeszcze chwilę, po czym Joan zdecydowanie go odepchnęła.

— Ruszaj się!

Henry wstał. Czuł na policzku ciepło pocałunku. W oczach Joan były łzy, prawdopodobnie niewymuszone.

— Wrócę — obiecał cicho.

Carlos złapał go za łokieć.

— Idziemy! — rzucił surowo i pociągnął go za sobą.

Tym razem Henry nie stawiał oporu. Odwrócił się do drzwi, kątem oka po raz ostatni zerknął na Joan. Dotknęła zakrwawionymi palcami kieszonki na piersi i niemo wypowiedziała ostatnie ostrzeżenie.

Komunikat od Joan huczał mu w głowie w drodze korytarzem — równocześnie jako zagadka i ostrzeżenie.

STRZEŻ SIĘ WĘŻA

. . .

Kiedy następnego ranka Sam wstawał z plecionej z traw łóżka, dwie rzeczy zwróciły jego uwagę. Po pierwsze nie mógł uwierzyć, że w ogóle zdołał zasnąć. Izba, w której go ugoszczono, była pełna wyrobów inkaskiego rzemiosła: ceramiki z emaliowanymi wzorami, gobelinów

ukazujących bogów w trakcie walki, prostych drewnianych przedmiotów codziennego użytku, kamiennych narzędzi. Naprawdę byli w żywej wiosce Inków! Nie mógł uwierzyć, że sen minionej nocy się nie rozwiął.

Po drugie okazało się, że inkaskie piwo *chicha* powoduje kaca, jakiego nie wywołał u niego jeszcze żaden alkohol. Głowa dudniła mu jak bęben podczas wczorajszego święta, a język stał się szorstki niczym małpi ogon.

— Boże, a nawet dużo nie wypilem... — Sam przeciągnął się, poprawił przepaskę biodrową i usiadł na łóżku. — To pewnie z powodu wysokości.

Poszukał tuniki, która leżała w kącie, i ją założył. Nasunął na głowę stetsona i ruszył ku wyjściu. Denal i Norman już wstali — ich łóżka były puste.

Odsunął zasłaniającą wejście trzciniową matę i oślepiło go poranne słońce. Jego oczy nie nadawały się do tego światła. W okolicznych drzewach śpiewały ptaki, zapach lawendy niemal całkowicie tłumił wszechobecny odór siarki dolatujący z wulkanu.

— Nareszcie — rzuciła Maggie, która siedziała pod chatą z Normanem i Denalem. — Na pewno ucieszy cię fakt, że Inkowie mają coś w rodzaju kawy.

Sam uniósł ręce do oczu i ruszył w kierunku głosu dziewczyny.

— To poproszę.

Oczy powoli przyzwyczajały mu się do słońca i po chwili dostrzegł swoich towarzyszy, ubranych w podobne jak on tuniki, skupionych wokół dwóch kobiet, które krzątały się przy piecyku z kamieni. Cała trójka z politowaniem się uśmiechnęła, widząc jego marny stan.

Pokuśtykał w ich kierunku. Na niewielkich otworach piecyka stały grube gliniane garnki, w których gotował się poranny kleik i dusiły warzywa. Z wnętrza pieca unosił się zapach świeżo pieczonego chleba i jakiś inny aromat, którego Sam nie umiał określić.

Pochylił się i wciągnął wydobywające się z piecyka zapachy, by oczyścić umysł zasnuty pajęczynami.

— Nawóz lamy — wyjaśniła Maggie.

Sam gwałtownie się wyprostował.

— Słucham?

— Pałą w piecykach odchodami lamy.

— Rozkoszne. — Cofnął się o krok.

Gotujące jedzenie inkaskie kobiety paplały między sobą, rzucając obcym zaciekawione spojrzenia. Jedna z nich była w ciąży. Sam wiedział, że inkaska etyka pracy była restrykcyjna: pracować musiał każdy. Inkowie mieli nawet powiedzenie: *Ama sua, ama lulla, ama quella*. Nie kradnij, nie kłam, nie leń się. Jediną oznaką dbałości o ciężarną był niski stołeczek *duho*, na którym kobieta mogła przysiąść podczas pracy. Był to jeden z niewielu mebli, jakie robili Inkowie.

Sam wziął od Maggie kubek z gęstym jak syrop napojem i popatrzył z powątpiewaniem na zawartość.

— Pomaga — powiedziała ze słabym uśmiechem. Wyglądała, jakby sama jeszcze nie do końca pozbyła się skutków wybuchowego trunku.

Sam wziął łyk inkaskiej kawy. Wyczuł orzechy i nutę cynamonu. Zadowolony, że napój smakuje lepiej, niż wygląda, usiadł. Po kilku łykach stwierdził, że Maggie się nie pomyliła: inkaska kawa oczyszczała umysł, choć myśli nie do końca stały się klarowne. Sam obiecał sobie, że już nigdy nie posmakuje uroków *chicha*. W końcu podniósł głowę.

— Jaki plan na dziś rano?

— Rano? — odparł Norman. — Zaraz będzie południe. Już jestem gotów na krótką sjęstę. — Był zawadiacki, ale zdradzała go bladość. Dopiero teraz Sam zauważył, że skóra jego twarzy chorobliwie błyszcząca, a Norman przy każdym kroku wspiera się na Denalu.

— Jak noga?

Fotograf podciągnął skraj tuniki. Obandażowane kolano było ewidentnie opuchnięte.

Jedna z kobiet pochyliła się i przyjrzała nodze Normana. Coś powiedziała po inkasku, trzy pary oczu skierowały się na Denala.

Przetłumaczył — na szczęście kiczua był podobny do inkaskiego, od którego pochodził.

— Mówi, że Norman musi iść do świątyni.

— Świątyni? — zdziwił się Sam.

— Nie pozwolę grzebać sobie w nodze żadnemu szamanowi — oświadczył zdecydowanie Norman i opuścił tunikę. — Wytrzymam, aż zjawi się pomoc. A skoro mowa o szamanach, próbowałeś skontaktować się z Philipem?

Sam pokręcił głową.

— Zaraz to zrobię. Jeśli do wieczora nie uda się ściągnąć helikoptera, może lepiej będzie, jak dasz obejrzeć się szamanowi. Inkowie znali się na medycynie. Zajmowali się nawet chirurgią.

Norman przewrócił oczami.

— Nie sądzę, by moja kasa chorych pokryła koszty.

— Więc przynajmniej się połóż. Spróbuję złapać Sykesa.

Denal pomógł Normanowi wrócić do chaty, Sam poszedł za nimi po plecak, w którym trzymał walkie-talkie. Fotograf, siadając na łóżku, głośno jęknął.

— Zadbaj o to, żeby dużo dziś pił — polecił Sam Denalowi. — Kiedy go ułożysz, przyjdź do mnie. Potrzebuję, żebyś dla mnie potłumaczył.

Odszedł kilka metrów od chaty i włączył walkie-talkie. Wskaźnik baterii był czerwony — zostało niewiele czasu na rozmowy.

— Sam do bazy. Sam do bazy. Odbiór.

Podeszła Maggie, by pokibicować w trakcie rozmowy z Philipem.

Odpowiedź była niemal natychmiastowa.

— Najwyższy czas, Conklin! — wrzasnął Philip, przebijając się przez szumy.

— Udało się zorganizować pomoc? Norman jest poważnie ranny i potrzebujemy szybkiej ewakuacji.

— Twój wuj zaraz tu będzie! — Elektroniczny szum nie mógł całkiem ukryć podniecenia w głosie Philipa. — Profesor! Właśnie wyruszył z Cuzco! Powinien być tu z helikopterem i świeżymi zapasami jutro o świcie.

Maggie mocno ścisnęła łokieć Sama.

— Nie udało mi się z nim porozmawiać — ciągnął Philip. — Radio nadal nie działa, ale wieść dotarła z Cuzco do Villacuacha, a stamtąd do nas. Mnisi rano zaimprovizowali sieć walkie-talkie. Informacja dotarła do nas przed godziną!

Sam miał mieszane uczucia. Wuj Hank był w drodze! Z drugiej strony liczył na ratunek jeszcze dziś — niestety nie było to realne. Od najbliższego miejsca dysponującego czymś, co choćby w przybliżeniu przypomina lotnisko, dzieliły ich setki kilometrów. Wcisnął przycisk nadawania.

— Wspaniałe wieści, ale ściągnij helikopter jak najszybciej! Jeśli będziesz mógł, popędź mojemu wujowi kota. Na wypadek gdyby dotarł wcześniej, będziemy całą noc palić ogniska! — Czerwona lampka na

obudowie zaczęła groźnie migotać. — Muszę kończyć! Skontaktuję się o zachodzie słońca!

Szum połąkła słowa Philipa. Trzaski były tak intensywne, że Sam znowu poczuł ból głowy. Zaklął i wyłączył walkie-talkie. Miał nadzieję, że ostatni komunikat dotarł.

— Jutro o świcie — powiedziała Maggie z wyraźną ulgą w głosie. Odwróciła się i popatrzyła na wioskę. — Wspaniale będzie mieć tu profesora.

Sam podszedł do niej.

— Martwię się o Normana. Naprawdę uważam, że powinniśmy pogadać z szamanem. Sprawdzić, czy tutejsi ludzie mają coś w rodzaju aspiryny albo środków przeciwbólowych.

Z chaty wyszedł Denal.

— Norman śpi — powiedział, podchodząc, ale wargi miał zaciśnięte, jakby się bardzo niepokoił.

— Może znajdziemy szamana — powiedziała Maggie. — Denal, pomożesz nam?

Chłopak skinął głową i odwrócił się do wioski.

— Zapytam. — Zmrużył oczy i przyjrzał się domom. — Ale coś tu jest nie tak.

— Co masz na myśli?

— Nie ma dzieci — odparł Denal.

Maggie i Sam popatrzyli po sobie, po czym się rozejrzeli.

— Na pewno mają tu... — zaczął Sam, ale zaraz zamilkł. Wczoraj nie widzieli dzieci, ale był wieczór. Świętowali do późnej nocy, więc też nie zwrócił uwagi na brak dzieci.

— Ma rację — powiedziała Maggie. — Jestem na nogach przynajmniej od godziny i nie widziałam żadnego.

Sam wskazał na pracujące przy piecu kobiety.

— Ale ta jest w ciąży. Dzieci muszą gdzieś być. Może chowają je przed nami z ostrożności?

Maggie zmarszczyła nos.

— Zaakceptowali nas bez zastrzeżeń. Nie ma nigdzie strażników ani nikogo w tym rodzaju.

— Zapytajmy. — Sam wskazał ruchem głowy ciężarną kobietę.

Podeszli do piecyka, Sam trącił Denala palcem.

— Spytaj, gdzie są dzieci.

Chłopiec zbliżył się do kobiet i zadał pytanie. Ciężarna najwyraźniej nie czuła się dobrze w jego towarzystwie, bo osłoniła brzuch. Odpowiadała wyraźnie podniecona — w równym stopniu mówiła, co gestykulowała.

Sam spojrział w kierunku, który wskazywała: na sąsiedni wulkaniczny stożek, górujący nad tym, w którym się znajdowali.

Denal po jakimś czasie zrezygnował i wrócił do nich.

— Nie ma dzieci. Idą do *janan pacha*. Do nieba. — Skinął głową w kierunku sąsiadującego wulkanu.

— Składają je w ofierze? — spytała z niedowierzaniem Maggie. Krwawe rytuały z udziałem dzieci nie były obce kulturze Inków. — Ale wszystkie?

Podeszła do ciężarnej kobiety. Ułożyła ramiona tak, jakby trzymała niemowlę, i zaczęła nimi bujać.

— *Wawas... wawas...?* — spytała, po czym wskazała na brzuch kobiety.

Oczy Indianki powiększyły się z przerażenia, a potem zwężyły ze złości. Przycisnęła dłoń do brzucha.

— *Huaca* — powiedziała dobitnie, po czym zaczęła szybko mówić po kiczuańsku.

— *Huaca*. Święte miejsce — przetłumaczył Denal. — Mówi, że jej brzuch to już nie dom dla dzieci, ale bogów. Nie ma tu dzieci od lat. Wszystkie idą do świątyni.

Kobieta odwróciła się do nich plecami, dając znać, że skończyła tę rozmowę. Ich pytania wyraźnie ją obrażały.

— Jak myślisz, o co jej chodzi? — spytała Sama Maggie.

— Nie mam pojęcia, ale to chyba kolejny powód, żeby odwiedzić szamana. — Machnął na Maggie i Denala, aby za nim szli. — Znajdźmy Kamapaka.

Poszukiwania okazały się znacznie trudniejsze, niż się spodziewali. Większość mężczyzn poszła pracować na pola albo polować — w tym szaman. Denalowi udało się wydebić kilka wskazówek od mieszkańców wypełniających obowiązki w obrębie wioski i trójka przybyszy wkrótce szła ścieżką przez dżunglę. Minęli starannie wypielęgnowane sady owocowe i zagajniki poprzycinanych drzew awokado, szerokie zaorane pole, na którym komosa rosła na przemian z kukurydzą, papryką, fasolą

i dyniami. Na polach pracowali mężczyźni i kobiety. Na jednym z nieobsianych pól mężczyźni za pomocą *tacllas*, czyli długich drągów zakończonych czymś, co przypominało lemiesz pług, przewracali górną warstwę ziemi, a kobiety pomagały, używając prostych motyk *lampa*. Maggie i Sam zatrzymali się, by poobserwować pracę, zauroczeni widokiem starożytnych inkaskich narzędzi.

— Nie mogę uwierzyć... — po raz setny tego dnia powiedział Sam.

— Tędy. — Denal pchnął go palcem, by szli dalej.

Sam i Maggie ruszyli za chłopakiem, cały czas oglądali się jednak przez ramię. Weszli znowu do dżungli, ale wkrótce znaleźli się na polanie. Był tu szaman z kilkoma mężczyznami. Na czymś, co przypominało sanie, leżały ułożone sągi drewna. Zgromadzeni tu Inkowie mogli być braćmi — wszyscy byli silnymi, umięśnionymi mężczyznami, szamana odróżniały jedynie tatuaże. Z początku zdziwił się obecnością gości, zaraz jednak szeroko się uśmiechnął i dał znak, by podeszli. Zaczął szybko mówić.

— Wita nas — przetłumaczył Denal. — Mówi, że przychodzimy akurat, by pomóc.

— W czym?

— W ściągnięciu drewna do wioski. Wczoraj wieczorem spalili dużo zapasów.

Sam jęknął, kac jeszcze nie do końca mu przeszedł.

— Wysłanicy bogów czy nie, chyba musimy zarobić na wikt i opierunek. — Stał obok Kamapaka i chwycił jeden z pasów, które zarzucało się na ramiona, by ciągnąć jak koń. Denal trzymał się tuż obok.

Maggie szła przodem, pomagała usuwać kamienie z drogi.

Sześciu mężczyzn jak woły robocze ciągnęło „sanie”, które okazały się lżejsze, niż Sam się spodziewał. Jeden z Inków podał mu liście koki, których żucie ułatwiało oddychanie i pracę na dużej wysokości. I... łagodziło kaca. Po chwili Sam stwierdził, że ból głowy niemal całkowicie zniknął. Ciekawe, czy roślina zadziałałaby przeciwgorączkowo i przeciwbólowo w przypadku Normana.

Nastrój wyraźnie mu się poprawił i Sam zaczął gawędzić z szamanem, oczywiście za pośrednictwem Denala.

Pytanie o dzieci spotkało się z taką samą konsternacją co w przypadku kobiety.

— Świątynia zabiera dzieci z brzuchów naszych kobiet. Jesteśmy blisko *janan pacha*. — Ruchem głowy szaman wskazał wierzchołek wyższego wulkanu na południu. — Bóg, Con, pobłogosławił naszych ludzi. Nasze dzieci są teraz jego dziećmi. Żyją w *janan pacha*. Jako dary dla Cona.

Sam ruchem ramion dał Maggie znak, aby podeszła. Con był bogiem plemienia z północy. W legendach rozgrywał imponujące bitwy z Pachacamakiem, twórcą świata, ale podobno to Con stworzył na Ziemi człowieka.

— Ta świątynia... — rzekł Sam, żując słodko-gorzkie liście. — Możemy ją zobaczyć?

Oczy szamana zwężyły się i energicznie pokręcił głową.

— To zakazane.

Sam nie drażył tematu. Wysłannik Boga Piorunów... najwyraźniej Illapa nie znajdował się odpowiednio wysoko w tutejszej hierarchii.

Podeszła Maggie.

— Zastanawiałam się nad uwagą Denala o braku dzieci i coś jeszcze zwróciło moją uwagę. W tym społeczeństwie brakuje jeszcze jednego elementu.

— To znaczy?

— Starych ludzi. Wszyscy, których widzieliśmy, są mniej więcej w tym samym wieku... tak około dwudziestki.

Teraz i Sam to sobie uświadomił. Nawet szaman nie mógł być wiele starszy od niego.

— Może krótko żyją?

— Chyba żartujesz. Żyją w izolacji. Nie ma tu groźnych drapieżników, o ile nie liczyć tych z jaskiń.

Sam odwrócił się do Kamapaka i z pomocą Denala zapytał o brak starszych ludzi.

Odpowiedź okazała się nie mniej tajemnicza niż w przypadku dzieci.

— Świątynia nas karmi, Bóg nas chroni.

Sądząc po tonie szamana, była to wyuczona na pamięć, powtarzana od wieków formułka. I najwyraźniej odpowiedź na większość pytań. Kiedy Maggie zadawała pytania — na temat ochrony zdrowia i chorób mieszkańców — odpowiadano jej tak samo.

— Wygląda na to, że wszyscy tam trafiają, starzy, młodzi, chorzy i słabi — powiedziała do Sama.

— Uważasz, że składają ich w ofierze?

Wzruszyła ramionami.

Sam chwilę zastanowił się nad jej słowami, po czym odwrócił do Denala, by spróbować innego tematu rozmowy.

— Opisz stwory, które spotkaliśmy w jaskiniach.

Chłopak zmarszczył czoło — najwyraźniej zmęczony rolą tłumacza — spełnił jednak prośbę Sama. Kiedy Denal mówił, twarz szamana coraz bardziej się chmurzyła. Zawołał do ludzi, by przestali ciągnąć drewno. Kiedy odpowiedział, w jego głosie pobrzmiwała groźba.

— Nie mów o tych, którzy wędrują po *uca pacha*, podziemnym świecie. To *mallaqui*, duchy, i nie należy o nich nawet szeptać. — Szaman kazał pociągnąć drewno.

Sam przyjrzał się wulkanowi na południu.

— Na górze raj, na dole piekło. Wszystkie duchowe światy Inków są zjednoczone w tej dolinie. *Pacariscas*, magiczne ogniwo.

— Jak myślisz, co to oznacza? — spytała Maggie.

— Nie wiem, ale już się nie mogę doczekać przybycia mojego wuja.

Wkrótce dociągnęli „sanie” z drewnem do skraju wioski. Zdążyło minąć południe, więc robotnicy ściągnęli uprząże i rozproszyli się po wiosce. Uliczki wypełniali rozgadani, szczęśliwi ludzie. Chyba wszyscy wrócili z pól, by cieszyć się przerwą na obiad.

Sam, Maggie i Denal poszli do swojej chaty. Sam zauważył, że kobiety, które przedtem gotowały, teraz napełniają kamienne misy pieczoną kukurydzą i mięsem. Uśmiechnął się, nagle uświadamiając sobie, jak bardzo jest głodny.

— Powinniśmy obudzić Normana — powiedziała Maggie. — Musi coś zjeść.

— Obudzę go — rzekł Denal i pobiegł przodem.

Maggie i Sam stanęli w kolejce po posiłek. W innych miejscach wioski też stały piecyki, dymiąc niczym małe wulkaniczne kratery. Jak większość inkaskich osad, także ta była podzielona na *ayllu* — grupy składające się z kilku rodzin, z których każda miała własną kuchnię. O ile pogoda pozwalała, Inkowie zawsze jadali na świeżym powietrzu.

Kiedy Sam doszedł do czoła kolejki, dostał miskę parujących duszonych warzyw, zwieńczonych dużą łyką rozgniecionej pieczonej

kukurydzy. W środek wetknięty był mały kawałek suszonego mięsa — *charqui*, z lamy.

Sam wahał jedzenie, kiedy z chaty wypadł Denal. Twarz chłopaka była ściągnięta i poważna.

— Co się stało? — spytała Maggie.

— Zniknął. — Denal rozejrzał się. — Znalazłem jego koc i rozrzucone siano.

— Rozrzucone?

Denal z trudem przełknął ślinę.

— Jakby z kimś walczył.

Maggie popatrzyła na Sama.

— Zanim zaczniemy panikować, zapytajmy — odparł Sam. Dał Denalowi znak, by poszedł zapytać ciężarnej, która wydawała jedzenie.

Chłopiec zaczął szybko do niej mówić, kobieta pokiwała kilka razy głową i szeroko się uśmiechnęła. Denal po chwili odwrócił się do Sama, ale na jego ustach nie było uśmiechu.

— Niosą go do świątyni.

...

Późnym popołudniem Joan siedziała z młodym mnichem w jednym z laboratoryjnych boksów głęboko w sercu opactwa. Zgodnie z obietnicą opat wydał rozkazy, by traktowano ją jak gościa, więc gdy zechciała przyjrzeć się badaczom przy pracy, jej prośba — choć niechętnie — została spełniona. Oczywiście Joan była pod stałym nadzorem przydzielonego jej stróżującego psa. Nawet teraz widziała Carlosa za szybą, stał z dłonią opartą o tkwiący w kaburze pistolet.

Młody mnich imieniem Anthony znowu do niej przemówił:

— Oczywiście, każdy z nas ma własną teorię — powiedział neutralnym tonem, płynnie po angielsku. — Nie pozwalamy, aby wiara mąciła nam naukowe podejście. Opat zawsze mówi, że wiara nie powinna być sprzeczna z nauką.

Joan skinęła głową i przysunęła się nieco do zakonnika. Stali przed szeregiem komputerów i monitorów. Kilka boksów dalej pracowało paru techników ubranych w jednakowe laboratoryjne kitle, ale poza tym Joan i mnich byli sami.

Anthony uruchomił komputer. Tuż obok jego łokcia stała taca z próbkami inkaskiej substancji — szeregami maleńkich złotych kropelek,

poumieszczanych w zagłębieniach. Ponieważ właśnie wyjęto tacę z zamrażarki, na ich powierzchni widać było mgiełkę po suchym lodzie. Joan wiedziała, że pracownicy laboratorium próbują poznać naturę substancji, by przyspieszyć ponowne sprowadzenie Chrystusa na Ziemię — stworzyli już na przykład metody usuwania zanieczyszczeń, co zwiększało jej cudowne właściwości.

Joan przyglądała się próbkom w kształcie łez. Aby sprawdzić swoją teorię, potrzebowała jednej z nich. Tylko jak ją zdobyć? Taca była bardzo blisko, ale z powodu obserwatorów równie dobrze mogła tkwić zamknięta w sejfie. Joan zacisnęła pięści, zdecydowana kontynuować zadanie. Potrzebowała na chwilę odwrócić uwagę zakonnika. Wzięła głęboki wdech i przygotowała się.

— Jestem prawie gotów — powiedział pracujący przy klawiaturze mnich.

Ona też była gotowa.

Kiedy przyglądała się próbkom na tacy, trochę za mocno oparła pierś o jego bark. Wybrała Anthony'ego na ofiarę ze względu na młody wiek — ciemnowłosa, gładko ogolony młodzieniec nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Poza wiekiem był jeszcze inny powód: kiedy prowadzona przez Carlosa po raz pierwszy weszła do laboratorium, dostrzegła w oczach młodzieńca uznanie. Jego wzrok zatrzymał się na jej biuście i zaraz uciekł w bok. Na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa miała do czynienia z wieloma studentami pierwszych lat i umiała rozpoznać, który interesuje się nie tylko jej umiejętnościami pedagogicznymi. Zwykle delikatnie odrzucała wszelkie awanse, lecz tym razem postąpiła inaczej. Podejrzewała, że tego zamkniętego z mnóstwem innych mnichów młodzieńca obecność kobiety wytrąci z równowagi — a sądząc po reakcji na to, co teraz zrobiła, miała rację.

Anthony głośno przełknął ślinę i zaczerwienił się. Delikatnie się odsunął.

Joan wykorzystała przewagę. Usiadła na sąsiednim krześle i położyła dłoń na kolanie młodego człowieka.

— Bardzo chętnie poznam twoją teorię, Anthony. Jesteś tu już od pewnego czasu. Co sądzisz o *el Sangre del Diablo*? — Lekko ścisnęła jego kolano.

Anthony spojrział w kierunku szyby, za którą stał Carlos. Strażnik nie mógł widzieć dłoni Joan. Tym razem młody mnich się nie odsunął, za to jeszcze bardziej poczerwieniał. Siedział sztywno, jakby kij połknął. Joan podejrzewała, że gdyby przesunęła dłoń nieco wyżej, przekonałaby się, jak bardzo zeszywniał.

Spędziła całe popołudnie, ocierając się o niego, dotykając go, mówiąc do niego z ustami tuż przy uchu. Delikatnie mu się przypochlebiając i posuwając krok za krokiem, dała się w końcu zaprowadzić do laboratorium, gdzie analizowano próbki tajemniczej substancji. Najtrudniejsza część zadania była wciąż przed nią.

Joan przekrzywiła głowę, skupiona na młodym mnichu.

— Powiedz mi, Anthony... czym twoim zdaniem jest ta substancja?

Kiedy zaczął mówić, niemal się zakrztusił.

— Być może nano... nanobotem.

Kompletnie ją to zaskoczyło i odruchowo cofnęła dłoń.

— Słucham?

Anthony szybko pokiwał głową, mogąc poruszać się po znanym terenie, nieco się rozluźnił.

— Niektórzy z nas... młodszy badacze... uważamy, że to może być bardzo gęsty zbiór nanobotów.

— Mówisz o nanotechnologii? — Joan czytała kilka teoretycznych artykułów, w których omawiano możliwość konstrukcji maszyn subkomórkowych, nanobotów, które mogłyby manipulować materią na poziomie molekularnym, a nawet atomowym. Jeden z artykułów, opublikowany niedawno w „Scientific American” opisywał pierwszą próbę stworzenia tego typu mikrorobotów przez naukowców z UCLA. Przypomniała sobie obraz tajemniczej substancji pod mikroskopem elektronowym: drobniutką sieć cząstek, połączonych haczykowatymi wypustkami. Ale nanoboty? Niemożliwe. Młodzież najwyraźniej czyta za dużo science fiction.

— Proszę spojrzeć — powiedział Anthony, nagle podniecony, że może jej zaimponować. Chwycił szczypczykami próbkę substancji Z i wstawił ją do maszyny. — To krystalograf elektronowy. Nasza konstrukcja. Może odizolować pojedynczy element krystalicznej struktury i stworzyć trójwymiarowy obraz. Proszę obserwować.

Postukał szczypczykami w monitor.

Joan przysunęła się do ekranu, wyjęła okulary, na chwilę zapominając o uwodzeniu mnicha. Kiedy powiedziała Anthony'emu, że chce przyjrzeć się próbkom, nie miała na myśli aż tak dokładnego przyglądania się im. Teraz obudził się w niej naukowiec.

Na ekranie pojawił się obraz z bardzo wyraźnymi detalami, powoli obracający się, aby ukazać wszystkie powierzchnie. Joan już ją widziała: była to pojedyncza cząsteczka. Ośmiokątna w kształcie, z sześcioma nitkowatymi wypustkami: jedną na górze, jedną na dole i czterema wychodzącymi na boki ze środka. Na końcu każdej wypustki znajdowały się cztery haczyki, przypominające nieco pazurki wróbla.

Anthony wskazał na ekran czubkiem długopisu.

— Ogólnym kształtem i architekturą wyraźnie przypomina hipotetycznego nanobota, o którym pisze Eric Drexler w *Motorach tworzenia*. Jego teoretyczne rozważania dotyczyły maszyny molekularnej o dwóch funkcjach: komputera i konstruktora. Że tak powiem, mózgu i mięśni nanobota. — Anthony postukał w centralny ośmiokątny element. — To jest procesor centralny, otoczony sześcioma węzłami, inaczej mówiąc, konstruktorami, które manipulują ramionami. — Mnich przesunął czubek długopisu wzdłuż długich pazurkowatych haczyków. — To są elementy, które Drexler nazwał molekularnymi pozycjonerami.

Joan zmarszczyła czoło.

— Naprawdę sądzisz, że to coś może manipulować materią na poziomie molekularnym?

— Czemu nie? Mamy w naszych organizmach enzymy, które działają jak naturalne organiczne nanoboty. Albo mitochondria w komórkach... te organelle to mikroskopijne stacje zasilające, manipulujące materią na poziomie atomowym, żeby wytworzyć ATP albo energię dla naszych komórek. Tysiące istniejących w naturze wirusów to swego rodzaju maszyny molekularne. — Popatrzył na Joan. — Więc jak pani widzi, matka natura już odniosła sukces, nanoboty istnieją.

Joan powoli skinęła głową.

— Ten twór wygląda niemal jak wirus... — mruknęła. Nieraz widywała powiększenia fagów. Pod mikroskopem elektronowym przypominały lądujące na błonach komórkowych moduły księżycowe — bardziej maszyny niż żywe organizmy. Obraz na ekranie właśnie tak wyglądał.

— Słucham? — spytał Anthony.

Joan zacisnęła usta.

— Tylko głośno myślę... ale masz rację. Nawet priony powodujące chorobę szalonych krów można traktować jak nanoboty. Manipulują DNA na poziomie molekularnym.

— Właśnie! Organiczne nanoboty! — zawołał młody mnich, zaczerwieniony z podniecenia. Wskazał ponownie na ekran. — Niektórzy z nas uważają, że to mogą być pierwsze odkryte nieorganiczne nanoboty.

Joan zmarszczyła czoło. Może i tak. Ale czemu miały służyć? Zastanowiła się nad wyrytym na krucyfiksie ojca de Almagro ostrzeżeniu. Bał się zarazy mającej związek ze złotą substancją. Jeśli się nie mylił, czy był to jakiś trop? Wiele „organicznych” nanobotów, o których wspominała — wirusy, priony — jest nośnikami chorób. Gdyby miała więcej czasu, na pewno wyjaśniłaby tajemnicę. Zwłaszcza gdyby mogła korzystać z zasobów tego ośrodka, pomyślała, rozglądając się po wielkim laboratorium.

Najpierw jednak musiała przeprowadzić zaplanowany eksperyment. Przed zajęciem się czynnikami chorobotwórczymi zawsze należy spróbować sterylizacji. De Almagro zasugerował, jak to zrobić: *Zbawienie jest w rękach Prometeusza*.

Prometeusz, dawca ognia.

O to chodziło? Ogień od pradziejów był znakomitym środkiem sterylizującym. Joan przypomniała sobie ocenę zamordowanego metalurga, Dale’a Kirkpatricka, że substancja Z z niezwykle skuteczną wykorzystuje energię. Co się stanie, jeśli otrzyma ona nadmiar energii, na przykład od płomienia? Może nie zdoła wchłonąć dużej dawki?

Joan przysłała do laboratorium, aby to sprawdzić i w tym celu ukraść próbkę substancji. Rzuciła okiem w kierunku Carlosa. Jej pies stróżujący był wyraźnie znudzony — za bardzo ufał zastosowanym w opactwie zabezpieczeniom, by martwić się rozhisteryzowaną babą.

Joan zdjęła okulary, po czym sięgnęła po pióro, nieco zbyt mocno napierając przy tym na Anthony’ego. Młodzieniec drgnął pod wpływem dotyku i szarpnął ramieniem, łokciem wytrącając Joan okulary z dłoni. Postarała się, by wylądowały na tacy z cennymi próbkami. Złote kropelki zatańczyły i rozprysły się po stole niczym rozrzucone kulki.

Anthony skoczył na nogi.

— Przepraszam! Powinienem uważać.

— Nie ma sprawy. Nic się nie stało. — Joan szybko wstała i zgrabnym ruchem schowała w dłoni dwie łożki, kilku innym pozwoliła spaść na podłogę. Przybiegli inni technicy, by pomóc Anthony’emu je pozbierać. Joan się cofnęła.

Ni stąd, ni zowąd pojawił się Carlos z gotowym do strzału pistoletem.

— Co się stało?

Joan wskazała dłonią, drugą szybko chowając skradzione próbki do kieszeni. Skinęła głową w kierunku krzątający.

— Wygląda na to, że nawet temu błogosławionemu laboratorium nie udało się wyzwolić spod widma dziesiątego prawa Murphy’ego.

— To znaczy?

Joan popatrzyła niewinnie na Carlosa.

— Matka natura jest suką.

Skrzywił się i złapał ją za łokieć.

— Już za długo tu siedzisz. Idziemy!

Joan się nie opierała. Dostała to, po co przyszła — i znacznie więcej.

Kłęczący na podłodze Anthony pomachał jej na pożegnanie. Obdarowała go uśmiechem. Młody człowiek przynajmniej na tyle zasługiwał.

Carlos prowadził ją szybko przez podziemny labirynt. Jakże adekwatne do sytuacji wydawało się, że historia hiszpańskiej inkwizycji kończyła się w inkaskiej izbie tortur. Ciekawe, czy wybór miejsca był świadomy: nowy torturujący zajmował miejsce poprzedniego.

Wkrótce Joan znalazła się pod drzwiami swojej celi.

Carlos skinął głową, by weszła do środka.

Nie od razu spełniła polecenie. Odwróciła się do strażnika.

— Nie ma pan przypadkiem papierosa? — Nie paliła, ale nie mógł o tym wiedzieć. Skrzywiła się, udając rozczarowanie. — Już dwa dni nie paliłam i ledwie mogę wytrzymać.

— Opat nie pozwala tu palić.

— Ale przecież go nie ma, prawda?

Usta Carlosa skrzywiły się w uśmiechu. Rozejrzył się po korytarzu i w jego dłoni zmaterializowała się paczka papierosów. Nie ma nic lepszego od wspólnej tajemnicy kryjących się w toalecie palaczy. Wytrząsnął dwa.

— Proszę.

Joan schowała jednego papierosa do kieszeni, drugiego wetknęła sobie w usta.

— Mogę prosić? — spytała i pochyliła się w stronę zakonnika po ogień. Jego wiecznie skrzywiona mina powróciła, sięgnął jednak za pazuchę, wyjął zapalniczkę i zapalił Joan papierosa.

— Dzięki.

Skinął głową w kierunku drzwi jej celi.

Cofnęła się, odsunęła rygiel i weszła do środka.

— Palenie zabija — mruknął za nią, ryglując zamek.

Słuchała przez chwilę oddalających się kroków, po czym z długim westchnieniem oparła się o drzwi. Powstrzymała kasznięcie. Udało się... Po kilku sekundach rozkoszowania się zwycięstwem ruszyła do pracy. W każdej chwili technicy mogli się doliczyć braku próbek.

Usiadła za biurkiem. Oparła palącego się papierosa na krawędzi blatu. Nagle pomyślała o obecności ukrytych kamer, pochyliła się więc nad biurkiem i wyjęła kilka artykułów i streszczeń dotyczących nanotechnologii, które dostała od młodego mnicha. Zamierzała poczytać na temat jego teorii. Kiedy przesuwiała papiery, jej uwagę zwróciło podkreślone zdanie w tekście Anthony'ego: „Doszliśmy do wniosku, że każdy cząsteczkowy element tej substancji może być swego rodzaju mikroskopijnym urządzeniem wytwórczym. Nasuwa to dwa pytania: W jakim celu stworzono tę mikroskopijną maszynę? I kto ją zaprogramował?”.

Joan nieco się wyprostowała i zaczęła zastanawiać nad tymi pytaniami. Nanotechnologia? Przywołała w wyobraźni krystaliczny kształt nanobota i jego haczykowate ramiona. Jeśli młody badacz się nie mylił, do czego miała służyć substancja Z? Czyżby odkrył to ojciec de Almagro? I to go tak bardzo przeraziło?

Pochylając się nisko nad biurkiem, Joan wyjęła jedną z dwóch ukradzionych próbek. Niezależnie od odpowiedzi, jedno było pewne: ta substancja przeraziła księdza, więc prawdopodobnie pozostawił on wskazówkę, jak ją zniszczyć.

Przetoczyła złotą kroplę po dębowym blacie. Nieco ogrzana, nabrała konsystencji miękkiego kitu. Joan musiała się z nią bardzo ostrożnie obchodzić. Zdrapała czubkiem długopisu małą plamkę i rozsmarowała

ją na blacie. Konieczna była oszczędność, próbka, którą uszczknęła, była nie większa od mrówki.

Wzięła do ręki papierosa, strząsnęła popiół i zbliżyła żar do substancji Z.

— No dobrze, ojciec de Almagro. Sprawdźmy, czy Prometeusz nas zbawi.

Oblizwała wargi i dotknęła zarem próbki.

Reakcja okazała się gwałtowna, choć towarzyszący jej dźwięk nie był głośniejszy od kasznięcia. Ramię Joan zostało odrzucone do tyłu, papieros wyfrunął jej z palców, w powietrze uniósł się kłęb dymu ze spalonego drewna. Głośniejsze od eksplozji było jej gwałtowne westchnienie. Joan pomachała dłonią, by rozwiać dym. W dębowym blacie biurka znajdowała się wypalona na wylot dziura.

— Boże drogi... — Jakie szczęście, że nie użyła całej próbki. Zniszczyłaby biurko i prawdopodobnie wysadziła ścianę celi.

Joan popatrzyła w kierunku drzwi, wsłuchała się, czy nikt nie nadchodzi. Nikt chyba nie zareagował.

Wstała i podeszła do drzwi. Dotknęła zamka, miała plan. Pomacała w kieszeni obie próbki, zważyła je w dłoni, policzyła w myśli. Musiała przekazać wiadomość, przede wszystkim Henry'emu.

Czy miała dość substancji, aby wysadzić dzielącą ją od wolności przeszkodę? Prawdopodobnie nie... Odeszła od drzwi. Zaczeka na właściwy moment.

Musiała czekać, być cierpliwa jak ojciec de Almagro. Czekał pięćset lat na okazję, by przekazać wiadomość. Joan popatrzyła na dymiącą dziurę w blacie biurka... Ale w końcu ktoś dosłyszał, co zakonnik miał do powiedzenia.

. . .

Kiedy słońce zachodziło, Henry czekał na zatankowanie dwóch helikopterów stojących na wyciętym w dżungli lądowisku. Sześciuosobowa ekipa opata kończyła ładować zapasy do luku towarowego. Henry stał nieco z boku, na skraju zachwaszczonej przecinki. Podmuchy powietrza wzbudzone przez obracające się łopaty wirnika rozrzuciły puste kanistry i śmiecie. Ojciec Ruiz, który zamienił sutannę na strój w stylu safari, stał w cieniu drewnianej szopy i wyklócał się z chilijskim mechanikiem o napiętej twarzy. Obiektem gorącej debaty była najwyraźniej cena paliwa.

Henry odwrócił się do nich plecami. Nieco z lewej pilnowało go dwóch uzbrojonych „żołnierzy” opata. Mieli chyba nie dopuścić, by sześćdziesięcioletni profesor zwiął do dżungli. Nie musieli się o to martwić — nawet gdyby rozbroił strażników i uciekł, nie przeszedłby w dżungli dziesięciu kroków.

Za ścianą roślinności w słońcu od czasu do czasu błyskał metal: kryli się tam partyzanci strzegący swojej inwestycji. Zarośnięte chwastami łądownisko musiało być bazą przemytników broni i narkotyków. Henry zauważył też stojące przy ścianie szopy skrzynie z rosyjską wódką. Czarny rynek, punkt przerzutowy, oszacował.

Poddał się losowi. Całe popołudnie lecieli z Cuzco, by trafić na to nieoznakowane łądownisko. Podejrzał, że skok do kolejnego podobnego miejsca w okolicy Machu Picchu zajmie mniej więcej cztery godziny, potem następne trzy albo cztery — dotarcie do wykopalisk. Powinni być na miejscu jutro o świcie.

Do tego czasu musiał wymyślić sposób, jak pokrzyżować opatowi plany.

Analizował kontakt z Philipem Sykesem. Doktorant na pewno czuł ulgę, w jego głosie był jednak także lęk. Henry kolejny raz sklął sam siebie za to, że wpakował w tarapaty nie tylko bratanka, ale i pozostałych. Jego obowiązkiem było wymyślenie sposobu, by ich ochronić. Tylko jak?

Od strony helikoptera dobiegł głos. Zbiorniki zostały napełnione i maszyna była gotowa do lotu.

— Kończyć załadunek! — krzyknął Ruiz. Opat dał Chilijczykowi o mocno zaciśniętych ustach garść banknotów. Najwyraźniej zgodzili się co do ceny.

Obok helikoptera stały ostatnie skrzynie ze sprzętem archeologicznym i saperskim, w tym cztery z napisami wypalonymi na bokach cyrylicą. Rosyjska kontrabanda: granaty, karabinki szturmowe AK-47. Mnóstwo broni jak na ekipę archeologiczną, pomyślał gorzko Henry.

Opat dał znak strażnikom, by zaprowadzili jeńca do helikoptera. Henry nie miał złudzeń: był kolejnym elementem na liście sprzętu, narzędziem, które po użyciu można porzucić. Kiedy opat dostanie to, czego chce, bardzo ważnego pana profesora pewnie będzie czekał taki sam los, jaki spotkał doktora Kirkpatricka: zastygnie na ziemi twarzą do dołu, z kulą w plecach. Taki sam los czekał Joan, Sama i pozostałych studentów.

Zaprowadzono go do helikoptera. Nie było sensu stawiać oporu — dopóki Joan była więziona, musiał czekać i być czujnym. Odtwarzał w pamięci ich ostatnie wspólne chwile. Pamiętał zapach włosów Joan, dotyk jej skóry, kiedy szeptała mu do ucha, ciepło oddechu na szyi. Na myśl o niebezpieczeństwie, w jakim się znajdowała, drętwiały mu dłonie. Nie może jej się nic stać. Ani teraz, ani nigdy. Znajdzie sposób, aby ją uwolnić.

Opat Ruiz był cały w uśmiechach.

— Startujemy, profesorze! — zawołał i zaczął się wspinać do kabiny. — Lecimy do pańskich ruin!

Henry nie miał czasu zastanowić się nad nagłą jowialnością opata, bo strażnik popchnął go w stronę luku. Zajął miejsce obok Ruiza i zapiął pas.

Ruiz pochylił się do przodu i zaczął rozmawiać z pilotem. Ten wskazał na słuchawki, które miał na głowie. Kiedy opat odwrócił się do Henry'ego, nie miał na twarzy uśmiechu.

— Wygląda na to, że znów są kłopoty.

— Jakie kłopoty? — Henry poczuł, że serce gwałtownie mu przyspiesza.

— Pański bratanek nawiązał kontakt z doktorantem, który jest przy ruinach. Wygląda na to, że fotograf „National Geographic” jest w opałach.

— Co się stało? — Gdy Henry rozmawiał z Philipem, nie dano mu dość czasu, aby zdążył poznać szczegóły. Wiedział tylko, że rana fotografa wymaga pomocy medycznej.

Opat wstał i skierował się do wyjścia.

— Zmiana planów — oznajmił, mocno marszcząc czoło. — Potrzebujemy więcej paliwa, by dotrzeć na miejsce bezpośrednio. Bez żadnych przystanków.

Henry złapał go za ramię.

— Dlaczego?

Strażnik odtrącił rękę Henry'ego, jednak opat odpowiedział.

— Pański bratanek uważa, że Inkowie zamierzają złożyć fotografa w ofierze.

Henry zamilkł, kompletnie zdumiony.

— Proszę się nie martwić, profesorze. — Opat poklepał go po kolanie. — Może nie uda nam się uratować fotografa, ale dotrzemy na miejsce, zanim zginą pozostali.

Potężny mężczyzna pochylił się, by przejść pod poruszającymi się powoli łopatami wirnika i przytrzymał dłonią kapelusz na głowie.

Henry opadł na oparcie i zacisnął pięści. Krwawe rytuały. Nawet przez chwilę nie brał ich pod uwagę, a znając zwyczaje Inków, powinien! Sam i pozostali byli w kleszczach dwóch groźnych wrogów: pogrobowców hiszpańskiej inkwizycji i zaginionego plemienia Inków.

Opat dał pilotowi znak uniesionym kciukiem — pracujący dla partyzantów ludzie zaczęli toczyć w kierunku helikoptera dwa dodatkowe zbiorniki paliwa.

Henry był gotów się założyć, że nagła zmiana planów nie wynika z altruizmu. Opatowi nie chodziło o życie studentów, chciał tylko dobrać się do tego, co mogło się znajdować w górach. Jeśli Sam i reszta stracą życie, ślad po złożu-matce *el Sangre* może zginąć na kolejne stulecia, a opat nie zamierzał do tego dopuścić. Kolejne dwie garści banknotów przeszły w ręce uśmiechniętego teraz Chilijczyka.

Pod kadłubem rozległy się tępe szczęknięcia — ładowano zbiorniki z paliwem. Opat szybko wracał do helikoptera.

Henry odrzucił głowę do tyłu i cicho jęknął.

Czas uciekał — wszystkim.

. . .

Maggie patrzyła, jak Sam chodzi po izbie w kamiennej chacie niczym pobudzony byk przed wyjściem na arenę. Kapelusz ścisnął w dłoni tak mocno, aż pobielwały mu kostki, raz za razem tłukł się nim w udo. Jego ubranie wyszło po praniu, więc znowu miał na sobie dzinsy i kamizelkę. Maggie podejrzewała, że jednym z powodów zmiany stroju była wściekłość na Inków.

Choć rozumiała jego postawę, podobnie jak Denal nie zmieniła stroju, by nie urazić gospodarzy.

Przez całe popołudnie Sam próbował spotkać się z szamanem, by dostać pozwolenie na wejście do świątyni albo sprowadzenie Normana z powrotem. Odpowiedź Kamapaka była jednak niezmienna i Sam rozumiał ją już bez tłumacza: to zakazane. Nie wiedząc, gdzie jest ukryta świątynia, nie mogli zaplanować misji ratunkowej. Porośnięta dżunglą dolina miała przynajmniej pięćset hektarów. Byli na łasce i niełasce Inków.

— Skontaktowałem się z Philipem i zapoznałem go z sytuacją — powiedział Sam. — Ale żadna z niego pomoc!

Maggie podeszła i zatrzymała go ruchem ręki.

— Uspokój się.

Jego oczy były szkliste od poczucia winy i frustracji.

— To moja wina! Nie powinienem był zostawiać go samego! Co mi strzeliło do głowy?

— Przyjęli nas jak swoich i zaakceptowali. Nie dało się czegoś podobnego przewidzieć.

Sam pokręcił głową.

— Powinienem był podjąć środki ostrożności. Najpierw Ralph, teraz Norman... gdybym tylko... gdybym...

— I co? — Maggie ścisnęła ramię Sama stalowym chwytem. Zamierzała zmusić go, by posłuchał. Jego narzekania i walenie się w pierś źle im służyły. — Co byś zrobił? Gdybyś tu był, kiedy po niego przyszli, jak byś ich powstrzymał? Opór pewnie zakończyłby się śmiercią nas wszystkich.

Sam się wzdrygnął, ale mocny ucisk sprawił, że wzrok mu przejaśniał.

— Więc co? Mamy czekać, aż będą nas brać po kolei?

— Użyjmy głów. Musimy zacząć jasno myśleć. — Maggie puściła Sama z nadzieją, że już jej słucha. — Po pierwsze nie uważam, że będą nas brać po kolei. Norman był ranny, więc zabrali go do świątyni. My jesteśmy zdrowi.

— Może... — Sam popatrzył w kierunku Denala, który stał przy trzcinowej macie i wyglądał na zewnątrz. Ściszył głos. — A co z nim? Dzieci też zabierają.

— Denal okres dojrzewania ma za sobą i dla Inków jest dorosły. Wątpię, by coś mu groziło.

— A widziałaś, jak się na niego gapią, kiedy przechodzi? Z ciekawością i jakby byli nieco zdezorientowani.

Skinęła głową i dodała w myśli: „i przestraszeni”. Nie powiedziała tego głośno, aby nie niepokoić Sama.

— Idą ludzie — odezwał się Denal przy drzwiach.

Można to było bez trudu usłyszeć — nadchodzący bynajmniej się nie skradali. Z zewnątrz dobiegała paplanina licznych głosów zdradzających podniecenie. Niektórzy śpiewali.

Sam podszedł do Denala.

— Co się dzieje?

Chłopak wzruszył ramionami, ale kiedy odsuwał matę, lekko drżały mu ręce. Sam położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu, drugą chwycił karabin. Uzbrojony, wyszedł na zewnątrz — wyprostowany jak do konfrontacji.

Maggie szybko za nim wybiegła. Nie chciała, aby zrobił coś nierozważnego.

Słońce całkowicie już zaszło i wioskę spowiła noc. Między domami paliły się pochodnie, jaśniejące jak gwiazdy, księżyc dodatkowo rozjaśniał mrok.

Plac wypełniał się ludźmi. Niektórzy Inkowie mieli pochodnie, inni trzymali w dłoniach krzemienie, uderzali je o siebie i wystrzeliwali w noc snopy iskier. Rytmiczne bębnienie skłoniło kilka kobiet do tańca — tuniki wirowały im wokół nóg. Pośrodku placu zapłonęło ognisko.

— Kolejne święto — powiedziała Maggie.

Podszedł jeden z mężczyzn, ukazując w uśmiechu białe zęby. Uderzał krzemieniem o krzemień do rytmu bębnow, do których dołączyły flety i piszczałki.

— To jak cholerny Dzień Niepodległości... — mruknął Sam.

— Zdecydowanie coś świętują — zgodziła się z nim Maggie. — Tylko co?

Zmieniona mina Sama podpowiedziała jej, choć zbyt późno, że powinna siedzieć cicho. Też studiowała kulturę Inków — wioska zawsze świętowała po przeprowadzeniu krwawego rytuału. Złożenie ofiary było radosnym zdarzeniem.

— Nie wiemy, czy ma to jakikolwiek związek z Normanem — powiedziała.

— Ale tak samo nie wiemy, czy nie ma.

Denal, który trzymał się tuż przy wejściu do chaty, nagle wyszedł naprzód.

— Patrzcie! — zawołał, wyciągając rękę do przodu.

Wpływający na plac tłum rozdzielił się i w wolnej przestrzeni pojawiła się samotna postać, ubrana w szatę koloru umbry i zawiązaną na jednym ramieniu czarną pelerynę *yacolla*. Sprawiała wrażenie otumanionej i szła, lekko się zataczając.

— Norman? — spytał zdumiony Sam.

Maggie złapała go za łokieć.

— Matko Boska, to on!

Popatrzyli po sobie i ruszyli niemal biegiem w kierunku fotografa. Mieszkańcy wioski coraz bardziej się ożywiali. Muzyka, śpiewy i zawodzenie stawały się coraz głośniejsze. Nim zdążyli dotrzeć do Normana, z tłumu wyszedł Kamapak i stanął im na drodze. W świetle ogniska tatuaże na policzkach i szyi szamana wyglądały jak pajęczyny: abstrakcyjne symbole władzy i dziwnie upierzone smoki.

Sam zaczął unosić karabin, ale Maggie pchnęła lufę winchestera w dół.

— Wysłuchaj go.

Szaman zaczął mówić z wielkim namaszczeniem, Denal tłumaczył.

— Wasz przyjaciel został uznany przez bogów *janan pacha* za godnego. Jest teraz *allu*, rodziną Sapa Inki.

— Sapa Inki? — spytała Maggie, nie puszczać lufy winchestera. — Kogo?

Ale szaman już się odwrócił, zapraszał, by podeszli do Normana. Fotograf wreszcie ich dostrzegł. Pomachał słabo ręką i ruszył zataczającym się krokiem. Nadal był blady, ale nie z powodu gorączki czy choroby, lecz szoku. Sam podbiegł do niego, Maggie i Denal zostali przy szamanie.

Kamapak z przyjemnością obserwował spotkanie przyjaciół. Maggie powtórzyła pytanie, Denal przetłumaczył.

— Nie rozumiem. Jaką rodziną Sapa Inki? — Nigdy nie sądziła, aby ta mała wioska miała jakiegoś przywódcę, nie wspominając już o jednym z wielce szanowanych bogów-królów Inków. — Kim jest wasz Sapa Inka?

Kiedy Denal przetłumaczył, szaman zmarszczył czoło i zaczął powoli mówić.

— Twierdzi, że już mówił jego imię. Brzmi Inkarri. Mieszka w Świątyni Słońca.

— Inkarri? — Maggie pamiętała opowieść o królu, któremu obcięto głowę. Dziwne.

Dalszą rozmowę przerwał Sam, który podszedł do niej z Normanem.

— Nie uwierzysz — powiedział i skinął głową fotografowi. — Pokaż jej.

Norman rozsunął poły szaty, ukazując kolano. Przez chwilę Maggie patrzyła zdziwiona, nie widać było bowiem nic niezwykłego. Ot, kolano... Po chwili zrozumiała, o co chodzi, i poczuła się, jakby za kołnierz wrzucono jej lód.

— Matko Boska!

Kolano Normana było zagojone. Nie, nie tylko zagojone: nie było śladu rany po kuli. Ani rany wlotowej, ani blizny. Jakby Norman nigdy nie został ranny.

— To jeszcze nie wszystko — powiedział.

— Jak to? — spytał Sam.

Norman uniósł dłoń do twarzy.

— Moje oczy.

— Co z nimi? — Maggie dopiero teraz zauważyła, że fotograf nie ma okularów z grubymi szklami.

Norman ze zdumieniem rozejrzał się po placu.

— Widzę. Mam doskonały wzrok.

Zanim zdążyli zareagować, Kamapak uniósł rękę i przemówił. Jego słowa, odbijające się echem po całym placu, były przeznaczone zarówno dla nich, jak i mieszkańców wioski.

— Co mówi? — spytał Sam Denala, zarzucając karabin na ramię.

Zanim chłopak odpowiedział, wyręczył go Norman.

— Że dziś w nocy, kiedy księżyc wzniesie się do najwyższego punktu, zjawi się Sapa Inka. Po wielu wiekach zstąpi ze złotego tronu i wejdzie między swoich ludzi.

Kamapak wskazał na grupkę studentów.

— Oto przyszłość naszego plemienia. Przyjmą Inkarriego z powrotem do *cay pacha*, pośredniego świata. Władza Inków rozpocznie się na nowo — dokończył Norman z zaskoczoną miną.

Tłum Inków wybuchnął aplauzem.

Tylko studenci milczeli. Sam stał z otwartymi ustami. Maggie była tak zdumiona, że nie mogła wydobyć słowa. Skąd Norman wiedział, co mówi szaman? Denal przysunął się bliżej Maggie, patrzył na Normana ze strachem.

— Nie gąpcie się tak na mnie — powiedział fotograf, wzruszając ramionami. — Obląłem na pierwszym roku hiszpański.

. . .

Święto trwało w najlepsze. Sam siedział z Normanem na schodach na skraju placu.

— No to mów, co się działo. Co to za Świątynia Słońca?

Fotograf pokręcił głową. Przeciągnął palcem po kolanie.

— Nie wiem.

— Jak to? — spytała Maggie.

Siedziała z drugiej strony, Denal przysiadł stopień niżej i obserwował, jak Inkowie świętują. Palił jednego z ostatnich cennych papierosów. Z każdym pociągnięciem żar na czubku rozpalał się niczym pochodnia. Po trudach dnia Sam nie miał do niego żalu o tę słabostkę.

— Jak wygląda świątynia? — Maggie nie dawała za wygraną.

Norman popatrzył na nią. W jego oczach były równocześnie niepokój i złość.

— W tym rzecz... że nie wiem.

— A co wiesz? — spytał Sam.

Norman się odwrócił. Twarz jaśniała mu blaskiem ognia.

— Pamiętam, że porwali mnie z łóżka w naszej chacie. Próbowałem walczyć, ale byłem tak słaby, że mogłem ich najwyżej parę razy kopnąć. Po chwili dwóch wojowników niosło mnie ścieżką na południe, dodam, że nie dbali o moją wygodę. Po mniej więcej trzech kwadransach doszliśmy do południowej ściany wielkiego wulkanu, który od południa góruje nad naszym. Było bardzo stromo, ale wkrótce zobaczyłem ciemną szczelinę w skale. To było wejście do tunelu, prosto przez ścianę wulkanu.

— Dokąd prowadził? — spytał Sam.

— Nie wiem. Ale na końcu było światło dzienne. Tego jestem pewien.

— Może łączy się z drugim wulkanem — zgadywała Maggie. — Droga do *janan pacha* Inków.

— Co jeszcze? — spytał Sam.

Norman powoli pokręcił głową.

— Pamiętam, że nieśli mnie spory kawałek w dół, aż znaleźliśmy się w jaskini. Paliły się w niej pochodnie. Kiedy się zbliżaliśmy, ktoś wyszedł nam naprzeciw i na powitanie uniósł laskę. — Fotograf odwrócił głowę i zmarszczył czoło.

— I?

— Potem mam dziurę w pamięci. Następne, co pamiętam, to wyjście z tunelu, gdzie oślepiło mnie zachodzące słońce. — Norman kilka razy pociągnął szatę, w którą był ubrany. — I miałem na sobie to.

Maggie usiadła wygodniej, trawiąc opowieść Normana.

— I rozumiesz język Inków... — Pokręciła głową. — Może to jakaś nauka w hipnozie. Wyjaśniałoby to lukę w pamięci, ale wyleczenie... rany

w kolanie, wzroku, to wykracza poza możliwości medycyny zachodniej. To niemal... cud.

— Nie wierzę w cuda — odparł Sam. — Musi być racjonalne wyjaśnienie. A znajduje się na pewno w świątyni. Znalazłbyś do niej drogę?

Norman ściągnął usta, jakby się zastanawiał.

— Chyba tak. Ścieżka była dobrze wytyczona, mniej więcej co sto metrów stały przy niej kamienne oznakowania. Ci, co mnie nieśli, zatrzymywali się, mówili kilka słów i szli dalej.

— Totemy modlitewne — stwierdził Sam. Przynajmniej miał pewność, że w razie potrzeby znajdą Świątynię Słońca. Na razie musiał się tym zadowolić. Jutro zjawi się wuj Hank i Sam będzie mógł opowiedzieć mu o tutejszych tajemnicach, by dokonał fachowej oceny. Bez względu na to, jak niepokojące i przerażające były wydarzenia dnia, Sam czuł ulgę, że Norman jest zdrowy — nieważne, w jaki sposób do tego doszło.

Bębnienie na placu zaczęło cichnąć, tańczący zwalniali krok i po chwili się zatrzymali. Jedna z kobiet weszła na kamienny cokół i zaczęła cicho śpiewać. Solowy głos popłynął w mrok nocy. Po chwili dołączyli zgromadzeni i dziesiątki głosów wzniosły się w niebo niczym kłęby pary. Także Denal się dołączył. Choć nie rozumieli słów, w pieśni wyczuwało się radość i pokorny szacunek — niemal jak w chrześcijańskim hymnie.

W głowie Sama krążyły słowa Maggie. Cuda. Czyżby Inkowie natknęli się na lecznicze źródło? Coś porównywalnego z mityczną fontanną młodości Ponce de Leona? Na samą myśl o podobnym odkryciu robiło mu się sucho w ustach.

Sam rozglądał się. Znowu go zaskoczyło, że nie ma dzieci — niemowląt na rękach matek ani większych, czepiających się matczynych spódnic. Nie było także starszych. Twarze wszystkich śpiewających pod pełnym księżycem wydawały się aż nazbyt do siebie podobne, wszyscy byli w zbliżonym wieku.

Kim byli ci ludzie? Co odkryli? Sama przeszył nagły dreszcz, ale nie pod wpływem chłodnego powietrza w dolinie.

Wśród tłumu, niczym fala, przeszedł syk nakazujący ciszę. Po południowej stronie ludzie zaczęli klękać. Kobieta, która zainicjowała śpiew, zeszła z cokołu i też uklękła. Wkrótce stała tylko jedna postać — na

skraju wioski, zbyt wysoka jak na Inkę, mierząca przynajmniej metr osiemdziesiąt. W ręku trzymała długą laskę zwieńczoną symbolem słońca.

Maggie dała przyjaciołom znak, by też uklękli.

— To musi być Sapa Inka — szepnęła.

Nie chcąc obrazić przywódcy, Sam ukląkł. Wszystko zależało od jego dobrej woli.

Mężczyzna szedł powoli przez tłum. Ci, których mijał, oddawali mu pokłon, dotykając czołem ziemi. Nikt nie odzywał się słowem. Choć nie był niesiony w złotej lektyce Sapa Inki, miał na sobie królewski strój: od korony *llautu* z warkoczy przepłatanych papuzimi piórami i barwionymi na czerwono frędzlami z wełny wigonia aż po długą szatę z bardzo drogiej tkaniny *cumbi* zdobionej aplikacjami ze srebra i złota. Nawet sandały miał ze skóry alpaki i ozdobione rubinami. W prawej ręce trzymał długą laskę, zwieńczoną złotym słońcem wielkości dłoni.

— Laska... — mruknął Norman. — Pamiętam ją. Z tunelu.

Sam popatrzył na fotografa i ze zdziwieniem stwierdził, że niemal trzęsie się on ze strachu. Uspokajająco dotknął jego ramienia.

Obserwował zbliżającego się króla. Wyglądał jak typowy Inka: czekoladowa skóra, szerokie kości policzkowe, pełne i wyraziste usta, ciemne świdrujące oczy. W każdym uchu miał złotą płytkę z wybitym symbolem Słońca, takim samym jak na lasce.

Sapa Inka podszedł na trzy metry do klęczącej trójki. Na znak szacunku Sam pochylił głowę. Na inkaskich władców nie należało patrzeć. Byli dziećmi Słońca i jak w przypadku słońca, należało odwracać oczy. Sam nie zamierzał jednak dotykać czołem kamieni.

Król najwyraźniej nie był obrażony. Spojrzenie miał ostre, ale nie wrogie. Wyraźnie zaciekawiony, podszedł jeszcze krok bliżej. Jego do tej chwili zacienioną twarz rozjaśnił płomień niedalekiej pochodni, barwiąc ją złotem z odcieniem miedzi.

Maggie westchnęła.

Sam zdziwił się jej reakcją i odważył się bardziej otwarcie spojrzeć na króla. Od razu zrozumiał.

— Boże... — mruknął zdumiony. Z tak małej odległości nie mogło być pomyłki, zwłaszcza przy silnym świetle pochodni, oświetlającej twarz króla. Już go widzieli. Mógł być sobowtórem postaci w jaskiniach — idola

naturalnej wielkości, chroniącego salę z pułapkami na początku drogi, i giganta pośrodku nekropolii.

Sapa Inka zrobił jeszcze jeden krok naprzód. Pochodnia przestała oświetlać mu twarz i znowu stał się człowiekiem. Przez chwilę w milczeniu przyglądał się obcym. Na placu panowała cisza jak w grobowcu. W końcu władca uniósł laskę.

— Jestem Inka Inkarri — powiedział po angielsku chrapliwym, gardłowym tonem. — Witam. Oby Inti bezpiecznie otaczał was swym światłem.

Sam nawet nie drgnął, zbyt zaskoczony słowami króla.

Ten dwa razy stuknął laską w kamienne podłoże, po czym ją uniósł. Na ten znak z setki gardeł wyrwał się zawodzący ryk radości. Wszyscy zaczęli wstawać, bębny załomotały, ożyły flety i tamburyny.

Ignorując poruszenie, Sapa Inka opuścił laskę.

Z tańczącego tłumu wyłonił się Kamapak. Twarz szamana promieniowała uwielbieniem, tatuaże niemal jarzyły się na tle zaczerwienionej skóry.

— *Qoyllupaj Inkan, Inti Yayanchis* — zaintonował, zginając się w pół, i zaczął mówić. Nawet bez tłumaczenia było oczywiste, że próbuje wyblagać od króla jakieś dobrodziejstwo.

Kiedy Kamapak skończył, Sapa Inka burknął krótką odpowiedź i machnięciem ręki dał szamanowi znak, by odszedł. Uśmiech Kamapaka zrobił się jeszcze szerszy, odpowiedź musiała być korzystna. Król skinął głową w kierunku grupki Sama, na chwilę zatrzymał wzrok na Denalu, po czym odwrócił się i poszedł za szamanem przez tłum świętujących ludzi.

— Chyba przeszliśmy egzamin — powiedział Sam, oddychając z ulgą.

— I zostaliśmy odprawieni w trybie przyspieszonym — dodała Maggie.

— O czym mówili? — spytał Sam Normana.

Fotograf oparł się na piętach.

— Kamapak chciał porozmawiać z królem na osobności... o nas.

— O nas?

— O naszej przyszłości tutaj.

Samowi się to nie podobało. Patrzył, jak król i szaman idą przez plac w kierunku stojącego po lewej stronie dużego piętrowego domu.

— Co myślisz o tym Sapa Ince? — zwrócił się do Maggie.

— Najwyraźniej miał kontakt ze światem zewnętrznym. Nauczył się trochę angielskiego. Widziałeś jego twarz? Musi być potomkiem w linii prostej starożytnego króla, którego przedstawiają rzeźby.

— Podobieństwo mnie nie zaskakuje. Mają tu zamkniętą pulę genów. Nie było nikogo z zewnątrz, kto by rozcieńczył inkaską krew.

— Aż myśmy się pojawili — wtrącił Norman.

Sam zignorował jego słowa.

— Tylko dlaczego twierdzi, że jest mitycznym Inkarrim?

Maggie pokręciła głową.

— Kto to jest Inkarrim? — spytał Norman.

Szybko streściła legendę o królu, któremu obcięto głowę i według przepowiedni miał powrócić do władzy, by przywrócić chwałę Inków.

— Powtórne przybycie, że tak powiem — skwitował Norman.

— Właśnie. — Maggie lekko zmarszczyła czoło. — Kolejny dowód na związki z chrześcijaństwem. Wskazówka, że byli poddani wpływowi Zachodu.

Sam nie był zbyt przekonany.

— Jeśli opuszczali dolinę, dlaczego w dalszym ciągu ukrywali swoją obecność tutaj?

— Najwyraźniej coś odkryli — odparła Maggie. — Coś, co leczy. Wulkaniczne źródło albo coś takiego. Może tego właśnie strzegą.

Sam zerknął na Normana, potem znowu popatrzył za inkaskim królem, który właśnie zniknął z Kamapakiem w dużym domu. Wszystkie tutejsze tajemnice zdawały się zaczynać i kończyć w świątyni. Gdyby tylko Norman sobie przypomniał, co się stało...

— Chciałbym być muchą na ścianie podczas ich rozmowy... — mruknęła Maggie, patrząc przez plac.

Norman skinął głową.

— Czemu nie? — rzucił Sam.

— Co?

— Dlaczego ich nie podsłuchać? Nie mają w oknach szyb, Norman zna język. Co miałyby nas powstrzymać?

— Bo ja wiem? — odparł fotograf. — Chmara ludzi z dzidami?

— Nie powinniśmy ryzykować utraty ich zaufania — powiedziała Maggie.

Samowi pomysł się jednak podobał. Po dniu spędzonym na załamywaniu rąk nad losem Normana był zmęczony biernością. Przycisnął winchestera do ramienia i wstał.

— Jeśli szaman i król dyskutują nad naszym losem, chcę wiedzieć, co postanowią.

— Najpierw o tym pogadajmy. — Maggie wstała i ujęła go za łokieć.

Postąpił w bok i wyrwał się dziewczynie.

— Co myślisz, Norman? — spytał. — Wolisz zostać zawleczony jutro do ołtarza? I nie chodzi mi o małżeństwo.

Fotograf pomacał się po szyi i wstał.

— Jeśli tak to ujmujesz...

Maggie była czerwona jak burak.

— Nie tak powinniśmy się do tego zabierać. To głupie i zagraża naszemu życiu...

— Lepsze, niż chować się w mysiej dziurze i modlić, żeby nas nie zabili — odparł Sam.

Maggie odsunęła się zszokowana. Jego słowa ją zraniły.

— Ty draniu...

Do Sama dotarło, że jej zdaniem miał na myśli tragiczną przygodę w Irlandii i wykorzystał jej traumę, żeby zbić argumenty Maggie.

— Nie to miałem na myśli... — spróbował wyjaśnić.

Przyciągnęła do siebie Denala i odwróciła się do Sama plecami.

— Nie dajcie się zabić — powiedziała, zwracając się do Normana, i na sztywnych nogach odeszła w kierunku domów.

Fotograf, ogłupiały, wbijał wzrok w jej plecy.

— Sam, naprawdę musisz się pilnować, co gadasz. Nic dziwnego, że jesteście z wujem kawalerami.

— Nie miałem tego na myśli...

— Wiem, a jednak... następnym razem pomyśl, zanim coś powiesz. Chodź, Bondzie, miejmy to z głowy. — Norman ruszył skrajem placu.

Sam popatrzył, jak Maggie wchodzi do ich chaty, po czym ruszył za Normanem. Serce, które jeszcze przed chwilą płonęło mu w piersi, zamieniło się w kupkę popiołu.

— Ale ze mnie dupek...

— Nie będę się spierał — odparł Norman.

Sam skrzywił się i głębiej nasunął kapelusz na czoło. Przyspieszył kroku i wyprzedził fotografa.

— Chodźmy!

Obeszli świętujący tłum i zbliżyli się do piętrowego domu. Zdecydowanie było to lokum *kapaka* — kogoś w rodzaju inkaskiego szlachcica. Okna i drzwi ozdobiono młotkowanym srebrem. Za odsłoniętymi oknami buchał ogień, ze środka dolatywały stłumione głosy.

Sam rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi, po czym pociągnął Normana w uliczkę przy domu. Była tak wąska, że mogli iść tylko gęsiego. Sam przepychał się pierwszy. Przed nimi, na podwórzu ogrodzonym sięgającym do ramion murem, migotały płomienie ogniska. Kiedy się zbliżali, ujrzeli wycięte w murze ozdobne otwory w kształcie gwiazd i księżyca. Idealne miejsce do szpiegowania.

Sam machnął na Normana, wspiął się na palce i zajrzał przez jeden z otworów. Ujrzał centralny ogród, pełen orchidei i pnączy. Na poprzeczkach spały papugi z wetkniętymi pod skrzydła łebkami. Pośrodku podwórza w palenisku płonął ogień.

Na tle płomieni stały dwie postacie: Kamapak i Inkarri.

Zagłębiony w modlitwie szaman dotykał palcem jednego ze swoich tatuaży; otworzył sakiewkę *chuspa* i rzucił w ogień szczyptę wyjętego z niej proszku. Wysoko w niebo wystrzelił niebieski płomień. Kamapak powiedział coś do króla, wszedł do kręgu wokół ogniska i wrzucił więcej proszku do ognia.

Norman stał przy sąsiednim otworze i z ustami przy uchu Sama tłumaczył.

— Tak jak mówiłem, choć są bladokórzy i przybyli z dołu, to nie *mallaqui*, duchy *ucha pacha* — mówił szaman. — To prawdziwi ludzie.

Nie odwracając wzroku od płomieni, król skinął głową.

— To prawda, i świątynia wyleczyła jednego z nich. Inti ich akceptuje. — Inkarri popatrzył na Kamapaka. — A jednak to nie Inkowie.

Szaman skończył rytuał, podszedł do jednej z leżących na ziemi trzcinowych mat i usiadł, spletając nogi pod sobą.

— Nie, ale nie przyszli ze zbrodnią w sercu... jak ci dawno temu.

Król usiadł obok niego, na takiej samej macie. W jego głosie było wielkie zmęczenie.

— Ile czasu minęło, Kamapak?

Szaman sięgnął do sakiewki i wyciągnął długi sznur z licznymi węzłami. Rozłożył go na kamieniach. Było to *kipu* — inkaskie narzędzie do liczenia. Kamapak wskazał na jeden z węzłów.

— Tutaj odkryliśmy w dolinie ludzi Mochica, kiedy pięćset trzydzieści lat temu przybyły twoje armie. — Przesunął palcem po kilku węzłach. — A tu umarłeś.

Sam popatrzył pytająco na Normana. Umarł? Fotograf wzruszył ramionami.

— Tak powiedział — szepnął Norman.

Sam właśnie miał wrócić do podsłuchiwania, kiedy z równowagi wytrącił go krzyk przypominający głośne szczeknięcie. Na końcach alejki pojawiły się ognie pochodni. Sam i Norman zamarli, przyłapani na gorącym uczynku. W ich kierunku popłynęły ostre komendy.

— Chcą... żebyśmy wyszli.

Sam dotknął kolby karabinu, zmienił jednak zdanie. Postanowił sprawdzić, do czego to wszystko doprowadzi.

— Chodźmy.

Minął Normana i poszedł uliczką w kierunku strażników. Po wyjściu na plac stanął przed grupą mężczyzn o mocno zagniewanych twarzach. Część miała pochodnie, inni dzidy, natychmiast zamknęli krąg wokół Sama i Normana. Muzyka przestała grać, z placu obserwowały ich setki ludzi.

Z domu wyszli szaman i król, Kamapak zaczął rozmawiać ze strażnikami, wszyscy wyrzucali z siebie słowa z prędkością karabinów maszynowych. Król stał przy drzwiach.

Po jakimś czasie uniósł laskę i zapadła cisza. Odwrócił się do Sama i przemówił łamaną angielszczyzną.

— W świątyni Inti wyszeptał mi do ucha wasz język, żebym mógł z wami rozmawiać. Chodźcie więc. Poznajcie to, czego szukacie po ciemnych kątach. — Odwrócił się i ruszył z powrotem do wnętrza domu.

Kamapak zmarszczył czoło, wyraźnie rozczarowany przybyszami, i machnięciem ręki zaprosił ich na podwórze, gdzie jeszcze przed chwilą toczyła się podsłuchiwana rozmowa.

Sapa Inka wskazał leżące na ziemi maty i Sam z Normanem usiedli.

Król podszedł do ognia i przemówił w kierunku płomieni:

— Czegóż to szukacie? — spytał.

Sam się wyprostował.

— Odpowiedzi. Na przykład, kim naprawdę jesteś.

Sapa Inka westchnął i powoli skinął głową.

— Niektórzy nazywają mnie teraz Inkarri, ale zdradzę wam me prawdziwe imię. Pierwsze, najstarsze, byście mnie poznali. Urodziłem się pod imieniem Pachacutec. Inka Pachacutec.

Sam zmarszczył brwi. Znał to imię: nosił je twórca imperialnej potęgi Inków, przywódca, który dokonał ekspansji z Cuzco na krainę obejmującą cały teren od gór po wybrzeże.

— Jesteś potomkiem Tego Który Zmienia Świat? — spytał Sam.

Król rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Nie, jestem Tym Który Zmienia Świat. Jestem Pachacutec.

Sam chwilę milczał. Niemożliwe. Ten człowiek cierpiał prawdopodobnie na urojenia, typowe dla wszystkich królów — że jest wcieleniem swoich przodków.

Szaman zaczął z wielkim podnieceniem mówić po kiczuańsku, machając przy tym rękami. Wziął do ręki *kipu* i zaczął nim potrząsać.

— Kamapak twierdzi, że każdy tu w dolinie ma ponad czterysta lat — tłumaczył Norman. — Nawet ich król.

— A więc ten Sapa Inka uważa się za prawdziwego Pachacuteca.

— Najprawdziwszego — potwierdził ze skinieniem głowy Norman.

Sam pokręcił głową. Nie zamierzał wierzyć w inkaski mistycyzm, z drugiej jednak strony nie mógł bagatelizować uzdrowienia fotografa i jego nowych umiejętności językowych. Z pewnością działo się coś niezwykłego, ale tak długie życie? Przypomniały mu się jego własne przemyślenia o fontannie młodości... Więc może jednak?

— Opowiedz nam o Świątyni Słońca — poprosił Sam, którego ciekawość dręczyła od przybycia do doliny.

Pachacutec popatrzył na symbol słońca na swojej lasce, potem znów na ogień. Na jego twarzy nagle pojawiło się wielkie zmęczenie, a oczy zrobiły się tak stare, że Sam był niemal gotów uwierzyć w jego pięćset lat.

— Żebyście zrozumieli, muszę opowiedzieć historie usłyszane z innych ust — szepnął. — Od ludzi Mochica, którzy jako pierwsi przybyli do tego świętego miejsca.

Sam poczuł, jak coś ściska go za serce. A więc Mochica byli tu pierwsi! Wuj Hank miał rację.

Sapa Inka skinął szamanowi.

— Opowiedz im, Kamapaku, o Nocy Płonącego Nieba.

Szaman skinął głową i podszedł do ogniska.

— Sześćdziesiąt lat przed tym, jak armie Inki Pachacuteca zajęły dolinę, pewnej nocy niebo zapłonęło setkami ognistych pasm, a cząstki płonącego słońca goniły się po ciemnym niebie — zaczął bardzo poważnym tonem. — Spadły z *janan pacha* i uderzyły w święte góry dookoła. Król Mochica kazał swoim myśliwym zebrać cząstki słońca, znaleźć wszystkie, nawet te w dymiących gniazdach w górach.

Sam odruchowo zaczął kiwać głową. Szaman z pewnością opisywał deszcz meteorytów.

— Zebrany skarb przyniesiono do króla Mochica — ciągnął Kamapak.

— Nazwał go Złotem Słońca i kazał ukryć w jaskini w tej świętej dolinie.

— Wtedy zjawiłem się z moimi armiami — wtrącił Pachacutec. — Zabiłem króla Mochica i uczyniłem z jego ludzi niewolników. Zmusiłem ich, by zaprowadzili mnie do swojego skarbu. Zanim wskazali drogę, musiałem wielu zabić, ale znalazłem jaskinię pełną światła słońca, którego można było dotknąć i trzymać w rękach. Padłem na kolana. Wiedziałem, że to Inti we własnej osobie. Bóg Słońca! — Oczy króla wypełniał blask dawnej glorii, który wydawał się go odmładzać.

— Aby uczcić Inti i ukarać Mochica za uwięzienie naszego boga, Pachacutec złożył w ofierze wszystkich Mochica, którzy byli w dolinie i w wiosce — mówił dalej szaman. — Potem Pachacutec modlił się siedem dni i siedem nocy o znak od Inti. I został wysłuchany!

Szaman otworzył sakwę, sięgnął do niej, zaczął się modlić i rzucił w ogień purpurowy proszek. Na chwilę w górę buchnęły błękitne płomienie.

— W nagrodę za lojalność w jaskini wyrosła cudowna świątynia, *huaca*, zbudowana ze Złota Słońca Mochica. Inti leczył w niej chorych i trzymał śmierć z dala od tych, którzy czcili boga Słońca.

Sam zmusił się do kolejnego oddechu. Czyżby jednak Inkowie rzeczywiście odkryli cudowną fontannę młodości? Wystarczyło spojrzeć na Normana, by w to uwierzyć.

— Pachacutec przekazał koronę synowi i przeniósł się do doliny, pozostawiając rządzenie imperium innym. Wspólnie z wybranymi wiernymi mieszka tu, czcząc Inti i nie umierając. Wkrótce nawet urodzone

w dolinie dzieci z pomocą siły świątyni stały się bogami i przekazywano je w darze *janan pacha*.

Król popatrzył na południe, w kierunku wysokiego wulkanu.

Sam musiał przyznać, że w opowieści tkwi przewrotna logika. Jeśli mieszkańcy doliny nie umierają, składanie dzieci w ofierze stanowi dobry sposób na kontrolowanie populacji. Zasoby doliny nie były nieograniczone i narodziny kolejnych pokoleń doprowadziłyby do ich wyczerpania. Wyjaśnił się także brak ludzi starszych: nikt się nie starzał.

— Jednak czas pokoju się skończył — powiedział gorzko Pachacutec.

— Minęło sto pór roku i pojawili się ludzie na statkach, z dziwnymi bestiami i jeszcze dziwniejszym językiem.

— Hiszpanie.

— Wybili moich ludzi i wypędzili ich z domów. Jak przed kłami jaguara, nie było przed nimi ucieczki. Dotarli nawet tutaj. Zacząłem do nich mówić. Powiedziałem o Inti. Pokazałem im świątynię i zdradziłem, w jaki sposób nas chroni. Ich oczy stały się głodne. Zabili mnie, aby ukraść nam Inti.

— Zabili cię? — odruchowo spytał Sam.

Pachacutec pomasaował kark, jakby chciał się pozbyć natrętnego bólu. Machnął Kamapakowi, by kontynuował.

— Hiszpanie przybyli z żądzą w sercach, i tak jak Pachacutec zabił króla Mochica, oni zabili naszego. Wzięli go na środek wioski — szaman pomachał w kierunku placu — i odcięli mu głowę.

Podniecenie Sama z powodu odkrycia fontanny młodości zniknęło jak ręką odjął. To, co powiedział szaman, było zdecydowanie niedorzeczne, a jeśli to tylko konfabulacja, prawdopodobnie cała reszta była takim samym wymysłem. Opowiastką dla grzecznych dzieci. To, co wyleczyło Normana, nie miało z tym żadnego związku. Sam postanowił jednak nie psuć zabawy.

— Ale żyjesz. Jak to możliwe?

Zamiast króla odpowiedział szaman, choć spuścił wzrok niemal z poczuciem winy.

— W nocy, kiedy zabito Sapa Inkę, podsłuchałem, jak Hiszpanie mówią o spaleniu jego ciała. Jest to dla nas okrutniejsze od śmierci, wkradłem się więc i zabrałem głowę króla z miejsca, gdzie leżał martwy. Ścigany przez Hiszpanów, wziąłem króla do świątyni i zacząłem się modlić do Inti. Bóg

znów wysłuchał prośby i udowodnił swoją miłość. — Szaman rzucił do ognia kolejną szczyptę proszku, co najwyraźniej było hołdem dla boga.

Opowieść kontynuował Pachacutec:

— Świątynia sprowadziła mnie ze świata zmarłych. Otworzyłem oczy, kiedy moja głowa leżała na ołtarzu. Zakrwawionymi ustami ostrzegłem obcych przed gniewem Inti i na ten widok wojownicy zmienili się w kobiety. Zaczęli krzyczeć i wyć, rwać włosy z głowy i uciekać. Psy pilnowały dolnego wejścia, ale wieść o mojej śmierci już się rozeszła. Zabójcy zostali pojmani, a ich szaman złożony w ofierze.

Sam zmarszczył czoło. Był jeden sposób na sprawdzenie wiarygodności tej opowieści.

— Jak nazywał się ten szaman?

Kamapak zacisnął pięści, głos mu stwardniał od dawnej nienawiści.

— Francisco de Almagro.

Pachacutec skrzywił się na dźwięk tego nazwiska i splunął do ognia.

— Pojmaliśmy tego psiego szamana za jego bluźnierstwa, ale uciekł jak tchórz i splamił swoją krwią święte miejsce. Po śmierci wywierciliśmy mu w czaszce dziury i wygnaliśmy z niej jego boga, zastępując go naszym.

Sam zamarł. Pamiętał opowieść wuja o złotej substancji w czaszce mumii, która eksplodowała. Pradawna opowieść pasowała do wersji współczesnej, ale co obie opisywały? Nieśmiertelność? Niemożliwe.

— Kiedy obcy uciekli, świątynia powoli stworzyła nowe ciało Pachacuteca — powiedział szaman. — Inti ostrzegł naszego króla, że ci dziwni ludzie zza morza są za silni i jest ich zbyt wielu, i trzeba chronić Inti. Ścieżka prowadząca tutaj została więc zamknięta. Pozwoliliśmy, by o nas zapomniano, Inti obiecał jednak Pachacutecowi, że nadejdzie dzień, kiedy droga zostanie znów otworzona i znowu zacznie się czas dynastii Inków. Obiecał, że nasi ludzie za lojalność dostaną z powrotem nie tylko swoje ziemie, ale także resztę świata.

Oczy Pachacuteca błyszczały ogniem i glorią.

— Będziemy rządzić wszystkimi!

Sam skinął głową.

— Inkarri odrodzony w tajemnej jaskini.

Pachacutec odwrócił się od ognia i od nich.

— Tak więc po reinkarnacji moi ludzie nazwali mnie Inkarri, Dzieckiem Słońca.

— Kiedy ścieżka do świata na dole znów się otworzy?

— Kiedy bogowie *janan pacha* będą gotowi odejść — odparł Pachacutec, machając ręką na południe. — Do tego czasu musimy żyć tak, jak nam każe świątynia. Wszystko, co zagraża Inti, trzeba poświęcać.

Szaman także odwrócił się do nich plecami. Tłumaczącemu Normanowi krew odpłynęła z twarzy.

— Zademostrowaliście dziś nieuczciwość, chowając się w cieniu nocy. O świcie, kiedy słońce wszędzie i Inti będzie mógł widzieć naszą lojalność, zostaniecie złożeni naszemu bogowi w ofierze. Wasza krew splami plac.

Szaman dał znak ręką.

Sam błyskawicznie wstał, ale było za późno. Z domu wypadli inkascy wojownicy i rzucili się na nich. Walczył, ale bez efektu. Jego karabin poleciał na ziemię. W drzewach rozkrzyczały się przestraszone papugi.

— Nie! — wrzasnął Sam, jednak kiedy wleczono ich na zewnątrz, ani król, ani szaman nawet na nich nie spojrzeli.

...

Maggie chowała się w cieniu muru okalającego podwórze. Wstrzymując oddech, w bezruchu, obserwowała, jak Inkowie odprowadzają Sama i Normana. Boże drogi, co robić? Skłęta w myśli upartego jak muł Teksańczyka. Musiał pchać się w paszczę lwa! Oparła się plecami o mur. Chowając się cicho jak mysz, zdołała usłyszeć niemal całą opowieść o Pachacutecu i Inkarrim. Wiedziała, że nie zdołają wydobyć się z tarapatów.

Przynajmniej ukryła Denala.

Kiedy usłyszała, że muzyka na placu nagle cichnie, wychyliła się z kryjówki i zobaczyła, jak chwytają Sama i Normana. Choć instynkt kazał jej uciekać z Denalem najdalej i najszybciej jak się da, oparła się mu. Sam i Norman byli jej przyjaciółmi i nie mogła ich zostawić. Zaciągnęła więc Denala na skraj dżungli i kazała mu trzymać się z dala od wioski, potem cichcem wróciła, by dowiedzieć się, co z jej przyjaciółmi.

Znała fakty. Patrzyła przez półksiężycowaty otwór w murze. Podwórze opustoszało, także król i szaman już poszli, na granitowej kostce leżał jednak winchester Sama. Jeśli misja ratunkowa miała się powieść, potrzebowała broni.

Rozglądała się po rozmieszczonych wokół oknach i nasłuchiwała głosów mogących świadczyć o czyjejś obecności. Wyglądało na to, że

w pobliżu nikogo nie ma. Na myśl o tym, co zamierza zrobić, zadrżały jej ręce. Zagryzła wargę, by do jej serca nie wkradła się panika. Zależał od niej los Sama i Normana. Odetchnęła głęboko, złapała się szczytu muru, podciągnęła i przerzuciła nogę przez krawędź. Chwilę walczyła o równowagę, aż w końcu udało jej się przenieść na drugą stronę.

Zeskoczyła na podwórze. Obserwująca ją błękitno-złota papuga ara, ciągle jeszcze nerwowa z powodu zamieszania sprzed kilku minut, nastroszyła pióra. Aby ptak się nie rozwrzeszczał, Maggie cicho i powoli podpełzła do skraju roślinności. Karabin był oddalony jedynie o dziesięć metrów. Wystarczyło przebiec przez otwartą przestrzeń, złapać go i zwiąć z powrotem przez mur.

Plan wydawał się prosty do chwili, gdy nogi dziewczyny zaczęły dygotać. Musiała natychmiast zacząć działać, inaczej zatriaci się w panice. Zacisnęła dłonie w pięści, wysunęła się z cienia drzew i ruszyła po wyłożonym kostką podwórzu. W chwili gdy położyła dłoń na kolbie karabinu, za jej plecami rozległy się głosy. Ktoś wracał! Zamarła jak jelen w świetle reflektorów, sparalizowana strachem. Nie mogła się poruszyć, nie była w stanie myśleć.

Nagle w ognisku strzeliło polano — głośno jak z pistoletu.

Wystarczyło. Maggie jęknęła ze strachu, ale napięcie puściło. Złapała karabin i pobiegła, nie dbając o to, czy ktoś ją słyszy. Przerazenie dało jej kopa jak zastrzyk adrenaliny. W mgnieniu oka przeleciała przez listowie i nad murem.

Skryła się w cieniu, przyciskając winchestera do piersi.

Głosy robiły się coraz głośniejsze. Łapiąc jak najciszej powietrze, Maggie odwróciła się i zajrzała na podwórze. Wracali Kamapak i Pachacutec. Wytatuowany szaman podszedł do ogniska i wrzucił do niego kolejną porcję proszku. Lazurowe płomienie wystrzeliły na wysokość dachu, by po chwili przygasnąć.

Szaman i król rozmawiali w ojczystym języku, jedynym słowem, które rozpoznawała, było *inkarri*. Król najwyraźniej nie był zbyt entuzjastycznie nastawiony do planów szamana, wkrótce jednak jego ramiona opadły i kiwnął głową na zgodę.

Pachacutec podszedł do ogniska i sięgnął do trzymającej jego szatę złotej spinki *tupu*. Delikatny materiał spłynął mu z ramion jak woda i ułożył

się wokół stóp. Sapa Inka wyszedł poza krąg — nagi w koronie *llautu* i z laską w dłoni.

Maggie musiała zasłonić usta dłonią, aby nie krzyknąć, jednak chyba została usłyszana. Król popatrzył w kierunku muru, po czym się odwrócił.

Maggie czuła gorzkie pieczenie w żołądku, ale rozsądek trzymał ją w ryzach. Nie mogła znów narobić hałasu — gapiła się tylko w bezruchu.

Od szyi w górę skóra króla miała typową dla andyjskich Indian czekoladową barwę, ale niżej była blada jak coś, co długo leżało pod skałą. Od razu skojarzyła się Maggie z ciałem bestii zamieszkujących jaskinie we wnętrzu góry. Skóra Pachacuteca była jednak jeszcze bielsza — niemal przezroczysta. Widać było pod nią pulsujące ciemne naczynia krwionośne i wyglądające jak cienie kości. Jego brzuch i pierś były płaskie i nie rósł na nich ani jeden włos. Gładkiej powierzchni nie znaczyły pępek ani sutki. Król nie miał zewnętrznych narządów płciowych.

Bezpłciowy i nienaturalnie gładki. Na widok przedziwnego zjawiska Maggie przychodziło do głowy jedno skojarzenie. Niekształtowany. Jakby ciało króla było nieobrobioną płytą kamienia albo czekającą na ręce rzemieślnika bryłą gliny.

Boże drogi...

A więc opowieść o Inkarrim była prawdziwa...

DZIEŃ SZÓSTY
WAŻ EDENU

Sobota, 25 sierpnia, godzina 4.48

Andy Peruwiańskie

Helikopter zakręcał nad ruinami, a Henry wpatrywał się w nie przez okienko. Całą noc nie spał. Kiedy lecieli nad dżunglą, niepokój i strach nie pozwoliły mu zmrużyć oka. Jeszcze nie wymyślił niczego, co mogłoby pokrzyżować plany tym, którzy go pojмали. Sprawę utrudnił fakt, że rezygnacja z dodatkowego tankowania znacznie skróciła czas lotu.

Obóz w dole był ciemny, słońce jeszcze nie wzeszło. Stanowisko oświetlało tylko kilka reflektorów w okolicy podstawy podziemnej piramidy. Najwyraźniej kontynuowano prace po otrzymaniu wiadomości, że studenci uciekli z zagrożonej strefy. Ludzie opata szukali każdej drobinny cennego *el Sangre del Diablo*.

— Jesteśmy na miejscu, profesorze! — wrzasnął opat ze słuchawkami na głowie. — Chyba nie muszę przypominać, co się stanie, jeśli nie będzie pan w stu procentach współpracował!

Henry pokręcił głową. Joan. Cały czas pozostawała w opactwie jako więzień. Poniesie konsekwencje wszelkich jego błędów. Henry odchrząknął i wskazał na słuchawki opata.

— Zanim wylądujemy, chcę porozmawiać z doktor Engel. Aby się upewnić, że nic jej nie jest.

Opat zmarszczył czoło, nie ze złości, lecz z rozczarowania.

— Dotrzymuję słowa, profesorze. Jeśli powiedziałem, że będzie bezpieczna, to będzie.

Tylko do chwili, aż dostaniesz, czego chcesz, ponuro pomyślał Henry. Zmrużył oczy.

— Proszę wybaczyć, jeśli wątpię w gościnność opata, mimo to chciałbym z nią porozmawiać.

Ruiz westchnął i wzruszył ramionami. Zdjął słuchawki z głowy i podał je Henry'emu.

— Tylko proszę krótko. Lądujemy. — Skinął głową w kierunku prostokątnego placu niedaleko namiotu studentów.

Helikopter wyrównał lot i zaczął opadać ku kamiennemu płaskiemu wyniesieniu. Na granicach lądowiska stali ludzie z latarkami. Wszyscy byli ubrani w bure habity. Kolejni mnisi opata.

Henry założył słuchawki i przysunął sobie mikrofon.

Opat pochylił się do pilota i zaczął mu coś wyjaśniać, wskazując na radio. W słuchawkach zaskrzeczało, a potem odezwał się głos Joan.

— Henry?

— To ja, Joan. — Henry mocniej ścisnął mikrofon. — Wszystko w porządku?

Przez szum przebiła się tylko część jej wypowiedzi.

— ...porządku. Dotarłeś do obozu?

— Właśnie lądujemy. Dobrze cię traktują?

— Czuję się jak w Hyacie. Tylko obsługa pokojów jest dość powolna.

Mimo optymistycznych słów słychać było w głosie Joan napięcie. Henry widział oczami wyobraźni drobne zmarszczki tworzące się wokół jej oczu, gdy się niepokoiła. Przełknął ślinę. Nie pozwoli, aby przydarzyło jej się coś złego.

— Powolna obsługa pokojów? Zobaczę, co da się zrobić. Spróbuję przekonać dyrekcję hotelu, żeby ruszyli tyłki.

— A właśnie! Pamiętasz kurs mitologii, na który chodziliśmy razem na uniwerku? Byłam dziś w bibliotece opactwa i mają tu książkę profesora. Uwierzysz w to? Jest w niej nawet rozdział, który pomagałam mu pisać, o Prometeuszu i ogniu.

Henry ściągnął brwi.

— Świat jest mały, prawda? — powiedział. Na Uniwersytecie Rice'a nie chodzili na żaden kurs mitologii i Joan najwyraźniej próbowała mu coś przekazać. Coś związanego z mitem o Prometeuszu i z wyrytą przez ojca de Almagro wiadomością.

— Pamiętasz, jakie mieliśmy problemy z przetłumaczeniem wersu: „Zbawienie jest w rękach Prometeusza”?

Henry zakaszlał.

— Jakże mógłbym zapomnieć? — Zacisnął dłonie na podołku. Co Joan sugerowała? Coś związanego z ogniem... ale co? Co ogień ma wspólnego ze zbawieniem? A czas nieubłaganie płynął... helikopter zaraz wylądaje.

Joan musiała wyczuć jego dezorientację.

— Przeczytałam na nowo akapit, w którym Prometeusz zabija wielkiego węża. — Mówiła teraz szybko. — Pamiętasz? Ostatecznym rozwiązaniem okazał się ogień.

Henry zamarł — nagle dotarło do niego, o co chodzi. Wielki Wąż. Wąż Edenu. Mówiła o sposobie na zniszczenie *el Sangre del Diablo*.

— Jasne, ale sądziłem, że tę sprawę załatwił Herkules. Jesteś pewna, że dobrze to interpretujesz?

— Stuprocentowo. Prometeusz zadaje zabójczy cios. Powinieneś wiedzieć rycinę w książce. Jakby wybuch dynamitu.

— Hm... ro... rozumiem.

Helikopter nagle zadrżał i Henry podskoczył. Płozy uderzyły w bloki granitu i maszyna zamarła.

Przed Henrym pojawiła się twarz opata. Przekrzykiwał huk łopat wirnika.

— Dość się pan już nagadał! Wylądowaliśmy! — Odwrócił się do pilota i przeciągnął sobie dłonią po szyi. Zaraz przerwą połączenie.

— Joan!

— Tak?

Ścisnął mikrofon, by wypowiedzieć słowa, których — jak jeszcze niedawno sądził — nigdy nie powie kolejnej kobiecie.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że... — W uszach buchnął mu elektroniczny szum. Rozmowa się skończyła.

Henry wbił wzrok w radio. Co zamierzał powiedzieć Joan? Że zaczyna się w niej zakochiwać? Skąd miał wiedzieć, że ona czuje do niego coś więcej niż tylko sympatię?

Wyjęto mu nadajnik z dłoni.

Tak czy siak, okazja przepadła.

. . .

Choć pilnowało ich dwóch inkaskich wojowników, Sam szarpał więzy na plecach. Niestety, tylko mocniej je zaciągnął.

Norman siedział na kamieniach i lekko drżał. Już dawno zrezygnował z prób oswobodzenia się, pogodził się z nieuchronnością śmierci.

Niebo na wschodzie powoli bladło, zapowiadając nadejście świtu, ale wioskę spowijały jeszcze czerń i szarość. Kiedy słońce wzejdzie i ulice zaleje złote światło, obaj zostaną złożeni w ofierze bogowi Słońca, Inti.

Z drugiej strony... tylko oni.

Maggie i Denalowi udało się uciec. Mężczyźni całą noc przeszukiwali tarasową wioskę i otaczającą ją dżunglę, na szczęście bez efektu. Maggie musiała usłyszeć zamieszanie, jakie nastąpiło, kiedy Sama i Normana pojmano, i uciec z chłopakiem, znikając w nocnej dżungli. Jak długo będą w stanie się ukrywać, kiedy wszędzie słońce? Sam modlił się, by im się to udało do chwili, aż pojawi się jego wuj z pomocą. Kiedy to jednak nastąpi? Walkie-talkie tkwiło w kieszeni kamizelki, ale ze związanymi na plecach rękami Sam nie miał szansy po nie sięgnąć.

Znowu szarpnął więzami. Gdyby udało mu się uwolnić jedną dłoń...

Ciszę świtu przeszył huk wystrzału. Odbił się echem po całej dolinie, pochodził jednak zdecydowanie ze wschodu. Maggie! Najwyraźniej została odkryta.

Obaj strażnicy odwrócili się w kierunku odgłosu. Zaczęli ze sobą rozmawiać, wyrzucając słowa niczym karabiny maszynowe, po chwili na plac wpadli kolejni ludzie, prowadzeni przez Kamapaka. Grupa chwilę się naradzała, po czym bosi myśliwi ruszyli w kierunku dżungli. Wytatuowany szaman dał znak obu strażnikom, aby dołączyli do pościgu.

Związani, Sam i Norman nie stanowili zagrożenia.

Kiedy plac opustoszał, Kamapak ruszył w ich kierunku. Miał zatroskaną minę.

Sam podejrzewał, że szaman boi się gniewu Boga, jeśli wszyscy obcy nie zostaną zarżnięci o świcie.

Kamapak miał w rękach kilka niedużych pojemników z farbą. Ukłękł obok Normana i zaczął do niego mówić. Odstawił pojemniczki i wyciągnął zza pasa krzemienisty nóż o długim, wąskim ostrzu.

Sam wpatrywał się w broń w dłoni szamana. Jakże chciałby dostać ją w swoje ręce!

Kiedy szaman skończył, Norman jęknął.

— O co chodzi? — spytał Sam.

— Wygląda na to, że przyszedł przygotować nas do ceremonii — odparł Norman. Skinął głową w kierunku pojemników z farbami. — Na naszych ciałach wymalują znaki potęgi.

Kamapak wsadził palec do czerwonego barwnika, głośno zaintonował modlitwę, po czym wziął krzemienisty nóż.

Norman zbladł. Popatrzył kątem oka na Sama, ten jednak nie odwracał wzroku od szamana.

— Co jeszcze? — spytał Sam, czując, że coś nie zostało wypowiedziane.

— Zanim wzejdzie słońce, odetnie nam języki... żeby nasze krzyki nie obraziły Inti.

— No to bomba...

Kamapak uniósł nóż w kierunku nadchodzącego świtu. Jaskrawy brzeg słońca zaczął się wysuwać nad wschodnią krawędź wulkanicznego stożka. Sam miał wrażenie, jakby obserwował otwierające się oko. Przez chwilę rozumiał, dlaczego Inkowie z takim szacunkiem traktują słońce: było jak wielki bóg spoglądający na pośledni świat. Kamapak naciął sobie nożem palec, witając słońce własną krwią.

Choć groziła mu śmierć, Sam obserwował rytuał z fascynacją. Na jego oczach rozwijał się prawdziwy inkaski rytuał ofiarny, ożywała od dawna martwa tradycja. Przyjrzał się naczyniom z barwnikami: czerwień z marzany barwierskiej, błękit z indygo, purpura z mięczaków.

Norman nagle zamarł. Sam podniósł głowę i ujrzał wychodzącą z pobliskiego budynku postać. Kiedy ją rozpoznał, omal głośno nie westchnął. Była to Maggie.

Przebiegła za plecami Kamapaka, bosa jak inkascy myśliwi i jak oni — uzbrojona. W prawym ręku trzymała długą pałkę.

Szaman musiał wyczuć niebezpieczeństwo i zaczął się odwracać, ale Maggie była szybsza. Zamachnęła się i z całej siły huknęła go w skroń. Dźwięk, który się rozległ, przypominał trafienie piłeczki golfowej ciężkim kijem. Kamapak osunął się, padł na twarz i znieruchomiał. Ciemne włosy zalała krew.

Sam gapił się, przez kilka sekund był zbyt zszokowany, żeby zareagować. Powoli odwrócił się do dziewczyny, która wyglądała na nie mniej zaskoczoną od niego tym, co zrobiła. Pałka wypadła jej z dłoni i zaklekotała o granitową kostkę.

— Nóż... — powiedział Sam, ruchem głowy wskazując krzemień, a następnie krępujące go więzy na plecach.

— Mam własny — odparła Maggie. Rozejrzała się po placu i wyciągnęła z za pasa złoty sztylet. Szybko przecięła więzy.

Sam skoczył na nogi i rozmasował sobie nadgarstki. Podszedł do Kamapaka, by sprawdzić jego stan. Szaman leżał nieruchomo, ale jego pierś rytmicznie się unosiła i opadała. Sam odetchnął z ulgą — Inka był tylko nieprzytomny.

Maggie uwolniła Normana, podała Samowi złoty sztylet i pomogła fotografowi wstać.

— Możecie biec?

Norman słabo skinął głową.

— Jeśli będę musiał...

Zbliżały się do nich głosy. Krzyknęła kobieta.

— Wygląda na to, że będziesz musiał — powiedziała Maggie.

Odwrócili się wszyscy troje naraz, ale niestety było za późno.

Na plac ze wszystkich stron wchodzili uzbrojeni ludzie obojga płci. Otoczyli więźniów i zepchnęli ich na środek.

Norman trzymał w dłoni nóż szamana. Uniósł go.

— Jeśli zamierzają obciąć mi język, będą musieli ze mną powalczyć!

— Gdzie Denal? — spytał szeptem Sam.

— Zostawiłam go z karabinem — odparła Maggie. — Miał ich odciągnąć, żebym zdążyła was uwolnić. Mieliśmy się spotkać w dżungli.

— Wątpię, czy ten plan wypali. — Norman wyciągnął do przodu nóż. — Patrzcie.

Jeden z myśliwych trzymał karabin Sama. Obchodził się z nim jak z jadowitym wężem. Powąchał wylot lufy i skrzywił nos.

— Denal... — mruknęła Maggie.

Nigdzie nie było widać chłopaka.

Za ich plecami rozległo się głośne mruknięcie. Gwałtownie się odwrócili.

Przez tłum przeciskał się Pachacutec — w pełnym rytualnym stroju, od korony z piórami po bogato zdobioną szatę. Uniósł laskę — złoty symbol na jej szczycie złapał pierwsze promienie słońca i jasno błysnął.

— Pojmaliśmy obcych. Inti powstaje, by przyjąć dar. Ożywcie Kamapaka, abyśmy mogli uczcić bogów.

Trzy kobiety zajęły się szamanem. Śpiewając, myły mu twarz zimną wodą i masowały kończyny. W końcu zaczął się poruszać i zamrugał. Przez chwilę sprawiał wrażenie niewidomego, przypomniał sobie jednak, co się stało. W oczach błysnęła mu złość. Odepchnął opiekunki słabym ruchem

i wstał. Lekko się zatoczył, ale jeden z myśliwych pomógł mu odzyskać równowagę.

Pokuśtykał w kierunku króla.

Pachacutec znów się odezwał — po angielsku — kierując wzrok na studentów.

— Oddanie krwi Inti to zaszczyt. Walką hańbicie naszego boga.

Słońce stało już na tyle wysoko, że oświetlało środek placu. Sam pomachał sztyletem, jaskrawo migoczącym w słońcu. Hańba czy nie, nie zamierzał oddać swojej krwi, nie przelewając krwi Inków. Uniósł sztylet wyżej, żałując, że nie ma groźniej wyglądającej broni.

Ledwie to pomyślał, rękojeść zrobiła się ciepła, ostrze zamigotało i obróciło się, poszerzyło i zakrzywiło, aż powstał atakujący wąż. Sam zamarł, zdezorientowany.

Wpatrywał się w przemieniony sztylet. Złote zęby gada migotały w słońcu, zebrany tłum zamarł.

Kiedy zaczęła się przemiana, Pachacutec cofnął się o krok. Teraz — z najwyższą czcią w oczach — podszedł bliżej.

Sam nie miał pojęcia, jak doszło do metamorfozy, ale wszystko wskazywało na to, że cud ze sztyletem Inkowie widzieli po raz pierwszy. Uniósł złotego węża jeszcze wyżej.

Pachacutec też uniósł swoją laskę, naśladując Sama. Lekko przymknął powieki, jakby się modlił. Złoty symbol słońca rozplynał się i również zamienił w węża — niemal identycznego jak ten, którego trzymał Sam. Dwa gady wpatrywały się w siebie.

Teraz przyszła kolej na Sama, aby się cofnąć. Pachacutec wpatrywał się w niego. W oczach szamana nie było złości, lecz łzy.

Kamapak opadł na kolana obok króla i skłonił głowę przed Samem. Wszyscy zebrani zrobili to samo. Przycisnęli czoła do kamieni.

Pachacutec opuścił laskę. Z szeroko otwartymi ramionami podszedł do Sama.

— Inti cię pobłogosławił. Bóg Słońca Mochica słucha twoich marzeń. Jesteś wybrańcem Inti! — Zatrzymał się przed Samem i podał mu rękę. — Będziecie bezpieczni w naszym domu. Wszyscy!

Sam był zbyt skonsternowany, by zareagować. Nagła zmiana postawy Inków niepokoiła go. Nie ufał ich przemianie i nie miał pojęcia, co się stało ze sztyletem.

Podeszła Maggie.

— Co z Denalem?

— Chłopak... — odparł Pachacutec. — Nie ma czternastu lat. Jest za młody na *huarachicoy*. — Uśmiechnął się, jakby to wszystko wyjaśniało.

Sam zmarszczył czoło. *Huarachicoy* było świętem, w trakcie którego przyjmowano młodych chłopców do grona mężczyzn i dawano im pierwszą *huara*, czyli przepaskę biodrową dorosłego.

— Jak to „za młody”?

Kamapak podniósł głowę i wyjaśnił. Jak zwykle Norman tłumaczył.

— Postanowiono, że chłopiec, jak wszystkie dzieci plemienia, zostanie zabrany do świątyni i podarowany bogom.

Maggie odwróciła się do Sama.

— Złożony w ofierze.

— Kiedy? — spytał. — Kiedy ma to nastąpić?

Pachacutec popatrzył na wschodzące słońce. Jaskrawa tarcza znajdowała się nad krawędzią wulkanu.

— Już nastąpiło. Chłopiec jest z bogami.

Sam zatoczył się do tyłu.

— To niemoż...

Jego reakcja zaskoczyła króla. Uśmiech zamarł Sapa Ince na ustach.

— Nie było to życzeniem Inti?

— Nie!

Maggie złapała Sama za łokieć.

— Musimy udać się do świątyni. Może on jeszcze żyje? Musimy się upewnić, czy zginął.

Sam skinął głową. Była to dobra okazja. Popatrzył na Kamapaka i Pachacuteca.

— Zaprowadźcie nas do świątyni.

Król skłonił głowę, nie należało się spierać z wybrańcami. Machnął ręką i szaman wstał.

— Kamapak was zaprowadzi.

— Idę z wami — powiedziała Maggie.

— Ja też — dodał Norman, lekko się zataczając. Przemiana i długa męcząca noc wycieńczyły go.

Sam pokręcił głową.

— Norman, ty musisz zostać tutaj. Znasz ich język. Niech Inkowie zapalą ogień na najwyższej grani, żeby helikopter mógł nas znaleźć. — Sięgnął do kieszeni i wyjął walkie-talkie. — Weź. Skontaktuj się z Sykesem i niech przekaże ci raport. A najważniejsze... ściągnij jak najszybciej mojego wuja!

Norman wyglądał na lekko przestraszonego ciężarem złożonej na jego barki odpowiedzialności, skinął jednak głową i przyjął odbiornik.

— Zrobię co w mojej mocy.

Sam klepnął go w ramię i ruszył za Maggie; zatrzymał się tylko na chwilę, by chwycić karabin.

— Bądźcie ostrożni! — zawołał za nimi Norman. — Tam jest bardzo dziwnie!

Nie trzeba było tego mówić Samowi. Wystarczyło, by popatrzył na złotego węża wystającego z rękojeści sztyletu, który trzymał w dłoni.

Od ostrych zębów odbijało się światło słońca.

Wzdrygnął się. Kolejny raz w głowie zakołatały mu znane słowa: Strzeżcie się węża Edenu.

. . .

Henry szedł w kierunku zawalonej podziemnej świątyni. Nawet z oddali było widać, jak szczyt wzgórza zapadł się w siebie. Sodowe lampy oświetlały zbocze od zawietrznej, robotnicy cały czas starali się kopać szyb ratunkowy.

— ...wtedy świątynia zaczęła implodować. Nie mogłem nic zrobić — wyliczał wydarzenia minionych dni idący obok Philip Sykes. Przybiegł, ledwie Henry wysiadł z helikoptera, z uśmiechem, za którym w połowie kryła się panika i ulga, a w połowie wstyd, który go upodabniał do psa z podkulonym ogonem. Henry puszczał jego paplaninę mimo uszu. Motyw przewodni był jasny od początku: to nie ja jestem winny!

W końcu Henry dotknął jego ramienia.

— Wykonał pan świetną robotę, panie Sykes. Biorąc pod uwagę okoliczności, no i zamieszanie, jakie tu zapanowało, poradził pan sobie w sposób godny uznania.

Philip pokiwał głową.

— Naprawdę? — Chłonał pochwały jak gąbka. Zamilkł wreszcie, zadowolony.

Henry doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że doktorant więcej ukrywa, niż ujawnia. Jego uwadze nie umknęły liczne lekceważące komentarze kiczuańskich robotników. Znał wystarczająco dobrze ich język, aby wiedzieć, że robotnicy żywią do Philipa urazę. Podejrzewał, że gdyby zaczął pytać, na światło dzienne wyszłaby całkiem inna wersja wydarzeń minionych dni, a Philip nie wypadłby aż tak doskonale.

Teraz jednak Henry miał ważniejsze rzeczy na głowie.

Obserwował idących po obu ich stronach strażników. Nie demonstrowali broni, ale trzymali dłonie na kaburach. Opat Ruiz szedł przodem, głośno oddychając przez nos i usta. Wysokość i wysiłek wyraźnie nadszarpnęły jego siły.

Kiedy dotarli do miejsca, gdzie czarny tunel wchodził w zbocze na wysokości zakopanej świątyni, wyszedł im naprzeciwko człowiek w burej sutannie. Był mrocznie przystojny i miał lodowate oczy, które zdawały się widzieć absolutnie wszystko dookoła.

Opat Ruiz wbił wyglodniałe spojrzenie w wylot tunelu.

— Bracie Otera, jak się mają sprawy?

Mnich stał zgięty w ukłonie.

— Powinniśmy dotrzeć do ruin w południe, Wasza Eminencjo.

— To dobrze. Znakomicie. Świetna robota. — Opat minął kłaniającego mu się zakonnika, nawet nie obdarzając go spojrzeniem i odprawiając jak służącego.

Uwadze Henry'ego nie uszedł błysk wściekłości, jaki mignął w oczach mnicha, kiedy się prostował — choć po chwili jego mina stała się obojętna. Henry znał się na ludziach: kilka zdawkowych pochwał nie mogłoby zadowolić tego człowieka, jak w przypadku Philipa. Przyjrzawszy się bliżej, Henry dostrzegł w jego twarzy indiańskie cechy: ciemniejszy odcień skóry, nieco szerszy nos, oczy tak ciemnobrązowe, że prawie czarne. Ojciec Otera był *mestizo* — mieszańcem krwi hiszpańskiej i indiańskiej. Tacy jak on mieli w Ameryce Południowej ciężkie życie, ich pochodzenie nieraz bywało powodem drwin i upokorzeń.

Henry szedł dalej za opatem, kątem oka obserwował jednak ruchy Otery. Czuł, że musi go mieć na oku — było w nim coś, co nie miało nic wspólnego z planami opata. Kiedy wspinali się ku wylotowi tunelu, nawet Philip omijał go z daleka.

Otera zajął pozycję krok za Henrym.

Kiedy doszli do tunelu, słońce było już wysoko na niebie, którego błękit zapowiadał gorący dzień.

Nagle głośne radiowe trzaski sprawiły, że oczy wszystkich skierowały się ku Philipowi. Doktorant sięgnął za pazuchę i wyjął walkie-talkie.

— To pewnie Sam — rzucił. — Wcześniej, niż się umawialiśmy.

Henry szybko do niego podszedł. Bratanek zapowiadał kontakt mniej więcej na dziesiątą — wcześniejsza próba nawiązania łączności nie mogła być przypadkowa.

— Tu baza — powiedział Philip. — Mów, Sam.

Przez kilka sekund słychać było jedynie szum i trzaski, z których wypłynęły słowa.

— Philip? To nie Sam. To ja, Norman.

Philip popatrzył nad radiem na otaczających go ludzi. Henry natychmiast pojął jego zdziwienie: z ostatniego komunikatu Sama wynikało, że Norman miał być w nocy złożony w ofierze. Dzięki Bogu żył!

— Kiedy spodziewasz się helikopterów? — spytał fotograf. — Potrzebujemy ich tu natychmiast!

— Już przylecieli! — odkrzyknął Philip. — Profesor Conklin stoi tuż obok mnie! — Wyciągnął w jego kierunku walkie-talkie.

Henry wziął urządzenie. Opat Ruiz zmrużył znacząco oczy; ostrzegał, by uważać na słowa.

— Norman, tu Henry. Co się u was dzieje?

— Denal jest w niebezpieczeństwie! Sam i Maggie poszli go ratować, ale potrzebujemy natychmiast pomocy. W ciągu godziny w okolicy zachodniej krawędzi wierzchołka powinno się palić kilka ognisk. Powinny być widoczne przez mgłę! Pospieszcie się!

Henry popatrzył na opata, który zaczął dawać paru swoim ludziom znaki, by wracali do helikoptera. Zdecydowanie było mu na rękę, że może przyspieszyć bieg wydarzeń. Jeszcze bardziej ucieszyły go następne słowa Normana:

— Jest tu coś dziwnego... to chyba cud, profesorze. Musicie to zobaczyć... — Trzaski się nasiliły, pochłaniając kolejne słowa.

Spojrzenia opata i Henry'ego spotkały się — w oczach Ruiza było coś na kształt religijnej nadziei. Skinął głową Henry'emu, aby pytał dalej.

— Czy ma to związek z dziwnym złotem?

Norman najwyraźniej nie usłyszał pytania, jego odpowiedź była urywana.

— ...świątynia. Nie wiem, jak... lecz... nie ma też dzieci.

Zakłócenia zamazywały znaczenie słów. Henry mocniej ścisnął walkie-talkie i przysunął mikrofon bliżej ust. Jeśli miał ostrzec Sama i pozostałych, to teraz.

— Norman, siedź i nie ruszaj się! Idziemy do was! Powiedz Samowi, żeby nie robił nic nieprzemyślanego. Wie, że nie ufam mu na tyle, żebym się godził na jego samodzielne działanie!

Philip zrobił zdziwioną minę i Henry pomodlił się, by i Norman okazał się tak samo zdziwiony tymi słowami. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Henry darzy bratanka wielką estymą i nigdy nie wypowiedziałby się tak lekceważąco na jego temat. Na szczęście Ruiz nie miał o tym pojęcia. Henry znów wcisnął nadawanie.

— Powtarzam: niczego nie róbcie. Nie ufam ocenie Sama.

— Profesorze? — Głos Normana był przepełniony zdziwieniem. Z głośniczka dobiegł jednak już tylko szum.

Henry manipulował urządzeniem, ale nic to nie dawało. W końcu je wyłączył.

— Bateria musiała paść — stwierdził ponuro. Modlił się, by Norman zrozumiał ostrzeżenie, liczyło się też i to, że najwyraźniej opat Ruiz nie wychwycił tajnej wiadomości. Henry oddał walkie-talkie Philipowi.

Ten schował je do kieszeni.

— Co to miało znaczyć, że nie ufa pan Samowi, profesorze? Od kiedy?

Henry zrobił krok naprzód, próbując dać doktorantowi do zrozumienia, że powinien się zamknąć.

Niestety, opat Ruiz wykazał się czujnością. Gwałtownie odwrócił się do Henry'ego i Philipa.

— Co to za gierki? — spytał podejrzliwie.

— Żadne gierki — szybko odparł Henry. — Pan Sykes i mój bratanek od zamierzchłych czasów ze sobą rywalizują. Pan Sykes zawsze sądził, że faworyzuję Sama.

— Nigdy tak nie uważałem, profesorze! Ufał pan nam wszystkim!

— I nagle się to zmieniło? — spytał Ruiz. — Wygląda na to, że wszyscy tracimy teraz do siebie zaufanie...

Opat machnął ręką i za plecami Philipa pojawił się ojciec Otera — z nożem w ręku.

— Nie! — wrzasnął Henry.

Zakonnik złapał garść włosów Philipa i pociągnął mu głowę do tyłu, eksponując krtań.

Philip zapiszczał, ale na widok noża ucichł. Kiedy ostrze dotknęło szyi, zamarł.

— Tak szybko potrzebna będzie kolejna lekcja? — spytał opat.

— Zostawcie chłopaka w spokoju — powiedział błagalnie Henry. — Nie wie, co mówi.

Opat stanął obok Philipa, ale słowa były przeznaczone dla Henry'ego.

— Próbował pan przekazać ostrzeżenie? Tajemny sygnał?

Henry patrzył mu prosto w oczy.

— Nie. Philipowi się pomyliło.

— Tak było? — spytał doktoranta Ruiz.

Philip zamknął oczy i wymamrotał coś niezrozumiałego.

Opat pochylił się do jego ucha.

— Jeśli chcesz żyć, oczekuję prawdy.

— Nie... nie wiem, o co pan pyta.

— Zadam proste pytanie: czy profesor Conklin ufa bratankowi?

Philip rzucił okiem w kierunku profesora, potem odwrócił wzrok.

— Tak... tak mi się wydaje.

Mina opata sposepniała. Był wyraźnie niezadowolony z niejednoznacznej odpowiedzi.

— Philipie...

Doktorant cały się skulił.

— Tak! — zawołał. — Profesor Conklin ufa Samowi bardziej niż wszystkim innym. Zawsze tak było!

Opat skinął głową i nóż odsunął się od gardła Philipa.

— Dziękuję za szczerość. — Ruiz odwrócił się do Henry'ego. — Wygląda na to, że potrzebna jest kolejna lekcja, by przekonać pana o wartości współpracy.

Henry poczuł się, jakby w żyłach miał lód.

— Za oszustwo wobec ścieżki Boga należy się poważna kara. Tylko kto powinien ją ponieść? — Opat przez chwilę się zastanawiał. — Chyba pozostawię wybór panu, profesorze.

— Jak to?

— Dostanie pan wybór, kto będzie ukarany za pańskie grzechy, profesorze: Philip czy doktor Engel.

— Jeśli zamierza pan kogoś karać, to proszę ukarać mnie.

— Nie możemy tego zrobić, profesorze. Potrzebny jest pan nam żywy. Wyobrażam sobie, że konieczność dokonania wyboru jest wystarczającą karą.

Henry zbladł i ugięły się pod nim kolana.

— Nie potrzebujemy dwóch zakładników. Kogo pan wybierze, Philipa czy doktor Engel, ten zostanie zabity. Wybór należy do pana.

Philip błagalnie wbijał wzrok w Henry'ego. Jakie miał wyjście?

— Musi pan podjąć decyzję w ciągu dziesięciu sekund, bo zginą oboje.

Henry zamknął oczy. Widział przed sobą Joan, śmiejącą się i radośnie ożywioną podczas kolacji w Baltimore, z policzkami oświetlanymi światłem świec. Kochał ją. Nie mógł dłużej temu zaprzeczać — nie mógł jednak także zrzucić z siebie odpowiedzialności za tutejsze wydarzenia. Choć Philip często zachowywał się jak bezmyślny dupek, był jego studentem. Henry zagryzł wargę, w oczach zbierały mu się łzy. Pamiętał dotyk ust Joan na swoim uchu, jej oddech na szyi, zapach włosów.

— Profesorze?

Henry otworzył oczy i wbił w opata wściekłe spojrzenie.

— Ty draniu...

— Wybieraj, albo każę zarznąć oboje. — Opat uniósł dłoń, gotów dać znak zakonnikowi. — Kto umrze za twoje grzechy?

— Doktor... doktor Engel — powiedział Henry ze ściśniętym gardłem. Jaki miał wybór? Choć od studiów na Uniwersytecie Rice'a minęło wiele lat, Joan się nie zmieniła. Henry znał jej nastawienie: nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby uratował jej życie kosztem życia Philipa. Mimo to decyzja była straszliwa. Ledwie mógł oddychać.

— Więc niech tak będzie — powiedział łagodnie opat Ruiz.

. . .

Sam podążał za Kamapakiem, który wyszedł na jaskrawe poranne słońce. Nawet przy unoszącej się gęstej mgłę po półcieniu dżungli światło słońca razило.

Zasłonił oczy i stanął. Po chwili obok zatrzymała się Maggie. Oboje byli wykończeni wspinaczką. Rozglądając się po okolicy, Sam czuł

pulsujący w głowie silny ból.

W odległości stu metrów wznosiła się niemal pionowa, naga wulkaniczna ściana z czerwonej jak świeża krew skały, zwieńczona występami ostrymi niczym brzytwa. W górze wznosił się imponującej wielkości czarny stożek sąsiedniego wulkanu.

Po ścianie wiła się zygzakiem wąska ścieżynka prowadząca do wlotu tunelu, mniej więcej siedemdziesiąt metrów nad dnem doliny. Szlak wyglądał na niełatwy. Właśnie schodziło nim dwóch ludzi — od ostrzy ich dzid odbijało się słońce. Nie było z nimi Denala.

— Idziemy! — rzucił Sam, wskazując czubkiem przemienionego sztyletu w kierunku schodzących.

Maggie skinęła głową, zbyt zmęczona, aby mówić. Poprawiła na ramieniu winchestera, ścisnęła go mocniej i ruszyła dalej.

Kamapak poprowadził ich poletkiem dzikiej komosy ryżowej, wzdłuż skraju dżungli. Za zielonym polem, u podstawy skalnej ściany, ciągnęła się szeroka połąć splątanych krzewów i spiętrzonych wulkanicznych głazów. Tu i ówdzie spod ziemi wylatywały słupy pary — wokół każdego z „wulkanicznych zaworów” odłożyła się gruba warstwa siarki. Powietrze było wilgotne i gorące, jak w smrodliwej saunie.

Na ścieżce spotkali dwóch schodzących z góry Inków. Kamapak zaczął z nimi rozmawiać, Sam w tym czasie przyjrzał się ich dzidom. Ostrza były złote jak jego sztylet, ale co ważniejsze — niezakrwawione. Sam próbował przysłuchiwać się rozmowie, nic jednak nie rozumiał. W końcu szaman machnął na Inków, by wracali do wioski, i rozpoczął wspinaczkę.

Sam zatrzymał go na chwilę, dotykając jego ramienia.

— Denal?

Szaman jedynie pokręcił głową, wskazał w górę i kontynuował wspinaczkę.

— Co sądzisz? — spytała Maggie.

— Nie wiem. Najwyraźniej odpowiedź jest na górze.

Dziewczyna niespokojnie popatrzyła w kierunku wlotu tunelu.

— W świątyni?

Ponuro skinął głową i podążyli za Kamapakiem, pokonując ostre występy w skale. Nie rozmawiali, gdyż na tej wysokości potrzebowali każdego łyka powietrza. Sam poczuł, że poca mu się ręce, Maggie za jego plecami głośno dyszała. Z wysiłku bolał go każdy mięsień w nogach.

Jedynie Kamapak parł przed siebie jak gdyby nigdy nic. Przyzwyczajony do wilgoci i wysokości, nawet się nie spocił. Czekał na nich przy wlocie tunelu. Coś mówił, ale jedynym słowem, jakie Sam potrafił pojąć, było „Inti”.

Sam spojrzął za siebie na dolinę. Wioska w dżungli była ledwie widoczna. Z lewej strony, na grani, zapaliło się kilka ogni — sygnałów dla helikopterów.

— Dobra robota, Norman — szepnął Sam.

— Miejmy nadzieję, że twój wuj wkrótce tu dotrze — powiedziała Maggie. Trąciła go łokciem, wskazując na wejście tunelu. — Chodźmy.

Kamapak zapalił pochodnię i wszedł do środka. Tunel był na tyle szeroki, że mogły nim iść obok siebie cztery osoby. Biegł prosto, bez zakrętów i nawrotów. Gładkie ściany były z litej wulkanicznej skały.

— Tunel lawowy. — Maggie dotknęła ściany.

Sam skinął głową i wskazał do przodu. Początkowo ciemność wydawała się nieprzenikniona, ale kiedy oczy przywykły do mroku, w oddali dało się dostrzec słabe światełko. Było to światło dnia.

— Norman się nie pomylił — powiedział Sam. — Tunel musi się łączyć z inną doliną albo kalderą wulkanu.

Zanim Maggie zdążyła odpowiedzieć, Kamapak stanął. Zapalił dwie tkwiące w ścianie pochodnie i pomiędzy nimi uwidoczniła się niewielka wnęka, której wcześniej nie widzieli. Szaman ukląkł przed wejściem.

Sam zbliżył się do niego i kiedy ujrzał, co jest w środku, stanął jak wryty. Maggie podeszła i również zamarła. Złapała go za ramię i mocno wbiła mu palce w ciało.

— Świątynia... — szepnęła.

Widok mógł onieśmielić każdego. Pomieszczenie było wielkości podwójnego garażu, każdą powierzchnię pokryto złotem: podłogę, ściany, sufit. Złota jaskinia! Nie wiadomo, czy było to złudzenie optyczne, ale złote powierzchnie zdawały się płynąć, robić zawijasy i skręcać w wiry, sunąc po podłożu, ale nie odsłaniając skały. Pośrodku leżał gruby blok złota — ołtarz albo legowisko — jego wierzch był lekko wyprofilowany, by pasował do kształtu ludzkiego ciała. Nad ołtarzem, niczym kandelabr, wisiała kula złota, którego filigranowe pasma i włókna splatały się i zwijały w gęstą sieć. Przypominała nieco kokon utkany z pajęczyny, dzieło natury raczej niż

wytwór ludzkich rąk. Także i to złoto zdawało się płynąć. Splątane pasma jakby powoli się poruszały i kłębiły w migoczącym świetle pochodni.

— Gdzie jest Denal? — spytała Maggie.

Sam pokręcił głową, zdumienie odebrało mu mowę. Wskazał sztyletem-wężem w kierunku ołtarza.

— Nie ma krwi.

— Dzięki Bogu — odparła Maggie. — Spróbujmy...

W tym momencie z kłębowiska nad ołtarzem zaczęło w kierunku Sama wypełzać spiralnie skręcone pasmo złota.

— Nie ruszaj się... — mruknął Sam, zamierając w bezruchu.

Pasmo sunęło w powietrzu niczym badająca przestrzeń macka. Jakby przyciągał je sztylet-wąż w dłoni Sama. Wyciągnęło się na tyle, by dotknąć złotego węża, który natychmiast zaczął tracić kontury, jakby się rozpuszczał niczym ogrzewany воск. Rękojeść w dłoni Sama zrobiła się zimna, macka wysysała ciepło. Wąż zaczął zmieniać kształt — wyciągał się i stawał coraz ostrzejszy — po chwili wrócił do pierwotnej postaci sztyletu.

Macka wycofała się i powróciła do kłębowiska nad ołtarzem niczym zwijana na kołowrotek żyłka.

Sam uniósł sztylet na wysokość oczu.

— Co to było?

Maggie odzyskała mowę i weszła w cień Sama, tak żeby jego szerokie ramiona oddzielały ją od jaskini.

— To nie złoto. To nie może być złoto. Niezależnie od tego, z czego zrobiony jest sztylet, to ten sam materiał, z którego wykonano świątynię. Ten, który Mochica nazywali Złotem Słońca. To substancja z meteorytu.

— Ale ona się zachowuje jak żywa...

Kamapak wstał, przyglądając się z najwyższą czcią Samowi. Coś wymamrotał, po czym się uklonił.

— Chyba nie powinniśmy się tym bawić — uznała Maggie. — Dowiedzmy się, co się stało z Denalem, i zostawmy to do czasu, aż pojawi się więcej doświadczonych naukowców.

Sam tępo skinął głową.

— Właśnie to widział ojciec de Almagro. I to musiało go tak przestraszyć, że postanowił odciąć tę kalderę od świata. Wąż Edenu.

— Wąż i obcięta głowa Pachacuteca... — dodała Maggie.

W drodze do świątyni opowiedziała, jak podsłuchiwała wieczorną rozmowę przy ognisku i opowieść o Inkarrim. Sam popatrzył na nią pytająco.

— Chyba nie kupujesz nonsensu o królu, któremu obcięto głowę?

Spuściła wzrok.

— Jest coś jeszcze...

— Co?

— Potrzebowałam czasu do zastanowienia i po tym, jak was zabrali, wkradłam się na podwórze. Widziałam Pachacuteca bez ubrania. Jego ciało było... nie takie jak trzeba.

— To znaczy?

— Jakby...

W korytarzu nagle rozległ się głośny krzyk. Sam i Maggie zamarli.

— Denal... — szepnęła Maggie. — Żyje!

Sam ruszył w głąb tunelu, w stronę światła na jego końcu.

— Tylko jak długo jeszcze pożyje? Chodźmy!

Kamapak uniósł ramię, by zablokować im drogę. Pokręcił energicznie głową, wyrzucając przy tym z siebie potok ostrzegawczych słów. Jedynymi, które rozumieli, były „*janan pacha*”. Niebo Inków. Sam przypomniał sobie, jak ludzie z wioski wyjaśnili im, że dzieci są przekazywane w darze bogom w *janan pacha*. A więc tam musieli zabrać Denalę! Szaman wpatrywał się w nich buntowniczo, zakazując przejścia.

— Pieprzyć to! — rzucił wściekle Sam i zamachał mu sztyletem przed nosem. — Idziemy, koleżko, więc albo się odsuń, albo wytnę w tobie drzwi.

Ton jego głosu musiał pokonać barierę językową, Kamapak bowiem cofnął się przestraszony. Nie czekając, Sam ruszył szybkim krokiem w głąb korytarza. Szaman poszedł za nimi, cicho mamrocząc modlitwy.

Wkrótce byli u wylotu tunelu. Wychodził na kolejną wulkaniczną kalderę. Mgła była tutaj jeszcze gęstsza, filtrowała słoneczne światło, tworząc niemal półmrok. Gęsty opar wisiał niczym półprzezroczysta zasłona. Siarki było w powietrzu tyle, że piekły oczy, temperatura niemal paraliżowała. W kierunku dżungli prowadziła wyraźnie widoczna ścieżka.

— Musimy być w sąsiedniej kalderze — szepnęła Maggie.

Sam skinął głową i ruszył. Maggie poszła za nim, po chwili wahania to samo uczynił Kamapak. Szaman lekko się garbił, wpatrywał się uważnie

w dziwne niebo, jakby z obawy, że zaraz coś ku niemu sięgnie i go złapie. Najwyraźniej jeszcze nigdy tu nie był. To miejsce musiało być tabu.

— Nie powiem, bym dokładnie tak wyobrażał sobie raj — rzekł Sam. Kiedy weszli pod dach z liści, półmrok zamienił się w mrok.

Dżungla wokół milczała. Nie śpiewał żaden ptak, nie wydawały głosów inne zwierzęta. Wysoko w drzewach siedziało kilka małp, ale i one zamarły. Jedynie wodziły spojrzeniem za przybyszami.

Maggie zdjęła karabin z ramienia i Sam miał nadzieję, że jak twierdziła, jest doświadczonym strzelcem. Zwłaszcza że poza tym mieli tylko sztylet.

Idąc ścieżką prowadzącą do przecinki w dżungli, nie mieli odwagi nawet zaszeptać. Kiedy dotarli do jaśniejszego miejsca, Sam przykucnął i wyciągnął rękę, by się zatrzymali. Potrzebowali planu. Gdy popatrzył w kierunku Maggie, zauważył, że jej oczy wypełnia strach. Tuż za jej plecami przykucnął Kamapak.

Rozległ się kolejny krzyk, przesywając dżunglę niczym strzała. Jego źródło musiało się znajdować tuż przed nimi.

— Pomocy! — W głosie Denala wyraźnie słychać było przerażenie.

— Cholera niech weźmie ostrożność! — rzucił Sam i wstał. — Idziemy. Ruszył szybkim krokiem, Maggie deptała mu po piętach.

Wypadli z dżungli i znaleźli się w... kolejnej inkaskiej wiosce. Ustawione na tarasach kamienne domy wspinały się na łagodne zbocza, chowając się między drzewami. Ta wioska była całkiem inna: dżungla zaanektowała ją, zdążyła przejść na własność. Wszędzie spomiędzy płyt granitu wystrzeliwały w górę krzewy i drzewka, z jednego z zawalonych dachów wyrastało potężne drzewo, które rozpościerało gałęzie nad domem niczym parasol.

Wioska wyglądała kiepsko, a smród był paskudny.

Ulice były pełne odpadków. Niczym potłuczone szkło, wały się tam zwierzęce kości, niektóre z resztkami skóry i sierści. Pod nogami chrzęściły skorupy glinianych naczyń.

— Boże... — westchnęła Maggie. — Trzecie miasto.

— Słucham?

— Pamiętasz święto z pierwszej nocy? Podejrzewałeś, że nekropolia to *uca pacha*, dolny świat, a wioska, do której trafiliśmy, to *cay pacha*, środkowy świat. No to tu mamy trzecią wioskę. Górny świat, *janan pacha*.

Sam rozejrzał się z niesmakiem po zniszczonych i zaśmieconych ulicach. Zdecydowanie nie było to niebiańskie miasto, nie mieli jednak czasu na roztrząsanie tajemnicy. Dał znak i poszli ku głównej alei.

Kamapak rozglądał się po zrujnowanej wiosce z przerażeniem w szeroko otwartych oczach.

Sam pomyślał, że najwyraźniej on też nie tak wyobrażał sobie raj.

Przed nimi narastały hałasy: pomruki i ciche wściekłe piski, przez które przebijał się jeden odgłos. Pochlipywanie Denala.

Kiedy dotarli do placu, Sam zwolnił. Wyrzwał za róg i szybko się cofnął.

— A niech to cholera...

— Co jest? — spytała Maggie i też wyrzwała.

Zamarła. Sam przysunął się do niej, próbował dodać jej otuchy. Pośrodku placu stał Denal: nagi jak nowo narodzony, przerażony i oszołomiony.

Nic dziwnego.

Wokół niego tłoczył się tłum bladych potworów. Niektóre były wielkie jak bawoły, inne rozmiarów umięśnionych cielaków. Od razu rozpoznali ich paskudne kształty: były to te same istoty, które zamieszkiwały nekropolię we wnętrzu góry. Okręzały chłopaka, węsząc i parskając przy jego nogach. Od czasu do czasu dochodziło między nimi do starć — rozlegały się głośne syknięcia, w powietrzu świstały ostre jak brzytwa pazury. Jeszcze się zastanawiały, co z chłopcem zrobić.

Jedno nie budziło wątpliwości: stwory były głodne. Wyglądały na wygłodzone, z mord ściekała im ślina. Skóra i kości.

Jeden ze stworów, o chudych jak patyki nogach, nagle odwrócił się w kierunku przybyszy. Zwiadowca. Samowi i Maggie udało się w ostatniej chwili cofnąć i nie zostali dostrzeżeni.

Wrócili za róg.

Wytatuowany szaman wyglądał na kompletnie zdezorientowanego i przerażonego. Na pewno nie miał pojęcia, co takiego kryje się w *janan pacha*. Zanim zdążyli go powstrzymać, wyszedł z podniesionymi rękami na plac. Ze łzami w oczach zaczął śpiewać przepełnioną religijnym żarem pieśń. Szedł w kierunku bladych stworów.

Bestie umilkły.

Sam pociągnął Maggie do tyłu.

— Musimy obejść plac — szepnął jej w ucho. — Skorzystać z tego, że szaman odwraca ich uwagę. Zobaczyc, czy uda nam się uratować Denala.

Skinęła głową i ruszyli co sił w nogach uliczką biegnącą równolegle do centralnego placu. Pieśń Kamapaka dudniła jak z głośników. Maggie i Sam starali się omijać połamane kości i garnki.

— Tędy... — syknęła i wpadła w uliczkę między domami.

Wkrótce znaleźli się po drugiej stronie placu, mieli Denala tuż przed sobą. Nie zauważył ich, bo osunął się na kolana i wpatrywał w nadchodzącego Kamapaka.

Bestie też zainteresowały się śpiewem. Tłum odsunął się od przerażonego Denala i ruszył w kierunku nowej ciekawostki. Wokół chłopca powstało nieco wolnej przestrzeni.

Jeśli mieli go uratować, to teraz.

Sam wziął głęboki wdech i wyczołgał się na plac. Maggie — z karabinem w rękach — sunęła tuż za nim.

Po drugiej stronie placu bestie otoczyły szamana. Kilka karłowatych stworów, bezpłciowych trutni, szarpało jego szatę. Większe, mocniej umięśnione, stały nieco z tyłu, przekrzywiając głowy, obserwując przybysza, słuchając jego śpiewu. Jak długo pieśń powstrzyma bestie? Odpowiedź nadeszła w ciągu sekund: jeden z myśliwych wybiegł naprzód i ciosem pałki przewrócił szamana na ziemię. Sam zrobił krok naprzód, ale Maggie złapała go za łokieć.

Kamapak zaczął się powoli podnosić i pomacał zakrwawione czoło. Sfora wpatrywała się w jego czerwone palce. Kiedy stwory poczuły zapach krwi, zapomniały o bożym świecie. Rzuciły się naprzód i zalały szamana jak lawina. Kamapak zaczął krzyczeć. Atakowi towarzyszyły przeraźliwe wrzaski i wycia. Nawet w swojej kryjówce Sam i Maggie słyszeli trzask łamanych kości i rwanie żywej skóry.

Denal odwrócił się, dzięki czemu w końcu ich dostrzegł. Wstał i podbiegł na drżących nogach. Oczy miał podpuchnięte od płaczu, twarz bladą z przerażenia. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Sam uciszył go gestem.

Odgłosy na placu cichły. Kamapak już nie krzyczał.

— Musimy się stąd wydostać... — powiedziała Maggie.

Po przeciwległej stronie placu grupka stworów spożywała posiłek. Wszędzie leżały skrawki szaty, zdeptana krew plamiła kamienie; szaman

zniknął jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki. Zostały z niego tylko krwawe strzępy, które żuto i o które walczono.

Niestety, ciało chudego szamana nie zaspokoilo głodu wszystkich stworów i wiele z nich szukało kolejnego źródła pożywienia. Denal, Sam i Maggie szybko zostali dostrzeżeni.

— A niech to... — jęknął Sam.

Znowu rozległy się wrzaski. Nawet jedzące stwory podniosły łby, żeby sprawdzić, czy nie dałoby się capnąć czegoś jeszcze.

— Jak się tu dostałeś, Denal? — spytał Sam, nie dbając już o dyskrecję. — Jest stąd inne wyjście?

Chłopak pokręcił głową.

— Strażnicy zaprowadzili mnie do świątyni. Kazali się położyć na ołtarzu, potem obudziłem się tutaj... otumaniony, bez ubrania. Wtedy przyszły te... stwory!

— Co to właściwie za istoty?

— Ich... bogowie — wydukał Denal.

Jeden ze stworów skoczył w ich kierunku. Maggie wycelowała i strzeliła. Bestia, z odstrzeloną połową czaszki, poleciała do tyłu.

— Krwawiący bogowie...

Martwy stwór natychmiast zamienił się w posiłek, nie spowolnił jednak stada — żądza krwi i głód doprowadzały je do szaleństwa.

Sam, Maggie i Denal cofali się, aż usłyszeli za plecami warknięcia. Z drugiej strony zbliżali się spóźnialscy biesiadnicy, ściągnięci zapachem krwi i hałasem. Inne bestie pełzły po dachach, wrzaskami sygnalizując głód.

— Chyba właśnie zadzwoniono na obiad... — rzekł Sam.

. . .

Joan pracowała zamknięta w celi. Spędziła poranek na czytaniu artykułów w czasopismach, streszczeń i odręcznych notatek na temat nanotechnologii, dostarczonych przez młodego mnicha. Szczególnie zaintrygował ją materiał o teorii systemów biomimetycznych — idei polegającej na konstruowaniu mikroskopijnych maszyn poprzez imitację istniejących modeli biologicznych, takich jak mitochondria i wirusy. Doktor Eric Drexler proponował w swoim artykule użycie białek i kwasów nukleinowych jako budulca dla mikromaszyn, czyli nanobotów. Omawiał

w nim, w jaki sposób współczesna biologia mogłaby zainspirować generację „syntetycznych, niebiologicznych struktur”.

Joan opadła na oparcie, przypominając sobie mikroskopijne ośmiokątne struktury, z których składała się substancja Z. Ich kształt od początku wydał się jej znajomy — były niemal imitacją fagów. Czyżby to były konstrukcje biomimetyczne?

Zaczęła przerzucać papiery, aż znalazła wydruk skanu mikroskopowej próbki. Dziwny element udało się w ramach analizy rozłożyć na komponenty.

Próba 134B12

Analiza SPM z wykorzystaniem obrazowania fazowego, modulacją mocy i mikroskopii techniką pulsacyjną (wyniki porównane z analizą za pomocą spektrografii masowej próby 134B8)

Wyniki wstępne:

Architektura makrocząsteczki Si (krzem) i H (wodoru),
powłoki: w szczególności cubosiloxane ($H_8Si_{18}O_{12}$) oraz
tektokrzemiany

Ramiona: nanorurki Si przeplatane Au

Rdzeń: brak możliwości analizy

Joan postukała w kartkę. A więc „ramiona” nanocząsteczki zawierały złoto, stąd zabarwienie substancji Z. Bardziej intrygujący był jednak skład powłoki: głównie krzem. W przyrodzie niemal wszystkie elementy budulcowe bazują na węglowodorach — związkach węgla i wodoru, tu jednak węgiel został zastąpiony krzemem.

— Krzemowodory — mruknęła, nazywając nową klasę cząsteczek. Choć w biologii głównym budulcem są węglowodory, w geologii jest inaczej, dominującym pierwiastkiem w skorupie ziemskiej jest właśnie krzem. Czyżby ten element był pomostem łączącym biologię z geologią? Albo, jak twierdził młody mnich, pierwszym odkrytym nanobotem?

Na koniec popatrzyła na ostatni wers, dotyczący składu rdzenia. „Brak możliwości analizy”. Tu leżał pies pogrzebany. Powłoka była zbadana, ale elementy wewnętrzne stanowiły tajemnicę. Pozostawały podstawowe pytania, jakie młody mnich postawił w swoich zapiskach: W jakim celu stworzono tę mikroskopijną maszynę? I kto ją zaprogramował?

Zanim Joan zdążyła głębiej się zastanowić, na korytarzu rozległy się kroki. Popatrzyła na zegarek i zmarszczyła ze zdziwieniem czoło. Było za

wcześnie na lunch. Zagryzła dolną wargę. Pewnie to nie do niej, ale wołała nie ryzykować.

Szybko poukładała dokumenty na biurku, złożyła kartkę z kodem ojca de Almagro i schowała ją do kieszeni. Położyła jedyną dozwoloną w celi książkę — Biblię — na dziurze, którą wypaliła w biurku, by ukryć efekt eksperymentu.

Na koniec wsunęła do kieszonki na piersi papierosa, którego wycygała od swojego strażnika. Kiedy przyjrzała się biurku, z zadowoleniem stwierdziła, że nie widać śladów jej konspiracyjnej działalności.

Szczęście, że posprzątała, ponieważ kroki zatrzymały się dokładnie pod jej celą. Włożono klucz w zamek i przekręcono go.

Odwróciła się, kiedy otwierano drzwi. W wejściu stał Carlos z glockiem w ręku.

— Co się stało? — spytała.

— Wychodź! — rzucił szorstko i machnął pistoletem. — Idziesz ze mną!

Joan się zawahała. Przestraszyła się, że ją zdemaskowano.

— Natychmiast! — przynaglił Carlos.

Skinęła głową i wyszła na korytarz. Pomacała palcami spód kołnierzyka bluzki — pod plastikowym usztywnieniem schowała dwie krople substancji Z. Nie mogła ryzykować i zostawić ich w celi. Pomieszczenie mogło zostać przeszukane, mogli też przenieść ją gdzie indziej.

Carlos skinieniem głowy kazał jej iść. Spodziewała się, że pójdą w kierunku laboratoriów, poprowadził ją jednak do innej części opactwa.

— Dokąd idziemy? — spytała na widok nieznanego otoczenia.

— Zobaczysz, jak dojdziemy na miejsce.

Zakonnik, który i wcześniej nie był szczególnie rozmowny, teraz stał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie. Jego napięta postawa denerwowała Joan. Co się działo? To skrzydło było urządzone po spartańsku: szli po gołej kamiennej podłodze, drogę oświetlał szereg nagich żarówek. Po bokach nie było drzwiczek, przez które wchodziło się do mikroskopijnych cel. Joan rozglądała się po korytarzu. Odkąd weszli do tego skrzydła, nie minęli ani jednego mieszkańca opactwa.

— Czy... coś się stało? — spytała Joan, niezdolna zapanować nad głosem.

Carlos nie odpowiedział, w milczeniu doprowadził ją do schodów na końcu korytarza. Miały jedynie sześć stopni, u szczytu były masywne dębowe drzwi okute żelazem. Pośrodku wisiał mały srebrny krucyfiks, nad którym umieszczono skrzyżowane miecze.

Joan przypomniała sobie, jak Henry wspomniał, że taki symbol znajdował się na sygnecie ojca de Almagro. Pamiętała także, co oznacza: inkwizycję.

Kiedy Carlos pod bronią kazał jej odejść na bok i zapukał, Joan poczuła zimne poty. Od wewnątrz odsunęła się klapka, w pustym korytarzu głośno zgrzytnęło drewno o metal.

Kiedy drzwi zaczęły się otwierać, Carlos się odsunął. Z pomieszczenia, niczym oddech smoka, buchnęło gorąco. Strażnik nie pozwolił jej się cofnąć. Lufa glocka wbiła się zdecydowanie w bok Joan.

W drzwiach stanęła potężna postać z nagim spoconym torse. Mężczyzna miał na sobie habit, ale jego górną część zsunął z ramion i zwisała na pasie z grubo plecionej tkaniny. Przesunął dłonią po spoconej łysinie i zaczął mówić szybko, krótkimi słowami po hiszpańsku. Carlos odpowiedział, na co mnich kiwnął głową i dał ręką znak, by wchodzili.

— Idź! — rozkazał Carlos.

Joan spełniła polecenie. Pomieszczenie przypominało scenografię z horroru. Z lewej strony był szereg cel bez prycz, z podłogą pokrytą słomą. Na ścianie z prawej wisiały starannie zwinięte łańcuchy, a na kołkach pejcze. Pośrodku stało palenisko, zarzył się w nim czerwono węgiel; od czasu do czasu wystrzeliwał z niego nieduży płomień. W żarze leżały trzy długie żelazne drągi.

Żelaza do wypalania piętna...

Joan rozejrzała się. Była to kopia średniowiecznej sali tortur. Och, nie... szybko się poprawiła, a kiedy poczuła odór znany z pracy w izbie nagłych wypadków. Krew i strach. Nie, to nie była kopia ani muzeum figur woskowych. To była prawdziwa sala tortur.

— Dlaczego tu jestem? — spytała, w głębi serca znała jednak odpowiedź. Henry popełnił błąd. Choć otoczenie było przerażające, poczuła niepokój o niego. Co mu się stało? Odwróciła się do Carlosa. — Będę ukarana?

— Nie — odparł zakonnik tonem tak obojętnym, jakby mówił o pogodzie. — Zostaniesz zabita.

Kolana ugięły się pod Joan. Nagle zrobiło się jej niedobrze. Ledwie oddychała.

— Nie... nie rozumiem.

— I nie musisz. — Skinął głową wielkiemu mnichowi.

Kat założył skórzane rękawice, by sprawdzić spoczywające w ogniu żelaza. Wyjął je z żaru i przyjrzał się końcom. Zadowolony wydał wargi i przemówił po hiszpańsku.

Carlos uniósł wyżej pistolet.

— Podejź do tamtej ściany.

— Po co to wszystko? — spytała Joan. Wskazała na broń. — Dlaczego w taki sposób? Mogłeś mnie zabić w pokoju.

Carlos mocniej zacisnął wargi. Popatrzył na narzędzia tortur.

— Potrzebujemy praktyki — odparł.

. . .

Maggie wycelowwała i pociągnęła za spust. Błada morda poleciała do tyłu, trysnęła z niej krew. Dziewczyna obróciła się na palcach i znów wycelowwała. Huk wystrzałów winchestera sprawił, że nie słyszała wrzasków i wycia bestii. Działała instynktownie. Strzeliła znowu, odrzucając do tyłu kolejnego bladego zwiadowcę, który podszedł zbyt blisko. Pisk, jaki z siebie wydał, kiedy dobrali się do niego pobratymcy, był tak głośny, że przebił się do ogłuszonych uszu Maggie.

Opuściła karabin, wciągnęła głośno powietrze przez zaciśnięte zęby. Pięć bestii, które dotychczas zabiła, jak na razie zaabsorbowało stado.

Coś dotknęło jej ramienia. Uderzyła kolbą karabinu.

— Aua! — wrzasnął jej w ucho Sam i mocno złapał ją za ramię. — To ja!

Maggie oblizwała wargi. Lekko drżała.

— Co zrobimy? — jęknęła. Bestie zapędziły ich na środek placu i nie zamierzały się wycofywać. Nie udało się stworzyć wyłomu. Miejsce każdego zastrzelonego stwora zajmowało kilkanaście następnych.

Sam puścił jej ramię.

— Liczyłem. Masz już tylko jeden nabój.

Popatrzyła na karabin.

— Boże! — Uniosła broń. Ostatni strzał powinien być celny. Spróbowała uspokoić drżenie rąk.

Sam pchnął lufę winchestera w dół.

— Daj mi spróbować — rzucił.

— Czego?

Uniósł złoty sztylet.

— Pamiętasz stwory w nekropolii?

— Musiałyby podejść bardzo blisko — powiedziała Maggie, wyrywając mu karabin z ręki.

— Może nie. — Sam stanął przed nią, zdjął kapelusz, uniósł sztylet i zaczął machać kapeluszem. Wykrzykiwał wyzwanie.

Setki par oczu podniosły się znad posiłku i wpatrzyły w Sama.

Załoczył stetsona, lecz nadal trzymał wysoko sztylet. Kiedy spojrzenia powędrowały ku jego broni, pomruki umilkły. Z jednej strony rozległo się ciche pojękiwanie. Sam odwrócił się w kierunku słabego ogniwa. Zaczął poruszać sztyletem długimi, zamaszystymi ruchami, i znów prowokująco wrzasnął.

Ściana bladych postaci zaczęła się odsuwać, pękać.

— Trzymajcie się tuż za mną — szepnął Sam.

Maggie dała znak nagiemu Denalowi, aby podszedł, chroniła tyły z gotowym do strzału karabinem. Jeden pocisk, powtarzała w myśli.

Sam zaczął powoli podchodzić do sfory, machając sztyletem, dźgając nim powietrze, warcząc.

Kilka stworów przenikliwie zawyło i uciekło. Blokada pękła. Coraz więcej bestii uciekało, zabierając krwawe szczątki.

— Chyba działa.

Nagle coś skoczyło na Sama. Miało na plecach szczątkowe skrzydła, a więc był to któryś z myśliwych. Sam zatoczył się do tyłu i wpadł na Denala.

Maggie odskoczyła na czas, aby się nie przewrócić ani nie stracić broni.

Niestety, była zbyt powolna.

Sam zwałił się na Denala w chwili, gdy stwór na nim usiadł. Chłopiec wrzasnął, a Sam użył jedynej broni, jaką miał: pchnął w górę sztylet. Wrzeszcząca bestia nadziała się na ostrze i choć sztylet wydawał się mały w stosunku do haczykowatych szponów, które mogły rozerwać dużą ofiarę, efekt okazał się niezwykły.

Karłowate skrzydełka bestii nagle musiały ożyć. Stwór wzleciał nad ostrze w dłoni Sama, wydając z siebie wrzask, od którego skuliła się nawet ogłuszona Maggie. Poszybował wysokim łukiem w powietrzu, padł na

kamienie placu i zamarł brzuchem do góry. Spomiędzy ściskających ranny brzuch pazurów wystrzeliwały cienkie płomyki.

Błady tłum wokół zamarł i umilkł. Szeroko otwarte ślepia były nieruchome.

Płomienie strzelały z brzucha stwora i przesuwały się we wnętrzu jego ciała niczym pożar po suchej trawie. Zwierzę się wiło, paszczę miało szeroko otwartą, jakby niemo wyło w agonii. Płomienie wystrzeliły w końcu z głębi gardła, zamigotały jak oszalały jezior i objęły łeb. Płomienie wciąż pląsały po poczerniałym pagórku popiołu.

Sam i Denal już stali, gotowi do działania.

— Idziemy — zarządził Sam.

Znów pogroził sztyletem, tym razem jednak nikt nie rzucał mu wyzwania. Pozostałe bestie zwiały. Zbiły się w ciasną grupkę i pomknęły w kierunku wyjścia. Cała trójka wstrzymała oddech.

Maggie patrzyła na dymiące szczątki. Spontaniczne spalenie. Jak dodać ten element do układanki? Pokręciła głową — nie było czasu na analizy. Sam wciąż machał sztyletem do kilku stworów, które jeszcze nie zdążyły uciec. Z boku obserwował ich wyjątkowo potężny, napakowany mięśniami osobnik. Mrużył oczy z nienawiścią. Jako jeden z niewielu wydawał się dobrze odżywiony. Przykucnął, podpierając się pięścią niczym nagi i błady goryl. Maggie rozpoznała w nim jednego z niewielu „przywódców”. Nie miał zewnętrznych narządów płciowych... jak Pachacutec.

Po chwili zaczęła do niej docierać straszliwa prawda. Była tak szokująca, że Maggie nie przyjrzała się, co stwór trzyma w drugiej łapie.

— Sam!

Bestia zamachnęła się i rzuciła kawałem skały wielkości dyni. Sam zdążył tylko odwrócić głowę. Gdy granitowy pocisk trafił go w rękę, wypuścił sztylet, który poleciał w powietrze i wylądował między zwierzakami.

Gigantyczny stwór zawył triumfalnie, wstał na tylne łapy i huknął się pięścią w pierś. Do jego wołania dołączyło się echo wrzasków innych bestii. Bez sztyletu ludzie byli bezbronni.

Maggie uniosła karabin ku wyjącemu „goryłowi”.

— Zamknij mordę, dupku!

Pociągnęła za spust i monstrum poleciało do tyłu na bruk. Jego nogi drgnęły w ostatnich śmiertelnych drgawkach, potem znieruchomiał.

Kiedy minął huk wystrzału, na placu zrobiło się cicho. Śmierć przywódcy na chwilę zastraszyła stado.

— Sam, to był ostatni nabój... — szepnęła Maggie.

— Więc obawiam się, że nadużyliśmy gościnności.

Jak gdyby zrozumiały, stwory zaczęły powoli pełznąć w ich kierunku.

— Szybko biegasz? — spytał sam Denal.

— Sam zobacz! — odkrzyknął chłopak i pomknął niczym sprinter.

Sam i Maggie podążyli za nim.

Za ich plecami eksplodowały wściekłe skrzeki i wycie. Rozpoczęła się pogoń. Stwory natychmiast zrezygnowały z ostrożności, żądza krwi pokonała strach. Bocznyymi uliczkami pomknęli zwiadowcy, główną aleją pędzili myśliwi.

Maggie próbowała dotrzymać Samowi kroku, walczyła równocześnie z winchesterem, który nie chciał dać się zarzucić na ramię.

— Zostaw go!

— Ale...

Sam zwolnił, wziął od Maggie karabin i rzucił go daleko za siebie. Cenny winchester zaklekotał o skały.

— Wolę ratować ciebie niż cholerny zardzewiały karabin.

Pozbywszy się ciężaru i pokrzepiona słowami Sama, Maggie znacznie przyspieszyła. Biegli obok siebie i ruszyli równym krokiem. Wydostali się z wioski ścieżką przez dżunglę. Przeszkadzały im tylko drzewa i smagające jak pejczy gałęzie, ale — podrapani i pokrwawieni — parli naprzód.

Denal biegł kilka metrów przed nimi, skakał i pędził jak nagi królik.

— Do tunelu! — krzyknął do niego Sam.

— Do jakiego tunelu?

Najwyraźniej chłopiec nie pamiętał, jak dostał się do wioski.

— Trzymaj się ścieżki, prowadzi prosto do niego! — wyjaśniła Maggie.

Denal jeszcze przyspieszył. Sam i Maggie z trudem dotrzymywali mu kroku. Gałęzie za ich plecami pękały, wściekle pokrzykiwali myśliwi.

Biegli, nie marnując energii na wymianę słów, jednak pole widzenia Maggie coraz bardziej się zawężało, aż widziała przed sobą jedynie wąziutki pasek przestrzeni. Dostała skurczów nóg i zaczęła zwalniać.

Sam objął ją ramieniem i pociągnął za sobą.

— Nie... Sam... biegnij. — Nie miała siły, by z nim walczyć.

— Jasne. — Ciągnął ją dalej. Droga się nie kończyła; gdy szli w tę stronę, wydawała się znacznie krótsza.

W końcu powróciło dzienne światło. Dżungla została z tyłu, kilkanaście metrów dalej pojawił się wlot tunelu. Denal już przy nim stał i czekał.

— Wchodź do środka! — zawołała Maggie i popatrzyła przez ramię. Błede postacie wyskakiwały z dżungli, rwąc pnącza. Niektóre biegły na dwóch łapach, inne na czterech. — Wchodź do tunelu, Denal!

— Nie... mogę! — Chłopiec stał przy wejściu. Zrobił krok w głąb tunelu, ale natychmiast wyszedł na zewnątrz.

Kiedy dobiegli do niego, Sam pchnął Maggie do tunelu.

— Idź!

Zataczając się, wpadła do środka. Miała tak ograniczoną zdolność widzenia, że w mroku tunelu wydawało jej się, że oślepla. Dostrzegła jedynie, jak Sam bierze Denala w ramiona.

Gdy wskoczył z nim do tunelu, chłopak darł się jak zarzynane prosię. Wił się i rzucał jak wściekły.

— Co mu jest? — spytała Maggie.

Plecy Denala wygięły się w konwulsji.

— Chyba ma atak padaczki — odparł Sam, mocno trzymając chłopca.

Wrzaski biegnących za nimi bestii odbijały się echem od ścian. Maggie spojrzała za siebie — tłoczyły się przy wejściu, wyraźnie widoczne w dziennym świetle, ale żadna nie weszła do środka.

— Nie chcą tu wchodzić... — mruknęła Maggie. Jak Denal, dodała w myśli.

Sam opadł na kolana, wycieńczony. Położył chłopca na podłodze. Widać mu było tylko białka, do warg lepiała się spieniona ślina. Charczał i kaszlał.

— Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje — powiedział Sam.

Maggie znowu popatrzyła w kierunku stworów tłoczących się przy wlocie do tunelu. Powoli pokręciła głową.

W końcu Denal głośno zakaszlał. Jego ciało się rozluźniło. Sądząc, że chłopak dochodzi do siebie, Maggie dotknęła go, a jego źrenice wróciły na swoje miejsce. Wbił w nią wzrok i szybko uniósł tułów do pionu, jakby obudził się z głębokiego snu.

— *Que paso?* — spytał po hiszpańsku.

— Musiałem wciągnąć cię do środka — odparł Sam. — Co się działo?

Denal zmarszczył brwi i z trudem wrócił do angielskiego.

— Nie chciało mnie puścić do wewnątrz.

— Co? Kto?

Denal przycisnął palec do czoła i zacisnął powieki.

— Nie wiem.

— Świątynia — odpowiedziała za niego Maggie.

— Słucham? — Sam nic nie rozumiał.

— Zabierajmy się stąd — odparła.

Sam pomógł Denalowi wstać i ruszyli za Maggie idącą powoli w kierunku dalekiego wyjścia. Przed sobą widzieli dwie migoczące pochodnie wetknięte po obu stronach złotej alkowy — inkaskiej Świątyni Słońca.

Kiedy Maggie weszła do jaskini, zwolniła kroku, po chwili stanęła i zaczęła przyglądać się złotemu ołtarzowi oraz wiszącej nad nim płataninie złotych nici.

Sam podszedł do niej, choć cały czas zerkał na drogę, którą przyszli.

— Jeśli to na górze to inkaskie wyobrażenie nieba, wolę nie mieć do czynienia z ich piekłem.

Maggie skinęła w kierunku złotej świątyni.

— Sądzę, że mamy je właśnie przed sobą.

Denal został z tyłu, trzymał się jak najdalej od jaśniejącego blaskiem pomieszczenia.

— Obawiam się, że tak — odparł Sam. — Trudno uwierzyć, że Inkowie mogą karmić te bestie swoimi dziećmi.

— Nie, Sam. Nie rozumiesz. Te bestie to ich dzieci. — Odwróciła się do niego, ignorując jego zdumione spojrzenie. Musiała wyartykułować na głos swoją teorię. — Mówili nam, że świątynia bierze ich dzieci, zamienia je w bogów, po czym wysyła do *janan pacha*. — Maggie wskazała palcem za siebie, gdzie ostatnie bestie wciąż podrygiwały i wyły przy wejściu do tunelu. — To są właśnie ofiarowane dzieci.

— Ale w jaki... dlaczego?

— Próbowałam ci powiedzieć, że widziałam Pachacuteca bez królewskiej szaty. Miał blade ciało, bez jednego włosa, bez narządów płciowych. Wyglądało dokładnie jak ciała tych bestii. Jak wielki stwór, którego zastrzeliłam. Jeden z przywódców stada.

Sam zmarszczył czoło, nie dowierzając. Popatrzył w kierunku świątyni.

— Chcesz powiedzieć, że to coś wyhodowało mu nowe ciało?

— W miarę możliwości. Jako Sapa Ince, królowi, dało mu ciało przywódcy stada.

— Ale to niemożliwe.

— Tak jak wyleczone kolano Normana? Albo jego wzrok? Nagła umiejętność komunikowania się z Inkami? Zastanów się, Sam! — Skinęła głową w kierunku świątyni. — Ten twór to coś w rodzaju regeneratora biologicznego. Utrzymał Inków przy życiu przez kilkaset lat. Dał ich wodzowi nowe ciało. Tylko dlaczego? W jakim celu to robi?

Sam pokręcił głową.

Maggie jeszcze raz wskazała w kierunku zamieszkiwanej przez bestie kaldery.

— Oto cena za wieczne życie w tym miejscu. Dzieci! Zabiera ich potomstwo i... bo ja wiem? Może z nimi eksperymentuje? Bez względu na to, jaki jest cel, świątynia wykorzystuje dzieci Inków jako pożywkę biologiczną. Mieszkańcy wioski nie są niczym więcej niż byłem w eksperymencie reprodukcyjnym.

— A co z Denalem?

Popatrzyła na chłopca. Był niezmienny... w zasadzie. Bronił się tylko przed wejściem do tunelu.

— Moim zdaniem świątynia potrzebuje więcej materiału, młodszych genetycznie komórek, takich, jakie mają noworodki. Denal był za stary, więc zrobiła z nim to, co robi zazwyczaj: kiedy kończy eksperyment, wszczepia do umysłu nakaz, by iść do sąsiedniej kaldery, i lęk przed powrotem. Widziałeś, że tak samo jak stwory, Denal nie mógł wejść do tunelu. Podejrzewam, że bestie, które dwa dni temu spotkaliśmy w nekropolii, migrowały z kaldery innymi tunelami, może szukały innego wyjścia i zostały tam uwięzione. Pewnie wolno im iść wszędzie, tylko nie do doliny, w której znajduje się wioska. To jest im zabronione.

— Dlaczego?

— Ponieważ świątynia chroni swoje zasoby przed własnymi odpadami. Nie może ryzykować, że stwory zniszczą jej źródło materiału genetycznego. Dlatego chroni mieszkańców wioski.

— Ale jeśli stwory stanowią ryzyko, dlaczego po skończeniu eksperymentu ich nie niszczy? Dlaczego daje im żyć?

— Nie jestem pewna. Może sąsiednia kaldera jest elementem eksperymentu, naturalnym terenem testowym? Można tam sprawdzić, jak stwory się przystosowują i funkcjonują w naturalnym środowisku.

— A dlaczego się palą po dźgnięciu sztyletem?

— Spontaniczne spalanie. Mechanizm zabezpieczający. Zauważyłeś, że strażnicy Denala mieli dzidy z ostrzami z tego samego materiału? Cios tą bronią, nawet draśnięcie, musi wyzwać jakąś kaskadową reakcję energetyczną. Kolejny poziom zabezpieczenia mieszkańców wioski.

Sam z coraz większym przerażeniem wbijał wzrok w świątynię.

— I tak to wszystko brzmi wariacko. Ale biorąc pod uwagę, co stało się z Normanem, nie mogę zaprzeczać. Tylko po co świątynia to robi? Jaki jest ostateczny cel? Kto ją skonstruował?

Maggie nie miała na to odpowiedzi. Pokręciła tylko głową, tymczasem w tunelu rozległ się nowy odgłos.

DUMB... DUMB... DUMB...

— Chodźcie!

Kiedy dotarli do końca tunelu, Sam wyciągnął naprzód rękę, gdy tylko jego wzrok przywykł do jaskrawego słońca.

— Odsiecz! — W górze przez gęstą mgłę przebijał się ciemny cień. Kiedy nieco opadł, dostrzegli czarnozielony korpus wojskowego helikoptera transportowego. — Wuj Hank! Dzięki Bogu!

Maggie westchnęła z ulgą.

— Z wielką chęcią opowiem o wszystkim profesorowi...

Sam objął ją ramieniem. Nie broniła się.

Do łoskotu łopat wirnika dołączyło rytmiczne dudnienie w dole. Bębny! Wyglądało na to, że Inkowie zauważyli pojawienie się w ich dolinie dziwnego ptaka. Powietrze przeszył też ostry brzdęk metalowych gongów, jakby wyrażający złość.

— Bębny wojenne — powiedziała Maggie, patrząc na Sama.

Jego ręka spadła z jej ramienia, uśmiech zniknął z ust.

— Nie rozumiem. Norman miał ostrzec Inków, żeby nie straszili wuja i jego ludzi...

— Coś widać poszło nie tak.

— Muszę skontaktować się z wujem i go ostrzec. — Sam ruszył zygzakowatą ścieżką prowadzącą w dół skały.

Helikopter opadał w kierunku pola komosy wysianej przy skraju dżungli. Impet powietrza przyginał źdźbła zboża do ziemi.

— A co z Normanem? — spytała Maggie, przekrzykując huk silników helikoptera.

Sam nie odpowiedział. Jedynie przyspieszył kroku.

. . .

Kiedy helikopter lądował, Norman chował się na skraju dżungli. Przykucnął za kolczastym krzewem i patrzył, jak sznur maleńkich zielonych mrówek maszeruje po liściach, nie zwracając uwagi na łomot dolatujący od przyziemiającego na płozach helikoptera.

Łoskot łopat wirnika wibrował głęboko w piersi Normana. Modlił się, aby się okazało, że nie ma racji i źle zinterpretował słowa profesora.

— Po wszystkim, co się ostatnio wydarzyło, mogę po prostu mieć lekką paranoję — mruknął pod nosem. Dla bezpieczeństwa, do chwili, aż pojawią się przybysze, wolał się jednak nie pokazywać. W głębi duszy wiedział, że się nie myli, profesor Conklin próbował go przed czymś ostrzec. Ale przed czym?

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Z helikoptera wyszła dziwna zbieranina mężczyzn — jedni byli ubrani w polowe mundury i stroje kamuflujące, inni w burobrunatne habity. Wszyscy, nawet mnisi, poruszali się zbyt sprawnie i energicznie jak na zwykłych członków ekipy ratunkowej. Z luku zaczęli wyładowywać skrzynie z ekwipunkiem, które natychmiast otwierali. Z rąk do rąk wędrowały karabinki szturmowe. Niektórzy mężczyźni przyklękli i doczepiali do broni granatniki.

Norman skulił się jeszcze bardziej. Boże! A więc to nie paranoja!

Dolatujący z głębi dżungli łoskot bębnow i gongów ucichł. Norman wstrzymał oddech. Kazał Pachacutecowi przygotować wioskę — gdyby się okazało, iż nie ma niebezpieczeństwa, sprowadziłby tam profesora, nie dopuszczając do rozlewu krwi i dokonując odpowiednich prezentacji.

Inkowie byli przygotowani na wrogie działania, ale nie na to. Może powinien iść teraz do wioski, namówić mieszkańców do ucieczki... niestety Norman doskonale wiedział, że Pachacutec nigdy się na to nie zgodzi. Rozmawiali rano dość długo i było jasne, że inkaski król nie będzie tolerować żadnych prób ograniczenia autonomii jego plemienia. Pachacutec nie ucieknie.

Tak więc Norman pozostał za zasłoną liści i obserwował wydarzenia z ukrycia. Dowódca oddziału, zaokrąglony mężczyzna w stroju w stylu safari i dopasowanym kapeluszu, wydawał komendy i ustawiał swoich ludzi do ataku na wioskę. Słuchali go bez wahania. Nie minęło dziesięć minut od chwili, gdy płozy helikoptera dotknęły ziemi, a oddział szturmowy już ruszył. Działali z wojskową precyzją.

Przodem poszło dwóch ludzi. Wybiegli przykucnięci spod łopat wirnika i pospieszili ku prowadzącej do wioski ścieżce. Norman był pewien, że w trakcie zwiadu powietrznego przybysze zrobili mapy ścieżek. Pozostała czwórka szła wolniej, ostrożnie, z gotową do strzału bronią. Potężny przywódca, czerwony na twarzy i pokryty warstewką potu, szedł za nimi, z pistoletem w ręku i ochroniarzem u boku.

Norman poczekał, aż oddział zniknie w dżungli, dopiero wtedy odważył się wziąć głęboki wdech. Nie bardzo wiedział, co robić, ale na pewno musiał porozumieć się z Samem. Ze swojego miejsca nie widział nawet pionowej ściany, w której było wejście do tunelu — widok zasłaniała mu dżungla.

A gdyby tak przejść między drzewami...

Zrobił dwa kroki, kiedy usłyszał nowe głosy i znów się zatrzymał. Z luku po drugiej stronie helikoptera wysiadło jeszcze dwóch ludzi. Jednym z nich był profesor Conklin! Był nieogolony, jego ubranie wyglądało, jakby kilka dni w nim spał, zachował jednak dumną postawę.

Henry zrobił krok naprzód, zatoczył się przy tym lekko, pchnięty lufą pistoletu przez człowieka w habicie. Mnich miał czarne włosy i ponurą minę. Na jego piersi błyszczał srebrny krzyż.

Norman nie pojmował, skąd wzięły się zakonne stroje. Pewnie był to jakiś kamuflaż.

Kiedy profesor i jego strażnik odeszli od helikoptera, do Normana doleciały fragmenty ich rozmowy.

— Będziesz w pełni z nami współpracował — powiedział mnich — albo studenta spotka ten sam los co twoją przyjaciółkę.

Ramiona Henry'ego lekko opadły. Poddał się. Skinął głową.

Norman w bezsilnej rozpaczyc zacisnął dłonie w pięści. Zakonnik z bronią musiał mówić o Philipie.

— Więźniowie zostaną przesłuchani — kontynuował zakonnik. — Pomożesz nam w tym.

— Zgoda, ale jeśli mojemu bratankowi albo komuś innemu coś się stanie, będziecie mogli pocałować mnie w dupę.

Mina mnicha zrobiła się jeszcze bardziej ponura, nie odezwał się jednak słowem, tylko odszedł krok na bok. Wolną ręką wyciągnął papierosa.

Norman przesunął się nieco i kucając, przycisnął dłoń do wulkanicznej skały. Obserwował draba, który pilnował profesora. Powolnymi ruchami obluzował kamień. Gdyby udało mu się prześlizgnąć wzdłuż bazaltowej grani, helikopter znalazłby się między nim a strażnikiem. Norman ruszył. Pamiętał, że pilot też wysiadł ze śmigłowca. Plan był ryzykowny, ale mógł uratować wszystkich. Gdyby uwolnił profesora, mogliby uciec i dołączyć do grupy Sama.

Norman dotarł do bazaltowej grani, wziął głęboki wdech, po czym wyskoczył z ukrycia, by przebiec kilka metrów po otwartym terenie i skryć się przy następnej grani. Zanurkował w półmrok, czekając, aż o zbocze za jego plecami zadudnią pociski — pewien, że został dostrzeżony. Nic się jednak nie stało. Oparł się na chwilę o skałę, uniósł kamień i zapytał siebie, czy pomysł ma sens. Zanim sparaliżował go strach, ruszył dalej, pełzając w cieniu bazaltowej grani niczym rak.

Kiedy miał pewność, że przeszedł wystarczającą odległość, zaryzykował i wyrwał. Nie pomylił się — kadłub helikoptera stał między nim a zakonnikiem z pistoletem. Norman jak najciszej przepelzł po grani. Drapanie o skałę brzmiało głośno jak wystrzały, wiedział jednak, że tylko w jego uszach. Poza tym już i tak nie było możliwości się cofnąć — stał na otwartym terenie.

Pobiegł, przyciskając kamień do piersi, w której serce waliło tak mocno, że prawdopodobnie słyszeli je Inkowie we wsi. Udało mu się dobiec do helikoptera i schować w jego cieniu. Ukląkł — po drugiej stronie widział dwie pary stóp. Henry i strażnik najwyraźniej nie uświadamiali sobie jego obecności.

Popelzł pod kadłubem, między dodatkowymi zbiornikami. Ramionami muskał żdźbła komosy. Profesor i mnich stali plecami do niego, patrząc w kierunku dżungli. Mnich wydmuchał długą smugę dymu.

Wstrzymując oddech i zagryzając wargę, Norman rozmyślał. Mógł pełzając powoli, unikając przeszkód, albo... rzucić się na ofiarę. Nie ufał swoim drżącym nogom, pełzł więc powoli, zbliżając się do człowieka z bronią centymetr po centymetrze.

Brakowało mu nie więcej niż metr, kiedy wybuchło piekło.

Doliną wstrząsnęły gwałtowne wybuchy. Centralna część dżungli wystrzeliła w niebo, obsypując okolice płomieniami.

Norman nie zdołał powstrzymać głośnego westchnięcia.

Mnich gwałtownie się odwrócił i przykucnął.

Norman miał tuż przed nosem wylot lufy.

— Rzuć to! — rozkazał mnich.

Nie było potrzeby nic mówić. Kamień już wypadł z odrętwiałych palców Normana.

Z dżungli dolatywało echo wrzasków i krzyków. Strzały z broni maszynowej terkotały jak zęby w porcelanowej filiżance.

Norman spojrział na Henry'ego. Miał zboląłą, zrezygnowaną minę.

Zgarbił się.

— Przepraszam, profesorze.

. . .

Kiedy pierwsza eksplozja huknęła w dolinie, Sam gwałtownie się zatrzymał. Lekko się zgarbił, jakby się bał, że dosięgną go spadające płonące resztki.

— Co to, do cholery...?

Denal też się skulił.

— Atakują wioskę! — rzuciła Maggie.

— Mój wuj Hank nigdy by tego nie zrobił.

— Może to nie profesor. Może ktoś inny zauważył ogień. Złodzieje. *Huaqueros*. Może nawet ci sami dranie, którzy próbowali w zeszłym tygodniu wykopać tunel. Może podsłuchali nasze komunikaty radiowe i wyprzedzili twojego wuja.

Sam osunął się i usiadł na ziemi.

— Co robimy?

— Powstrzymamy ich — odparła z płonącym wzrokiem Maggie. — Skinęła w stronę helikoptera, częściowo zasłoniętego przez dżunglę. — Załatwimy ich transport i nigdzie nie uciekną. Potem zawiadomimy profesora i każemy mu sprowadzić policję albo wojsko. Nie pozwolimy, żeby tu mordowali i rozkradali to, co znaleźliśmy.

Sam kiwał głową.

— Masz rację. Musimy przynajmniej spróbować. — Wstał. — Pójdę zrobić rekonesans. Zobaczę, co się dzieje.

— O, nie! Nie będziemy się rozdzielać.

Sam zmarszczył czoło, ale Maggie nie zamierzała popuścić.

Nawet Denal skinął głową.

— Ja też idę.

Sam zauważył, jak chłopak patrzy w kierunku tunelu. Nie była to odwaga — po prostu bał się zostać sam. Nagi i bez broni.

Sam rozejrzał się po dolinie.

Z dżungli dolatywało echo wystrzałów z broni automatycznej. Od czasu do czasu rozlegały się eksplozje wyrzucające w niebo drzewa i kamienie. Z odgłosami broni mieszały się wojenne okrzyki Inków i wrzaski umierających. Nad dżunglą unosiły się słupy dymu.

— No dobrze... — zgodził się w końcu Sam. — Idziemy razem. Tylko trzymajcie się blisko i bądźcie cicho. Dojdziemy do skraju dżungli i spróbujemy podkraść się jak najbliżej helikoptera. Sprawdzimy, czy zostawili przy nim wartowników.

Maggie skinęła głową i dała znak ręką, by ruszać.

Sam szybkim krokiem pokonał ostatnie zakręty i poprowadził grupkę zboczem pełnym wulkanicznych skał i gęstych krzewów. Wkrótce całą trójkę połknął mrok dżungli. Sam uniósł palec i prowadził, dając znaki dłonią. Wśród drzew odgłosy walki bardzo przycichły.

Znalazł prowadzącą wśród roślinności ścieżkę. Musieli dotrzeć do helikoptera, zanim bandyci skończą działania w wiosce. Oby w helikopterze była jakaś broń! Jeśli mieli utrzymać dolinę do przybycia wuja Hanka, potrzebowali znaczącej siły ognia.

Dżungla przed nimi się przejaśniała. Zbliżali się do polany. Sam zwolnił — nie wolno im było akurat teraz dać się złapać. Dał znak Maggie i Denalowi, aby się zatrzymali, i podpełzł do skraju dżungli. Kiedy miał odsunąć zasłaniającą widok gałąź, doleciał do niego znajomy głos.

— Daj chłopakowi spokój, Otera! Nie ma powodu, by robić mu krzywdę.

Wuj Hank!

Sam odsunął gałąź i wyjrzał na łąkę. Wielki helikopter przycupnął na polu komosy niczym gigantyczny okaz szarańczy. Gdy Sam zobaczył, co się dzieje, krew w jego żyłach zastygła: wuj Hank stał przed człowiekiem w habicie, który nie mógł być jednak apostołem Boga, bo trzymał wielki

pistolet. Sam bez trudu rozpoznał hiszpańską astrę A-100. Ta broń zatrzymuje atakującego byka — a była wycelowana prosto w pierś wuja.

Za plecami Henry'ego stał trzeci uczestnik sceny. Norman! Twarz miał pobladłą ze strachu.

Człowiek nazwany Oterą patrzył na wuja Hanka.

— Od kiedy to ty wydajesz rozkazy? — Zamachnął się pistoletem i z całej siły uderzył Normana w twarz. Fotograf osunął się na kolana, z rozcięcia na czole trysnęła mu krew.

— Zostaw go! — Wuj Hank stanął między Normanem a mnichem.

Otera, zwrócony plecami do Sama, uniósł pistolet.

— Chyba już nie jesteś nam potrzebny, stary człowieku — powiedział. — Z komunikatów wynika, że studenci wiedzą, gdzie jest złoto. Mam już tego tutaj i nie widzę potrzeby, żeby dłużej się tobą zajmować.

Rozległ się trzask odblokowywanego zamka.

Boże! Sam wysunął się z kryjówki i pomknął przez pole.

Henry go dostrzegł i otworzył szeroko oczy. Spróbował udać obojętność, ale jego reakcja została dostrzeżona.

Otera obrócił się na pięcie w chwili, gdy Sam do niego dobiegał. Pistolet trzymał na wysokości jego piersi. Sam wrzasnął, skoczył i w tym samym momencie rozległ się huk wystrzału. Impet rzucił nim do tyłu, prosto w komosę.

— Nie! — wrzasnął Henry.

Sam spróbował podeprzeć się łokciami, ale nie mógł się poruszyć ani złapać powietrza. Jakby na piersi miał wielki ciężar. Ze wszystkich stron napłynęły fale bólu. Kątem oka dostrzegł, jak wuj skacze zakonnikowi na plecy i przewraca go na ziemię.

Sam zdążył się jeszcze uśmiechnąć na widok gwałtowności wuja. Dobrze, tak...

Potem świat poczerniał.

. . .

Maggie obserwowała, jak Sam wypada spomiędzy drzew i wybiega na otwartą przestrzeń. Co ten głupek wyprawia? Pobiegła na skraj dżungli. Kiedy dotarła do miejsca, gdzie przed chwilą krył się Sam, rozległ się pojedynczy strzał.

W panice rozsunęła gałęzie. Sam padał właśnie na łąkę, jego ręce gwałtownie drgały. Nawet z daleka widać było tryskającą z potężnej rany

na piersi strugę krwi. Maggie wybiegła z kryjówki. Nie będzie się chowała w rowie, kiedy ginie przyjaciel.

— Sam!

Dopiero teraz dostrzegła toczącą się dalej walkę. Widok był absurdalny: profesor siedział na plecach walczącego wściekle mnicha. Obok, tuż poza zasięgiem rąk mnicha, w trawie leżał dymiący pistolet. Nagle, jak we śnie, nie wiadomo skąd pojawił się Norman. Trzymał nad głową wielki kamień. Wziął potężny zamach i uderzył nim przyszpilonego do ziemi mnicha. Ten zwiotczał i profesor Conklin z niego zlął.

Wszyscy rzucili się w stronę Sama.

Pierwszy dobiegł Henry. Padł na kolana przy bratanku.

— O nie... Boże!

Norman i Maggie dotarli do przyjaciela równocześnie.

Fotograf opadł na kolana i sprawdził puls. Maggie poruszała się znacznie wolniej — widziała szkliste oczy wpatrzone w niebo. Nikogo za nimi nie było, życie uleciało.

Norman jedynie potwierdził fakt.

— Nie żyje.

. . .

Joan zaprowadzono pod broń do ściany z łańcuchami. Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że jeśli pozwoli się przywiązać do ściany, będzie trupem. Wszelka nadzieja na ucieczkę zniknie jak poranna mgła. Po głowie krążyły jej różne plany i scenariusze. Realny był tylko jeden.

Kiedy Carlos popychał ją pistoletem, złapała palcami kołnierzyk. Wysunęła plastikowe usztywnienie i zdrapała z niego jedną kroplę substancji Z. Musiała pilnować, by wszystko dobrze zgrać w czasie.

Idąc do ściany z łańcuchami, przesunęła się tuż obok wielkiego mnicha, który rozniecał ogień w palenisku. Stał pochylony nad węglami i poruszał nimi żelaznym drągiem do piętnowania. Z kącika ust spływała mu kropla śliny. Potężny drań najwyraźniej nie mógł się doczekać, aż wypróbuje narzędzia na kobiecym ciele. Zauważył, że Joan go obserwuje, i wyszczerzył się w uśmiechu, na sekundę zdradzając pożądanie.

Joan poczuła się zwolniona z wyrzutów sumienia z powodu tego, co zamierzała zrobić.

Przechodząc obok grubasa, pstryknięciem palców posłała kroplę substancji Z w żarzące się węgle, szybko się odwróciła i nisko pochyliła.

Na szczęście. Wybuch był znacznie silniejszy, niż się spodziewała. Jego siła rzuciła ją na podłogę; ze dwa metry przejechała na dłoniach i kolanach. Zapiekł ją plecy, nos wypełnił smród palonego jedwabiu. Przetoczyła się na bok, przyciskając poparzone plecy do chłodnego kamienia.

Palenisko właściwie przestało istnieć. Żelazne drągi zostały rozrzucone na boki, jeden wbił się w podpierającą sufit drewnianą kolumnę. Echo eksplozji powoli cichło w uszach Joan, na jego miejscu pojawiło się urywane wycie. Popatrzyła na wielkiego mnicha. Leżał kilka metrów dalej, na plecach. Nagą pierś miał zwęgloną i pokrytą pęcherzami. Uniósł dłoń i z jękiem strząsnął sobie z brzucha żarzący się węgiel. Usiadł. Połowa twarzy była czarna — Joan z początku sądziła, że to sadza, potem jednak mnich wrzasnął i spalona skóra pękła. Po szyi popłynęła krew.

Boże... Joan szybko się odwróciła.

Carlos stał. Wyglądał na nietkniętego wybuchem. Podbiegł do wiszącego na ścianie telefonu, wziął do ręki słuchawkę i zaczął wykrzykiwać komendy po hiszpańsku. Potem huknął słuchawką o widełki i podszedł do rannego. Mnich złapał go za nogawkę, ale Carlos strząsnął jego rękę i podszedł do Joan.

— Wstawaj. — Podkreślił komendę ruchem broni.

Wykonała polecenie; kiedy poczuła, jak przypalona bluzka odrywa się od jej skóry, głośno jęknęła. Carlos zmarszczył czoło i kazał się jej odwrócić, żeby mógł obejrzeć ranę.

— Żyjesz — stwierdził.

— Tylko jak długo jeszcze pożyję? Do czasu, kiedy postanowicie mnie zabić? — Zakreśliła ręką łuk. — Co się stało?

Carlos ponuro popatrzył na jęczącego na podłodze grubasa.

— Wygląda na to, że czeladnik musi się jeszcze sporo nauczyć.

Pochyliła się, by ukryć uśmiech zadowolenia. A więc Carlos uważał, że to mnich zawinił. Świetnie. Czas na następny krok. Z tkwiącej pod kołnierzykiem drugiej kropli substancji Z zdrapała odrobinę i sięgnęła do kieszeni, w której miała papierosa otrzymanego poprzedniego dnia od strażnika. Drżącymi palcami przystawiła go do ust.

— Mogę?

Carlos wściekle patrzył na jęczącego na podłodze grubasa.

— Jasne. Mamy kilka minut, zanim ktoś po niego przyjdzie. — Wyciągnął dłoń ku Joan, między jego palcami pojawiła się zapalniczka.

Zapaliła papierosa i mruknęła podziękowanie. Głęboko się zaciągnęła, po czym z uznaniem i bardzo głośno westchnęła.

— Od razu lepiej... — powiedziała, wydmuchując dym w kierunku Carlosa.

Zatrzymał spojrzenie na żarzącym się końcu papierosa. Gdy poczuł zapach nikotyny, rozszerzyły mu się źrenice.

Zaciągnęła się znów, po czym podała mu papierosa. Z rozkoszą wydmuchała dym.

— Proszę. Mnie już starczy.

Przyjął papierosa, uśmiechając się z zaciśniętymi ustami.

— Boisz się o zdrowie?

Wzruszyła ramionami, zbyt napięta, aby zaufać głosowi. Na spodzie papierosa pół centymetra od żaru widziała złotą plamkę.

. . .

Carlos uniósł dłoń z papierosem w dziękczynnym salucie, uśmiechnął się i przystawił filtr do ust. Joan dyskretnie się odsunęła.

Patrzyła jak mnich głęboko się zaciąga. Żar rozpalił się i szybko przesunął w kierunku filtra. Kiedy dotarł do złotej plamki, Joan się odwróciła.

Tym razem eksplozja nie była aż tak potężna, mimo to rzuciła ją na kolana.

Joan obróciła się wokół własnej osi, w głowie dzwoniło jej jak w kościele. Carlos jeszcze stał, ale jego twarz zamieniła się w pełną dymiących kraterów ruinę. Po chwili przewrócił się do tyłu i padł na leżącego na podłodze grubasa, który straszliwie zawył.

Joan wstała i podniosła z podłogi glocka. Podeszła do wyjącego mnicha. Pobieżnie sprawdziła jego rany. Ponad sześćdziesiąt procent powierzchni ciała pokrywały oparzenia trzeciego stopnia. Od samego dotyku znowu zaczął wyc i machać rękami jak opętany. Joan wstała. Mnich był właściwie martwy. Nie miał szans przeżyć takich oparzeń.

— Igranie z ogniem nie zawsze jest zabawne, co? — mruknęła pod nosem.

Uniosła pistolet i wycelowała mnichowi między oczy. Popatrzył na nią z przerażeniem i zemdlał. Joan z westchnieniem opuściła glocka. Nie była w stanie go zabić, nawet by skrócić mu cierpienie. Ruszyła ku drzwiom.

Decydującym czynnikiem był czas. Miała broń i resztę drugiej kropli. Nic nie mogło powstrzymać jej przed ucieczką. Odsunęła się od leżących ciał. Przez chwilę popatrzyła na młodszego mnicha.

— Miałeś rację, Carlos. Palenie zabija.

. . .

Maggie dotknęła ramienia Henry'ego klęczącego nad swoim bratankiem. Jego ciałem wstrząsał płacz. Nie istniały słowa, które mogłyby złagodzić jego ból — doskonale pamiętała to z czasu spędzonego w Belfaście. Po obu stronach — irlandzkiej i angielskiej, katolickiej i protestanckiej — był jeden rodzaj ludzi: cierpiące matki i cierpiący ojcowie. Idiotyczne. Chore.

W dżungli nadal strzelano, choć kanonada zamieniła się w pojedyncze strzały. Inkowie nie mieli modlitw, które powstrzymałyby przywiezioną w helikopterze broń.

Maggie wpatrywała się w ciało Sama, ale nie mogła patrzeć na ranę i krew — skupiała się na jego twarzy. Kiedy się przewracał, kapelusz spadł mu z głowy i bez niego wydawał się niemal nagi. Włosy o barwie piasku były potargane, jakby spał. Wyciągnęła rękę, dotknęła luźnego pasma i wsadziła mu je za ucho. Łzy, które powstrzymywała, wreszcie popłynęły. Świat przed jej oczami się rozmazał.

Henry ujął jej dłoń, ich zimne palce się splotły. Gdzie brakuje słów, pomaga dotyk. Przytuliła się do profesora.

— Och, Sam...

Norman klęczał po drugiej stronie ciała. Denal stał w milczeniu. Nagi chłopak był okryty poncho fotografa, który miał na sobie tylko spodnie do kolan. Norman odchrząknął.

— Maggie... co ze świątynią? — spytał cicho. — Może... mogłaby...

Podniosła głowę.

— Co?

Norman skinął głową w kierunku ciała Sama.

— Pomyśl o historii Pachacuteca.

Maggie poczuła, jak ogarnia ją przerażenie. Przypomniała sobie blade ciało Sapa Inki i stwory z sąsiedniej doliny. Powoli pokręciła głowę. Świątynia nie była zbawieniem. Nie wyobrażała sobie, żeby mogłaby oddać jej ciało Sama.

— O... o jakiej świątyni mowa? — spytał Henry.

Norman wskazał na wulkaniczną ścianę.

— Tam na górze! Odkryli ją Inkowie. To twór, który leczy. — Norman wstał, pokazał kolano i opowiedział, co mu się przytrafiło.

Mina profesora wyrażała niedowierzanie. Odwrócił się do Maggie, szukając potwierdzenia.

Powoli skinęła głową.

— Ale Sam... nie żyje — powiedział Henry.

— A królowi obcięto głowę — skontrował Norman. Poszukał wzrokiem wsparcia u Maggie. — Jesteśmy Samowi winni choćby próbę.

W chwili gdy Henry wstał, eksplodował granat i rozgorzała kolejna strzelanina. Znacznie bliżej.

— Nie możemy ryzykować — rzekł Henry. — Musicie się wszyscy schować. To jedyna nasza szansa na przeżycie.

Maggie przestała słuchać po słowie „schować”. Z jednej strony chciała zgodzić się z profesorem. O tak, uciekajmy, chowajmy się, nie dajmy się złapać. Jednak coś nowego w jej sercu się na to nie zgadzało. Wpatrywała się w nieruchomą twarz Sama. Na policzku miał pojedynczą łzę. Wyciągnęła dłoń i ją starła. Patrick Dugan, Ralph, jej rodzice... teraz Sam. Skończyła z chowaniem się przed śmiercią.

— Nie — zaprotestowała cicho. Podniosła kapelusz Sama i popatrzyła na pozostałych. — Nie. Zabieramy go do świątyni. Nie pozwolę im zwyciężyć.

— Ale...

— Nie, profesorze, to nasz wybór. Jeśli istnieje nawet najmniejsza szansa na uratowanie Sama, spróbujemy!

Norman kiwnął głową.

— Kiedy brałem linę do związania mnicha, widziałem w helikopterze nosze.

Maggie popatrzyła na nieprzytomnego napastnika, który zastrzelił Sama. Miał urywany oddech, był bardzo blady. Prawdopodobnie umrze od ciosu w głowę, ale dla ostrożności związali mu ręce i nogi. Nie włożyli mu tylko knebla, bo miał wyraźne kłopoty z oddychaniem. Na sam widok tego człowieka Maggie czuła ucisk w piersi. Odwróciła się w kierunku helikoptera.

— Przynieście je!

Norman i Denal pobiegli do otwartego wjazdu.

Henry podszedł do niej.

— Maggie, Sam nie żyje. Popełniasz błąd, a do tego narażasz innych na śmierć.

— Koniec z chowaniem się po rowach — powiedziała, patrząc mu buntowniczo w oczy. Aż nazbyt dobrze pamiętała bolesne słowa Sama, które wypowiedział, kiedy odmówiła podsłuchiwania szamana i króla. Próbowwała racjonalizować swoje zachowanie, ale Sam ją w zasadzie rozgryzł. Tak, rządził nią strach, ale teraz z tym koniec. — Zrobimy to.

Norman i Denal podeszli z zielonymi wojskowymi noszami, co zakończyło dyskusję. Henry marszczył czoło, ale pomagał położyć bratanka na noszach. Po niecałej minucie ruszyli, a on zatrzymał się jedynie po to, aby wyjąć z krzaków pistolet mnicha i wsadzić go sobie za pasek.

Przy czwórce niosących ciężar Sama był do wytrzymania, mimo to wspinaczka wydawała się nie mieć końca. Kiedy dotarli do tunelu, Maggie spojrzała na zegarek. Minęło dopiero dwadzieścia minut, ale i tak wydawało się, że to za długo. Dżungla zrobiła się niepokojąco cicha.

— Szybciej! — ponagliła Maggie. — Musimy zniknąć z widoku!

Walcząc z bólem rąk i nóg, weszli w ciemne przejście.

— Już jest blisko! Chodźcie!

Pochodnie przy wejściu do złotej alkowy nadal się paliły, choć już bardzo słabo. Kiedy doszli do świątyni, profesor głośno westchnął. Maggie odwróciła się i pomogła opuścić Sama na podłogę.

Henry gapił się na pomieszczenie, jakby miał mdłości.

— *El Sangre del Diablo...* — wymamrotał.

— Krew diabła? — spytała Maggie.

— Tego właśnie szukają ludzie opata. Złóża-matki...

— Musimy umieścić Sama w środku — wtrącił się Norman. — Przywracanie do życia na pewno ma jakiś limit czasowy.

Henry skinął głową.

— Co dalej? Jak to uruchomimy?

Popatrzyli po sobie pytająco. Nikt tego nie wiedział.

Fotograf wskazał na środek pomieszczenia.

— Nie mam instrukcji obsługi, ale tu jest ołtarz. Moim zdaniem najpierw trzeba położyć na nim Sama.

— Do roboty! — odparł Henry.

Zanieśli Sama do ołtarza i ułożyli. Kiedy wchodzili do komory, Maggie miała wrażenie, jakby byli obserwowani przez tysiące oczu. Gdy kładli zwłoki na ołtarzu, przesunęła palcami po złotej powierzchni. Błyskawicznie cofnęła rękę; substancja była ciepła niczym żywa materia.

Wszyscy opuścili komorę i patrzyli jak zahipnotyzowani, co dalej się wydarzy, czekali na cud. Niczego się jednak nie doczekali, ciało Sama po prostu nieruchomo leżało. Krew powoli sączyła się z rany w piersi i spływała z boku ołtarza.

— Może za długo czekaliśmy — powiedziała w końcu Maggie, przerywając ciszę.

— Nie sędzę — odparł Norman. — Kamapak przyniósł odciętą głowę Pachacuteca po kilku godzinach, a świątynia dała mu nowe ciało.

— Tak jakby — stwierdziła Maggie. — Co Kamapak robił, jak już przynieśli tu głowę?

— Powiedział tylko tyle, że modlił się do Inti i bóg wysłuchał jego próśb.

Maggie zmarszczyła czoło.

— Oczywiście! — Henry nagle zamarł.

Maggie spojrzała na niego pytająco.

— Modlitwa! Skupiona myśl ludzka! — Henry patrzył na pozostałych, jakby udzielił właśnie odpowiedzi. — To... to złoto, krew diabła czy co to jest... reaguje na ludzkie myśli. Zmienia się zgodnie z ludzką wolą.

Teraz Maggie uniosła ze zdziwieniem brwi, zaraz jednak przypomniała sobie przemianę sztyletu. Zmienił się zgodnie z ich potrzebami. Zmienił się w jej rękach, kiedy rozpaczliwie szukała klucza do złotego pomnika.

— Modlitwa?

Henry skinął głową.

— Musimy się tylko skupić. Prosić... błagać o wyleczenie Sama!

Norman opadł na kolana i złożył dłonie.

— Jeśli trzeba, będę błagał.

Henry i Maggie poszli w jego ślady. Zamknęła oczy, ale jej myśli były zbyt rozbiegane. A jeśli Sam zamieni się w coś takiego jak te blade stwory w wiosce obok? Zacisnęła dłonie w pięści. Nie dopuści do tego. Jeśli modlitwa działa, będą modlić się o wyleczenie. Skupi się na tym, by świątynia nie dokonała w Samie żadnych dodatkowych „poprawek”.

Skłoniła głowę i zaczęła myśleć o wyleczeniu ran Sama, tylko ran. Niczego więcej! Skupiała się, zaciskając kostki dłoni do białości. Nie poza tym, do jasnej cholery! Słyszysz mnie?!

— Patrzcie! — nagle jęknął Denal.

Maggie odrobinę uchyliła powieki.

Sam nadal leżał bez ruchu na ołtarzu, ale kłęb splątanych nici nad jego głową zaczynał się rozplątywać i otwierać. Tysiące złotych nici wiło się w powietrzu, oddalając od „gniazda”. Czubki pasm rozszczepiały się na cienkie nici, te na niteczki. Wkrótce plątanina składała się z tak drobnych włókien, że wewnątrz wyglądało jak wypełnione złotą mgłą. Mgła zaczęła opadać na Sama. Po kilku sekundach całe jego ciało pokrywało złoto, wyglądał jak odlana figura. Złoto nadal napływało. Coś, co przypominało grubą pępowinę, łączyło złotego Sama z kulą nad ołtarzem. Sznur wił się i pulsował jak żywa istota.

Maggie poczuła na ten widok lekkie mdłości. Wstała, Norman i Henry zrobili to samo.

— Co o tym sądzicie? — spytał Henry. — Zadziała?

Nie odpowiedzieli.

— Lepsze byłoby pytanie: ile to potrwa — powiedział po chwili Norman. — Nie sądzę, żeby armia tam, na dole, dała nam cały boży dzień.

— Musimy zastanowić się nad obroną — rzekł Henry. — Jest stąd jakieś inne wyjście? — Popatrzył w głąb tunelu, ku sąsiedniej kalderze.

— Nie tędy — odparła Maggie.

Pomasował zmęczone oczy.

— W takim razie potrzebujemy broni. Widziałem w helikopterze zapasową skrzynkę granatów, ale... — Smutno pokręcił głową.

— Granaty bardzo mi odpowiadają — odparł Norman. — Im więcej, tym lepiej.

— Nie, schodzenie na dół byłoby zbyt ryzykowne — odparł Henry.

— A nieschodzenie tym bardziej — upierał się Norman. — Jeśli się pospieszę i będę ostrożny...

— Ja też pójdę — zaproponował Denal. — Pomogę nieść. Skrzynka jest ciężka.

— We dwóch to będzie pestka — zgodził się Norman.

— Bądźcie ostrożni — rzuciła Maggie, kiedy ci dwaj ruszyli.

— Możesz być tego pewna! „National Geographic” nie płaci dodatku za pracę w strefie wojennej!

Norman i Denal zniknęli w tunelu.

Henry cały czas wpatrywał się w ołtarz.

— Jako źródło energii musi wykorzystywać ciepło geotermiczne... — mruzczał pod nosem. — Niesamowite.

— Raczej przerażające. Rozumiem teraz, dlaczego ojciec de Almagro nazwał to Wężem Edenu. Kuszące, ale pod błyszczącą powierzchnią tkwi zepsucie.

— Wąż Edenu? — Henry zmarszczył czoło. — Gdzie spotkałaś się z tym pojęciem?

— To długa historia.

Profesor ruchem głowy wskazał ołtarz.

— Mamy czas.

Maggie zaczęła opowiadać, streszczając ich wędrówkę, choć niektóre fragmenty były niezwykle bolesne — na przykład śmierć Ralpa. Wraz z rozwojem opowieści mina Henry’ego coraz bardziej posępniała. Na koniec dziewczyna opowiedziała o zamieszkujących sąsiednią dolinę stworach. Przedstawiła swoją teorię.

— Nie ufam tej świątyni — zakończyła. — W takim samym stopniu deprawuje, co leczy.

Henry wpatrywał się w długi tunel, na którego końcu jaśniało dzienne światło.

— A więc zakonnik miał rację. Chciał nas ostrzec przed tym, co tu się znajduje. — Teraz on opowiedział swoją historię. Na wspomnienie Joan Engel głos niemal mu się załamał. Kolejna śmierć w wielowiekowej wojnie o dziwne złoto. Maggie od razu zauważyła jego ból i to, że część opowieści została pominięta. Nie naciskała.

W końcu Henry wytarł nos i odwrócił się do świątyni.

— A więc Inkowie stworzyli tutaj to, o czym marzył opat. Coś na tyle dużego, aby skontaktować się z siłą z innego świata.

— Ale czy to jest dzieło Boga? — spytała Maggie, wskazując głową Sama. — Czy raczej krew diabła? — Popatrzyła w kierunku sąsiedniej kaldery. — I jaki jest końcowy cel? Jaką rolę grają stwory?

Henry pokręcił głową.

— Eksperyment? Po to, żeby człowiek ewoluował? Albo żeby go zniszczyć? Kto wie, co kieruje działaniami świątyni? Może nigdy się tego nie dowiemy.

Ich uwagę zwróciły stłumione odgłosy kroków na skale. Było jednak zbyt wcześnie na powrót Normana i Denala. Oślepiły ich padające od strony tunelu światła latarek.

— Nie ruszać się! — padł rozkaz.

Maggie i Henry zamarli. Co mogli zrobić? Nie było drogi ucieczki, choć tak naprawdę nawet gdyby ją mieli, nie skorzystaliby z niej, nie opuściliby Sama. Czekali, aż napastnicy się zbliżą.

— Rób co każą — ostrzegł Henry.

Akurat! — pomyślała Maggie, ale nie oponowała.

Do profesora podszedł wielki mężczyzna — mógł to być jedynie opat Ruiz. Obrzucił Maggie pobieżnym spojrzeniem.

— Profesorze Conklin, okazał się pan jak zawsze niezwykle skuteczny. Na tym polu nas pan pobił. Podejrzewam, że języki, za które musiał pan pociągnąć, nie były aż tak odporne jak te, z którymi myśmy mieli do czynienia. Ci Inkowie są dość uparci, ale końcowy efekt jest taki sam. Oto jesteśmy!

Opat przeszedł obok, aby rozejrzeć się po komorze. Zatrzymał się i przez chwilę patrzył w milczeniu. Nagle jego potężna postać zaczęła drżeć i osunęła się na kolana.

— Cud... — powiedział po hiszpańsku i szybko się przeżegnał. — Postać na stole to Chrystus! Jak w naszej krypcie w opactwie. To znak!

Maggie i Henry popatrzyli po sobie. Nie powiedzieli niczego, aby skorygować pomyłkę opata.

— Patrzcie, jak spływa z sufitu! Dawne inkaskie legendy mówią o złożu-matce, które spływa z gór jak woda. Oto ono!

Maggie podeszła krok do opata. Wiedziała, że prędzej czy później duchowny dostrzeże swoją pomyłkę, i nie mogła pozwolić, aby ci ludzie zakłócili proces uzdrawiania Sama. Odchrząknęła.

— Ta komora to tylko dekoracja — powiedziała.

Kłęczący opat odwrócił się do niej. Jego oczy cały czas błyszczały od złota.

— Co to ma znaczyć?

— To tylko wejście. Prawdziwe źródło metalu jest w sąsiedniej dolinie. Inkowie mówią na to miejsce *janan pacha*.

— Niebo?

Skinęła głową. Dobrze, że opat wiedział co nieco o kulturze Inków. Popatrzyła na Henry'ego. Marszczył czoło, domyślając się, jaki Maggie szykuje podstęp. Nie akceptował go do końca, ale milczał, a ona zwróciła się znów do opata:

— Ta świątynia to tylko przydrożny totem modlitewny. Brama do prawdziwych cudów, które znajdują się dalej.

Opat wstał.

— Pokaż mi je.

Maggie cofnęła się o krok.

— Tylko jeśli dostanę gwarancję bezpieczeństwa.

Opat Ruiz popatrzył w głąb korytarza. Podejrzliwie przymrużył jedno oko.

— Niebo czeka — powiedziała — ale bez mojej pomocy nigdy go nie znajdziecie.

Opat się skrzywił.

— W porządku. Gwarantuję wam bezpieczeństwo.

— Proszę przysiąc.

Dotknął wiszącego na szyi krzyżyka.

— Przysięgam na krew Jezusa Chrystusa, naszego Zbawcy. Zadowolona?

Maggie chwilę czekała, udając niezdecydowanie, w końcu skinęła głową.

— Tędy — powiedziała i ruszyła korytarzem.

— Zaczekaj! — Opat się zastanawiał. Dał znak jednemu ze swoich sześciu ludzi. — Zostań tu z tym miłym panem profesorem. — Popatrzył na Maggie. — Ważne, aby wszystko odbyło się uczciwie.

Poczuła ucisk w brzuchu. Szła, powstrzymując drżenie nóg. Nie zamierzała poddać się strachowi.

— Tędy... — powtórzyła. — Nie jest daleko.

Opat trzymał się tak blisko, że czuła na karku jego oddech. Był czerwony na twarzy i sapał jak astmatyk. Równocześnie bez przerwy mamrotał modlitwy.

— Trzeba iść tędy — powiedziała Maggie, kiedy zbliżali się do wyjścia z tunelu.

Opat odepchnął ją na bok i pomaszerował przodem, zdecydowany jako pierwszy dostać się do raję. Przy wyjściu się zawahał. Czując silny odór siarki, zmarszczył nos.

— Nic nie widzę.

— Wystarczy pójść ścieżką. — Maggie wskazała na biegnącą przez dżunglę dróżkę.

Opat gapił się tak długo, że zaczęła się obawiać, iż stchórzy. Była niemal pewna, że Ruiz słyszy walące jej w gardle serce, starała się jednak zachować pozory spokoju.

— *Janan pacha* znajduje się w dżungli. Mniej więcej sto metrów stąd. To widok, jakiego nie da opisać się słowami.

— Niebo... — Ruiz zrobił krok naprzód, potem drugi, choć nadal był bardzo ostrożny. Machnął na swoich ludzi, by poszli przodem. — Sprawdźcie teren. Rozejrzyjcie się, czy nie ma wrogów.

Piątka najemników, z karabinami na ramionach, pomknęła naprzód. Opat ruszył za nimi w bezpiecznej odległości. Aby utrzymać iluzję, Maggie też musiała wyjść z tunelu na zewnątrz. Wkraczając do siedziby stworów, wstrzymała oddech. Ale gdzie one się podziały?

Po trzecim kroku usłyszała za sobą drapnięcie o skałę. Odwróciła się — nad wejściem do tunelu siedział jeden ze stworów. Zwiadowca. Zwisiał zaczepiony pazurami, głową w dół. Zauważył, że został dostrzeżony, syknął i skoczył na Maggie.

Zamarła. Ze skraju dżungli odpowiedziały wrzaski. Bestie zastawiły pułapkę, tu krył się jedynie wartownik. Maggie pochyliła się, ale zwiadowca był za szybki. Padła na plecy i wykorzystała rozpęd napastnika, by rzucić nim o krótkie zbocze za plecami. Nie sprawdziła efektu — błyskawicznie wstała i zanurkowała z powrotem do tunelu.

Rozległy się salwy wystrzałów, dołączyły do nich wrzaski przerażenia i bólu. Wszystko zagłuszało jednak wycie bestii.

Magie obejrzała się. Opat właśnie podnosił pistolet i strzelał w głowę bestii, która przed chwilą atakowała. Stwór fiknął kozła i zadygotał na ziemi. Opat popatrzył w kierunku skraju dżungli, gdzie jego ludzie walczyli o życie. Odwrócił się i ruszył biegiem do tunelu. Kiedy dostrzegł

dziewczynę, jego oczy wypełniły nienawiść i złość. Nikt nie pokrzyżuje planów hiszpańskiej inkwizycji.

Gdy dotarł do wylotu tunelu, Maggie zaczęła się szybko wycofywać. Otyły mężczyzna ciężko oddychał.

— Ty dziwko... — wydyszał, po czym wycelował w nią pistolet i wszedł do tunelu.

Boże! Nie było dokąd uciekać.

— Będziesz cierpieć. Gwarantuję ci... — Nagle coś pociągnęło go do tyłu, jego broń wystrzeliła, ale pocisk przeszedł daleko obok celu.

Kiedy wywlekano go na zewnątrz, opat z przerażenia wrzeszczał. Potężny błądy stwór, kolejny przywódca stada, trzymał w długich pazurach tył drogiej kurtki myśliwskiej. Druga łapa trzymała go za gardło. Pojawiły się następne bestie, kolejne łapy z ostrymi jak brzytwa pazurami sięgały po wyborny posiłek. Wytrąciły opatowi broń z ręki. Jego wrzask cichł, w miarę jak stwory odciągały go. W wylocie tunelu pojawiła się blada zakrwawiona gęba — stwór syknął na Maggie, po czym wrócił do swoich, by wspólnie ucztować.

Maggie odwróciła się, nie chciała na to patrzeć.

Za jej plecami rozległ się kolejny wrzask, który po chwili przemienił się w bulgot, dochodzący jakby spod wody. Pobiegła w głąb tunelu, ku światłu pochodni, jak najdalej od krwawej jatki.

Samotny wartownik stał przy wejściu do świątyni. Wyszedł jej naprzeciw, z wycelowanym groźnie karabinem.

— *Que hiscistes?* — warknął po hiszpańsku, pytając, co zrobiła. Od razu dostrzegł przerażenie w jej oczach.

Nagle za wartownikiem pojawił się Henry i przycisnął mu do karku lufę pistoletu, który zabrał mnichowi przy helikopterze.

— Wyrzuciła śmieci. — Przycisnął lufę mocniej. — Masz coś przeciwko temu?

Mężczyzna wypuścił broń z ręki i osunął się na kolana.

— Nie.

— To dobrze. — Henry obszedł najemnika i kopnął jego karabin w kierunku Maggie. — Wiesz, jak się tym posługiwać?

— Pochodzę z Belfastu. — Przeładowała broń, sprawdziła magazynek i przystawiła kolbę do ramienia.

— A ty? — Henry zwrócił się do więźnia. — Umiesz pilotować helikopter?

Mężczyzna skinął głową.

— To przeżyjesz.

Z pomieszczenia obok dobiegł głośny jęk. Henry i Maggie gwałtownie się obrócili. Złota pępowina zadygotała, złota powłoka zaczęła się zsuwać z ciała Sama. „Pępowina” ściągnęła złotą substancję z jego skóry, zwinęła się i powolnymi, węzowatymi ruchami zaczęła się chować.

Sam znowu jęknął.

Najemnik zajrzał do świątyni i ze zdumienia rozdziawił usta. Szybko się przeżegnał.

— Oddycha — powiedział Henry i ruszył w kierunku ołtarza.

Maggie złapała go za łokieć.

— Ostrożnie. Nie wiem, czy powinniśmy ingerować. — Mówiła z napięciem, wstrzymując oddech. Czy mogła mieć nadzieję, że...?

Sam podparł się łokciem. Oczy miał nieprzytomne, drugą ręką sięgnął do twarzy, jakby chciał ściągnąć z niej pajęczynę. Cicho jęknął.

— Sam? — Henry wyciągnął do niego rękę.

Sam spróbował skupić się na głosie, zakaszłał, aby oczyścić płuca.

— Wuj... wuj Hank? — Usiadł prosto, lekko bujając się na boki. W końcu zdołał skupić wzrok. — Boże... moja głowa.

— Powoli, Sam — powiedziała Maggie. — Spokojnie.

Z kolejnym westchnieniem spuścił nogi na podłogę.

— Przydałoby mi się wiadro aspiryny. — Wreszcie uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Obrócił głowę i popatrzył na kulę posplatanych złotych nici. — Co ja tu robię?

— Nie pamiętasz? — spytała z troską Maggie. Sam wydawał się przytomny, ale mógł mu pozostać trwały uraz.

Popatrzył na swoją pierś. Palcami prawej dłoni dotknął poszarpanego od strzału materiału kamizelki. Wsadził palce w dziurę i odchylił kamizelkę. Nie było rany.

— Zostałem postrzelony. — Jego słowa zabrzmiały jak pytanie.

Maggie skinęła głową.

— Umarłeś, ale świątynia cię wyleczyła.

— Umarłem?

Henry i Maggie skinęli głowami.

Sam wstał, z trudem zrobił krok, złapał równowagę.

— Rany... — Ruszył dalej wolniej, bardziej świadomie, z większym skupieniem. — Jak na trupa chyba nie powinienem narzekać, że tu i tam mi strzyka.

Podszedł do wuja i serdecznie się objęli, choć wyszło to dość niezręcznie, bo w prawej dłoni profesor trzymał pistolet.

— Boże, Sam... już myślałem, że cię straciłem — powiedział Henry ze łzami w oczach.

Sam gorąco, mocno go objął.

Maggie się uśmiechnęła. Stała łyzy z policzków, po czym pochyliła się przy noszach, na których przynieśli Sama, i podniosła jego kapelusz.

Henry się odsunął. Potarł oczy.

— Nie zniósłbym tego, gdybym cię stracił.

— Nie ma obawy — odparł Sam i przeczesał palcami włosy.

Maggie wyciągnęła ku niemu stetsona.

— Proszę. Coś zgubiłeś.

Wziął kapelusz, krzywo się uśmiechnął, nieco zażenowany, i włożył go na głowę.

— Dzięki.

— Tylko znowu nie umieraj — powiedziała i poprawiła mu rondo kapelusza.

— Postaram się więcej tego nie robić. — Pochylił się i popatrzył jej głęboko w oczy.

Nie odsunęła się, ani się nie zbliżyła. Z całą mocą uświadamiała sobie obecność profesora i ciężar karabinu na ramieniu. Patrzyli na siebie zbyt długo i czar zaczął pryskać. Maggie zgrzytnęła zębami. Do cholery ze strachem! Zaczęła wyciągać ku niemu dłonie, ale Sam nagle się odwrócił.

— Rzucić broń! — W ciemności za nimi rozległa się przypominająca szczeknięcie komenda. W krąg światła pochodni weszła nowa postać. Trzymała Denala. Chłopak mocno zaciskał usta, przy gardle miał długi wojskowy sztylet. Migotanie pochodni odbijało się od powierzchni ostrza. Denal był przerażony.

— Otera... — syknął Henry.

. . .

Norman uciekał przez dżunglę, przedzierając się wśród leśnego poszycia. Łzy zalewały mu oczy i niewiele widział. Próbował uciekać jak

najciszej, ale pod stopami z trzaskiem pękały mu gałązki. Parł jednak naprzód... i tak naprawdę nie dbał o to, czy ktoś go słyszy.

Miał przed oczami wstającego zakonnika. Drań tylko udawał trupa i czekał na nich, kiedy zjawili się przy helikopterze. Złapał Denala, zanim Norman zdążył zareagować; ze schowanych przy nadgarstkach mnicha pochw wystrzeliły noże. Norman zareagował instynktownie jak zwierzę — odskoczył, zanurkował w dżunglę i zaczął wiać.

Dopiero kiedy spanikowane serce zaczęło wolniej bić, uświadomił sobie własne tchórzostwo. Zostawił Denala na pastwę losu i nawet nie próbował go ratować.

Mógł się oczywiście usprawiedliwić: nie miał broni i próba ratunku skończyłaby się śmiercią ich obu, ale serce mówiło co innego. Uciekł z tchórzostwa. A Denal był taki przerażony... Co on uczynił?

Popłynęły kolejne łzy, niemal go oślepiając.

Nagle dżungla została za nim. Półmrok zastąpił blask dnia. Norman zatrzymał się i otarł oczy. Kiedy odzyskał wzrok, jęknął.

Granaty i ogień z broni maszynowej wycięły w dżungli polanę. Wszędzie wokół leżały ciała, poszarpane i spalone. Mężczyźni i kobiety. Sami Inkowie. Smród dusił: była to mieszanka krwi, odchodów i strachu.

— Boże...

Nad ciałami już unosiły się gęste chmary much i brzęcząc, nadlatywały następne.

Z lewej strony pojawił się wielki kształt, wzniósł się wysoko nad Normanem — śmierć wyciągnęła po niego swoje łapy. Odwrócił się w stronę nowego wroga. Nie będzie dalej uciekał. Nie mógł uciekać. Wycieńczony i pozbawiony nadziei, osunął się na kolana.

Uniósł wzrok i popatrzył na groźnie uniesioną wielką dzidę, której złote ostrze zamigotało w słońcu.

Norman nawet nie drgnął.

Przepraszam, Denal.

...

Henry, z podniesionym pistoletem, zrobił krok w kierunku Otery.

— Puść go!

Kiedy nóż mocniej przycisnął się do jego szyi, chłopak zadygotał. Po skórze popłynęła cienka strużka krwi.

— Nawet nie próbuj, profesorze! Cofnąć się! Albo rozplątam chłopaka od szyi po brzuch!

Powstrzymując przekleństwo, Henry zrobił krok do tyłu.

Oczy zakonnika były przepełnione gorączką i dzikością.

— Wykonaj moje polecenia, a wszyscy przeżyją! Nie dbam o was ani o chłopaka. Interesuje mnie tylko złoto. Zabiorę je ze sobą, wy zostaniecie tutaj! Uczciwa oferta, co?

Henry popatrzył na Maggie, potem na Sama.

— Może powinniśmy zrobić, jak każe... — powiedział cicho.

Maggie zmrużyła lekko oczy, przesunęła się nieco w bok i wbiła spojrzenie w zakonnika.

— Przysięgnij! — rzuciła gwałtownie. — Przysięgnij na swój krzyż, że pozwolisz nam odejść!

Otera skrzywił się i dotknął krzyża na piersi.

— Przysięgam.

Maggie długą chwilę mu się przyglądała, po czym ostrożnie odłożyła broń. Henry zrobił tak samo. Grupka cofnęła się kilka kroków.

Otera podszedł do broni, po czym pchnął Denala w ich kierunku.

Chłopak westchnął i pobiegł do dziewczyny.

Zakonnik schował sztylet do ukrytej w rękawie pochwy. Było jasne, jak się wyswobodził — nikt nie wpadł na pomysł, aby przeszukać nieprzytomnego.

Otera pochylił się i podniósł karabin i swój pistolet. Karabin podał najemnikowi, który klęczał w korytarzu, ten jednak nie chciał go wziąć. Wpatrywał się we wnętrze świątyni i mamrotał ciche modlitwy.

Otera się rozejrzał. Zamarł i zaskoczony zatoczył się krok do tyłu. Twarz mu załśniła w złotym świetle. Usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

— *Dios mio...* — Kiedy znowu popatrzył na przeciwników, oczy miał wielkie jak spodki.

— Robi wrażenie, prawda? — rzucił Sam.

Zakonnik zmrużył oczy od blasku pochodni. Rozpoznał Sama.

— Zdawało mi się, że... że cię zabiłem...

Sam wzruszył ramionami.

— Nie wyszło.

Otera popatrzył na złotą jaskinię, potem znowu na trzymany w szachu ludzi. Opuścił broń.

— Nie mam pojęcia, w jaki sposób przeżyłeś, ale tym razem zadbam, aby ci nie wyszło. Nikt z was stąd nie wyjdzie!

— Przysiągłeś! — Maggie stanęła między zakonnikiem a Samem. — Na krzyż!

Otera złapał wolną ręką krzyż na szyi, zerwał go i rzucił za siebie.

— Opat był głupcem. Tak jak i wy. Ta gadanina o dotknięciu umysłu Boga... pobożne bzdety! Nigdy nie rozumiał prawdziwego celu złota.

— A jaki to cel? — spytał Henry, stając obok Maggie.

— Uczynić mnie bogatym! Przez lata znosiłem wyniosłe fochy opata, faworyzującego ludzi o czystej hiszpańskiej krwi. Mając to złoto, nie będę więcej pół Indianinem i pół Hiszpanem. Nie będę musiał chylić głowy i odgrywać roli podłego *mestizo*. Narodzę się na nowo jako wolny człowiek! — W oczach Otery pały od dawna skrywane marzenia.

Henry podszedł krok bliżej.

— I kim się staniesz?

Otera wycelował w niego pistolet.

— Kimś, kogo wszyscy szanują, bogatym człowiekiem! — Roześmiał się chrapliwie i pociągnął za spust.

Henry skulił się, jęknął i poleciał do tyłu.

Pocisk z jakiegoś powodu zboczył i trafił w sufit, krzesząc snop błękitnych iskier.

Kiedy odgłos wystrzału umilkł, pojawił się nowy odgłos.

— Aaaaaaa...

Otera zakrzuszył się i złapał za pierś. Spomiędzy jego żeber wysunęło się złote ostrze dzidy i zakonnik uniósł się. Z ust trysnęła mu struga krwi, zaczął jęczeć, otwierając i zamykając usta niczym wyrzucona na brzeg ryba. Pistolet z łoskotem wypadł mu z ręki.

Potem głowa mu opadła bezwładnie i znieruchomiała. Był martwy.

Oszczepnik odrzucił jego ciało na bok.

Ukazała się wysoka postać w podartych i popalonych szatach.

— Pachacutec! — zawołał Sam.

Mężczyzna zatoczył się do przodu i padł na kolana przed ołtarzem. Łzy zalały jego pokrytą sadzą twarz.

— Moi ludzie... — wymamrotał po angielsku. — Zginęli.

Z ciemności wyszła kolejna postać.

— Norman! — zawołała Maggie i podbiegła do niego. — Co się stało?

Fotograf wbił wzrok w nadzianego na dzidę zakonnika i pokręcił głową.

— Natknąłem się na Pachacuteca na ścieżce, na miejscu rzezi. Szedł do świątyni, żeby walczyć z tymi, którzy ośmielają się czynić zło jego bogu. Przekonałem go, był dał sobie pomoc. — W głosie Normana nie było jednak zadowolenia, a twarz miała barwy popiołu.

Popatrzył w kierunku Denala i spąsował ze wstydu, ale chłopak podszedł do niego i serdecznie go uściskał.

— Uratowałeś nas... — wymamrotał mu w pierś.

Norman odwzajemnił uścisk i do oczu znów napłynęły mu łzy.

Pachacutec jęknął. Zaczął kłaniać się przed ołtarzem, kiwał się do przodu i do tyłu i modlił się cicho w ojczystym języku. Był zasmucony. Spod szaty płynęła mu krew i kapiała na złotą podłogę. Wyglądał, jakby zaraz miał umrzeć.

Henry podszedł do króla. Jeśli teoria Maggie była prawdziwa, klęczał obok niego jeden z założycieli inkaskiego imperium. Henry całe życie poświęcił badaniu Inków, a teraz nagle stracił mowę. Miał obok siebie króla Inków, którego wspomnienia były więcej warte niż tysiąc jaskiń pełnych złota. Odwrócił się do bratanka i błagalnie na niego popatrzył. Król nie mógł umrzeć.

Sam chyba zrozumiał. Ukląkł obok króla i dotknął jego szaty.

— Sapa Inko — powiedział i skłonił się. — Świątynia uratowała mi życie, tak jak kiedyś uratowała twoje. Użyj jej ponownie.

Pachacutec przestał się kiwać, lecz dalej tylko smętnie zwieszał głowę.

— Moi ludzie odeszli. — Podniósł wzrok na Sama. — Może tak jest dobrze. Nie ma dla nas miejsca w waszym świecie.

— Nie, pozwól się uzdrowić. Pozwól sobie pokazać nasz świat.

Henry też podszedł i położył dłoń na ramieniu króla.

— Jest tak wiele rzeczy, którymi mógłbyś się z nami podzielić, Inko Pachacutecu. Nauczyc nas.

Pachacutec powoli wstał i popatrzył na Henry'ego. Wyciągnął dłoń, dotknął twarzy profesora i powiodł palcem wzdłuż jednej ze zmarszczek. Opuścił rękę i się odwrócił.

— Twoja twarz jest stara, ale nie tak stara jak moje serce. — Zapatrzył się na ołtarz. — Inti prowadzi teraz moich ludzi do *janan pacha*. Chciałbym

iść tam z nimi.

Henry spojrział na Sama. Co mogli powiedzieć? Wódz stracił całe plemię.

Łzy płynęły po policzkach Pachacuteca. Wyciągnął zza pazuchy złoty sztylet.

— Idę połączyć się z moimi ludźmi.

Henry wyciągnął rękę w stronę króla.

— Nie! — krzyknął, ale było już za późno.

Pachacutec wbił sobie sztylet w pierś i zgiął się wpół. Po chwili się rozluźnił i z gardła wydobył mu się odgłos ulgi. Powoli się wyprostował, dłoń zsunęła się z rękojeści noża.

Henry jęknął, cofnął się dwa kroki, z rany w piersi króla wystrzeliły małe płomienie.

— Co to ma...?

— Idę do Inti — powiedział Pachacutec i zataczając się, dotarł do ołtarza.

— Spontaniczne spalenie — szepnął Sam.

— Ma takie samo ciało jak tamte stwory — powiedziała cicho Maggie.

— Co się dzieje? — spytał zdezorientowany Henry, gapiąc się na płomienie.

— Złoto wyzwała reakcję łańcuchową — szybko wyjaśniła Maggie, wskazując na króla. Płomienie obejmowały jego klatkę piersiową. — Samospalenie.

Henry nagle przypomniał sobie wiadomość od Joan, którą mu przekazała, kiedy był w helikopterze. Zasugerowała sposób na zniszczenie substancji Z: dar, skradziony przez Prometeusza. Ogień!

Kątem oka Henry widział, jak Pachacutec się osuwa, a z jego unoszących się rąk strzelają płomienie.

Boże!

Henry złapał Sama i Maggie i pchnął ich w kierunku wylotu tunelu.

— Uciekajcie! — Kopnął klęczącego najemnika. — Ty też!

— Co? Dlaczego? — spytał Sam.

— Nie ma czasu! — Henry pchał ich naprzód. Denal i Norman biegli pierwsi. Kiedy Henry wraz z Maggie wspomagał z trudem idącego Sama, przypomniał sobie ostatnie słowa Joan: „Prometeusz zadaje zabójczy cios. Jakby wybuch dynamitu”.

Jej słowa okazały się prawdziwe. Gdy dotarli do końca tunelu, skałą pod ich nogami wstrząsnęła potężna eksplozja. Fala gorącego powietrza rzuciła całą grupę na podłoże. Poturlali się i poobijali. Tunel wypluł dym i odłamki.

— Wstawać! — wrzasnął Henry. — Uciekamy!

Jęcząc i stękając, wszyscy posłuchali polecenia i pokuśtykali dalej. Droga pod ich nogami cały czas drżała.

— Nie zatrzymywać się! — krzyczał Henry.

Z wysokości leciały głązy. Góra dygotała coraz bardziej. Z dżungli wystrzeliły setki papug i z wrzaskiem wzleciały w niebo.

Co się działo?

Kiedy dotarli do stromej skały, Henry odważył się spojrzeć za siebie. Od tunelu do samego szczytu wulkanicznego wierzchołka biegło potężne pęknięcie.

Sam oparł się o Maggie i oboje łąpczywie chwyтали powietrze. Pozostali dyszeli tuż obok. Oczy Sama nagle się rozszerzyły.

— Boże... Patrzcie! — Wskazał na dolinę.

Dziury w skale, które do tej pory służyły za „wentyle” upuszczające nadmiar wulkanicznego gazu, zamieniły się w gejzery wrzątku. Wszędzie pojawiały się nowe pęknięcia, wyrzucające w niebo kolejne porcje mglistej pary i wody. Część stożka wulkanicznego oderwała się z ogłuszającym rykiem.

— Rozpada się na kawałki! — uświadomił sobie Henry.

Maggie wskazała do tyłu, w kierunku stożka wulkanicznego na południu. W niebo uderzał czarny dym. Dolinę wypełniał smród siarki i palonej skały.

Sam się wyprostował.

— Eksplozja musiała wyzwolić kolejne! Szybko! Do helikoptera!

— Mamy towarzystwo, moi drodzy! — Norman podzielił się jeszcze lepszymi wieściami. Wskazał na dymiący tunel.

Z ciemności, niczym demony z piekła, wyskakiwały blade postacie. Z tunelu wypływał nieprzerwany ich strumień, wyjących i szczekających. Pazury drapały o skałę.

— Wybuchy musiały wywołać u nich panikę — stwierdziła Maggie. — Większą niż strach przed tunelem.

W kierunku ludzi zwróciły się dziesiątki czarnych oczu. Wycie zmieniło ton.

— Wiejemy! — krzyknął Henry. — Natychmiast!

Rzucili się do ucieczki. Teren wciąż zasypywały odłamki bazaltu, co bardzo utrudniało bieg. Henry przewrócił się, paskudnie drapiąc sobie dłoń o ostry kamień, na szczęście blisko był Sam, który postawił go na nogi.

— Poradzisz sobie, wuju?

— A mam wybór? — Henry pobiegł dalej, choć przed oczami wirowały mu czarne plamy.

Sam podał mu ramię, z drugiej strony nagle pojawiła się Maggie. We dwoje doprowadzili Henry'ego do łąki. Norman już pakował Denala i najemnika zakonników do helikoptera. Popatrzył w ich kierunku.

— Szybciej! Depczą wam po piętach!

Henry popełnił błąd i się obejrzał. Najszybsze ze stworów były już blisko. Pojawiły się również te najpotężniejsze, z pałkami i kamieniami w łapach.

Henry nagle się potknął i o mały włos wszyscy troje by się przewrócili. Na szczęście udało im się utrzymać równowagę i biec dalej. Henry zaczynał na ułamki sekund tracić przytomność. Sam i Maggie właściwie go nieśli.

— Zostawcie mnie... ratujcie siebie...

— Jasne — odparł Sam.

— Za kogo on się ma? — spytała z udawaną obojętnością Maggie.

Na kilka sekund świat wokół Henry'ego pociemniał.

Profesor odzyskał świadomość, gdy czyjeś ręce wciągały go do helikoptera. Poczł podmuch wiatru i stwierdził, że łopaty wirnika się obracają. Niedaleko jego głowy rozległ się metaliczny huk.

— Rzucają kamieniami! — zawołał Norman.

— Ale nie podchodzą — dodała Maggie. — Helikopter je wystraszył.

Podwoziem maszyny wstrząsnęło kolejne potężne uderzenie. Cały helikopter zadygotał.

— Ale są blisko! — krzyknął Norman i odwrócił się do pilota. — Startuj!

Kiedy drzwi się zatrzasnęły, Henry usiadł.

— Sam...

Poczuł klepnięcie w ramię, został posadzony na fotelu i przypięty pasem.

— Jestem — odparł jego uśmiechnięty bratanek. Tuż obok niego stała Maggie.

— Dzięki Bogu... — westchnął Henry.

— Bogu? Któremu? — spytał z krzywym uśmiechem Norman.

Helikopter znów zadygotał, ale tym razem nie od uderzenia kamieniem, ale od gwałtownego startu. Pochylił się na bok i zaczął powoli unosić. Kadłubem ponownie wstrząsnęło, teraz już od pożegnalnego ciosu kamieniem.

— Buziak na pożegnanie — zażartował Norman, patrząc przez okienko na kłębiące się i szalejące w dole stado.

Helikopter wznosił się szybko, gwałtownie oddalając się poza zasięg rzutu.

Henry wyjrzał przez okienko na dolinę. Dżungla płonęła. Dym i para wodna niemal całkowicie zasłaniały widok. Ognie zapalały kłęby unoszącej się w powietrzu siarki. Wyglądało to jak piekło Dantego.

W sercu Henry'ego ulga mieszała się ze smutkiem. Tyle stracili...

Przelecieli nad szczytem stożka wulkanicznego i pomknęli ku wolności.

Udało się!

Kiedy helikopter zanurkował między kolejne szczyty, Henry popatrzył w kierunku, z którego przylecieli. Nagle w kabinie rozległ się głośny huk. Helikopter podskoczył, zawyły silniki. Henry wbił się plecami w fotel. Przez chwilę maszyna dziko wirowała.

Pilot zaklął, walcząc z przyrządami. Wszyscy trzymali się z całych sił fotela albo pasów.

Helikopter udało się ustabilizować i polecili dalej.

Henry wrócił do poprzedniego punktu obserwacyjnego. Kiedy wyjrzał na zewnątrz, westchnął. Nie z lęku, lecz z zachwyty.

— Musicie to zobaczyć.

Pozostali dołączyli do niego przy okienku. Sam pochylił się i oparł dłoń na ramieniu wuja. Ten poklepał dłoń bratanka i ją ścisnął.

— W przedziwny sposób piękne — powiedziała Maggie.

Dwa bliźniacze szczyty z topniejącej skały rozświetlały popołudniowe niebo. Widok wręcz onieśmiał.

Henry wreszcie opadł na fotel. Zamknął oczy i zaczął dumać nad przestrogi ojca de Almagro. Zakonnik oddał życie, aby powstrzymać tkwiące tu zło.

— Twoja przedśmiertna modlitwa została wysłuchana, przyjacielu — cicho szepnął Henry w kierunku płonącego nieba. — Spoczywaj w pokoju.

DZIEŃ SIÓDMY
CUZCO

Niedziela, 26 sierpnia, godzina 15.45

Lotnisko międzynarodowe w Cuzco, Peru

Mały jednosilnikowy stary piper saratoga zanurkował ku pasowi startowemu. Cuzco rozciągało się we wszystkich kierunkach. Widać było płataninę ulic, błyszczące w słońcu wieżowce wśród starych domów z suszonej na słońcu cegły. Choć widok był przyjemny, Sam odwrócił się od okienka. Cały dzień latał i planował.

W trakcie lotu z wulkanicznej kaldery Henry zawiadomił przez radio władze i ostrzegł obóz przed aktywnością wulkaniczną. Philip był spanikowany, ale Indianie Kiczua sami zaczęli się ewakuować. Henry kazał doktorantowi iść z nimi — mieli za mało paliwa na jeszcze jedno lądowanie. Philip niemal z płaczem prosił o ratunek, Henry był jednak zdecydowany jak najszybciej dotrzeć do Cuzco.

Profesor zaaranżował zmianę środka transportu na niewielkim komercyjnym lądowisku niedaleko Machu Picchu — wynajął tam jednosilnikowy samolot wraz z pilotem na przelot do Cuzco.

Mimo perfekcyjnego planowania droga zajęła niemal cały dzień.

Kiedy samolot opadał do lądowania, Sam wyprostował się w fotelu — ostrożnie, aby nie obudzić opartej o jego ramię Maggie, śpiącej jak reszta pasażerów. Zazdrościł jej, że umiała zasnąć, sam nie zmrużył oka. Po głowie krążyły mu myśli o wydarzeniach minionej doby.

Umarł.

Nie bardzo umiał objąć to umysłem. Bez względu na to, jak się starał, z tamtej godziny nie pamiętał niczego. Nie było światła ani anielskiego chóru. Pamiętał tylko, jak z raną postrzałową w piersi traci przytomność na polu komosy, a potem budzi się na złotym ołtarzu. Reszta była pustką.

Nie mógł mieć pretensji do losu o drobną dziurę w pamięci. Żył, a co ważniejsze, na jego ramieniu spała wspaniała irlandzka archeolog. Popatrzył na nią i delikatnie odsunął z jej twarzy luźny pukiel włosów. Powinien ją obudzić, zaraz będą lądowali, ale bronił się przed tym. Jej

bliskość była taka przyjemna. Nawet jeśli tylko pełnił rolę wygodnej poduszki. Odsunął dłoń od jej włosów i odepchnął dalsze rozważania. Trudno było przewidzieć, w którą stronę podąży każde z nich.

Samolocik z cichym tąpnięciem osiadł na betonowym pasie.

Szarpnięcie i pisk hamulców obudziły pasażerów. Twarze o zaspanych oczach zaczęły wyglądać przez małe okienka.

— Już jesteśmy? — Maggie ziewnęła. — Mogłabym przysiąc, że dopiero zasnęłam.

Sam przewrócił oczami. Dla niego lot ciągnął się w nieskończoność.

— Aha. Witamy w Cuzco.

Z kabiny samolotu kierującego się po pasie do małego terminalu dobiegała rozmowa pilota z wieżą. Henry odpiął pas, przeciągnął się i ruszył na dziób.

Kolejne plany i ustalenia, pomyślał Sam.

Początkowo kwestionował pośpiech wuja, lecz został delikatnie skarcony. Kiedy nalegał, Maggie ostrzegła go ruchem głowy.

— Zostaw go w spokoju.

Sam popatrzył na dziewczynę. Wpatrywała się w jego wuja zbolałym wzrokiem. Co się stało? Co przemilczali?

— Co to za ludzie na zewnątrz? — spytał siedzący za nimi Norman.

Sam pochylił się do okienka. Obok terminalu zebrał się spory tłumek. Połowa miała na sobie mundury miejscowej policji i karabiny na ramionach. Widać było gotowe do akcji kamery oraz mikrofony. W tłumie byli też miejscowi obywatele i ludzie w garniturach wyraźnie za grubych na tutejszy klimat. Otaczała ich aura oficjeli rządowych.

Wyglądało na to, że radiowe komunikaty Henry'ego wywołały spore zamieszanie.

Samolot podkołował do terminalu, pilot uwolnił się od sprzętu i ruszył do wyjścia. Henry pochylił się ku niemu i zaczęli o czymś rozmawiać, po chwili pilot otworzył luk wyjściowy i kopnął zapadkę zwalniającą schodki.

Nawet z wnętrza samolotu słychać było szmer głosów i trzask migawek aparatów przypominający klekot broni maszynowej.

Henry zatrzymał się w wyjściu i zwrócił do pasażerów:

— Czas na spotkanie z prasą, kochani! Pamiętajcie, o czym mówiliśmy... jak odpowiadać na pytania.

— Bez komentarza — powiedział Norman.

— *Sin comentario* — dodał Denal po hiszpańsku.

— Otóż to — rzekł Henry. — Dopóki pewne sprawy nie zostaną wyjaśnione, rozmawiamy tylko z przedstawicielami władz.

Wszyscy pokiwali głowami. W szczególności Sam. Nie paliło mu się do rozmów z międzynarodową prasą na temat zmartwychwstania.

— No to chodźmy. — Henry pochylił się, by wyjść, i wszyscy podążyli za nim.

. . .

Henry wysiadł z samolotu i jęknął. Nawet w jaskrawym popołudniowym słońcu reflektory kamer i flesze oślepiały. Wołano do nich w rozmaitych językach: po angielsku, hiszpańsku, portugalsku i francusku. Policja musiała powstrzymać napierający tłum.

Henry niepewnie zrobił kilka kroków naprzód, rozglądając się w tłumie. Joan. Coś w nim żywiło się cichą nadzieją, że gorączkowa rozmowa z władzami w Cuzco nie była spóźniona. W trakcie lotu słyszał jedynie strzępy komunikacji radiowej: wspomniano o wejściu wojska do opactwa i gwałtownej walce, jaka się wywiązała. Wiele osób zginęło, ale szczegóły były niejasne.

Henry zaciskał dłonie w pięści. Rozglądał się po twarzach zebranych ludzi — reporterów, oficjeli rządowych, gapiów. Żadnej nie poznawał.

Siłą powstrzymywał łzy. Proszę... nie znowu. Rozglądał się daremnie za Joan i w jego piersi narastał ból, poczucie winy i piekąca gorycz. Znał ten ból. Czuł go po śmierci Elizabeth. Sądził, że już dawno pogodził się ze śmiercią żony, ale strach o Joan obudził te uczucia na nowo. Tak naprawdę ból nigdy nie zniknął. Henry jedynie obudował go murem, zalał cementem i obłożył cegłami — zajmując się Samem.

Ale co teraz?

Serce miał spopielale.

Nie było Joan.

Z tłumy wyszedł mężczyzna w klasycznym szarym garniturze i zatrzymał się przed Henrym, wyciągając rękę.

— Profesorze, nazywam się Edward Gerant i jestem szefem protokołu w ambasadzie amerykańskiej. Mamy dużo do omówienia.

Henry przybrał spokojną minę i uniósł dłoń.

Nagle przez hałas przebił się głos.

— Henry?

Zamarł.

Edward Gerant właśnie miał ująć jego dłoń, ale Henry odsunął się na bok. Przez policyjny kordon przebijała się szczupła postać.

— Joan...?

Uśmiechnęła się i zaczęła podchodzić, z początku powoli, ale kiedy z oczu popłynęły jej łzy, przyspieszyła.

— Boże, Joan... myślałem, że zginęłaś — jęknął Henry Conklin, czując radość, jakiej już w życiu się nie spodziewał. — Modliłem się... miałem nadzieję...

— Wuju? — odezwał się głos za jego plecami. Sam był zdziwiony, nie słyszał bowiem dotychczas o Joan Engel. Henry nie mówił nic bratankowi, ponieważ po tym, jak Ruiz zmusił go do dokonania wyboru, czuł się zbyt winny. Wolał milczeć, aż pozna los Joan.

Kiedy Sam podszedł, Joan i Henry lekko się od siebie odsunęli, ale Henry nie mógł oderwać od niej wzroku... i nigdy nie będzie mógł. Nie odwracając się, przedstawił jej bratanka. Joan uśmiechnęła się ciepło i ujęła dłoń Sama. Kiedy się przywitani, Henry znów przejął dłoń Joan.

— Co się z tobą działo? — spytał. — Co się wydarzyło?

Uśmiech Joan nieco zbladł.

— Uciekłam, gdy zaczął się atak. Na szczęście, bo kiedy policja weszła na teren, mnisi uruchomili w laboratorium mechanizm samozniszczenia. Wszystko spłonęło, włącznie z kryptą z *el Sangre*. — Wskazała w kierunku horyzontu.

W niebo wznosił się kłęb dymu nie mniej gęsty od tego, jaki buchał z wulkanu.

— Eksplozja zniszczyła całe opactwo. Zgliszcza jeszcze się dymią, pozostały tylko ruiny Inków pod ziemią.

— Niesamowite... — powiedział Sam.

Henry przysunął się bliżej Joan.

— Dzięki Bogu, że uciekłaś. Nie wiem, jak mógłbym żyć...

Joan wtuliła się w niego.

— Nigdzie się nie wybieram, Henry. Raz zniknąłeś z mojego życia i nie zamierzam znów na to pozwolić.

Uśmiechnął się i mocno ją objął.

— Ani ja.

Sam odszedł na bok, zostawiając ich samych. Jeszcze nigdy nie widział u wuja takiego oddania — a uczucie najwyraźniej było odwzajemnione. Cieszył się, że wuj jest szczęśliwy, ale czuł w sercu dziwną pustkę.

Norman rozmawiał z porzuconym przez profesora oficjalem z ambasady, klarując mu jakieś szczegóły. Chłopięcy śmiech fotografa niósł się po pasie startowym. W cieniu Normana stał Denal. Norman zaofiarował się sponsorować chłopaka w trakcie stażu w „National Geographic”. Denala, jako sierotę, czekała w kraju jedynie bieda. Razem z Normanem zaplanowali już wspólny wyjazd do Nowego Jorku.

Aparaty błyskały bez przerwy.

Sam cofnął się w stronę skrzydła samolotu, by oddalić się od tłumu. Potrzebował chwili na zastanowienie. Od śmierci rodziców on i wuj Hank byli nierozłączni — cierpienie połączyło ich serca tak mocno, że nie było miejsca dla nikogo innego. Aż do teraz.

Sam nie wiedział, co z tym począć. Zbyt wiele się wydarzyło. Czuł się jak odcięty nagle od bezpiecznej cumy. Pozbawiony gruntu. Pojawiły się dawne wspomnienia: pisk opon, zgrzyt miażdżonego metalu, trzask pękającego szkła, wycie syren, obraz matki wyciąganej z wraka, bezwładnie zwisająca ręka...

Nagle poczuł w oczach łzy. Nie mógł ich powstrzymać. Dlaczego wspomnienia musiały wracać właśnie teraz?

Poczuł, że ktoś za nim stoi.

Odwrócił się. To była Maggie. Wpatrywała się w niego.

Spodziewał się ironii albo zgryźliwej uwagi, ale widział jedynie troskę. Ratownik dał jej jasnożółty koc, którym się owijała, by osłonić się przed chłodną wieczorną bryzą.

— Chodzi o twojego wuja i tę kobietę? — spytała cicho. — Masz wrażenie, że go tracisz?

Uśmiechnął się i nieporadnie otarł oczy.

— Wiem, że to głupie, ale nie chodzi tylko o wuja — powiedział z zaciśniętym gardłem. — To coś więcej. Chodzi o moich rodziców... Ralpa... o wszystko, co zabiera nam śmierć. — Wpatrując się w niebo, próbował ubrać uczucia w słowa. Potrzebował słuchacza. — Dlaczego pozwolono mi żyć? — Machnął ręką w kierunku odległych Andów. — Tam... i we wraku, w którym zginęli rodzice?

Maggie stała tuż przed nim.

— I mnie w rowie w Belfaście...

Pochylił się ku niej, wiedząc, że ona najlepiej zrozumie jego ból.

— Dlaczego? — spytał cicho, przełykając łzy. — Wiesz, o czym mówię. Jak brzmi odpowiedź? Nawet umarłem i zostałem ożywiony! I nadal nie mam pojęcia dlaczego!

— Na niektóre pytania nie ma odpowiedzi. — Maggie wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. — Ale tak naprawdę to nie można uciec przed śmiercią. Nikomu z nas się nie uda. Ona ciągle wśród nas jest. Koniec końców nawet Inkowie przed nią nie umknęli. — Przyciągnęła Sama bliżej. — Przez lata próbowałam przed nią uciec, a ty z wujem broniliście się przed nią, wspierając się nawzajem. Ani jedno, ani drugie nie było jednak zdrowe, bo śmierć w końcu zawsze zwycięża. Kiedy próbujemy przed nią uciekać, jesteśmy podwójnie karani.

— Więc co mamy robić? — spytał z błaganiem w oczach.

— Musimy starać się żyć pełnią życia — ze smutkiem odparła Maggie.
— Po prostu żyć.

Znowu napłynęły mu do oczu łzy.

— Nie rozumiem tego. Jak...?

— Sam... — Maggie przyłożyła mu palec do ust. Koc ratowniczy zsunął się z szelestem z jej ramion.

— Co?

— Zamknij się i mnie pocałuj.

Zamrugął zdziwiony, ale szybko podjął decyzję. Prowadzony jej dłońmi, natychmiast odnalazł jej usta. Zanurzył się w miękkość i ciepło i wreszcie zaczął rozumieć.

Oto powód, aby żyć.

Z początku całował ją czule, potem coraz namiętniej. Krew zaczęła mu dudnić w uszach. Przyciskał ją do siebie coraz mocniej, a ona zarzuciła mu rękę na szyję, wplotła palce w jego włosy i zrzuciła mu kapelusz. Ciasno do siebie przyłgnęli.

Wtedy serce Sama wzleciało i zrozumiało.

W tym pocałunku nie było żałoby... poczucia winy... śmierci.

Było jedynie życie — i każdemu to wystarczało.

EPILOG

Dwa lata później

Wtorek, 19 października, godzina 22.45

Instytut Badań Genetycznych

Stanford, Kalifornia

Trzy piętra pod głównym ośrodkiem badawczym do panelu dotykowego przy wejściu do prywatnych laboratoriów zbliżał się mężczyzna w długim kitlu. Przyłożył płasko dłoń do błękitnego czytnika i czekał, aż laser przyjmie dane. Po chwili zapaliła się zielona dioda i pojawiło się jego nazwisko: DR DALE KIRKPATRICK.

Rygle zgrzytnęły — mężczyzna został zidentyfikowany i mógł wejść. Zabrał dłoń z czytnika i pociągnął za klamkę. Próżniowe uszczelnienie puściło i syknęło zasysane powietrze. Naukowiec w średnim wieku musiał pociągnąć mocniej, aby otworzyć drzwi do pomieszczenia, w którym panowało nieco niższe ciśnienie niż na korytarzu — dzięki temu ewentualne skażenia biologiczne nie mogły przeniknąć z laboratorium na zewnątrz. W projekcie tym na niczym nie oszczędzano. Rządowy komitet doradczy, wspierany przez Pentagon, zainwestował w niego niemal miliard dolarów. Znaczna część tej sumy, pomyślał naukowiec z chytrym uśmiechem, poszła na jego wynagrodzenie.

Kiedy otwierał drzwi, poczuł w barku krótkie szarpnięcie bólu. Jęknął cicho, wszedł do laboratorium i poczekał, aż drzwi znów się zamkną. Pomasował czule swoje ramię — rana postrzałowa, którą odniósł na korytarzu Uniwersytetu imienia Johnsa Hopkinsa, wymagała czterech operacji i choć czasami odczuwał ból, nie miał na co narzekać. Nie tylko przeżył, ale zdobył próbkę substancji Z, której użyli do badania pod mikroskopem elektronowym.

Kiedy do odpowiednich kręgów dotarła informacja o jego znalezisku, pozwolono doktorowi Kirkpatrickowi zniknąć. Doniesiono o jego śmierci i przewieziono go potajemnie na Zachodnie Wybrzeże, do Instytutu Badań Genetycznych w Stanfordzie. Dostał własne laboratorium i czternastoosobowy zespół z klauzulą dopuszczenia do tajemnic państwowych najwyższego rzędu.

Szedł do swojego gabinetu, mijając po drodze kolejne laboratoria. Kiedy przechodził obok laboratorium komputerowego, słyszał szum pracy czterech połączonych komputerów Cray, przetwarzających dane z sekwencera genów. W porównaniu z tym, co działo się w laboratorium, projekt poznania genomu ludzkiego był układanką dla grzecznych dzieci. Dale szacował, że ustalenie kodu potrwa jeszcze cztery lata, ale miał czas. Zagwizdał, aby przerwać panującą w pustym laboratorium ciszę; za pomocą karty magnetycznej otworzył drzwi do swojego gabinetu i wszedł do środka.

Zdjął kitel, powiesił go na wieszaku, poluzował krawat i podwinął rękawy koszuli. Podeszedł do biurka i z westchnieniem usiadł na fotelu.

Chciał podyktować końcówkę rocznego sprawozdania, by Marcy mogła je przepisać przed jutrzejszą kontrolą. Otworzył szufladę i wyjął dyktafon. Wcisnął przycisk i przysunął mikrofon do ust.

— Raport. Wnioski i ocena. — Odchrząknął. — Nanotechnologia zawsze była nauką teoretyczną, raczej polem domysłów niż ścisłą nauką. Po odkryciu substancji Z udało nam się przygotować wprowadzenie manipulacji atomami do praktycznej sfery nauki i produkcji. Przez minione dwa lata badaliśmy działanie elementów „nanobiotycznych”, znajdujących się w substancji Z, na wczesną tkankę embrionalną. Odkryliśmy, że manipulacja okazała się najbardziej efektywna w przypadku zygoty ludzkiej w stadium blastuli, kiedy komórki są najmniej zróżnicowane i najbardziej podatne na wpływy. Mamy nadzieję, że dzięki obserwacji działania tych nanobotów, a także pomocy inżynierii rewersyjnej, w bliskiej przyszłości będziemy w stanie stworzyć pierwsze prototypy. Jak dotychczas dokonaliśmy własnego znaczącego odkrycia, stanowiącego pierwszy krok ku urzeczywistnieniu nanotechnologii: znamy cel nanobotów, zaprogramowany w substancji Z.

Dale zmarszczył czoło i wyłączył dyktafon. Przekrzywił głowę, by pozbyć się napięcia w karku. Był dumny z wyników swoich badań, lecz

jego sumienie nadal dręczyły wątpliwości. Z dyktafonem w ręku podszedł do hermetycznego okna.

Wcisnął przycisk i otworzyły się zaluzje, ukazując komorę inkubacyjną w sąsiednim laboratorium. Kipiał w niej i bulgotał żółtawy płyn, w którym niczym śmy unosiły się maleńkie złote kropeczki. Płatki kolonii nanobotów. Cząsteczki substancji Z.

Jednak nie to przyciągnęło tu Dale'a.

Na dwóch stelażach wisiało dwanaście rosnących płodów. Pochylił się ku nim, by lepiej się przyjrzeć. U pary w drugim trymestrze zaczynały się już zawiązywać skrzydła. Głowy — pękate i za duże w stosunku do drobnych ciał — zdawały się obracać w jego kierunku. Wpatrywały się w niego wielkie czarne oczy, na razie bez powiek. Powoli poruszały się drobne ramiona z dwoma stawami. Jeden z płodów ssał maleńki kciuk. Błysnęły ostre ząbki.

Dale uniósł dyktafon i ponownie go włączył.

— Doszedłem do wniosku, że odkryte przez Inków złote meteoryty były w rzeczywistości czymś w rodzaju pozaziemskich zarodników. Nie mając możliwości transportowania swoich przedstawicieli, obca cywilizacja rozsiała wśród gwiazd próbki nanobotów. Podobnie jak niesiony wiatrem dmuchawiec, zarodniki rozprzestrzeniały się w kosmosie, szukając pośród niezliczonych planet żyznego gruntu. Złote próbki zdolne do wyczuwania życia miały zainteresować ciekawskich zdolnością zmiany kształtu i w ten sposób zwabić ofiary. Nanoboty miały manipulować „surowcem” na poziomie molekularnym, i w końcowym efekcie spożyć biomasę planety i odtworzyć z niej własną rasę, czyli rozsiać swoją cywilizację wśród gwiazd.

Dale wyłączył dyktafon.

— Ale nie tutaj... — mruknął.

Pochylił się i studiował największy płód. Ten jakby wyczuł obecność człowieka i wyciągnął ku niemu maleńkie piąstki z ostrymi pazurkami. Dale westchnął i oparł czoło o szklany zbiornik. Czego się od siebie dowiemy? Co odkryjemy? Drobną postać ukazała szereg ostrych zębów i wydała z siebie niemy syk. Zadowolony ze swojego dzieła, Dale zignorował infantylny objaw agresji. Położył dłoń na szybie.

— Witamy — szepnął do przybyszy. — Witamy na Ziemi.